

POŚCIG

Przekład

MACIEJ PINTARA PRZEMYSŁAW BIELIŃSKI

&

AMSER

Redakcja stylistyczna Marta Bogacka

Korekta

Jolanta Gornóika Jolanta Kucharska

Ilustracja na okładce

Larry Rostant/Artist Partners Ltd

Mapa oraz ilustracje wewnątrz książki Richard Dahlquist

Zdjęcie autora Zbiory Clive'a Cusslera

Skład

Wydawnictwo AMBER Jacek Grzechulski

Druk

Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

Tytuł oryginału The Chase

Copyright © 2007 by Sandecker, RLLLP All rights reserved.

By arrangement with Peter Lampack Agency, Inc. 551 Fifth Avenue, Suite 1613 New York,

POŚCIG

Przekład

MACIEJ PINTARA PRZEMYSŁAW BIELIŃSKI

&

AMSER

Redakcja stylistyczna Marta Bogacka

Korekta

Jolanta Gomółka Jolanta Kucharska

Ilustracja na okładce

Larry Rostant/Artist Partners Ltd

Mapa oraz ilustracje wewnątrz książki Richard Dahlquist

Zdjęcie autora Zbiory Clive'a Cusslera

Skład

Wydawnictwo AMBER Jacek Grzechulski

Druk

Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

Tytuł oryginału The Chase

Copyright © 2007 by Sandecker, RLLLP All rights reserved.

By arrangement with Peter Lampack Agency, Inc. 551 Fifth Avenue, Suite 1613 New York,

NY 10176-0187 USA

Teri, Dirkowi i Danie.

Żaden ojciec nie został obdarzony bardziej kochającymi dziećmi

Duch z przeszłości

15 kwietnia 1950 Jezioro Flathead, Montana

Wyłaniała się z głębin jak groźny potwór z mezozoicznego morza. Zielony szlam pokrywał kabinę i kocioł, a szarobrazowy denny muł ściekał z dwustupięciocentymetrowych kół napędowych i wpadał z pluskiem do zimnych wód jeziora. Wznosząca się wolno ponad powierzchnię stara lokomotywa parowa zawisała na chwilę na stalowych linach wielkiego żurawia zamontowanego na drewnianej barce. Pod ściekającym błotem, poniżej otwartego okna kabiny, wciąż widoczny był numer 3025.

Zbudowany przez Baldwin Locomotive Works w Filadelfii w Pensylwanii 3025 wytoczył się z fabryki dziesiątego kwietnia 1904 roku. Parowóz klasy „Pacific” miał typowe rozmiary, duże koła napędowe i mógł ciągnąć dziesięć stalowych osobowych wagonów dalekobieżnych z prędkością do stu czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę. Nazywano go cztery-sześć-dwa z powodu czterokołowego przedniego wózka tuż za zgarniaczem, sześciu potężnych kół napędowych poniżej kotła i dwóch małych kół zamontowanych pod kabiną.

Załoga barki obserwowała z podziwem, jak operator żurawia manipuluje dźwigniami i delikatnie opuszcza stary 3025 na główny pokład; ciężar parowozu zwiększył zanurzenie barki o siedem i pół centymetra. Lokomotywa stała prawie minutę, zanim sześciu mężczyzn otrząsnęło się ze zdumienia i odczepiło liny.

- Jest w nadzwyczaj dobrym stanie po prawie pięćdziesięciu latach pod wodą - mruknął nadzorujący akcję ratowniczą szyper zdezelowanej starej barki, prawie tak wiekowej jak parowóz. Od lat dwudziestych używano jej do bagrowania jeziora i okolicznych dopływów.

Bob Kaufman był wielkim, jowialnym i skorym do śmiechu mężczyzną o twarzy rumianej od długich godzin na słońcu. Pracował na barce od dwudziestu siedmiu lat. Miał siedemdziesiąt pięć lat, dawno mógł przejść na emeryturę, ale zamierzał pracować, dopóki firma zajmująca się bagrowaniem będzie go trzymała. Nie wyobrażał sobie siedzenia w domu nad układankami. Przyjrzał się uważnie stojącemu obok niego mężczyźnie - wydawał się nieco starszy.

- I co pan myśli? - zapytał.

Mężczyzna się odwrócił, wysoki i wciąż szczupły, choć blisko osiemdziesięcioletni. Miał siwą czuprynę, ogorzałą twarz i cerę jak koźla skóra. W zadumie popatrzył na lokomotywę błyszczącymi niebieskimi oczami o lawendowym odcieniu; wciąż dobrze widział bez okularów. Jego sumiaste siwe wąsy wyglądały, jakby zapuścił je wiele lat temu. Pasowały barwą do brwi, które z wiekiem stały się krzaczaste. Uniósł drogą panamę z głowy i osuszył czoło chusteczką.

Podszedł do wydobytej lokomotywy, stojącej teraz pewnie na pokładzie, i skupił uwagę na kabinie. Woda i błoto ściekały po drabinkach i rozlewały się po pokładzie barki.

- Nawet brudna - powiedział w końcu - wciąż cieszy oko. Jakieś muzeum kolejnictwa na pewno zdobędzie fundusze, żeby ją odrestaurować i wystawić jako eksponat. To tylko kwestia czasu.

- Szczęście, że tutejszy rybak zgubił silnik zaburtowy i ciągnął dragę

po dnie, bo inaczej ten parowóz mógłby tkwić w jeziorze następne pół wieku.

- Tak, to uśmiech losu - przyznał powoli siwy mężczyzna. Kaufman przesunął dłonią po jednym z dużych kół napędu wych. Ckliwość pojawiła się na jego twarzy.

- Mój ojciec był maszynistą w Union Pacific - odezwał się cicho. - Zawsze mówił, że lokomotywa Pacific jest najlepsza ze wszystkich, jakie prowadził. Pozwalał mi siedzieć w kabinie, kiedy wjeżdżał pociągiem do depo. Pacificów używano głównie do wagonów osobowych, bo były szybkie.

Nurkowie w skafandrach z grubego płótna pomiędzy warstwami gumy stali na platformie wyciąganej spod powierzchni zimnej wody. Mieli mosiężne hełmy Mark V, wielkie pasy balastowe wokół piersi i buty z wierzchami z grubego płótna, noskami z mosiądzu i podeszwami z ołowiu, ważące ponad szesnaście kilogramów. Ich cały ekwipunek ważył sześćdziesiąt osiem kilogramów. Szarpnęli węże powietrzne prowadzące do pompy na powierzchni, kiedy platforma została podniesiona i przeniesiona na pokład. Ledwo znaleźli się na barce, następna ekipa zeszła po drabinach i stanęła na platformie, którą opuszczono do jeziora, wciąż lodowatego po długiej zimie w Montanie.

Wysoki mężczyzna obserwował wszystko w milczeniu. Wyróżniał się wśród załogi barki w poplamionych smarem roboczych ubraniach i kombinezonach. Był w starannie uprasowanych luźnych brązowych spodniach i drogim kaszmirowym swetrze pod kaszmirową marynarką. O dziwo, udawało mu się nie ubrudzić wypolerowanych na wysoki połysk półbutów na zaolejonym pokładzie, gdzie walały się rdzewiejące liny.

Przyjrzał się grubej warstwie mułu na stopniach do kabiny i odwrócił się do Kaufmana.

- Przystawmy drabinę, żebyśmy mogli się wspiąć do środka.

Kaufman wydał rozkaz członkowi załogi. Drabinę wkrótce przyniesiono i oparto o krawędź podłogi za siedzeniem maszynisty. Nadzorca wszedł na górę pierwszy, starszy obserwator za nim. Woda ciekła z dachu, rozpuszczony węgiel mieszał się z mułem wypływającym przez otwarte drzwi paleniska na metalową podłogę.

Kabina w pierwszej chwili wydawała się pusta. Gąszcz zaworów, rur i dźwigni zamontowanych na kotle był pokryty szlamem, z którego wyrastały wodorosty. Na podłodze zalegał muł po kostki, ale wysoki cichy obserwator jakby nie zauważał, że błoto wlewa mu się do butów. Przyklęknął i przyjrzał się trzem niewielkim pagórkom szlamu.

- Maszynista i palacz - oznajmił.

- Jest pan pewien?

Przytaknął.

- Maszynista nazywał się Leigh Hunt. Miał żonę i dwoje dzieci, oboje są teraz w średnim wieku. Palacz to Robert Carr. Zamierzał się ożenić po powrocie z tego kursu.

- Kto im towarzyszył?

- Niejaki Abner Weed. Twardy gość. Zmusił Hunta i Carra do obsługi parowozu, celując pistoletem w ich plecy.

- Nie wyglądają zbyt pięknie - mruknął Kaufman, patrząc na

odpychające szczątki. - Zaskakujące, że nie zostały z nich same szkielety.

- Nic by z nich nie zostało w słonej wodzie, ale w słodkiej i zimnej się przechowali. Widać tu tkankę tłuszczową, która po jakimś czasie rozkłada się w wodzie i nadaje ciału mydlany, woskowy wygląd. To się nazywa saponifikacja.
- Będziemy musieli wezwać szeryfa i sprowadzić koronera.
- Czy to opóźni operację? - spytał obcy.

Kaufman pokręcił głową.

- Nie powinno spowolnić naszych działań. Jak tylko druga zmiana nurków przymocuje liny, wydobędziemy tender.
- Najważniejsze, żebym zobaczył, co jest w wagonie.
- Zobacz pan. - Kaufman spojrział na mężczyznę, daremnie próbując odgadnąć jego myśli. - Najpierw wyciągniemy tender, żeby ułatwić sobie zadanie. Jeśli zajmiemy się wagonem, zanim zostanie odczepiony od tendra, może się to fatalnie skończyć. Nie musi okazać się taki ciężki jak lokomotywa, ale jeśli nie będziemy bardzo ostrożni, może się rozpaść na kawałki. To dużo ryzykowniejsza operacja. Poza tym przód wagonu bagażowego jest do połowy zagrzebany pod tendrem.
- To nie jest wagon bagażowy, tylko towarowy.
- Skąd pan wie? Obserwator

zignorował pytanie.

- Wydobądźcie najpierw tender. Pan tu rządzi.

Kaufman popatrzył na odrażające ludzkie szczątki.

- Skąd one się tu wzięły? Jak pociąg mógł zagiąć na środku jeziora na tyle lat?

Wysoki mężczyzna powiódł wzrokiem po spokojnej niebieskiej wodzie.

- Czterdzieści cztery lata temu kursował tutaj prom, który przewoził wagony kolejowe z tarcicą.

- To dziwne - odrzekł wolno Kaufman. - Gazety i linia Southern Pacific podawały, że pociąg skradziono. O ile pamiętam, dwudziestego pierwszego kwietnia 1906 roku.

Stary człowiek się uśmiechnął.

- Próba zatuszowania faktów przez firmę. Pociągu nie ukradziono. Dyspozytor linii kolejowej został przekupiony, żeby wynajął parowóz.

- W wagonie towarowym musiało być coś cennego, za co warto zabić - powiedział Kaufman. - Na przykład transport złota.

Mężczyzna przytaknął.

- Krążyły pogłoski, że pociąg wiozł złoto. Ale w rzeczywistości to była gotówka.

- Pociąg zagiął na czterdzieści cztery lata, to kawał czasu - stwierdził z namysłem Kaufman. - Może pieniądze ciągle są w wagonie.

- Być może - odparł wysoki mężczyzna i spojrzał w kierunku

horyzontu na coś, co tylko on zauważył. - Może znajdziemy odpowiedzi, kiedy wejdziemy do środka.

Bandyta nazywany Rzeźnikiem

10 czerwca 1906 Bisbee, Arizona

Stary pijany włóczęga szedł wolno chwiejnym krokiem przez Moon Avenue w Bisbee. Tamtego popołudnia każdy wziąłby go za człowieka, który się przedwcześnie zestarzał, pracując w kopalniach wśród bogatych w minerały gór pod miastem. Cuchnął, miał brudną koszulę, urwaną szelkę i podarte spodnie wepchnięte w znoszone długie buty, które dawno powinien wrzucić do dołu ze śmieciami za Bisbee.

Potargane tłuste włosy sięgały mu do ramion i plątały się z nie-strzyżoną brodą zakrywającą połowę piersi nad wystającym brzuchem. Piwne oczy bez wyrazu były tak ciemne, że prawie czarne i wydawały się zimne, niemal groźne. Robocze rękawice chroniły dłonie, które nigdy nie trzymały łopaty ani kilofa.

Pod pachą niósł stary, pusty jutowy worek. Na brudnym materiale widniał niemal komiczny napis „Pasze i Zboża, Przedsiębiorstwo Douglas, Omaha, Nebraska”.

Starzec usiadł na ławce u zbiegu Moon Avenue i Tombstone Canyon Road. Za nim był saloon, prawie pusty w środku dnia, bo o tej porze stali bywalcy ciężko pracowali w kopalniach. Przechodnie robiący zakupy w małym górniczym mieście rzucali mu szybkie, zniesmaczone spojrzenia. Kiedy go mijali, wyciągał butelkę whisky z kieszeni spodni, pił łapczywie, zatykał ją z powrotem i chował. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że to nie whisky, lecz herbata.

17

2 - Pościg

Było ciepło, jak na czerwiec; przypuszczał, że ponad trzydzieści pięć stopni. Oparł się wygodnie i popatrzył w obie strony, gdy ulicą przejeżdżał tramwaj zaprzężony w starego konia. Elektryczne tramwaje jeszcze nie dotarły do Bisbee. Mieszkańcy najczęściej jeździli wozami konnymi i bryczkami. W mieście była tylko garstka samochodów osobowych i ciężarowych, ale żadnego w

pobliżu.

Mężczyzna dowiedział się, że miasto zostało założone w 1880 roku i jego nazwa pochodzi od nazwiska sędziego DeWitt Bisbee, jednego z finansistów i właścicieli kopalni miedzi Queen.

Dwadzieścia tysięcy mieszkańców czyniło z Bisbee największe miasto między San Francisco a St Louis. Chociaż w skromnych, małych drewnianych domach mieszkało wiele górniczych rodzin, największe dochody przynosiły knajpy i prostytutka.

Głowa opadła mu na pierś; wyglądał jak pijak, który drzemie. Ale tylko udawał. Był świadomy wszystkiego, co działo się wokół niego. Od czasu do czasu zerkał na Bisbee National Bank po drugiej stronie ulicy. Obserwował z zainteresowaniem spod na wpół-opuszczonych powiek, jak ciężarówka z napędem łańcuchowym i kołami na gumowych masywach podjeżdża z hałasem do banku. Wsiadł z niej tylko jeden strażnik i wniósł do środka duży worek nowo wydrukowanych banknotów. Kilka minut później, z pomocą kasjera, załadował na ciężarówkę ciężki kufer.

Mężczyzna wiedział, że to część osiemdziesięciopięcioletniego urobku złota z miejscowych kopalń. Ale złoto go nie interesowało. Było zbyt ciężkie i upłynienie go stanowiło zbyt duże ryzyko dla jednego człowieka. To gotówka sprowadziła go do Bisbee, nie drogocenny kruszec.

Przyglądał się, jak ciężarówka odjeżdża i dwóch mężczyzn, w których rozpoznał strażników z wielkiej spółki górniczej Phelps Dodge, wychodzi z banku. Dostarczyli gotówkę na wypłaty dla górników następnego dnia. Uśmiechnął się pod nosem na myśl, że zasoby banku znacznie wzrosły.

Obserwował ludzi wchodzących do banku i wychodzących z niego przez prawie dwa tygodnie i już ich rozpoznawał. Pamiętał

też pory ich wizyt. Zadowolony, że w banku są teraz tylko kasjer i właściciel, spojrzął na zegarek i skinął głową.

Stary włóczęga podniósł się leniwie, przeciągnął i powlókł przez ceglana jezdnię i szyny tramwajowe do banku, niosąc duży, pusty jutowy worek na ramieniu. Już miał przestąpić próg, gdy niespodziewanie wyprzedziła go jakaś kobieta. Posłała mu niechętne spojrzenie i weszła do środka. Nie było jej w jego planie, ale postanowił załatwić sprawę, zamiast czekać. Rozejrzał się po ulicy i podążył za nią.

Zamknął drzwi banku. Kasjer był w skarbcu i kobieta czekała, aż znów się zjawi. Włóczęga wyciągnął z buta pistolet samopowtarzalny Colt 1902 kaliber 9 milimetrów, zdzielił kobietę lufą w kark i popatrzył obojętnie, jak osuwa się wolno na drewnianą podłogę. Stało się to tak szybko i cicho, że właściciel banku niczego nie zauważył ani nie usłyszał ze swojego gabinetu.

Pijany górnik przeistoczył się nagle w bandytę. Przeskoczył zwinnie przez kontuar, wkroczył do gabinetu właściciela i przystawił mu lufę do głowy.

- Jeśli stawisz opór, zginiesz - ostrzegł cichym, ale groźnym tonem. - Wezwij kasjera.

Łysy, gruby, zszokowany właściciel banku patrzył na niego wytrzeszczonymi ze strachu piwnymi oczami.

- Roy, chodź tutaj! - zawołał.

- Już idę, panie Castle! - odskrzyknął Roy z wnętrza skarbca.

- Każ mu zostawić skarbiec otwarty - powiedział spokojnie napastnik z ostrą nutą w głosie.

- Roy, nie zamykaj drzwi skarbca - polecił Castle, zezując w górę na broń przyciśniętą do jego czoła.

Roy wyszedł ze skarbca z księgą pod pachą. Nie mógł zobaczyć nieprzytomnej kobiety leżącej pod kontuarem. Niczego nie podejrzewając, wszedł do gabinetu Castle'a i zastygł na widok mężczyzny trzymającego broń przy głowie jego szefa. Złodziej cofnął lufę od czoła Castle'a i wskazał nią skarbiec.

- Obaj do środka - rozkazał beznamiętnie.

Mężczyźni ani myśleli stawiać opór. Castle wstał zza biurka i wszedł pierwszy do skarbca, bandyta zaś zbliżył się szybko do okna i wyrzwał na ulicę, żeby sprawdzić, czy nikt nie idzie do banku. Zobaczył tylko kilka kobiet na zakupach i przejeżdżający wóz z piwem.

Wnętrze skarbca jasno oświetlała wisząca pod stalowym sufitem mosiężna lampa z wynalezioną przez Edisona żarówką. Z wyjątkiem kufra ze złotem, stopy banknotów, głównie na wypłaty dla firm górniczych, zapełniały półki. Rzucił jutowy worek kasjerowi.

- Okej, Roy, włóż do środka całą gotówkę, j aką macie.

Roy zrobił, co mu kazano. Drżącymi rękami zaczął zgarniać stopy banknotów o różnych nominałach do worka. Kiedy skończył, worek napęczniał jak wypełniona po brzegi torba z praniem.

- Teraz połóżcie się na podłodze - rozkazał złodziej.

Castle i Roy, przekonani, że tamten zaraz ucieknie, rozciągnęli się plackiem na podłodze z rękami na głowach. Bandyta wyciągnął z kieszeni gruby wełniany szalik i owinał nim wylot lufy pistoletu.

Potem wypalił po kolei obu mężczyznom w potylicę. Słysząc było raczej dwa głuche odgłosy niż huk wystrzałów. Bez sekundy wahania zarzucił worek na ramię i wyszedł ze skarbcza, nie oglądając się za siebie.

Niestety, jeszcze nie skończył. Kobieta pod ladą jęknęła i spróbowała się podnieść na łokciach. Z całkowitą obojętnością schylił się, opuścił broń i wpakował jej kulę w głowę, tak jak właścicielowi banku i kasjerowi. Żadnych wyrzutów sumienia, ani śladu emocji. Nie obchodziło go, czy któraś z ofiar pozostawiła rodzinę. Zamordował trzy bezbronne osoby z zimną krwią tak beznamiętnie, jakby rozdeptywał mrówki.

Poszukał jednej z łusek, bo wydawało mu się, że słyszał, jak wypadła z szalika owiniętego wokół broni, ale jej nie znalazł. Dał sobie spokój i wyszedł niedbałym krokiem z banku. Stwierdził z zadowoleniem, że nikt nie zwrócił uwagi na przytłumione strzały.

Z wypchanym gotówką workiem na ramieniu skręcił w zaułek za bankiem. Wszedł do niewielkiej wnęki pod schodami, gdzie nikt nie mógł go zobaczyć, zdjął brudne ubranie, ściągnął siwą perukę, usunął długą brodę i schował wszystko do małego sakwojażu. Włożył drogi garnitur szyty na miarę i nasadził zawadiacko melonik na starannie uczesane rude włosy. Zawiązał krawat i wrzucił do sakwojażu znoszone buty. Był niski, ich podeszwy i obcasy dodawały mu prawie pięć centymetrów. Wsunął stopy w angielskie skórzane półbuty z flekami, żeby wyglądać na wyższego, po czym skupił uwagę na dużej skórzanej walizce, którą ukrył pod brezentową plandeką wraz z motocyklem Harley-Davidson. Rozglądając się co chwilę, przeładował gotówkę z jutowego worka do walizki i przypasał ją do bagażnika nad tylnym kołem motocykla. Sakwojaż z przebraniem przywiązał z przodu.

Wtedy usłyszał krzyki dochodzące z Tombstone Canyon Road. Ktoś odkrył zwłoki w banku. Mężczyzna spokojnie popchnął motocykl naprzód i uruchomił jednocylindrowy silnik o pojemności czterystu centymetrów sześciennych i mocy trzech koni mechanicznych. Przerzucił nogę przez siodełko i pojechał pustymi bocznymi uliczkami na stację kolejową. Niezauważony, skierował się wzdłuż bocznic, gdzie pociąg towarowy zatrzymał się, żeby nabrać wody.

Idealnie wyliczył czas.

Za pięć minut pociąg miał wrócić na główny tor i ruszyć dalej do Tucson. Niewidoczny dla maszynisty i hamulcowego zajętych opuszczaniem dużej rury z drewnianego zbiornika do tendra, żeby zaczerpnąć wody do wytwarzania pary, wyjął klucz z kieszonki kamizelki i otworzył kłódkę na drzwiach wagonu towarowego z napisem „Firma Meblarska O’Brian, Denver”. Odsunął drzwi na rolkach. Obecność tego wagonu w tym czasie i miejscu nie była przypadkowa. Udając przedstawiciela nieistniejącej firmy, mężczyzna zapłacił za włączenie wagonu do składu, który przejeżdżał przez Bisbee w drodze z El Paso w Teksasie do Tucson w Arizonie.

Wziął szeroką deskę przymocowaną do boku wagonu i wykorzystał ją jako pochylnię, żeby wjechać harleyem do środka. Potem szybko zamknął drzwi i sięgnął przez klapkę na zawiasach do skobla, by

go ulokować z powrotem na miejscu. Rozległ się gwizdek parowozu i pociąg ruszył z bocznicy na główny tor.

Z zewnątrz wagon wyglądał jak każdy inny używany od kilku lat. Farba wyblakła, na drewnianych bokach widniały rysy i zadrapania. Ale to kamuflaż. Nawet skobel na drzwiach był atrapą sugerującą, że wagon jest zaryglowany. Jednak największa niespodzianka kryła się w środku. Zamiast pustej przestrzeni lub ładunku mebli znajdowała się tam luksusowa salonka urządzona z takim przepychem, że nie powstydziliby się jej prezes kolei. Ściany i sufit pokrywała mahoniowa boazeria, na podłodze leżał gruby dywan. Wystrój i meble były zbyt dobre, wewnątrz składało się z okazałego salonu, wspaniałej sypialni i kuchni z najnowszym wyposażeniem do przyrządzania smakowitych posiłków.

Nie było służących, stewardów ani kucharzy.

Mężczyzna działał sam, bez współników, którzy mogliby ujawnić jego prawdziwą tożsamość i zawód. Nikt nie wiedział, że rabuje banki i dokonuje seryjnych zabójstw. Nawet wagon został zbudowany i wyposażony w Kanadzie, a potem potajemnie przetransportowany przez granicę do Stanów Zjednoczonych.

Bandyta rozsiadł się na miękkiej skórzanej kanapie, odkorkował schłodzoną w wiaderku z lodem butelkę bordeaux Chateau La Houringue rocznik 1884 i nalał sobie kieliszek.

Wiedział, że tutejszy szeryf szybko zorganizuje oddział pościgowy. Ale będą szukali starego obszarpanego górnika, który zamordował po pijanemu. Oddział się rozdzieli i przeczesze miasto w przekonaniu, że sprawca jest zbyt ubogi, by posiadać konia. Nikt z mieszkańców nie widział go nigdy w siodle ani bryczce.

Bardzo z siebie zadowolony, wypił mały łyk wina z kryształowego kieliszka i popatrzył uważnie na skórzaną walizkę. To jego piętnasty czy szesnasty udany rabunek? Nigdy nie wracał myślami do tego, że zabił trzydzieści osiem dorosłych osób i dwoje dzieci. Dzisiejszy łup oceniał na trzysta dwadzieścia pięć do trzystu trzydziestu tysięcy dolarów. Większość złodziei nie zgadłaby nawet w przybliżeniu, ile jest w walizce.

Ale jemu przyszło to łatwo, bo sam był bankierem.

Szeryf, jego zastępcy i złożony z ochotników oddział pościgowy nigdy nie znajdą mordującego złodzieja. Rozpłynął się w powietrzu. Nikomu nie przyszło do głowy, by powiązać go z eleganckim mężczyzną jadącym przez miasto na motocyklu.

Ohydna zbrodnia stanie się jedną z najdłuższych niewyjaśnionych tajemnic Bisbee.

- [2](#)
- [3](#)
- [6](#)
- [7](#)
- [8](#)
- [9](#)
- [10](#)
- [12](#)
- [13](#)
- [14](#)
- [16](#)
- [17](#)
- [18](#)
- [22](#)
- [23](#)
- [24](#)
- [25](#)
- [26](#)
- [27](#)
- [28](#)
- [30](#)
- [31](#)
- [32](#)
- [35](#)
- [36](#)
- [37](#)
- [38](#)
- [39](#)
- [40](#)
- [42](#)
- [43](#)

- [44](#)
- [45](#)
- [46](#)
- [47](#)
- [48](#)
- [49](#)
- [50](#)

15 września 1906 Rzeką Mississippi poniżej Hannibal w Missouri

Na początku XX wieku ruch parowców na Mississippi zaczął zamierać. Bardzo niewiele takich statków pasażerskich nadal kursowało. „Saint Peter” był jednym z ostatnich, które jeszcze wytrzymywały konkurencję kolei, i stanowił wspaniały przykład klasycznej elegancji. Miał siedemdziesiąt sześć metrów długości i dwadzieścia trzy szerokości, boczne zakręcone schody, wygodne kabiny pasażerskie i okazałą główną jadalnię z najlepszym jedzeniem, jakie gdziekolwiek podawano. Panie korzystały z urządzonych z przepychem salonów, panowie palili cygara i grali w karty w pięknych salach ozdobionych lustrami i obrazami.

Przemierzające rzekę parostatki słynęły z tego, że na ich pokładach w grach hazardowych uczestniczyli szulerzy. Wielu pasażerów schodziło na ląd uboższych niż wówczas, gdy wstępowali na pokład. Przy jednym z karcianych stołów w sali gier „Saint Petera”, w cichym kącie z dala od innych gości, dwaj mężczyźni grali w otwartego pokera.

Na pierwszy rzut oka niczym nie różnili się od innych graczy w sali, ale uważny obserwator szybko by dostrzegł, że na zielonym suknie brakuje żetonów.

Joseph Van Dorn popatrzył spokojnie na karty i wyłożył dwie.

- Dobrze, że nie gramy na pieniądze - powiedział z uśmiechem - bo byłbym panu winien osiem tysięcy dolarów.

Pułkownik Henry Danzler, dyrektor Departamentu Kryminalnego Stanów Zjednoczonych, odwzajemnił uśmiech.

- Gdyby pan oszukiwał tak jak ja, bylibyśmy na równo.

Van Dorn był sympatycznym mężczyzną po czterdziestce z wielkimi rudymi bokobrodami o tym samym odcieniu, co resztki włosów wokół jego łysej czaszki. Miał orli nos i piwne oczy o smutnym i melancholijnym spojrzeniu, ale jego powierzchowność i zachowanie niejednego zmyliły.

Pochodził z Irlandii i cieszył się w całym kraju szacunkiem i zasłużoną sławą nieustępliwego tropiciela morderców, złodziei i innych desperatów. Członkowie przestępczego podziemia wiedzieli, że będzie ich ścigał do upadłego. Założyciel i szef znanej Agencji Detektywistycznej Van Dorn, wraz ze swoimi agentami, zapobiegał zabójstwom politycznym, łapał najgroźniejszych bandytów na Zachodzie i pomagał organizować pierwszą tajną służbę w kraju.

- Rozdałby pan sobie więcej asów niż mnie - odrzekł przy jaźnie.

Zwalisty Danzler ważył prawie sto czterdzieści kilogramów, ale potrafił się poruszać ze zwinnością tygrysa. Miał starannie ostrzyżone i uczesane szpakowate włosy, które lśniły w świetle wpadającym przez duże okna statku. Mimo łagodności jego nie-bieskozielone oczy zdawały się analizować i rejestrować wszystko, co się wokół niego działo.

Weteran i bohater wojny hiszpańsko-amerykańskiej szturmował wzgórze San Juan z kapitanem Johnem Pershingiem i jego czarnymi „Buffalo Soldiers” z Dziesiątego Pułku Kawalerii. Zasłużył się na Filipinach, gdzie walczył z Moro. Kiedy Kongres zatwierdził powołanie Departamentu Kryminalnego, prezydent Roosevelt zaproponował mu, by został pierwszym dyrektorem nowej instytucji.

Danzler otworzył przednią klapkę dużego zegarka kieszonkowego i spojrzał na wskazówki.

- Pański człowiek jest spóźniony pięć minut.

- Isaac Bell to mój najlepszy agent. Zawsze zjawia się na czas. Jeśli się spóźnia, to z ważnego powodu.

- Mówi pan, że to on schwytał zamachowca Ramosa Kelly'ego, zanim tamten zdążył strzelić do prezydenta Roosevelta?

Van Dorn przytaknął.

- I otoczył gang Bartona w Missouri. Zabił trzech z nich, za nim dwaj inni się poddali.

Danzler popatrzył na sławnego detektywa.

- I uważa pan, że zatrzyma naszego seryjnego zabójcę rabującego banki?
- Jeśli ktoś może tego dokonać, to właśnie Isaac.
- Z jakiej rodziny pochodzi?
- Bardzo bogatej - odrzekł Van Dorn. - Jego ojciec i dziadek byli bankierami. Słyszał pan o bostońskim American States Bank?

Danzler skinął głową.

- Owszem. Mam tam konto.
- Isaac jest bardzo zamożny. Dziadek zostawił mu w spadku pięć milionów dolarów. Spodziewał się, że pewnego dnia wnuk zastąpi go na stanowisku szefa banku. Tak się nie stało. Isaac wolał pracę detektywa. Szczęściarz ze mnie, że go mam.

Danzler dostrzegł cień na swoim ramieniu. Podniósł wzrok i napotkał łagodne spojrzenie niebieskich oczu o lekko fioletowym odcieniu, które zdawały się widzieć, co jest za horyzontem. Niemal hipnotyzujące, jakby odczytywały jego najskrytsze myśli.

Danzler potrafił ocenić człowieka tak dokładnie jak konia. Nieznajomy był wysoki i szczupły, miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył nie więcej niż osiemdziesiąt kilogramów. Wąsy zasłaniające całą górną wargę pasowały do gęstej, starannie ostrzyżonej blond czupryny. Długie i zwinne ręce zwisały luźno, niemal niedbale. Pułkownik odniósł wrażenie, że ów mężczyzna zajmuje się tym, co istotne i nie znosi głupców, pozerów ani udawanej szczerości. Jego podbródek i usta

wyrażały zdecydowanie, wargi rozciągały się w przyjaznym uśmiechu. Danzler zgadywał, że przybysz ma około trzydziestu lat.

Był ubrany w nieskazitelnie biały lniany garnitur bez jednego zagniecenia. Gruby złoty łańcuszek biegł z lewej kieszonki kamizelki do dużego złotego zegarka w prawej. Niski kapelusz z szerokim rondem miał prosto nałożony na głowę. Danzler zaszufładkowałby go jako dandysa, ale do wizerunku eleganta nie przystawały znoszone skórzane buty z cholewami, które najwyraźniej często tkwiły w strzemionach. Bell postawił mały sakwojaż obok stołu.

- Pułkowniku, to jest człowiek, o którym panu mówiłem - po wiedział Van Dorn. - Isaac Bell.

Danzler wyciągnął rękę, ale nie wstał z krzesła.

- Joe twierdzi, że pan zawsze zjawia się na czas.

Bell uśmiechnął się lekko.

- Obawiam się, że pan Van Dorn przesadza. Przybyłem dzie sięć minut za późno, kiedy trzy lata temu Butch Cassidy i Henry Longabaugh odpływali z Nowego Jorku do Argentyny. Ich statek odbił od brzegu, zanim zdążyłem ich zatrzymać.

- Ilu agentów albo policjantów miał pan ze sobą? Bell

wzruszył ramionami.

- Zamierzałem to załatwić sam.

- Czy Longabaugh to nie był Sundance Kid? - zapytał Dan zler.

Bell przytaknął.

- Zyskał to przezwisko, gdy próbował ukraść jakiegoś konia w Sundance w Wyoming. Złapano go i spędził półtora roku w więzieniu.

- Chyba nie liczył pan na to, że poddadzą się bez walki?

- Spodziewałem się, że będą stawiali opór - odparł Bell bez wyjaśnienia, jak chciał w pojedynkę aresztować byłych członków niesławnej Dzikiej Bandy.

Van Dorn oparł się wygodnie, nie skomentował tego i spojrzał na pułkownika bardzo z siebie zadowolony.

- Niech pan siada, panie Bell. Zagra pan z nami?

Bell popatrzył ze zdziwieniem na pusty stół, potem na Danzlera.

- Nie widzę sztonów.

- To tylko przyjacielska partyjka - wyjaśnił Van Dorn, potasował karty i rozdał dla trzech. - Jak dotąd jestem winien pułkownikowi osiem tysięcy dolarów.

Bell usiadł, zdziwioną minę zastąpiło zrozumienie. Gra była pozorowana. Jego szef i pułkownik siedzieli w rogu, z dala od innych hazardzistów, i grali na niby. Położył kapelusz na kolanach, wziął swoje karty i udał głęboko zamyślonego.

- Jest panu znana seria napadów na banki i zabójstw, które zdarzyły się w zachodnich stanach w ostatnich dwóch latach? -zagadnął Danzler.

- Tylko ze słyszenia - odrzekł Bell. - Pan Van Dorn stale przydziela mi inne sprawy.

- Co pan wie o tych zbrodniach?

- Jedynie to, że sprawca morduje wszystkich obecnych w banku podczas napadu, znika jak zjawą i nie zostawia żadnych dowodów, które mogłyby go obciążać.

- Coś jeszcze? - drążył Danzler.

- Kimkolwiek jest - kontynuował Bell - jest naprawdę bardzo dobry. Nie ma żadnych tropów ani przełomów w śledztwie. - Zamilkł i spojrzał na Van Dorna. - To dlatego zostałem tu wezwany?

Van Dorn skinął głową.

- Chcę, żebyś przejął sprawę i pokierował śledztwem.

Bell rzucił na stół kartę, wziął tę, którą rozdał Danzler, i wsunął ją do wachlarza w swojej lewej ręce.

- Jest pan leworęczny, panie Bell? - zapytał pułkownik z ciekawości.

- Nie, praworęczny.

Van Dorn roześmiał się cicho.

- Isaac może wyciągnąć derringera z kapelusza, odwieść ku rek i nacisnąć spust szybciej niż pan mrugnąć.

Danzler nabierał coraz większego szacunku dla Bella. Odchylił marynarkę i odsłonił bezkurkowy pistolet samopowtarzalny Colt 1903 kaliber 9 milimetrów.

- Wierzę Joemu na słowo, choć byłoby ciekawie sprawdzić to...

- urwał, gdy zobaczył przed sobą wyloty dwóch luf derringera.

- Wiek pana spowalnia, Henry - stwierdził Van Dorn. - Albo zamyślił się pan.

- Muszę przyznać, że jest naprawdę szybki - powiedział Danzler, wyraźnie pod wrażeniem.

- Gdzie będę miał bazę? - zwrócił się Bell do Van Dorna, wsunąwszy derringera z powrotem do małej kieszeni w denku kapelusza.

- Zbrodnie popełniano od Placerville w Kalifornii na zachodzie do Terlinguy w Teksasie na wschodzie - wyjaśnił Van Dorn. - I od Bisbee w Arizonie na południu do Bozeman w Montanie na północy. Myślę, że najlepiej będzie ci działać pośrodku.

- Czyli w Denver.

Van Dorn przytaknął.

- Jak wiesz, mamy tam biuro z sześcioma doświadczonymi agentami.

- Pracowałem z dwoma z nich trzy lata temu - przypomniał Bell.

- Z Curtisem i Irvinem. Są dobrzy.

Van Dorn przytaknął.

- Istotnie. Zapomniałem o tym. Mogę dodać, pułkowniku, że Isaac schwytał Jacka Ketchuma,

którego później powieszono za dwa zabójstwa w czasie napadu na pociąg. - Sięgnął pod stół i wziął taki sam sakwojaż, jaki Bell przyniósł ze sobą. Bell wręczył swój, pusty, Van Dornowi. -W środku znajdziesz raporty na temat wszystkich zbrodni. Na razie każdy trop prowadzi w ślepy zaułek.

- Kiedy zaczynam?

- Na następnej przystani, czyli w Clarksville, zejdziesz na ląd i złapiesz pierwszy pociąg do Independence. Tam dostaniesz bilet na ekspres Union Pacific do Denver. Możesz przestudiować zebrane przez nas skąpe materiały. Na miejscu zaczniesz tropić tego parszywego drania. - Błysk gniewu i frustracji pojawił się w piwnych oczach Van Dorna. -Wybacz, że nie dałem ci czasu na spakowanie się przed opuszczeniem Chicago, ale chciałem, żebyś zaczął jak najszybciej.

Bell uśmiechnął się lekko.

- Nic się nie stało. Na szczęście spakowałem wcześniej dwie walizki.

Van Dorn uniósł brwi.

- Wiedziałeś?

- Domyśliłem się.

- Niech pan nas informuje na bieżąco o swoich poszukiwaniach

- poprosił Danzler. - Gdyby pan potrzebował jakiegokolwiek pomocy ze strony rządu, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby to załatwić.

- Dziękuję - odrzekł Bell. - Dam znać, jak tylko zorientuję się w sytuacji.

- Będę pracował w naszym chicagowskim biurze - dodał Van Dorn. - Ponieważ linii telefonicznej nie pociągnięto jeszcze z St Louis przez prerię do Denver i dalej do Kalifornii, będziesz musiał zawiadamiać mnie o postępach telegraficznie.

- Jeśli jakieś będą - mruknął sarkastycznie Danzler. - Zmierzy się pan z najtęższym przestępczym umysłem w historii tego kraju.

- Obiecuję, że nie spocznę, dopóki nie schwytam sprawcy tych ohydnych zbrodni.

- Życzę ci powodzenia - powiedział szczerze Van Dorn.

- Nie żebym chciał zmienić temat - odezwał się Danzler i z zadowoleniem położył swoje karty na

zielonym suknie - ale mam trzy damy.

Van Dorn wzruszył ramionami i rzucił swoje karty na stół.

- Przegrałem.

- A pan, panie Bell? - zapytał pułkownik z chytrym uśmiechem.

Isaac Bell wolno wyłożył swoje karty, jedną po drugiej.

- Poker - oznajmił.

Potem wstał bez słowa i wyszedł energicznym krokiem z sali gier.

Późnym rankiem mężczyzna na starym wozie zaprzężonym w parę mułów mijał cmentarz pod miastem Rhyolite w Nevadzie. Groby otoczone były prostymi drewnianymi płótkami, nazwiska zmarłych zostały wyryte na drewnianych tabliczkach. W wielu mogiłach spoczywały dzieci, które zmarły na tyfus lub cholereę z powodu trudnych warunków życia w górniczym mieście.

Lipcowy upał na pustyni Mojave i palące promienie słońca były nie do wytrzymania. Woźnica siedział pod podartym parasolem przymocowanym do kozła. Czarne włosy opadały mu na kark tuż powyżej ramion. Jego głowę chroniło poplamione meksykańskie sombrero, niewidoczne oczy patrzyły przez zabarwione na niebiesko okulary. Dolną połowę twarzy zasłaniała chustka, by do nosa i ust nie dostawał się kurz wzbijany przez muły. Garbił się, więc trudno było określić jego posturę.

Przyglądał się z zainteresowaniem domowi zbudowanemu przez jakiegoś górnika z tysięcy butelek po piwie. Tkwiły w glinie denkami na zewnątrz i otworami do środka, zielone szkło sprawiało, że wewnątrz tonęło w upiornym blasku.

Dotarł do toru kolejowego i poprowadził muły drogą wzdłuż szyn. Ich górne krawędzie lśniły jak dwa wąskie lustra w oślepiającym słońcu. Linia Las Vegas & Tonopah Railroad biegła przez środek mieszkalnej części miasta.

Wóz toczył się wolno przy ponad osiemdziesięciu wagonach na bocznicy. Wyładowano je już i teraz napełniano rudą dla hut. Woźnica zerknął na wagon towarowy, który doczepiano do pociągu z trzydziestoma innymi. Na boku widniał napis „Firma Meblarska O’Brian, Denver”. Spojrzał na tarczę taniego zegarka kieszonkowego - nie nosił nic, co mogłoby pomóc w ustaleniu jego tożsamości

- i stwierdził, że pociąg do Las Vegas odjeżdża za czterdzieści cztery minuty.

Pół kilometra dalej dotarł do stacji kolejowej w Rhyolite. Duży budynek łączył styl gotycki z wczesnohiszpańskim. Ozdobne depo wzniesiono z kamienia sprowadzonego z Las Vegas. Pociąg osobowy z San Francisco stał przy peronie. Pasażerowie już wysiedli, numerowi posprząтали wagony i teraz wchodzili do nich ludzie wybierający się w podróż z powrotem do wybrzeża.

Woźnica dojechał do centrum miasta, gdzie na ulicach panował duży ruch. Odwrócił się, by popatrzeć na wielki sklep z szyldem „HD & LD Porter”. Poniżej wymalowano na drewnianej tablicy nad frontowym wejściem slogan: „Sprzedajemy wszystko prócz whisky”.

Gorączka złota w 1904 roku sprawiła, że w niewielkim mieście postawiono solidne budynki, by przetrwały długi czas. W 1906 roku prosperujące Rhyolite liczyło ponad sześć tysięcy mieszkańców. Szybko przeistoczyło się z tętniącego życiem skupiska namiotów w miasto o dużym znaczeniu z perspektywami na przyszłość.

Najważniejsze budynki wzniesiono z kamienia i betonu, co uczyniło z małej metropolii Rhyolite główne miasto południowej Nevady. W polu widzenia ukazał się elegancki trzypiętrowy bank, którego wygląd świadczył o bogactwie. Pół przecznicy dalej piął się w górę dwupiętrowy kamienny biurowiec.

Urząd pocztowy, opera, szpital z dwudziestoma łózkami, wygodne hotele, dwa kościoły, trzy banki i duża szkoła. Rhyolite mogło się pochwalić siecią telefoniczną i własną elektrownią. Miało też kwitnącą dzielnicę domów publicznych, czterdzieści saloonów i osiem sal tanecznych.

Mężczyzny prowadzącego wóz nie interesowało nic, co mogło zaoferować miasto, z wyjątkiem pewnych aktywów John S. Cook Bank. Wiedział, że w sejfie może być ponad milion dolarów w srebrnych monetach. Ale dużo łatwiej było wynieść gotówkę na wypłaty dla górników. Jeszcze nigdy nie wziął ani jednej sztuki srebra lub złota. Spodziewał się, że skoro osiemdziesiąt pięć spółek prowadzi kopalnie wśród okolicznych wzgórz, łup będzie całkiem pokaźny.

Jak zwykle wszystko starannie zaplanował. Zamieszkał w pensjonacie dla górników i nieraz odwiedził bank Cook, by dokonać małych wpłat na konto, które otworzył na fałszywe nazwisko. Nawiązał znajomość z kierownikiem banku przekonanym, że przybysz jest inżynierem górnictwa. Jego powierzchowność zmieniła czarna peruka, wąsy i kozia bródka. Utykał też, niby na skutek wypadku w kopalni. Przebranie okazało się doskonałe, by poznać zwyczaje klientów banku i pory, kiedy jest w nim najmniejszy ruch.

Ale gdy jechał zaprzężonym w muły wozem przez miasto w kierunku banku, nie wyglądał już jak inżynier górnictwa, lecz jak jeden z wielu zatrudnionych przez kopalnie drobnych przewoźników, którzy usiłowali zarobić na życie w letnim skwarze pustyni. Zatrzymał muły za stajnią. Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, dźwignął manekina ubranego dokładnie tak samo jak on i przywiązał go do kozła. Potem poprowadził wóz z powrotem w stronę Broadwayu, głównej ulicy miasta. Tuż przed betonowym chodnikiem od frontu banku klepnął muły w zady i odesłał je. Pociągnęły wóz ulicą przez główną część miasta, manekin siedział wyprostowany na kozle i trzymał lejce.

Sprawdził, czy żaden klient nie idzie do banku. Nie wyglądało na to, by ktoś z przechodniów kierował się w tamtą stronę. Spojrzał w górę na trzypiętrowy budynek i zerknął na okna na piętrze z namalowaną złotą farbą reklamą dentysty i lekarza. Inny szyld, z ręką wskazującą w dół, informował, że miejski urząd pocztowy mieści się w suterenie.

Wszedł do banku i się rozejrzał. Tylko jeden klient stał przy okienku. Wziął pieniądze od kasjera i wyszedł, nawet nie rzuciwszy okiem na obcego.

Szczęściarz, pomyślał.

Gdyby klient zwrócił na niego uwagę, zostałby zastrzelony. Bandyta nigdy nie zostawiał przy życiu nikogo, kto mógłby podać jakikolwiek szczegół jego wyglądu. Zawsze istniała ewentualność,

aczkolwiek mało prawdopodobna, że ktoś zdoła go zidentyfikować mimo przebrania.

Dowiedział się z rozmów w pobliskich saloonach, że bank należy do spółki posiadającej najwydajniejsze kopalnie w regionie, zwłaszcza Montgomery Shoshone Mine o dochodzie brutto prawie dwa miliony dolarów.

Jak dotąd wszystko idzie dobrze, pomyślał, kiedy przesadził kontuar i wylądował obok zaskoczonego kasjera. Wyciągnął pistolet samopowtarzalny z wysokiego buta i przystawił mu do głowy.

- Nie ruszaj się i nawet nie myśl o alarmie pod kontuarem, bo twój mózg rozprysnie się na ścianie.

Kasjer nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje.

- To naprawdę napad? - wyjąkał.

- Zgadza się. A teraz wejdź bardzo wolno do gabinetu kierownika i zachowuj się jak gdyby nigdy nic.

Przerażony kasjer ruszył do pokoju za zamkniętymi drzwiami z wytrawioną szybą, przez którą niewiele było widać. Zapukał.

- Proszę - dobiegł głos z drugiej strony.

Kiedy Fred otworzył drzwi, został brutalnie wepchnięty do środka, stracił równowagę i poleciał na biuro kierownika. Tabliczka z nazwiskiem Herbert Wilkins spadła z blatu na podłogę. Wilkins szybko zorientował się w sytuacji i sięgnął po rewolwer pod biurkiem. Spóźnił się pięć sekund. Bandyta dowiedział się o broni od samego kierownika, gdy rozmawiał z nim w pobliskim saloonie.

- Nie dotykaj rewolweru - warknął, jakby był jasnowidzem. Wilkins nie należał do ludzi, których łatwo zastraszyć. Uważ nie przyjrzał się bandycie.

- Nie ujdzie ci to na sucho - powiedział pogardliwie.

- Tak było przedtem i będzie teraz - odparł napastnik zimnym, pewnym tonem. Wskazał imponujący prawie dwupółmetrowy sejf. -Otwieraj!

Wilkins spojrzał mu prosto w oczy.

- Ani mi się śni.

Bandyta nie tracił czasu. Owinął wylot lufy grubym ręcznikiem i wypalił kasjerowi między oczy.

Potem odwrócił się do Wilkinsa.

- Mogę stąd wyjść bez złamanego centa, ale ty tego nie dożyjesz.

Wilkins popatrzył ze zgrozą na rosnącą kałużę krwi wokół głowy

Freda. Przeniósł wzrok na dymiącą dziurę po pocisku w ręczniku, dobrze wiedząc, że nikt w budynku nie usłyszał strzału. Jak w transie podszedł do sejfu i zaczął obracać pokrętko, by ustawić kombinację cyfr. Po trzydziestu sekundach pociągnął dźwignię w dół i masywne stalowe drzwi stanęły otworem.

- Bierz to i bądź przeklęty! - wycodził.

Złodziej tylko się uśmiechnął i strzelił mu w skroń. Ledwo mężczyzna upadł na podłogę, tamten podszedł szybko do drzwi frontowych, zatrzasnął je, wywiesił w oknie tabliczkę „Zamknięte” i opuścił zasłony. Potem metodycznie opróżnił sejf ze wszystkich

3 - Pościg

banknotów, wkładając je do torby na pranie, którą miał zawiązaną wokół pasa pod koszulą. Gdy pełny worek pękał w szwach, powpychał pozostałe pieniądze do kieszeni spodni i butów z cholewami. Po wyczyszczeniu sejfu z całej gotówki spojrzął na złote i srebrne monety i wziął jedną złotą na pamiątkę.

Ciężkie żelazne drzwi na tyłach banku wychodziły na wąską ulicę. Otworzył je, uchylił i wyjrzał na zewnątrz. Po drugiej stronie uliczki stały domy mieszkalne.

Grupa chłopców grała w baseball przecnicę od banku. Niedobrze. Tego zupełnie się nie spodziewał. Przed napadem obserwował ulicę wokół banku Cook przez wiele godzin i nigdy nie widział dzieci bawiących się na ulicy za bankiem. Śpieszył się, musiał dotrzeć na stację do swojego wagonu towarowego za dwanaście minut. Zarzucił worek na ramię tak, żeby zasłonić prawą stronę twarzy, i poszedł ulicą. Ominął graczy i dał nura w zaułek.

Większość chłopców nie zwróciła na niego uwagi. Tylko jeden popatrzył na biednie ubranego mężczyznę, który dźwigał duży worek na prawym ramieniu. Chłopca zaintrygowało, że mężczyzna miał na głowie meksykańskie sombrero, rzadko widywane w Rhyolite. Mężczyźni w mieście nosili głównie fedory, meloniki albo czapki górnicze. Chłopiec dostrzegł jeszcze coś... Potem kolega go zawołał i wrócił do gry w samą porę, by zdążyć złapać piłkę.

Złodziej zawiązał worek wokół ramion tak, że wisiał mu na plecach. Rower, który zostawił wcześniej na tyłach gabinetu dentystycznego, był za beczką na deszczówkę, ustawioną pod rynną budynku. Wsiadł i popedałował Armagosa Street obok dzielnicy domów publicznych na stację kolejową.

Hamulcowy szedł wzdłuż toru w kierunku wagonu mieszkalnego dla załogi pociągu na końcu składu. Złodziej nie mógł uwierzyć, że ma takiego pecha. Chociaż wszystko starannie zaplanował, los rozdał mu złe karty. Inaczej niż przy wcześniejszych rozbojach tym razem został zauważony przez głupiego chłopca. A teraz ten hamulcowy. Jeszcze nigdy nie napotkał tylu osób, które mogły być świadkami jego ucieczki. Musiał dokończyć, co zaczął, nie miał innego wyjścia.

Na szczęście hamulcowy nie patrzył w jego stronę. Przechodził od wagonu do wagonu i sprawdzał maźnice. Gdyby w jakiejś brakowało smaru, tarcie doprowadziłoby do niebezpiecznego wzrostu temperatury osi, która mogłaby pęknąć pod ciężarem wagonu i spowodować katastrofę.

Kiedy złodziej przejeżdżał na rowerze obok składu, hamulcowy nie podniósł wzroku. Kontynuował inspekcję, żeby zdążyć przed odjazdem pociągu do Tonopah i dalej do Sacramento.

Maszynista już patrzył na wskaźniki, upewniając się, że ma dość pary, by ruszyć z miejsca ciężki pociąg. Bandyta miał nadzieję, że hamulcowy się nie odwróci i nie zobaczy go wsiadającego do swojego wagonu. Szybko odryglował i odsunął drzwi. Wrzucił rower do środka, wspiął się po drabince do drzwi i wciągnął ciężki worek z pieniędzmi za próg.

Kiedy znalazł się w środku, spojrzął wzdłuż pociągu. Hamulcowy wchodził do wagonu dla załogi. Nic nie wskazywało na to, że został zauważony.

Bezpieczny wewnątrz zamaskowanej salonki odprężył się i zaczął czytać miejscowe wydanie „Heralda”. Zastanawiał się, co nazajutrz napiszą o napadzie na bank i zabójstwie kierownika oraz kasjera. Tak jak wiele razy wcześniej, nie miał żadnych wyrzutów sumienia. Nie zawracał sobie głowy myślami o popełnionej zbrodni.

Później, oprócz tajemnicy, jak złodziej i morderca rozplątał się w powietrzu, pojawiła się inna - wóz znaleziony za miastem na drodze do Bullfrog. Był pusty i powożony przez manekina. Oddział pościgowy nie mógł tego pojąć.

Szeryf Josh Miller skojarzył fakty, ale jego spekulacje zaprowadziły go donikąd. Nic nie miało sensu. Przestępca nie zostawił żadnych śladów.

Rabunek i morderstwa w Rhyolite pozostały jeszcze jedną zagadką.

Na wysokości tysiąca sześciuset dziewięciu metrów w Kolorado letnie słońce zaostrzało kontrastujące barwy. Błękitne, bezchmurne niebo rozciągało się nad miastem Denver jak narzuta. Panowała przyjemna temperatura dwudziestu siedmiu stopni Celsjusza.

Isaac Bell zamknął drzwi swojego przedziału i wysiadł z pociągu. Zszedł z platformy widokowej na

końcu pulmanowskiego wagonu. Przystanął, by spojrzeć na gotycką wieżę zegarową dworca Union Station. Wzniesiona z kamienia sprowadzonego z Gór Skalistych, imponująca dwupiętrowa budowla ciągnęła się na czterysta metrów.

Na wielkim zegarze ze wskazówkami zakończonymi grotami była godzina jedenasta czterdzieści. Bell wyjął duży złoty zegarek z kieszeni kamizelki lnianego garnituru uszytego na miarę i zerknął na tarczę z rzymskimi cyframi. Jego czasomierz wskazywał jedenastą czterdzieści trzy. Uśmiechnął się pod wąsem z satysfakcją, całkowicie pewien, że wielki zegar na wieży późni się trzy minuty.

Poszedł ceglany peronem do wagonu bagażowego, odnalazł swoje kufry i przywołał numerowego.

- Nazywam się Bell. Czy mógłby pan dopilnować, żeby moje rzeczy odesłano do hotelu Brown Palace?

Numerowy uśmiechnął się szeroko, kiedy Bell włożył mu w dłoń złotą monetę, i potarł ją niemal z czcią.

- Tak jest, proszę pana, dostarczę je osobiście.

- Oczekuję też na przyjazd dużej drewnianej skrzyni późniejszym pociągiem. Mogę liczyć, że umieści pan w magazynie towarowym Union Pacific?

- Tak jest, proszę pana, zajmę się tym. - Numerowy nadal uśmiechał się szeroko i pocierał złotą monetę.

- Byłbym wdzięczny.

- Mogę to od pana wziąć? - zapytał numerowy, wskazując głową sakwojaż w ręku Bella.

- Nie, dziękuję, zatrzymam go przy sobie.

- Wezwać panu taksówkę?

- Nie trzeba, pojedę tramwajem.

Bell ruszył przez okazałą poczekalnię z wysokim sufitem, majestatycznie zwisającymi kandelabrami i rzędami dębowych ławek z wysokimi oparciami do głównych drzwi pomiędzy dwiema greckimi kolumnami. Przeciął Wyncoop Street, znalazł się na Siedemnastej ulicy i przeszedł pod nowo wzniesionym Mizpah Arch, łukiem w kształcie bramy z dwiema amerykańskimi flagami na szczycie. Postawiono ją, by witała i żegnała podróżujących. Bell wiedział, że *mizpah* oznacza w starohebrajskim wieżę strażniczą.

Dwie panie w lekkich letnich sukienkach, rękawiczkach i kapeluszach ozdobionych kwiatami przejeżdżały elektrycznym samochodem z napędem akumulatorowym. Bell uchylił kapelusza. Kobiety na uprzejmy gest atrakcyjnego mężczyzny odpowiedziały skinieniem głowy i uśmiechem, ich pojazd toczył się zaś Siedemnastą ulicą w kierunku gmachu zgromadzenia stanowego.

Wozy konne i powozy wciąż były liczniejsze na ulicach miasta niż rzadkie automobile. Wagon Denver Tramway Company wyłonił się zza rogu Wazee Street, zbliżył do końca przecznicy i zatrzymał na przystanku. Tramwaje konne odeszły już w przeszłość, zastąpione przez elektryczne, które kursowały do wszystkich dzielnic Denver.

Bell wspiał się po stopniach i wręczył dziesięć centów motorniczemu. Rozległ się dzwonek i duży czerwony wagon ruszył z hałasem w głąb Siedemnastej ulicy. Dwu- i trzypiętrowe ceglane budynki wypełniały przestrzeń między następnymi czternastoma przecznicami. W ten powszedni dzień na chodnikach roiło się od ludzi. Mężczyźni nosili czarne lub szare garnitury i krawaty, kobiety suknie do kostek. Większość z nich miała na głowach ekstrawaganckie kapelusze, a w rękach parasolki.

Bell patrzył z zainteresowaniem na salon z samochodami marki Cadillac. Markizy ocieniały witryny i umożliwiały mu obserwację aut. Zerknął na nazwę ulicy, by ją zapamiętać. Entuzjasta motoryzacji posiadał samochód wyścigowy locomobile, którym Joe Tracy wystartował w 1905 roku w wyścigu drogowym o Puchar

Vanderbilta na Long Island w Nowym Jorku i zajął trzecie miejsce. Bell przystosował auto do ruchu ulicznego, montując błotniki i reflektory.

Miał również jaskrawoczerwony motocykl. Dwucylindrowy wi-dlasty silnik nowoczesnej maszyny wyścigowej rozwijał moc trzech i pół konia mechanicznego. Do technologicznych nowinek należała rękojeść z pokręteł przepustnicy. Motor ważył tylko pięćdziesiąt cztery kilogramy i osiągał prawie sto kilometrów na godzinę.

Kiedy tramwaj zatrzymał się u zbiegu Siedemnastej i California Street, Bell zszedł ze stopnia na jezdnię i doszedł do chodnika. Minęły trzy lata od jego ostatniej wizyty w Denver. Wysokie budynki stały prawie na każdym rogu i wciąż wznoszono nowe. Pokonał odległość między dwiema przecznicami i dotarł do Colorado Building, siedmiopiętrowego gmachu z brązowego kamienia u zbiegu California Street i Szesnastej.

Wysokie okna osłaniały markizy w kolorze zewnętrznych ścian. Okap powyżej ostatniego piętra sięgał prawie trzech metrów nad chodnikiem daleko w dół. Parter zajmowały firmy Hedgcock & Jones i Braman Clothing Company. Nad nimi mieściło się kilka innych, w tym towarzystwo ubezpieczeniowe Fireman's Fund Insurance Company i Agencja Detektywistyczna Van Dorn.

Bell skręcił do holu i minął grupę pracowników biurowych, którzy wychodzili z budynku w przerwie na lunch. Podłogę, ściany i sufit wyłożono pięknym włoskim marmurem o barwie jadeitu. Wsiadł do

windy marki Otis za dwiema ładnymi młodymi kobietami i przesunął się do tyłu kabiny, kiedy windziarz zamknął stalową kratę. Swoim zwyczajem Bell zachował się jak dżentelmen i zdjął kapelusz z szerokim rondem.

Windziarz obrócił dźwignię na zakrzywionej obudowie mechanizmu sterującego i kabina ruszyła wolno w górę. Kobiety wysiadły na czwartym piętrze, gawędząc wesoło. Obie się odwróciły i posłały Bellowi nieśmiałe spojrzenia, zanim zniknęły w głębi korytarza.

Windziarz zatrzymał kabinę i odsunął kratę.

- Siódme piętro, życzę panu miłego popołudnia - powiedział uprzejmie.

- Wzajemnie - odrzekł Bell.

Wyszedł na korytarz do połowy pokryty orzechową czerwienią, a powyżej farbą w kolorze stonowanej meksykańskiej czerwieni. Skręcił w prawo i doszedł do drzwi z wytrawionym napisem na górze szyby: „Agencja Detektywistyczna Van Dorn”. Slogan poniżej informował: „Nigdy się nie poddajemy, nigdy”.

W pomalowanym na biało sekretariacie stały dwa wyściełane fotele i biurko, za którym młoda kobieta siedziała sztywno na obrotowym krześle. Van Dorn nie marnował pieniędzy na pretensjonalny wystrój. Pomieszczenie zdobiło jedynie zdjęcie szefa wiszące za plecami sekretarki.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się miło na widok eleganckiego mężczyzny. Była ładna, miała piwne oczy i szerokie ramiona.

- Czym mogę służyć?

- Chciałbym się zobaczyć z Arthurem Curtisem i Glennem Irvine'em.

- Jest pan umówiony?

- Proszę ich zawiadomić, że przyszedł Isaac Bell.

Zrobiła wdech.

- Pan Bell. Powinam się domyślić. Panowie Curtis i Irvine spodziewali się pana dopiero jutro.

- Udało mi się złapać wcześniejszy pociąg w Independence w Missouri. - Bell spojrzął na tabliczkę na jej biurku. - Panna Agnes Murphy?

Uniosła lewą rękę, by pokazać obrączkę.

- Pani Murphy.

Bell uśmiechnął się zniewalająco.

- Mam nadzieję, że pozwoli mi pani mówić do siebie po imieniu, bo przez pewien czas będę tu pracował.

- Oczywiście.

Wstała zza biurka. Była ubrana w puszystą białą bluzkę i plisowaną niebieską bawełnianą spódnicę. Włosy miała upięte na czubku głowy w modnym stylu wykreowanym przez rysownika Charlesa Gibsona. Jej halki zaszeleściły, gdy przestępowała próg do pokoi biurowych.

Zawsze ciekawy, Bell okrążył biurko i popatrzył na list, który pani Murphy pisała na maszynie Remington. Był zaadresowany do Van Dorna i wyrażał niezadowolenie kierownika placówki z przyjazdu Bella i przejęcia przez niego niewyjaśnionej sprawy. Bell nie znał osobiście Nicholasa Alexandra zarządzającego biurem w Den-ver, ale postanowił być wobec niego uprzejmy mimo jego niechęci.

Odsunął się od biurka pani Murphy i wyglądał przez okno ponad dachami miasta, kiedy Alexander wszedł do sekretariatu. Przypominał raczej księgowego w zakładzie pogrzebowym niż detektywa, który rozwikłał wiele zagadkowych zbrodni i doprowadził sprawców przed oblicze sprawiedliwości. Sięgał Bellowi do ramienia, miał na sobie za dużą marynarkę i workowate spodnie. Na wysokim wytartym kołnierzyku jego koszuli widniały plamy potu. Był łysy, z wyjątkiem skroni i tyłu głowy, włosy i brwi miał starannie przycięte. Szarozielone oczy o niemal smutnym spojrzeniu patrzyły przez binokle.

Alexander wyciągnął rękę i uśmiechnął się sztucznie.

- Panie Bell, jestem zaszczycony, że mogę poznać najlepszego agenta Van Dorna.

Bell nie dał się nabrać na pozbawiony szczerości komplement.

- To zaszczyt dla mnie, że mogę poznać pana - odparł, choć omal nie ugryzł się w język. Było oczywiste, że Alexander uważa go za intruza na swoim terenie.

- Proszę wejść. Musimy porozmawiać, zanim pokażę panu pański nowy gabinet.

Alexander odwrócił się gwałtownie i wymaszerował sztywno do pokoi biurowych. Pani Murphy

stała z boku i uśmiechała się życzliwie, gdy ją mijali.

Gabinet Alexandra mieścił się w jedynym narożniku z panoramicznym widokiem na góry; inne pokoje były małe i bez okien. Bell zauważył, że nie mają też drzwi i nie zapewniają prawie żadnej prywatności. U Alexandra stały kanapy i fotele obite wołową skórą, na wielkim biurku z osiny nie leżał ani jeden dokument. Chodził w źle dopasowanym i pogniecionym garniturze, ale utrzymywał wzorowy porządek w swoim miejscu pracy.

Usiadł za biurkiem na krześle z wysokim oparciem i wskazał Bellowi niewyściełane drewniane krzesło po drugiej stronie. Bell pomyślał, że Alexandrowi brakuje tylko podwyższenia, żeby mógł patrzeć na podwładnych i gości z góry niczym grecki bóg z Olimpu.

- Nie, dziękuję - odrzekł spokojnie Bell. - Po dwóch dniach w pociągu wolałbym bardziej miękkie siedzenie. - Usadowił się na jednej z kanap.
- Jak pan sobie życzy - powiedział Alexander, niezadowolony z wyniosłej postawy Bella.
- Nie pracował pan tu jeszcze trzy lata temu, kiedy prowadziłem pewne śledztwo.
- Nie, awansowano mnie i przeniesiono z naszego biura w Se-attle pół roku później.
- Pan Van Dorn wyraża się o panu z wielkim uznaniem - skłamał Bell. Van Dorn nawet mu nie wspomniał o Alexandrze.

Alexander splótł ręce na piersi i pochylił się nad rozległą pustą powierzchnią biurka.

- Przypuszczam, że opowiedział panu o naszym zabójcy i jego sposobie działania.
- Nie - zaprzeczył Bell i podniósł sakwojaż. - Ale dał mi kilka raportów, które przeczytałem w pociągu. Teraz rozumiem, dlaczego tego zbrodniarza tak trudno schwytać. Planuje rabunki wyjątkowo starannie i wygląda na to, że stosuje bezbłędne techniki.
- Dlatego unika aresztowania.
- Po przeczytaniu tego materiału myślę, że obsesja na punkcie szczegółów w końcu go zgubi - oznajmił w zamyśleniu Bell.

Alexander popatrzył na niego podejrzliwie.

- Skąd taki wniosek, jeśli wolno spytać?

- Postępuje zbyt perfekcyjnie. Jeden drobny błąd może się okazać jego ostatnim.
- Mam nadzieję, że będziemy ściśle współpracowali - oświadczył Alexander z zawołaną wrogością.
- Oczywiście - przytaknął Bell. - Pan Van Dorn obiecał, że dostanę do pomocy Arta Curtisa i Glenna Irvine'a, jeśli pan się zgodzi.
- Proszę bardzo. Nie będę się sprzeciwiał woli pana Van Dorna. Poza tym wiem od nich, że pracowali z panem kilka lat temu.
- Owszem, przekonałem się, że są pełnymi poświęcenia agentami. - Bell wstał. - Mogę zobaczyć swój pokój?
- Naturalnie.

Alexander wyszedł zza biurka i z gabinetu na korytarz.

Bell zobaczył, że wszystkie pokoje są małe i spartańsko urządzone. Były skąpo umeblowane, żadne obrazy nie zdobiły ścian. Tylko jeden agent urzędował w biurze. Bell go nie znał i Alexander nie raczył mu go przedstawić.

Zanim kierownik zdążył wskazać jedną z klitek, Bell zapytał niewinnie:

- Macie tu salę konferencyjną?

Alexander przytaknął.

- Po przeciwnej stronie korytarza niż pokoje biurowe.

Zatrzymał się, otworzył drzwi i odsunął się na bok, żeby wpuścić Bella.

Sala konferencyjna miała prawie dziesięć metrów długości i pięć szerokości. Długi sosnowy stół z lśniącym blatem w ciemne plamy stał pod dwoma masywnymi okrągłymi kandelabrami. Otaczało go osiemnaście skórzanych foteli. Sosnowa boazeria pasowała kolorem do stołu, na podłodze leżał gruby czerwony dywan. Wysokie okna w jednej ścianie wpuszczały wczesnopołudniowe słońce, oświetlające każdy kąt sali.

Bell był pod wrażeniem.

- Bardzo ładna - stwierdził.

- Istotnie - odparł Alexander z dumą w oczach. - Używam jej często do spotkań z politykami i wpływowymi obywatelami miasta. Dzięki temu wewnątrz Agencja Detektywistyczna Van Dorn zyskuje należny jej szacunek i znaczenie.

- Nada się do moich celów - oznajmił Bell. - Będę pracował tutaj.

Alexander spojrział na niego surowo, w jego oczach błysnął gniew.

- To niemożliwe. Nie pozwolę na to.

- Gdzie jest najbliższy urząd telegraficzny?

Alexander wydawał się zaskoczony.

- Dwie przecznice na południe stąd, u zbiegu Szesnastej i Champy. A dlaczego pan pyta?

- Wyślę do pana Van Dorna prośbę o przydzielenie mi pańskiej sali konferencyjnej na centrum operacyjne. Biorąc pod uwagę pilność sprawy, jestem pewien, że się zgodzi.

Alexander wiedział, kiedy nie należy się stawiać, i spuścił z tonu.

- Życzę panu jak najlepiej, panie Bell. Udzielę panu wszelkiej możliwej pomocy. - Odwrócił się, zostawił Bella i ruszył z powrotem do swojego narożnego gabinetu. Przystanął na progu. - A przy okazji, zarezerwowałem panu pokój w hotelu Albany.

Bell się uśmiechnął.

- Niepotrzebnie. Wynająłem apartament w Brown Palace.

Alexander się spieszył.

- Wątpię, żeby pan Van Dorn pokrył taki koszt.

- Na pewno nie. Zapłacę z własnej kieszeni.

Nieznający sytuacji materialnej Bella kierownik placówki zrobił zdumioną minę. Nie pojmował tego, ale nie chciał o nic pytać. Wrócił do siebie jak niepyszny i zamknął drzwi, całkowicie pokonany.

Bell znów się uśmiechnął i zaczął rozkładać na stole konferencyjnym papiery, które przyniósł w sakwojazu. Potem poszedł do sekretariatu.

- Agnes, mogłabyś mnie zawiadomić, kiedy Curtis i Irvine się zjawią?
- Nie spodziewam się ich wcześniej niż jutro rano. Są w Boulder w sprawie oszustwa w banku.
- Rozumiem. W takim razie wezwij, proszę, szefa personelu technicznego budynku. Muszę dokonać kilku zmian w sali konferencyjnej.

Spojrzała na niego pytająco.

- W sali konferencyjnej? Pan Alexander rzadko wpuszcza tam konserwatorów. To pomieszczenie służy mu głównie do przyjmowania ważnych osobistości.

Będę miał tam biuro na czas swojego pobytu.

Agnes popatrzyła na Bella z szacunkiem.

- Zamieszka pan w hotelu Albany? Tak robi większość zamiejscowych agentów.
- Nie, w Brown Palace.
- Pan Alexander zaaprobował dodatkowy wydatek?
- Nie ma nic do powiedzenia w tej kwestii.

Agnes Murphy odprowadziła go wzrokiem jak mesjasza.

Isaac Bell wrócił do swojego biura i porządkował fotele wokół stołu konferencyjnego tak, żeby mieć dużo miejsca do pracy na jednym końcu. Po kilku minutach przybył szef personelu technicznego. Bell wytłumaczył mu, co chce zmienić. Szczytową ścianę zamierzał wyłożyć miękkim materiałem, żeby przypiąć do niej mapę zachodnich stanów z miastami, w których bandyta dokonał napadów na banki. Druga warstwa miała pokryć wewnętrzną ścianę, by przyczepiać tam informacje, zdjęcia i rysunki. Otrzymał od Bella dwadzieścia dolarów w złocie, mężczyzna obiecał, że wszystko będzie gotowe do południa następnego dnia.

Bell spędził resztę popołudnia na organizowaniu i planowaniu poszukiwań.

Punktualnie o piątej do sali zajrzał Alexander, który właśnie wychodził do domu.

- Rozgościł się pan? - zapytał lodowato.

Bell nawet nie podniósł wzroku.

- Tak, dziękuję. - W końcu spojrział Alexandrowi w pałające gniewem oczy. - A przy okazji, wprowadzam tu kilka zmian. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu. Obiecuję, że po zakończeniu sprawy wszystko wróci do poprzedniego stanu.

- Proszę tego dopilnować. - Alexander wykonał lekceważący gest głową i zniknął.

Bell nie był zadowolony, że stosunki między Alexandrem i nim nie układają się dobrze. Nie chciał drzeć kotów z kierownikiem biura, ale wiedział, że gdyby nie przystąpił do ofensywy, Alexander wszedłby mu na głowę.

Henry C. Brown zbudował hotel w roku 1892 na miejscu, gdzie wypasał swoją krowę, zanim zbił fortunę, i ochrzcił go Brown Palace stosownie do nazwy „Królowa Wielkich Równin”, jaką nadano Denver. Budynek z czerwonego granitu i piaskowca miał kształt dziobu statku. Mężczyźni, którzy dorobili się majątków w złocie i srebrze, mieszkali tam ze swoimi żonami, które pijały popołudniową herbatę, i córkami, tańczącymi całymi nocami w okazałych salach balowych. Hotel gościł prezydentów McKinleya i Roosevelta, jak również kilku cesarzy, królów i członków zagranicznej arystokracji, nie wspominając o gwiazdach, zwłaszcza sławnych aktorach i aktorkach teatralnych. Z Brown Palace korzystali też chętnie miejscowi i przyjezdni przebywający w ruchliwej finansowej i kulturalnej dzielnicy miasta.

Było prawie ciemno, kiedy Bell wszedł do hotelu drzwiami od Siedemnastej ulicy. Zameldował się w recepcji i rozejrzał po wspaniałym holu w sięgającym ósmego piętra atrium. Filary i boazeria, przywiezione koleją z Meksyku i wyrzeźbione w złocistym onyksie, odbijały pastelowe światło padające w dół z masywnego witraża w suficie. Ponad siedemset paneli z kutego żelaza zdobiło balustrady balkonów otaczających hol na górnych kondygnacjach.

Nie wszyscy wiedzieli, że właściciel hotelu i restauracji Na-varre po drugiej stronie ulicy kazał zbudować podziemną kolejkę z Brown Palace do swojego lokalu, by dżentelmeni pragnący spędzić czas w towarzystwie pań w domu publicznym mogli się tam wybrać i wrócić niezauważeni.

Bell dostał klucz, wszedł do windy i powiedział obsługującemu ją mężczyźnie, na którym piętrze jest jego apartament. Jakaś kobieta wsiadła za nim. Przystanąła przed lustrzaną ścianą, po czym odwróciła się twarzą do drzwi. Była ubrana w długą, niebieską jedwabną suknię z wielką kokardą z tyłu. Płomiennorude jedwabiste lśniące włosy miała upięte z tyłu w kok, z którego opadały loki. Dwa duże pióra sterczały z jej kapelusza. Była wysoka, pełna uroku i ponętna.

Bell ocenił, że kobieta ma dwadzieścia pięć, może dwadzieścia siedem lat lub nawet mniej, sądząc po jej łabędziej szyi i gładkiej jak alabaster cerze. Miała złocistopiwne oczy. Bell uznał ją za niezwykle atrakcyjną - być może nie całkiem piękną, ale z pewnością czarującą. Zauważył też, że kobieta nie nosi obrączki.

Pomyślał, że jest ubrana tak, jakby wybierała się na przyjęcie w jednej z hotelowych sal balowych. Jak zwykle miał rację. Winda zatrzymała się na pierwszym piętrze, gdzie organizowano wieczorki taneczne. Odsunął się na bok z kapeluszem w rękę i skłonił lekko, gdy wychodziła na podest.

Uśmiechnęła się do niego zadziwiająco ciepło i skinęła głową.

- Dziękuję, panie Bell - powiedziała aksamitnym, lecz ochrypłym głosem.

Bellowi najpierw to umknęło. Potem poraziło jak cios młotkiem w palec. Był zaszokowany, że go zna, i pewien, że nigdy przedtem jej nie widział. Chwycił windziarza za ramię.

- Niech pan zostawi na chwilę otwarte drzwi.

Nieznajoma już wmieszała się w tłum wlewający się łukowym

wejściem do sali balowej. Kobiety były ubrane w zachwycające suknie o ekstrawaganckich kolorach - szkarłatnym, pawim, szmaragdowym - i kapelusze ze wstążkami, kwiatami i piórami. Mężczyźni włożyli swoje najlepsze stroje wieczorowe. Nad drzwiami wisiał transparent: „Bal dobroczynny na rzecz sierocińca Świętego Jana”. Bell cofnął się i skinął głową windziarzowi.

- Dziękuję. Proszę mnie zawieźć na górę.

Otworzył drzwi do swojego apartamentu i zobaczył gabinet, salon, ozdobną wannę i sypialnię z łóżkiem pod baldachimem, wszystko w eleganckim wiktoriańskim stylu. Pokojówka już rozpakowała jego kufry, ubrania poukładała w komodzie i powiesiła w szafie. Taką usługę oferowano gościom rezerwującym apartamenty. Kufrów nie było w polu widzenia. Zabrano je z pokoju do magazynu w podziemiu. Bell szybko się wykąpał i ogolił.

Otworzył zegarek i sprawdził czas. Pół godziny minęło, odkąd wyszedł z windy. Następny kwadrans zajęło mu zawiązanie czarnego krawata i wsunięcie spinek do kołnierzyka i mankietów koszuli, co zwykle wymagało dwóch par rąk. W takich momentach żałował, że nie ma żony do pomocy. Włożył czarne skarpety i półbuty. Nie nosił szerokiej szarfy do stroju wieczorowego, lecz czarną kamizelkę ze złotym łańcuszkiem biegnącym z lewej kieszonki przez dziurkę od guzika do dużego złotego zegarka w prawej kieszonce. Wreszcie wsunął ramiona w rękawy czarnej jednorzędowej marynarki z satynowymi klapami.

Obejrzał się w ponaddwumetrowym lustrze i uznał, że jest przygotowany na wszystko, co może przynieść wieczór.

Bal dobroczynny trwał w najlepsze, gdy wszedł do przestronnej

majestatycznej sali i stanął dyskretnie za wysoką palmą w donicy. Parkiet zdobił wymyślny słoneczny motyw, a sufit kolorowe freski. Bell dostrzegł tajemniczą kobietę. Siedziała tyłem do niego w towarzystwie trzech par przy stoliku numer sześć. Wyglądało na to, że jest sama, bez partnera. Bell podszedł do kierownika sali.

- Przepraszam - zagadnął z przyjaznym uśmiechem - czy mógłby mi pan podać nazwisko damy w niebieskiej sukni przy szóstym stoliku?

Kierownik wyprostował się z wyniosłą miną.

- Przykro mi, proszę pana, ale nie udzielamy informacji o naszych gościach. Poza tym nie znam wszystkich tutaj obecnych.

Bell wręczył mu dziesięć dolarów z certyfikatem złota.

- Czy to odświeży panu pamięć?

Mężczyzna bez słowa wziął cienką, oprawioną w skórę książkę i przebiegł wzrokiem wpisy.

- Samotna dama przy tamtym stoliku to panna Rose Manteca, bardzo zamożna kobieta z Los Angeles, gdzie jej rodzina posiada rozległe ranczo. Tylko tyle mogę panu powiedzieć.

Bell poklepał go po ramieniu.

- Jestem wdzięczny. Kierownik

uśmiechnął się szeroko.

- Powodzenia.

Orkiestra grała składankę ragtime'u i współczesnych melodii tanecznych. Pary tańczyły przy piosence *Nie przyjdiesz do mojego domu*.

Bell podszedł z tyłu do Rose Manteki i szepnął jej do ucha:

- Czy mógłbym poprosić panią do tańca, panno Manteca?

Odwróciła się od stolika i podniosła wzrok. Złociste piwne

oczy napotkały hipnotyzujące spojrzenie niebieskich. Jest opanowana, pomyślał Bell, ale jego nagłe pojawienie się w wieczorowym stroju całkowicie ją zaskoczyło. Spuściła wzrok i szybko się otrząsnęła, ale najpierw rumieniec oblał jej twarz.

- Pan wybaczy, panie Bell, nie spodziewałam się pana tak prędko.

- Tak prędko? - powtórzył. Dziwny zwrot, pomyślał.

Przeprosiła towarzystwo przy swoim stoliku i wstała. Bell wziął

ją delikatnie za ramię i poprowadził na parkiet. Objął ją w wąskiej talii, ujął jej dłoń i zaczął poruszać się w takt muzyki.

- Jest pan bardzo dobrym tancerzem - stwierdziła po chwili.

- Dzięki mojej matce, która przez lata zmuszała mnie do lekcji, żebym wzbudzał podziw młodych dam w naszym mieście.

- I bardzo dobrze się pan ubiera, jak na detektywa.

- Wychowywałem się w mieście, gdzie zamożni mężczyźni chodzą w smokingach.

- Czyli w Bostonie, nieprawdaż?

Po raz pierwszy w swojej karierze śledczego Bell poczuł się zagubiony, ale zaraz odparł:

- A pani jest z Los Angeles.

Jest dobra, pomyślał. Nawet nie mrugnęła okiem.

- Jest pan świetnie zorientowany - odrzekła, nie mogąc nic wyczytać w jego spojrzeniu.
- Nawet w połowie nie tak jak pani. Dlaczego pani się mną interesuje? Skąd pani tyle o mnie wie? Powinienem zapytać, z jakiego powodu?
- Odniosłam wrażenie, że lubi pan wyjaśniać tajemnice. -Spróbowała popatrzeć ponad jego wysokim ramieniem, ale nie mogła oderwać wzroku od jego oczu. Nie spodziewała się, że tak na nią podziałają.

Zdjęcia, które jej pokazano, tego nie oddawały. Był o wiele atrakcyjniejszy, niż sobie wyobrażała. Okazał się też wyjątkowo inteligentny. Ale to przewidywała i zrozumiała, dlaczego Bell słynie z intuicji. Sondowali się nawzajem.

Orkiestra skończyła grać i zatrzymali się na parkiecie w oczekiwaniu na następny utwór. Bell cofnął się i zmierzył Rose od stóp do głów.

- Jest pani piękną kobietą. Co wzbudziło pani zainteresowanie moją osobą?
- Jest pan atrakcyjnym mężczyzną. Chciałam pana lepiej poznać.
- Znała pani moje nazwisko i wiedziała, skąd pochodzę, zanim spotkaliśmy się w windzie. To nie był przypadek.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, orkiestra zagrała *W cieniu starej jabłoni* i zaczęli tańczyć fokstrotą. Bell przyciskał Rose do siebie i mocno trzymał jej dłoń w swojej. Gorset czynił jej wąską talię jeszcze węższą. Czubek jej głowy sięgał mu do podbródka. Kusiło go, żeby ją pocałować, ale zrezygnował. To nie był odpowiedni moment ani miejsce. Podobnie jak jego myśli o romansie. Nie miał wątpliwości, że Rose go szpieguje. Starał się odgadnąć przyczynę. Dlaczego zupełnie obca osoba się nim interesuje? Przyszło mu do głowy tylko to, że została wynajęta przez jednego z wielu przestępców, których wsadził za kratki, zastrzelił lub doprowadził na szubienicę. Krewny lub przyjaciel szukający zemsty? Nie wyglądała na kogoś, kto zadaje się z szumowinami schwytanymi przez niego w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Muzyka ucichła, Rose oswobodziła rękę z jego uścisku i się odsunęła.

- Proszę mi wybaczyć, panie Bell, muszę wracać do moich znajomych.
- Spotkamy się jeszcze? - zapytał z ciepłym uśmiechem.

Pokręciła lekko głową.

- Nie sędzę. Zignorował jej

odpowiedź.

- Zjedźmy jutro razem kolację.

- Przykro mi, jestem zajęta - odparła wyniośle. - I nawet w swoim eleganckim smokingu nie wśliznąłby się pan na Bal

49

4 - Pościg

Zachodnich Bankierów w tutejszym country clubie, tak jak dzisiaj zakradł się pan do tej sali.

Wysunęła podbródek, zebrała suknię i wróciła do stolika. Kiedy usiadła, zerknęła ukradkiem za siebie, ale nie dostrzegła Bella w tłumie. Rozpłynął się w powietrzu.

Następnego ranka Bell pierwszy zjawił się w biurze. Użył klucza uniwersalnego, który otwierał prawie wszystkie zamki. Porządkował raporty o napadach na banki na końcu długiego stołu, kiedy Arthur Curtis i Glenn Irvine weszli do sali konferencyjnej. Bell wstał, by ich powitać, i uściśnął im dłonie.

- Art, Glenn, miło znów was widzieć.

Curtis był niski i pulchny, zaokrąglony brzuch rozsadzał mu kamizelkę, aż guziki ledwo się trzymały. Miał przerzedzone jasne włosy, uszy jak megafony i niebieskie oczy. Wyszczrzył zęby w promiennym uśmiechu, który zdawał się rozjaśniać pomieszczenie.

- Nie widzieliśmy się z tobą, odkąd wytropiliśmy Cusslera Wielką Stopę, jak obrabował tamten bank w Golden.

Wysoki i chudy jak strach na wróble Irvine umieścił kapelusz na wieszaku na płaszcz, odsłaniając gęstą, potarganą, brązową czuprynę.

- O ile pamiętam, zaprowadziłeś nas prosto do jego nory.

Bell uśmiechnął się lekko.

- Kwestia prostej dedukcji. Zapytałem dwóch chłopców, czy znają jakieś miejsce, gdzie chcieliby się schować na kilka dni przed rodzicami. Tamta grota była jedyną dobrą kryjówką w promieniu trzydziestu kilometrów, położoną na tyle blisko miasta, że Cussler mógł się przemykać po zaopatrzenie.

Curtis stanął przed wielką mapą zachodnich Stanów Zjednoczonych i

przyjrzał się w zamyśleniu małym chorągiewkom oznaczającym miejsca, gdzie dokonano rabunków. Było ich szesnaście.

- Intuicja coś ci mówi o Rzeźniku?

Bell spojrzał na niego.

- Rzeźniku? Tak go nazywają?

- Wymyślił to pewien reporter wydawanej w Bisbee „Bugle”. Inne gazety to podchwyciły i pseudonim się przyjął.

- To nam nie pomoże - stwierdził Bell. - Jeśli to przezwisko jest na ustach wszystkich, prawi obywatele będą wkrótce ostro krytykowali agencję Van Dorna za to, że go jeszcze nie złapaliśmy.

- Już się zaczęło - odrzekł Curtis i położył na stole „Rocky Mountains News”. Bell popatrzył na pierwszą stronę.

Był tam artykuł opisujący rabunek i zabójstwa w Rhyolite. Pół szpalty poświęcono pytaniu: „Dlaczego organy ochrony porządku publicznego nie czynią żadnych postępów w sprawie Rzeźnika?”

- Naciskają - powiedział po prostu Bell.

- Na nas - dodał Irvine.

- Więc na czym stoimy? - Bell wskazał piętrzący się przed nim na blacie ponadpółmetrowy stos akt dotyczących zbrodni w bankach. - Przestudiowałem raporty w pociągu. Wygląda na to, że wiemy tylko jedno: nie mamy do czynienia z typowym kowbojem, który został złodziejem.

- Działa sam - dorzucił Curtis. - Jest piekielnie sprytny i groźny. Ale najbardziej frustrujące jest to, że nigdy nie zostawia tropu, którym mógłby podążać oddział pościgowy.

Irvine przytaknął skinieniem.

- Jest tak, jakby się od razu rozpląwał w powietrzu.

- Nigdy nie znaleziono żadnych śladów prowadzących w teren?

- spytał Bell.

Curtis pokręcił głową.

- Najlepsi tropiciele w branży zawsze wracają z niczym.
- Nie ma jakiegoś dowodu, że zaszywa się gdzieś w mieście, dopóki wszystko nie przycichnie?
- Nic na to nigdy nie wskazywało - odrzekł Curtis. - Po rabunkach nikt go więcej nie widział.
- Widmo - mruknął Irvine. - Szukamy ducha.

Bell się uśmiechnął.

- Nie, człowieka, tylko diabelnie przebiegłego - urwał i rozłożył w wachlarz akta na stole konferencyjnym. Wybrał jeden dokument i otworzył go. Raport dotyczył napadu w Rhyolite w Nevadzie. - Za każdym razem bardzo sztywno trzyma się swojego sposobu działania. Sądzę, że przez kilka dni obserwuje miasto i jego mieszkańców, zanim okradnie bank.
- Albo hazardzista, albo ryzykant - powiedział Curtis.
- Ani jedno, ani drugie - poprawił go Bell. - To zuchwały i szczwany przestępca. Możemy przyjąć, że używa różnych przebrań, bo ludzie we wszystkich miastach, gdzie ograbił banki, nigdy nie byli zgodni co do wyglądu podejrzanych obcych.

Irvine zaczął spacerować po sali konferencyjnej i od czasu do czasu przyglądał się jakiejś chorągiewce przypiętej do mapy.

- Mieszkańcy przypominają sobie pijanego włóczęgę, umun durowanego żołnierza, dobrze sytuowanego kupca i drobnego przewoźnika. Ale nikt nie zdołał ich powiązać z morderstwami.

Curtis utkwiał wzrok w dywanie i wzruszył ramionami.

- Dziwne, że nie ma żadnych świadków, którzy mogliby dokonać wiarygodnej identyfikacji.
- Nic w tym dziwnego - odparł Irvine. - On zabija ich wszystkich. Martwi nie mówią.

Bell zdawał się ignorować rozmowę, jakby był głęboko zamyślony. Potem wpatrzył się w mapę i przemówił wolno:

- Zadaję sobie pytanie, dlaczego on zawsze morduje wszystkich w banku. Nawet kobiety i dzieci. Co zyskuje przez rzeź? Nie może być tak, że po prostu nie chce zostawić przy życiu świadków, skoro już go widziano w mieście w przebraniu... chyba że... - urwał na moment. - Jest nowa definicja

utworzona przez psychologów dla określenia morderców, którzy zabijają bez wahania i żadnych skrupułów. Nazywają ich socjopatami. Nasz zbrodniarz jest takim typem. Nie wie, co to wyrzuty sumienia i uczucia, nie potrafi się śmiać ani kochać, ma serce z kamienia. Dla niego uśmiercenie małego dziecka jest tym samym, co zastrzelenie gołębia.

- Trudno uwierzyć, że istnieją tak okrutni i bezwzględni ludzie -mruknął Irvine z odrazą.
- Wielu dawnych bandytów i rewolwerowców było socjopatami
- odrzekł Bell. - Zabijali innych z taką łatwością, jakby soplali. John Wesley Hardin, sławny opryszek z Teksasu, zastrzelił kiedyś człowieka za to, że chrapał.

Curtis przyjrzał się Bellowi uważnie.

- Naprawdę myślisz, że on morduje wszystkich w banku, bo to lubi?
- Tak - potwierdził cicho Bell. - Czerpie osobliwą przyjemność z krwawych zbrodni. Jest jeszcze inny szczegół. Ucieka, zanim mieszkańcy miasta, łącznie z szeryfem, uświadomią sobie, co się stało.
- Więc co robimy? - zapytał Irvine. - Jakie mamy możliwości?

Bell spojrzał na niego.

- Następny jego zwyczaj jest taki, że zostawia złoto i bierze tylko walutę. Glenn, odwiedziłeś okradzione banki i przestudiujesz rejestry numerów seryjnych zrabowanych banknotów. Zaczniiesz od Bozeman w Montanie.
- Banki w górniczych miastach nie mają zwyczaju zapisywania numerów wszystkich banknotów, jakie przechodzą przez ich ręce.
- Może dopisze ci szczęście i znajdziesz bank, który zanotował numery banknotów przysyłanych z wielkomiast na płace dla górników. Jeśli ci się uda, znajdziemy je. Musi albo wydawać gotówkę, albo zamieniać walutę, dokonując wpłat i wypłat w banku. Tego śladu nie może zatrzeć.
- Mógłby to robić w zagranicznych instytucjach.
- Być może, ale musiałby wydawać pieniądze w innych państwach. Ryzyko przywożenia ich z powrotem do Stanów byłoby zbyt duże. Założę się, że trzyma swój łup w kraju.

Potem Bell zwrócił się do Curtisa:

- Art, ty sprawdzisz w rozkładach jazdy dyliżansów i pociągów, czy jakieś nie odjeżdżały z obrabowanych miast w dniach na padów. Skoro żaden oddział pościgowy nie zdołał go wytropić, to mógł uciec koleją albo dyliżansem. Możesz zacząć w Placerville w Kalifornii.

- Załatwione - odrzekł zdecydowanie Curtis.

- A ty zostajesz tutaj jako członek centrum dowodzenia? - spytał Irvine.

Bell pokręcił głową i uśmiechnął się szeroko.

- Nie, też wyruszam w teren. Najpierw do Rhyolite. Pójdę śladem napadów. Bez względu na to, jak dobry jest morderca i jak starannie zaplanował swoje zbrodnie, musiał coś przeoczyć. Musi być jakiś dowód, którego nie zauważono. Porozmawiam z mieszkańcami górniczych miast. Może coś widzieli, choćby jakiś drobiazg, i nie powiedzieli o tym szeryfowi czy policjantowi.

- Podasz nam swoją trasę, żebyśmy mogli skontaktować się z tobą telegraficznie, jeśli na coś trafimy? - zapytał Curtis.

- Będę ją miał dla was jutro - odparł Bell. - Wybiorę się też do górniczych miast, gdzie są duże pieniądze na wypłaty, których nasz Rzeźnik jeszcze nie zrabował. Może uda mi się odgadnąć jego zamiary, zastawić pułapkę i skusić go do napadu na następny bank. - Otworzył szufladę i dał im po kopercie. - Tu jest dość gotówki na wasze podróże.

Curtis i Irvine wyglądali na zaskoczonych.

- Dotąd zawsze musieliśmy jeździć trzecią klasą, płacić z własnej kieszeni, a potem przedstawiać rachunki i pokwitowania - powiedział Curtis. - Alexander zawsze żądał, żebyśmy mieszkali w obskurnych hotelach i jedli tanie potrawy.

- Ta sprawa jest zbyt ważna, żeby oszczędzać. Wiercie mi, że pan Van Dorn zaakceptuje wszystkie nasze wydatki, ale pod warunkiem że będziemy mieli wyniki. Bandyta może robić na wszystkich wrażenie niepokonanego i nie do schwytania, ale nie jest doskonały. Ma wady jak każdy. Potknie się na jakimś drobnym zaniedbaniu. I to jest właśnie nasze zadanie, panowie, znaleźć jego słabą stronę.

- Damy z siebie wszystko - zapewnił Irvine.

Curtis przytaknął.

- Pozwól, że powiem w imieniu nas obu: to dla nas wielki za szczyt znów z tobą pracować.

- I nawzajem - odrzekł szczerze Bell. Uważał się za szczęścia rza, mając do pomocy tak

inteligentnych i doświadczonych agentów, którzy znali Zachód i jego mieszkańców.

Słońce chowało się za Górami Skalistymi, gdy Bell wyszedł z sali konferencyjnej. Zawsze przezorny, zamknął drzwi na klucz. W sekretariacie wpadł na Nicholasa Alexandra, który wyglądał, jakby właśnie wrócił z drogiego zakładu krawieckiego. Sfatygowany garnitur zastąpił elegancki smoking. Ale nie całkiem udało mu się stworzyć wizerunek poważanej osobistości. Po prostu brakowało mu poluru.

- Prawdziwy bon vivant z pana - powiedział uprzejmie Bell.
- Zabieram żonę na przyjęcie w country clubie dziś wieczorem. Mam wielu wpływowych znajomych w Denver, wie pan.
- Tak, słyszałem.
- Szkoda, że nie może pan pójść, ale wstęp mają tylko członkowie klubu o wysokiej pozycji.
- Doskonale to rozumiem - zgodził się Bell, maskując sarkazm.

Kiedy tylko się rozstali, Bell poszedł do urzędu telegraficznego

i wysłał telegram do Van Dorna:

„Ułożyłem plany śledztwa dla siebie, Curtisa i Irvine'a. Informuję, że jesteśmy szpiegowani. W hotelu zagadnęła mnie pewna obca kobieta, która знаła moje nazwisko, przeszłość i przypuszczalnie powód mojego pobytu w Deiwer. Nazywa się Rose Manteca i podobno pochodzi z bogatej ranczerskiej rodziny z Los Angeles. Zwracam się z prośbą, żeby nasze tamtejsze biuro to zbadało. Będziemy pana zawiadamiali na bieżąco o naszych postępach.

Bell”

Po wysłaniu telegramu do swojego przełożonego Bell pomaszerował zatłoczonym chodnikiem w stronę hotelu Brown Palace. Zamienił kilka słów z recepcjonistą, dostał od niego plan miasta i poszedł z nim do magazynu i kotłowni pod holem, gdzie powitał go hotelowy konserwator. Życzliwy mężczyzna w poplamionym kombinezonie zaprowadził Bella do rozmontowanej drewnianej skrzyni. Pod zwisającą z sufitu pojedynczą jasną żarówką konserwator wskazał lśniący jaskrawoczerwony motocykl, który stał na stopce obok skrzyni.

- Oto pańska maszyna, panie Bell - powiedział z zadowoleniem.
- Gotowa do drogi. Osobiście ją panu wypolerowałem.

- Jestem wdzięczny, panie...
- Bomberger. John Bomberger.
- Zrewanżuję się, kiedy będę opuszczał hotel - obiecał mu Bell.
- Chętnie pomogłem.

Bell udał się na górę do swojego pokoju. Jego wyczyszczony przez hotelową obsługę smoking wisiał w szafie. Po szybkiej kąpieli ubrał się, potem włożył długi lniany płaszcz sięgający wierzchów jego dokładnie wypolerowanych półbutów. Następnie wciągnął getry, żeby nie zaplamzić spodni olejem, który często wyciekał z silnika. Wreszcie założył czapkę i gogle.

Zszedł tylnymi schodami do magazynu. Czerwony motocykl na białych oponach stał niczym rumak czekający, by ponieść go do boju. Bell kopnął stopkę w górę do tylnego błotnika, ujął kierownicę i popchnął pięćdziesięciocierokilogramową maszynę w górę po pochylni. Używano jej do przewożenia brudnej pościeli i dostarczania przez kupców żywności do restauracji i kuchni obsługujących pokoje.

Bell dotarł do szczytu pochylni i znalazł się na Broadwayu, ulicy biegnącej obok gmachu zgromadzenia stanowego ze złocistą kopułą. Wsiadł na twarde, wąskie siodełko umieszczone nad zbiornikiem paliwa w kształcie wielbłądziego garbu powyżej tylnego koła. Ponieważ motocykl przystosowano do wyścigów, siodełko było na wysokości kierownicy i Bell musiał się bardzo nisko pochylić, by prowadzić pojazd.

Opuścił gogle na oczy, sięgnął w dół i obrócił zawór paliwa, by spłynęło ze zbiornika do gaźnika. Potem umieścił nogi na pedałach podobnych do rowerowych i ruszył naprzód, żeby prąd z trzech suchych ogniw dopłynął do cewki i wytworzył iskrę, która zapali paliwo w cylindrach. Pokonał zaledwie trzy metry, gdy widlasty dwucylindrowy silnik ożył i głośny warkot wydobył się z rury wydechowej .

Bell zacisnął prawą dłoń na rękojeści, obrócił przepustnicę o niecałe sto osiemdziesiąt stopni. Napędzana łańcuchem wyścigowa maszyna o jednym przełożeniu wystartowała ostro naprzód i wkrótce lawirował między konnymi powozami i samochodami z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Wyścigowy motocykl nie miał reflektora, ale półksiężyc oświetlał niebo, a wzdłuż ulicy stały elektryczne latarnie. Było na tyle jasno, że Bell zdążył w porę dostrzec stertę końskiego łajna i ją ominąć.

Po około trzech kilometrach zatrzymał się pod latarnią i popatrzył na plan miasta. Zadowolony, że

Jedzie w dobrym kierunku, ruszył dalej, dotarł do Speer Avenue, a potem skręcił na zachód. Trzy kolejne kilometry dalej ukazał się lokalny country club.

Duży budynek z wysokim szpiczastym dachem tonął w blasku licznych wielkich kwadratowych okien we wszystkich ścianach. Na podjeździe przed głównym wejściem zaparkowano mnóstwo powozów i samochodów. Stangreci i szoferzy stali w grupach, rozmawiali i palili. Dwaj mężczyźni w białych muszkach i frakach sprawdzali zaproszenia wchodzących.

Bell obawiał się, że przyciągnie zbyt wiele uwagi, jeśli podjedzie do wejścia na motocyklu. Bez zaproszenia zaś miał małe szanse, żeby dostać się do środka mimo odpowiedniego stroju. W poświacie półksiężyca skręcił i skierował się na pole golfowe. Trzymając się z dala od greenów i bunkrów, zatoczył szeroki łuk i zbliżył się do szopy na wózki do kijów, która stała za głównym budynkiem blisko pierwszej rzutni. W szopie było ciemno i pusto.

Wyłączył zapłon i wprowadził motocykl w kępę zarośli. Postawił go na stopce, zdjął długi lniany płaszcz i powiesił na kierownicy. Potem ściągnął getry, czapkę i gogle. Przyglądał blond włosy, wyszedł z mroku i ruszył ścieżką prowadzącą z szopy do okazałej siedziby klubu. Cały teren oświetlały lśniące lampy elektryczne za oknami i wysokie latarnie wzdłuż wąskiej drogi, która biegła od ulicy na tyły country clubu. Kilka ciężarówek parkowało u stóp szerokich schodów wiodących do tylnego wejścia.

Pracownicy firmy cateringowej w niebieskich uniformach o kroju wojskowych mundurów wnosili tace z potrawami i utensylia do kuchni.

Bell wspinał się po stopniach, minął dwóch z nich i wkroczył do środka jak do siebie. Żaden z kucharzy ani kelnerów pośpiesznie kursujących z tacami do jadalni i z powrotem nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Wzięli wysokiego mężczyznę w smokingu za jednego z kierowników country clubu. Bell nie miał już problemu z wejściem do sali. Po prostu pchnął drzwi kuchni, wmieszał się w tłum klubowiczów i poszedł między stolikami, szukając wzrokiem Rose Manteki.

Po zaledwie dwóch minutach dostrzegł ją na parkiecie.

I zeszywniał.

Tańczyła z Nicholasem Alexandrem.

Pomyślał przelotnie, jaką miałby satysfakcję na widok ich min, gdyby podszedł i zarządził odbijanie. Ale uznał, że dyskrecja to mądrzejszy wybór niż próżność. Zobaczył więcej, niż się spodziewał. Teraz znał tożsamość szpiega. Ale nie wierzył, że Alexander jest płatnym informatorem Rzeźnika i jego wysłanniczki. Oceniał, że to po prostu głupiec i naiwniak, który uległ urokowi ładnej buzi. Bell był zadowolony, że go nie zauważyli.

Przewiesił serwetkę przez ramię i wziął dzbanek z kawą, jakby obsługiwał stolik. Mógł unieść naczynie i zasłonić nim twarz, gdyby Rose lub Aleksander spojrzeli w jego stronę. Muzyka ucichła i wrócili do stolika. Siedzieli razem, Alexander między Rose i starszą kobietą o obwisłych policzkach, zapewne jego żoną. Jeśli nie dowodziło to niczego innego, to przynajmniej tego, że Alexander nie poprosił do tańca obcej kobiety, ale się znali. Skoro siedzieli razem, musieli mieć wspólną rezerwację.

Bell popatrzył otwarcie na Rose. Była w czerwonej jedwabnej sukni prawie w kolorze jej płomiennorudych włosów. Tym razem upięła je z tyłu w kok, pozostawiając luźne loki z przodu i przy skroniach. Pełne blade piersi uwypuklało obcisłe jedwabne obrzeże stanika. Piękna w każdym calu, pomyślał Bell.

Wargi miała rozchylone w rozkosznym śmiechu, w złocisto-piwnych oczach błyszczała wesołość. Położyła dłoń na ramieniu

Alexandra, co świadczyło o jej bezpośredniości. Otaczała ją aura podniecenia, które udzielało się innym przy stoliku. Potrafiła oczarować, olśnić, zauroczyć, ale nie działało to na Bella. Nie rozpałała w nim namiętności, nie pociągała go. Jego analityczny umysł sklasyfikował ją jako wroga, nie obiekt pożądania. Przejrzał ją. Za jej powabem kryła się przebiegłość.

Uznał, że zobaczył dość. Dał szybko nura za kelnera, który wracał do kuchni, i przeszedł obok niego przez próg kuchennych drzwi.

Kiedy zakładał ubrania pozostawione na motocyklu, uznał się za szczęściarza. Trafił na sytuację, której się nie spodziewał, ale mógł ją wykorzystać. Jadąc z powrotem do Brown Palace, postanowił karmić Alexandra fałszywymi informacjami. Mógłby nawet coś zmyślić, by wywieść w pole Rose Mantece.

Ta część jego planu go intrygowała. Czuł się tak, jakby już zdobył przewagę w tropieniu sprytnej lwicy.

Wkrótce po tym, jak Bell przyszedł do biura następnego ranka, goniec z urzędu telegraficznego doręczył mu wiadomość od Van Dorna:

„Mój główny agent w Los Angeles melduje, że nie może znaleźć żadnego śladu niejakiej Rose Manteki. Żadna rodzina o tym nazwisku nie posiada rancza w odległości trzystu kilometrów od miasta. Wygląda mi na to, że ta dama zamydliła ci oczy. Jest ładna?

Van Dorn”

Bell uśmiechnął się pod nosem. Wsunął telegram do kieszeni, poszedł do gabinetu Alexandra i zapukał do drzwi.

- Proszę - odpowiedział Alexander cicho, jakby rozmawiał z kimś w swoim pokoju.

Bell ledwo go usłyszał, ale wszedł do środka.

- Przychodzi pan złożyć meldunek, jak przypuszczam - zaczął bez wstępów główny agent w Denver.

Bell przytaknął.

- Chciałbym panu przedstawić aktualny stan naszych działań.

- Słucham - odrzekł Alexander, nie podnosząc wzroku znad papierów na biurku i nie proponując Bellowi, żeby usiadł.

- Wysłałem Curtisa i Irvine'a w teren, żeby przesłuchali funkcjonariuszy i ewentualnych świadków zbrodni - skłamał Bell.

- To nieprawdopodobne, żeby wygrzebali coś ponadto, co miejscowi stróże prawa już nam powiedzieli.

- Zamierzam wyjechać najbliższym pociągiem do Los Angeles.

Alexander spojrzał na Bella podejrzliwie.

- Do Los Angeles? Po co pan się tam wybiera?

- Nie tam - zaprzeczył Bell. - Wsiądę w Las Vegas i dostanę się boczną linią kolejową do

Rhyolite. Chcę porozmawiać tam ze świadkami, jeśli jacyś są.

- Dobry pomysł. - Alexander wyglądał tak, jakby mu ulżyło. -Przez moment myślałem, że jedzie pan do Los Angeles z powodu panny Manteki.

Bell udał zaskoczenie.

- Zna ją pan?

- Siedziała przy stoliku z moją żoną i ze mną na przyjęciu w country clubie. Spotkaliśmy się kilka razy przy innych okazjach. Powiedziała mi, że poznała pana na balu na rzecz sierot i wydawała się bardzo zainteresowana pańską pracą i przeszłością. Fascynował ją szczególnie nasz bankowy złodziej.

No pewnie, że interesowała ją moja praca, pomyślał Bell.

- Nie wiedziałem, że wywarłem na niej wrażenie. Odtrąciła mnie dość stanowczo.

- Moj a żona uważa, że panna Manteca straciła dla pana głowę.

- Wątpię. Dowiedziałem się o niej tylko tyle, że pochodzi z bogatej rodziny z Los Angeles.

- To prawda - przytaknął Alexander, dając dowód swojej igno rancji. - Jej ojciec ma rozległe ranczo pod miastem.

Dla Bella stało się oczywiste, że Alexander ani tego nie sprawdził, ani jej pytania o niego i sprawę Rzeźnika nie wzbudziły jego podejrzeń.

- Kiedy pan wraca? - zapytał Alexander.

- Powinienem skończyć w Rhyolite i wrócić w ciągu pięciu dni.

- A Curtis i Irvine?

- Za półtora do dwóch tygodni.

Alexander znów skupił uwagę na dokumentach na biurku i odprawił

Bella krótko:

- Powodzenia.

Bell wrócił do sali konferencyjnej, usiadł na obrotowym krześle i położył nogi na długim stole. Popijał wolno kawę z filiżanki, którą przyniosła pani Murphy. Potem wyciągnął się wygodnie i wpatrzył w sufit, jakby widział coś piętro wyżej.

Zatem jego podejrzenia co do Rose Manteki okazały się w pełni uzasadnione. Była nie tylko oszustką, lecz być może miała również jakieś powiązania z Rzeźnikiem i została przysłana, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o śledztwie prowadzonym przez Agencję Detektywistyczną Van Dorn. Bell nie lekcewał przeciwnika. To nie był zwykły bandyta. Korzystanie z usług pięknego szpiega w spódnicy świadczyło o tym, że ten człowiek dokładnie planuje swoje posunięcia. Przedstawiająca się jako Rose kobieta była skuteczna. Bez problemu zyskała zaufanie kierownika biura agencji w Denver. Starannie się do tego przygotowała. To była robota profesjonalistki. Skoro Rzeźnik ją zatrudnił, musi mieć duże środki i sieć macek, które sięgają sfer rządowych i biznesowych.

Kiedy Bell wrócił do Brown Palace, podszedł do recepcji i poprosił o numer pokoju Rose Manteki.

- Przykro mi, proszę pana, nie udzielamy takich informacji -odparł sztywno recepcjonista, po czym zrobił zadowoloną minę. -Ale mogę panu zdradzić, że panna Manteca wymeldowała się w południe.

- Powiedziała, dokąd się wybiera?

- Nie, ale jej bagaż zabrano na dworzec Union Station i umieszczono w pociągu odjeżdżającym o pierwszej do Phoenix i Los Angeles.

Tego Bell się nie spodziewał. Przeklął siebie za to, że pozwolił jej się wymknąć.

Zastanawiał się, kim naprawdę jest Rose Manteca i dlaczego jedzie do Los Angeles, skoro nie ma śladu, że tam mieszka.

Potem zaczęło go nurtować inne pytanie: gdzie tym razem zaatakuje jego nemezis? Nie miał pojęcia i to go frustrowało. Wcześniej zawsze uważał, że kontroluje sytuację. Tym razem było inaczej, zupełnie inaczej.

Blondyn z gęstymi, żółtobrązowymi, podkreconymi do góry i wypomadowanymi wąsami wyglądał na zamożnego. Po wyjściu ze stacji kolejowej usadowił się na tylnym siedzeniu taksówki ford model N i w ten piękny bezchmurny dzień cieszył oczy widokiem położonego u stóp gór Wasatch Salt Lake City. Był ubrany jak dandys, ale z wytwornością biznesmena. Miał jedwabny cylinder i czarny, zapinany na trzy guziki surdut, kamizelkę, wysoki zaokrąglony kołnierzyk, elegancki krawat i perłowszare rękawiczki. Getry w tym samym kolorze okrywały podbicia jego półbutów i sięgały tuż powyżej kostek.

Pochylał się lekko do przodu, gdy patrzył od okna do okna i zaciskał dłonie na srebrnej rękojeści laski ozdobionej głową orła z dużym dziobem. Choć laska wyglądała niewinnie, była w istocie bronią palną z długą lufą i spustem, który wysuwał się po naciśnięciu przycisku. W komorze tkwił pocisk kaliber 11 milimetrów, jego łuska mogła być wyrzucana, by wprowadzić nowy nabój z małego magazynka w ogonie orła.

Taksówka minęła kościół Świętych Dnia Ostatniego, świątynię mormonów wzniesioną w latach 1853-1893. Prawie dwumetrowej grubości mury z szarego granitu wieńczyło sześć wież, najwyższą zdobił miedziany posąg anioła Moroni.

Po opuszczeniu Tempie Square taksówka pojechała 300 South Street i zatrzymała się przed najlepszym w mieście hotelem Peery, który zbudowano w europejskim stylu podczas niedawnego boomu. Kiedy portier wyjął bagaż z tyłu taksówki, mężczyzna kazał kierowcy poczekać i wszedł przez dwuskrzydłowe drzwi z rżniętego szkła do okazałego holu.

Recepcjonista uśmiechnął się i skinął głową. Potem zerknął na wielki stojący zegar.

- Pan Eliah Ruskin, jak się domyślam.
- W rzeczy samej - odrzekł mężczyzna.
- Druga piętnaście. Jest pan punktualnie.
- Nareszcie mój pociąg przyjechał o czasie.
- Proszę się wpisać do rejestru gości.
- Muszę wyjść na umówione spotkanie. Dopilnuje pan, żeby mój bagaż zabrano do pokoju, a ubrania umieszczono w szafie i szufladach?

- Tak jest, panie Ruskin. Zajmę się tym osobiście. - Recepcjonista przechylił się przez ladę i wskazał ruchem głowy dużą, czarną skórzaną walizkę na podłodze między nogami Ruskina. - Życzy pan sobie, żebym odesłał to do pańskiego pokoju?

- Nie, dziękuję. Biorę ją ze sobą.

Ruskin odwrócił się i wyszedł przed hotel z laską w jednym ręku i walizką w drugim, prawe ramię opadało mu od jej ciężaru. Wepchnął ją przez drzwi taksówki i znów zajął swoje miejsce z tyłu.

Recepcjonista zdziwił się, że Ruskin nie zostawił walizki w taksówce. Zastanawiał się, dlaczego wniósł taki ciężar do holu, a potem znów wyniósł na zewnątrz. Przypuszczał, że w środku jest coś cennego. Zapomniał jednak o tym, gdy inny gość podszedł do kontuaru.

Osiem minut później Ruskin wysiadł z taksówki, zapłacił kierowcy i wszedł do holu Salt Lake Bank & Trust. Podszedł do strażnika, który siedział na krześle blisko drzwi.

- Jestem umówiony z panem Cardozą. Strażnik wstał i

wskazał drzwi z mrożonego szkła.

- Znajdzie go pan tam.

Ruskin nie miał powodu pytać strażnika, dokąd iść. Widział drzwi gabinetu kierownika banku. Strażnik nie zauważył, że Ruskin przyjrzał mu się dokładnie, żeby zapamiętać, jak się porusza, w jakim jest wieku i w jaki sposób umieścił na biodrze kaburę z nowym samopowtarzalnym coltem browningiem 1905 kaliber 11,43 milimetra. Zaobserwował też, że strażnik nie jest zbyt czujny. Codziennie patrzył, jak klienci wchodzą i wychodzą, nigdy nic się nie działo, więc stał się apatyczny i obojętny. Nie dostrzegł niczego niezwykłego w dużej walizce Ruskina.

Dwóch kasjerów urzędowało w swoich boksach za ladą. Oprócz nich i strażnika byli tylko Cardoza i jego sekretarka. Ruskin zbadał wzrokiem duże stalowe drzwi skarbcza, otwarte na hol, żeby wywrzeć wrażenie na klientach i zasugerować, że ich oszczędności są w dobrych rękach.

Podszedł do sekretarki.

- Dzień dobry, nazywam się Eliah Ruskin. Jestem umówiony

o drugiej trzydzieści z panem Cardozą.

Siwiejąca kobieta po pięćdziesiątce uśmiechnęła się i wstała bez słowa. Podeszła do drzwi z napisem „Albert Cardoza, kierownik” namalowanym na górnej części szyby z mrożonego szkła,

zapukała i zajrzała do środka.

- Pan Eliah Ruskin do pana.

Cardoza szybko wstał i wyszedł zza biurka. Wyciągnął rękę i energicznie potrząsnął dłonią Ruskina.

- Bardzo mi miło. Nie mogłem się pana doczekać. Nie co dzień gościmy tu przedstawiciela nowojorskiego banku, który dokonuje tak dużej wpłaty.

Ruskin dźwignął walizkę na biurko Cardozy, otworzył zamki i uniósł wieko.

- Oto pół miliona dolarów w gotówce do pozostawienia w de pozycie do czasu, aż zdecydujemy się je podjąć.

Cardoza popatrzył z czcią na starannie zapakowane pliki pięćdziesięciodolarowych banknotów z certyfikatem złota, jakby były jego przepustką do ziemi obiecanej bankierów. Potem podniósł wzrok z rosnącym zaskoczeniem.

- Nie rozumiem. Dlaczego nie czek kasjerski, zamiast pięciuset tysięcy dolarów w walucie?

- Dyrektorzy nowojorskiego banku Hudson River wolą transakcje gotówkowe. Jak pan wie z naszej korespondencji, zamierzamy otworzyć filie na Zachodzie w miastach, które według nas mają możliwości rozwoju. Uznaliśmy, że wygodnie będzie mieć pieniądze pod ręką, kiedy otworzymy nasze placówki.

Cardoza spojrział na Ruskina z niepokojem.

- Mam nadzieję, że pańscy dyrektorzy nie zamierzają otwierać konkurencyjnego banku w Salt Lake City.

Ruskin uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową.

- W Phoenix w Arizonie i w Reno w Nevadzie powstaną pierw sze filie banku Hudson River na Zachodzie.

Cardozie wyraźnie ulżyło.

- Phoenix i Reno z pewnością nieźle prosperują.

- Czy w Salt Lake zdarzył się kiedykolwiek napad na bank? - spytał od niechcienia Ruskin, spoglądając na skarbiec.

Cardoza zrobił lekko zdziwioną minę.

- W tym mieście nigdy. Jego mieszkańcy by na to nie pozwolili. Salt Lake jest jednym z najbezpieczniejszych miast w kraju. Mormoni to prawi i religijni ludzie. Proszę mi wierzyć, panie Ruskin, że żaden bandyta nie odważyłby się napadać na ten bank. Pańskie pieniądze będą w stu procentach bezpieczne, gdy tylko zamkniemy je w skarbcu.
- Czytałem o pewnym mężczyźnie nazywanym Rzeźnikiem, który rabuje i morduje w zachodnich stanach.
- Bez obaw, zdarza się to tylko w małych górniczych miastach, gdzie kradnie pieniądze na wypłaty. Nie byłby na tyle głupi, żeby napadać na bank w tak dużym mieście jak Salt Lake. Zanim zdążyłby przekroczyć granice miasta, zostałby zastrzelony przez policję.

65

5 - Pościg

Ruskin wskazał głową skarbiec.

- Robi wrażenie.
- To najlepszy skarbiec na zachód od Missisipi, wykonany specjalnie dla nas w Filadelfii - odrzekł dumnie Cardoza. - Pułk wojska uzbrojony w armaty nie zdołałby włamać się do środka.
- Widzę, że jest otwarty w godzinach pracy.
- A czemu nie? Nasi klienci lubią widzieć, jak dobrze są chronione ich pieniądze. I jak wspomniałem, żaden bank nie został nigdy ograbiony w Salt Lake City.
- Kiedy jest tu naj mniej szy ruch?

Cardoza nie zrozumiał.

- Najmniej ruch?
- O jakiej porze dnia macie najmniej interesantów?

- Wczesnym popołudniem, między pierwszą trzydzieści a drugą. Większość naszych klientów wraca wtedy do swoich biur po przerwie na lunch. A ponieważ zamykamy o trzeciej, sporo interesantów przychodzi w ostatniej chwili. Dlaczego pan pyta?

- Jestem po prostu ciekaw, jak to wygląda w porównaniu z naszym nowojorskim bankiem. Wydaje się, że podobnie. - Ruskin poklepał walizkę. - Zostawię w niej pieniądze i zabiorę ją jutro.

- Niedługo zamykamy, ale każę mojemu zastępcy przeliczyć je jutro z samego rana.

Cardoza otworzył szufladę biurka, wyjął skórzaną księgę i wypisał dowód wpłaty pięciuset tysięcy dolarów. Wręczył dokument Ruskinowi, a ten wsunął go do dużego portfela, który nosił w wewnętrznej kieszeni surduta.

- Mógłbym o coś poprosić? - zapytał Ruskin.

- Naturalnie. Czym mogę służyć?

- Chciałbym być do dyspozycji przy liczeniu pieniędzy.

- To bardzo uprzejme z pana strony, ale jestem pewien, że pański bank wyliczył kwotę co do dolara.

- Jestem wdzięczny za zaufanie, ale chciałbym być obecny po prostu na wszelki wypadek.

Cardoza wzruszył ramionami.

- Jak pan sobie życzy.

- Mam jeszcze jedną prośbę.

- Tak?

- Muszę coś załatwić jutro rano i będę wolny dopiero o pierwszej trzydzieści. A ponieważ wtedy macie najmniejszy ruch, chyba byłoby najwygodniej przeliczyć pieniądze właśnie o tej porze.

Cardoza skinął głową na znak zgody.

- Ma pan całkowitą rację. - Wstał i wyciągnął rękę. - Zatem do jutrzejszego popołudnia.

Ruskin uniósł laskę w pożegnalnym geście i wyszedł z gabinetu Cardozy. Minął strażnika, który

nawet na niego nie zerknął, i machnął laską jak batutą, gdy znalazł się na chodniku.

Uśmiechnął się pod nosem. Nie zamierzał wracać do banku tylko po to, by przeliczyć zawartość walizki.

Następnego popołudnia w drodze do banku Ruskin starał się być widoczny w tłumie na ulicy. Wstępował do sklepów, oglądał towary i gawędził ze sprzedawcami. Niósł swoją strzelającą laskę bardziej jako rekwizyt niż do obrony.

Dotarł do Salt Lake Bank & Trust o pierwszej trzydziści, wszedł, zignorował strażnika i przekreślił klucz w zamku frontowych drzwi. Potem odwrócił tabliczkę w oknie napisem „Zamknięte” do zewnątrz i opuścił zasłony. Znudzony strażnik siedział otępiały i nie miał pojęcia, że bank zaraz zostanie obrabowany. Ani sekretarka Alberta Cardoza, ani kasjerzy i interesantka przy ladzie nie zauważyli dziwnych poczynań przybysza.

Strażnik w końcu się ocknął i uświadomił sobie, że Ruskin nie zachowuje się jak normalny klient banku i może mieć nieczyste zamiary. Wstał, położył rękę na kaburze z rewolwerem Smith & Wesson kaliber 9 milimetrów i zapytał ostrym tonem:

- Co pan wyrabia?

Potem wytrzeszczył oczy z przerażenia, gdy zobaczył przed sobą wylot lufy colta.

- Nie stawiaj oporu i wejdź powoli za kontuar! - rozkazał Ruskin, owijając broń starym, grubym wełnianym szalikiem z wypalonymi dziurami. Znalazł się za ladą, zanim kasjerzy w swoich boksach zorientowali się w sytuacji i zdążyli sięgnąć po strzelby u ich stóp. Nie oczekiwali napadu na bank i zawahali się zdezorientowani.

- Nawet nie myślcie o broni! - warknął Ruskin. - Kładźcie się płasko na podłodze, bo inaczej dostaniecie kulę w łeb. - Wskazał laską przerażoną kobietę przy kontuarze. - Chodź tutaj i dołącz do nich, to nic ci się nie stanie. - Machnął bronią w kierunku sekretarki Cardoza. - Ty też! Na podłogę!

Kiedy wszyscy leżeli twarzami w dół na lśniącej mahoniowej podłodze, zapukał do gabinetu Cardoza. Kierownik banku nie rozróżniał słów za drzwiami swojego pokoju i nie miał pojęcia, jaki dramat rozgrywa się tuż obok. Czekał z przyzwyczajenia, aż wejdzie jego sekretarka, ale się nie zjawiała. W końcu, poirytowany, że ktoś mu przeszkadza, wyszedł zza biurka i otworzył drzwi. Dopiero po całych dziesięciu sekundach pojął, co widzi. Popatrzył na Ruskina i broń w jego rękę.

- Co to ma znaczyć? - zapytał ostro. Potem zobaczył leżących na podłodze ludzi i z powrotem przeniósł zdezorientowane spojrzenie na Ruskina. - Nie rozumiem. Co się dzieje?

- Pierwszy napad na bank w Salt Lake City - odparł Ruskin, jakby z rozbawieniem.

Cardoza się nie poruszył. Zamarł, zaszokowany.

- Jest pan dyrektorem szacownej nowojorskiej instytucji finansowej. Dlaczego pan to robi? To nie ma sensu. Co pan chce przez to zyskać?

- Mam swoje powody - odparł Ruskin zimnym bezbarwnym głosem. - Chcę, żeby pan wystawił przekaz bankowy na czterysta siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

Cardoza popatrzył na niego jak na wariata.

- Przekaz bankowy dla kogo?

- Dla Eliaha Ruskina, a dla kogo? - odpowiedział Ruskin. -I niech pan się pośpieszy.

Oszołomiony Cardoza otworzył szufladę, wyciągnął księgę z przekazami bankowymi i szybko wypisał jeden na sumę, której zażądał Ruskin. Kiedy skończył, podał dokument przez biurko Ruskinowi, który wsunął go do wewnętrznej kieszeni.

- A teraz na podłogę.

Jak w koszmarnym śnie, Cardoza położył się wolno obok drżącej sekretarki.

- Nie ruszajcie się, dopóki nie powiem.

Ruskin wszedł do skarbcza i zaczął wpychać banknoty do skórzanych sakw na pieniądze, które widział wcześniej na półce za progiem wielkich pięciotonowych drzwi. Nappełnił dwie z nich i ocenił łup na jakieś dwieście trzydzieści tysięcy dolarów. Wziął tylko większe nominały, od dziesięciu dolarów wzwyż. Dobrze to zaplanował. Wiedział z wewnętrznych informacji bankowych, że Salt Lake Bank & Trust otrzymał duży transport gotówki z Continental & Commercial National Bank of Chicago na uzupełnienie rezerw. Walizkę z własnymi pieniędzmi zostawił na innej półce w skarbcu.

Odłożył na bok sakwy i zamknął drzwi skarbcza. Zatrzasnęły się tak lekko jak drzwiczki szafki kuchennej. Obrócił koło ryglujące i ustawił zegar na dziewiątą rano następnego dnia.

Bez pośpiechu, jakby był na przechadzce w parku, wszedł za kontuar i z zimną krwią wypalił każdej z leżących na podłodze osób w tył głowy. Przytłumione strzały padły tak szybko, że nikt nie zdążył nawet krzyknąć. Potem podniósł zasłony okienne, żeby ludzie przechodzący ulicą widzieli, że skarbiec jest zamknięty i myśleli, że bank jest nieczynny. Ciała leżały niewidoczne za kontuarem.

Ruskin zaczekał, aż na zewnątrz nie będzie przechodniów ani pojazdów, po czym wyszedł nonszalancko z banku, zamknął drzwi na klucz i poszedł wolno ulicą, wymachując laską. O czwartej wrócił do hotelu Peery, wziął kąpiel i udał się na dół do restauracji, gdzie zjadł dużą porcję wędzonego łososia w sosie koperkowym i kawioru, popijając francuskim burgundem Clos de la

Roche rocznik 1899. Potem czytał w holu przez godzinę, wreszcie położył się do łóżka i spał jak zabity.

Późnym rankiem Ruskin pojechał taksówką do Salt Lake Bank & Trust. Tłum ludzi otaczał drzwi frontowe, gdy ambulans odjeżdżał sprzed budynku. Roilo się od policjantów w mundurach. Ruskin przepchnął się przez tłum, zobaczył mężczyznę ubranego jak detektyw i skierował się ku niemu.

- Co tu się stało? - zapytał uprzejmie.
- Ktoś obrabował bank i zabił pięć osób.
- Obrabował i zabił, mówi pan? To katastrofa! Wpłaciłem tu wczoraj pół miliona dolarów gotówką z mojego banku w Nowym Jorku.

Detektyw spojrzał na niego z zaskoczeniem.

- Pół miliona dolarów, powiada pan? W gotówce?
- Tak, mam tu potwierdzenie. - Ruskin pokazał detektywowi dokument. Detektyw studiował go przez chwilę, po czym zapytał: - Pan jest Eliah Ruskin?
- Zgadza się. Reprezentuję nowojorski bank Hudson River.
- Pół miliona dolarów w gotówce! - wykrzyknął detektyw. - Nic dziwnego, że bank został obrabowany. Niech pan lepiej wejdzie do środka, panie Ruskin, i porozmawia z panem Ramsdellem, jednym z dyrektorów banku. Nazywam się John Casale, jestem kapitanem policji w Salt Lake City.

Zwłoki zabrano, ale na mahoniowej podłodze widniały duże plamy

zakrzepłej krwi. Kapitan Casale zaprowadził Ruskina do wielkiego grubego mężczyzny z wystającym brzuchem, który rozsadał mu kamizelkę z dewizką. Mężczyzna siedział za biurkiem Cardozy i studiował depozyty bankowe. Był łysy i miał piwne oczy. Podniósł wzrok i spojrzał na Ruskina, niezadowolony, że ktoś mu przeszkadza.

- To jest pan Eliah Ruskin - oznajmił Casale. - Mówi, że wczoraj zdeponował pół miliona dolarów u pana Cardozy.

- Przykro mi, że poznajemy się w takich smutnych okolicznościach. Jestem Ezra Ramsdell, dyrektor naczelny banku. - Ramsdell wstał i uścisnął Ruskinowi dłoń. - Straszna tragedia - mruknął. - Pięć osób nie żyje. Nic takiego nie zdarzyło się dotąd w Salt Lake City.

- Wiedział pan, że pan Cardoza trzymał tu pieniądze mojego banku? - spytał beznamiętnie Ruskin.

Ramsdell skinął głową.

- Tak, zatelefonował do mnie z wiadomością, że ulokował pan gotówkę swojego banku w naszym skarbcu.

- Ponieważ pan Cardoza, Panie świeć nad jego duszą, wystawił mi dowód wpłaty, moi dyrektorzy będą oczekiwali, że pański bank pokryje stratę.

- Proszę im przekazać, żeby się nie martwili.

- Ile gotówki skradziono? - zapytał Ruskin.

- Dwieście czterdzieści pięć tysięcy dolarów.

- I moje pół miliona - dodał Ruskin, jakby wzburzony.

Ramsdell spojrzał na niego dziwnie.

- Z jakiegoś niezrozumiałego powodu nie wziął pańskich pieniędzy.

Ruskin udał zaskoczonego.

- Co pan mówi?
- Banknoty w dużej brązowej skórzanej walizce są pańskie? -spytał kapitan Casale.
- Z certyfikatami złota? Tak, pochodzą z nowojorskiego banku, który reprezentuję.

Ramsdell i Casale wymienili zaskoczone spojrzenia.

- W pańskiej walizce, którą pan i pan Cardoza umieściliście w skarbcu, nadal są pieniądze - powiedział Ramsdell.
- Nie rozumiem.
- Złodziej jej nie tknął. Otworzyłem ją i sprawdziłem to osobiście. Pańskie banknoty z certyfikatami złota nie zostały skradzione i są bezpieczne.

Ruskin odegrał zdumionego.

- To bez sensu. Dlaczego zabrał wasze pieniądze, a zostawił moje?

Casale podrapał się za uchem.

- Przypuszczam, że się śpieszył i po prostu zignorował walizkę, nawet nie podejrzewając, że jest w niej majątek w gotówce.
- Co za ulga. - Ruskin zdjął cylinder i niby startł pot z czoła. -Zakładam, że złodziej nie wróci, więc zostawię pieniądze w pańskim skarbcu do czasu, aż będą nam potrzebne na otwarcie nowych filii w Phoenix i Reno.
- Jesteśmy bardzo wdzięczni. Zwłaszcza teraz, gdy straciliśmy całą tutaj szą gotówkę.

Ruskin spojrzał na zakrzepłą krew na podłodze.

- Nie będę przeszkadzał w śledztwie. - Skinął głową do Casa-le'a. - Ufam, że złapie pan zabójcę i że go powieszą.
- Przysięgam, że go wytropimy - odparł Casale z przekonaniem.

- Wszystkie drogi wylotowe z Salt Lake i stacje kolejowe są obstawione przez policję. Nie wydostanie się z miasta.

- Życzę szczęścia - powiedział Ruskin. - Modłę się, byście go schwytali. - Zwrócił się do Ramsdella: - Będę w hotelu Peery do jutrzejszego popołudnia, gdybym był potrzebny. O czwartej mam pociąg do Phoenix, gdzie nadzoruję zakładanie naszego nowego banku.

- Jest pan bardzo uprzejmy - odrzekł Ramsdell. - Serdecznie dziękuję. Skontaktuję się z panem, jak tylko wznowimy działalność.

- Nie ma za co. - Ruskin odwrócił się, żeby wyjść. - Powodzenia, kapitanie.

Ruszył do frontowych drzwi.

Casale obserwował przez okno, jak Ruskin przechodzi przez ulicę i zmierza w kierunku taksówki.

- Bardzo dziwne - odezwał się wolno. - O ile wiem, najbliższy pociąg do Phoenix jest dopiero za trzy dni.

Ramsdell wzruszył ramionami.

- Pewnie go źle poinformowano.

- Mimo to coś w tym człowieku nie daje mi spokoju.

- Co takiego?

- Nie wyglądał na szczerze uradowanego, że złodziej nie zabrał pieniędzy jego banku. Prawie tak, jakby wiedział, że są bezpieczne, zanim tu wszedł.

- Czy to ważne? - zapytał Ramsdell. - Ruskin powinien się cieszyć, że przeoczył jego pół miliona dolarów.

Detektyw się zamyślił.

- Skąd pan wie, że to jest pół miliona? Liczył pan?

- Pan Cardoza musiał to zrobić.

- Jest pan pewien?

Ramsdell skierował się z gabinetu do skarbcza.

- Możemy to szybko sprawdzić.

Otworzył walizkę i zaczął układać pliki pieniędzy na półce obok. Na wierzchu było dwadzieścia tysięcy dolarów w banknotach z certyfikatami złota. Resztę walizki wypełniały starannie pocięte gazety w opaskach.

- Wielki Boże! - wykrzyknął Ramsdell. Potem, jakby go olśniło, wpadł z powrotem do gabinetu kierownika banku i otworzył leżącą na biurku księgę. Zawierała przekazy bankowe, ale ostatniego brakowało i nie został wpisany. Ramsdell zbladł. - Ten zbrodniarz najwyraźniej zmusił Cardozę do wystawienia mu przekazu na pół miliona. Każdy bank, w którym go przedstawi, uzna, że to autoryzowaliśmy i zażąda wypłaty z Salt Lake Bank & Trust. Zgodnie z prawem federalnym jesteśmy obowiązani to honorować. Jeśli odmówimy, czekają nas procesy sądowe, agenci Departamentu Skarbu Stanów Zjednoczonych wniosą oskarżenie... Będziemy musieli zamknąć bank.

- Ruskin to nie tylko oszust - oświadczył zdecydowanie Casale. - To on pana obrabował i zamordował pańskich pracowników i klientkę.

- Nie mogę w to uwierzyć - mruknął Ramsdell. Potem zażądał: - Niech pan go zatrzyma! Musi go pan złapać, zanim wymelduje się z hotelu.

- Wyślę oddział do Peery - odpowiedział Casale. - Ale ten człowiek nie jest błaznem. Prawdopodobnie uciekł, gdy tylko stąd wyszedł.

- Nie może pan pozwolić mu się wymknąć po tym, co zrobił.

- Jeśli to Rzeźnik, to jest diabelnie przebiegły i znika jak duch.

W oczach Ezry Ramsdella pojawił się chytry błysk.

- Musi przedstawić przekaz w jakimś banku. Zatelegrafuję do kierowników wszystkich banków w kraju, żeby uważali na niego i skontaktowali się z policją, zanim honorują przekaz na pół miliona dolarów wystawiony na Eliaha Ruskina. Nie ujdzie mu to na sucho.
- Nie jestem taki pewien - mruknął pod nosem John Casale.

Bell pomyślał, że Rzeźnik jest daleko przed nim, gdy pociąg zwolnił i zatrzymał się na stacji w Rhyolite. Dostał od Van Dorna długi telegram z opisem masakry w Salt Lake, gdy sprawa stała się znana. Ani on, ani nikt inny nie spodziewał się, że Rzeźnik napadnie na bank w mieście tak dużym jak Salt Lake. Postanowił, że tam zrobi następny postój.

Wysiadł z wagonu ze skórzaną torbą, w której miał tylko rzeczy niezbędne w podróży. Skwar pustyni uderzył go jak żar z hutniczego pieca, ale ponieważ powietrze było suche, jego koszula nie przesiąkła potem.

Zapytał naczelnika stacji o drogę i udał się do biura szeryfa i aresztu. Szeryf Marvin Huey był średniego wzrostu i średniej budowy; miał zmierzwione siwe włosy. Podniósł wzrok znad stosu listów gończych i spojrzał łagodnymi piwnymi oczami na Bella, który wszedł do biura.

- Nazywam się Isaac Bell, jestem z Agencji Detektywistycznej Van Dorn.

Huey żuł tytoń. Nie wstał ani nie wyciągnął ręki, tylko strzyknął śliną do spluwaczki.

- Powiedziano mi, że przyjedzie pan pociągiem o dziesiątej. Jak się panu podoba nasza piękna pogoda?

Bell usiadł bez zaproszenia na krzesło naprzeciwko szeryfa.

- Wolę chłód wysoko położonego Denver.

Huey uśmiechnął się lekko, widząc dyskomfort Bella.

- Gdyby pan pomieszkał tu dłużej, może polubiłby pan upał.

- Telegrafowałem do pana w sprawie mojego śledztwa - zaczął Bell bez wstępów. - Chciałbym uzyskać jakiegokolwiek informacje przydatne przy tropieniu Rzeźnika.

- Mam nadzieję, że będzie pan miał więcej szczęścia niż ja. Po zabójstwach znaleźliśmy tylko zdezelowany wóz konny, którym wjechał do miasta.

- Czy ktoś dobrze się mu przyjrzał?

Szeryf zaprzeczył ruchem głowy.

- Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Trzy osoby podały różne rysopisy. Mój oddział pościgowy nie trafił na żadne ślady wozu, konia ani samochodu prowadzące z miasta.

- A co z koleją?

Huey znów pokręcił głową.

- Żaden pociąg nie odszedł z miasta przez osiem godzin. Wysłałem ludzi na stację, żeby przeszukali wagony osobowe przed odjazdem, ale nie natknęli się na nikogo podejrzanego.

- A pociągi towarowe?

- Moi zastępcy mieli na oku jedyny, który odjechał z miasta tamtego dnia. Ani oni, ani maszynista, palacz i hamulcowi nie widzieli nikogo ukrywającego się w wagonach albo wokół nich.

- Jaką ma pan teorię na temat bandyty? - zapytał Bell. - Jak pańskim zdaniem udało mu się zniknąć?

Huey znów strzyknął śliną do mosiężnej spluwaczki.

- Poddałem się. Przykro mi to mówić, ale nie mam pojęcia, jak zdołał się wymknąć mnie i moim zastępcom. Wyznam szczerze, że bardzo mnie to gnębi. Strzegę prawa od trzydziestu lat i pierwszy raz przestępca mi uciekł.

- Pocieszę pana, że umknął również szeryfom i policjantom w innych

miastach, gdzie obrabował banki.

- Mimo to nie mam z czego być dumny - mruknął Huey.
- Za pańskim pozwoleniem chciałbym przesłuchać tych trzech świadków.
- To strata czasu.

Bell nie ustępował.

- Mógłbym dostać ich nazwiska? Muszę wykonać swoje za danie.

Huey wzruszył ramionami, zapisał trzy nazwiska i adresy na odwrocie jakiegoś listu gończego i wręczył go Bellowi.

- Znam te osoby. To porządni, uczciwi obywatele, którzy wierzą w to, co widzieli, nawet jeśli nie pasuje to do całej reszty.
- Dziękuję, szeryfie, ale mam obowiązek zbadać każdy trop, bez względu na to, jak mało istotny się wydaje.

Huey się ożywił.

- Niech pan da mi znać, gdybym mógł jeszcze w czymś pomóc.
- Jeśli tylko zajdzie taka potrzeba - odrzekł Bell.

Bell spędził prawie cały następny poranek, odszukując i przepytując osoby z listy otrzymanej od szeryfa Hueya. Uchodził za specjalistę od rysopisów podawanych przez świadków, ale tym razem mu się nie poszczęściło. Relacje dwóch mężczyzn i jednej kobiety nie zgadzały się ze sobą. Szeryf Huey miał rację. Bell pogodził się z porażką, wrócił do hotelu i przygotował do wyjazdu do następnego miasta na swojej trasie, gdzie zdarzyła się podobna tragedia: Bozeman w Montanie.

Siedział w hotelowej restauracji i jadł gulasz jagnięcy na wczesną kolację, gdy wszedł szeryf i usiadł przy jego stoliku.

- Mogę coś panu zamówić? - zapytał uprzejmie Bell.

- Nie, dziękuję. Szukałem pana, bo pomyślałem o Jackiem Rugglesie.
- A kto to taki?
- Pewien chłopiec około dziesięcioletni. Jego ojciec pracuje w kopalni, a matka bierze pranie. Powiedział, że w dniu napadu widział dziwnego mężczyznę, ale zlekceważyłem podany przez niego rysopis. Nie jest najbystrzejszym dzieciakiem w mieście. Przypuszczałem, że chce zaimponować kolegom tym, że widział bandytę.
- Chciałbym go przesłuchać.
- Niech pan dojdzie Trzecią ulicą do Menlo i skęci w prawo. Mieszka w drugim domu po lewej, w ruderze, która wygląda, jakby w każdej chwili mogła się zawalić, podobnie jak inne budynki w tamtej okolicy.
- Jestem zobowiązany.
- Nie dowie się pan od niego więcej niż od innych, pewnie nawet mniej.
- Muszę być optymistą - odrzekł Bell. - Jak mówiłem, trzeba sprawdzić każdy trop, nawet pozornie nieważny. Agencji Detektywistycznej Van Dorn zależy na schwytaniu zabiójcy tak samo jak panu.
- Może pan wstąpić do sklepu i kupić żelki - podsunął szeryf Huey. - Jackie za nimi przepada.

Wygląd domu Rugglesów zgadzał się z opisem Hueya. Drewniany budynek był przechylony na bok. Jeszcze pięć centymetrów, pomyślał Bell, i runie na ulicę. Patrzył w górę rozchwianych schodów, gdy jakiś chłopiec wypadł przez frontowe drzwi i pobiegł w kierunku ulicy.

Bell złapał go za ramię, zanim ten zdążył czmychnąć.

- Ty jesteś Jackie Ruggles? Chłopiec ani

trochę się nie przestraszył.

- A kto pyta? - zapytał czupurnie.

- Nazywam się Bell i jestem z Agencji Detektywistycznej Van Dorn. Chciałbym cię zapytać o to, co widziałeś w dniu napadu na bank.

- Van Dorn - powtórzył z podziwem Jackie. - Rety, jesteście sławni. Detektyw od Van Dorna chce ze mną pogadać?

- Zgadza się - przytaknął Bell i zarzucił przynętę. - Miałbyś ochotę na żelki?

Wyjął torebkę, którą właśnie kupił.

- O rany, dziękuję panu. - Jackie Ruggles bez wahania chwycił torebkę i zaczął się delektować zielonym żelkiem. Był w bawełnianej koszuli, spodniach uciętych powyżej kolan i znoszonych czarnych skórzanych półbutach, zapewne po starszym bracie. Ubranie miał całkiem czyste, jak przystało na syna praczki. Był chudy jak patyk, piegowaty i miał gęste, nieuczesane, kręcone jasnobrązowe włosy.

- Wiem od szeryfa Hueya, że widziałeś bankowego złodzieja.
- Ma się rozumieć - odparł chłopiec, żując żelka. - Tylko nikt mi nie wierzy.
- Ja owszem - zapewnił go Bell. - Powiedz mi, co widziałeś.

Jackie chciał sięgnąć do torebki po następnego żelka, ale Bell go powstrzymał.

- Dostaniesz je, jak mi powiesz, co wiesz.

Chłopiec się naburmuszył, ale wzruszył ramionami.

- Grałem w baseball na ulicy z kolegami, kiedy ten starszy gość...
- Ile mógł mieć lat?

Jackie przyjrzał się uważnie Bellowi.

- Mniej więcej tyle, co pan.

Trzydziestoletni Bell nigdy nie uważał się za starszego człowieka, ale w oczach dziesięciolatka musiał za takiego uchodzić.

- Mów dalej.
- Był ubrany jak większość tutejszych górników, ale miał duży kapelusz jak Meksykanie.
- Sombrero.

- Chyba tak to się nazywa. I niósł na ramieniu ciężki worek, jakby pełny.
- Co jeszcze zauważyłeś?
- Nie miał małego palca u ręki.

Bell zeszywniał. To była pierwsza wskazówka dotycząca tożsamości zabójcy.

- Jesteś pewien?
- Jak tego, że tu stoję - odpowiedział Jackie.
- U której ręki? - zapytał Bell, opanowując rosnące podniecenie.
- U lewej.
- Nie masz żadnych wątpliwości, że to była lewa ręka?

Jackie tylko pokręcił głową, patrząc łakomie na torebkę żelków.

- Spojrzał na mnie, jakby się wściekł, kiedy zauważył, że mu się przyglądam.
- Co się potem stało?
- Musiałem łapać piłkę. Kiedy się obejrzałem, już zniknął.

Bell poklepał Jackiego po głowie, jego dłoń omal nie zniknęła

w niesfornej rudej czuprynie. Uśmiechnął się.

- Zajadaj swoje żelki, ale ja na twoim miejscu żułbym je wol no, żeby na dłużej starczyły.

Po opuszczeniu hotelu Rhyolite i przed podróżą pociągiem Bell zapłacił telegraficznie na stacji za wysłanie do Van Dorna wiadomości z informacją, że Rzeźnikowi brakuje małego palca u lewej ręki. Wiedział, że Van Dorn szybko przekaże armii swoich agentów polecenie, żeby uważali i meldowali, jeśli zobaczą takiego mężczyznę.

Zamiast wrócić do Denver, wybrał się pod wpływem chwili do Bisbee w nadziei, że może znów dopisze mu szczęście i zdobędzie następną wskazówkę dotyczącą bandyty. Oparł się wygodnie na siedzeniu i ledwo zauważał, że pustynny skwar przypieka wewnątrz pulmanowskiego wagonu.

Pierwsza konkretna wskazówka dostarczona przez wychudłego chłopca to jeszcze nie przełom, pomyślał, ale dobry początek. Był z siebie zadowolony, że czegoś się dowiedział, i zaczął sobie wyobrażać dzień, kiedy stanie twarzą w twarz z przestępcą i zidentyfikuje go na podstawie brakującego palca.

Pościg przyśpiesza

4 marca 1906 San Francisco, Kalifornia

Mężczyzna, który ostatnio przedstawiał się jako Ruskin, stał przed ozdobną mosiężną umywalką i, patrząc w duże owalne lustro, golił się zwykłą brzytwą. Kiedy skończył, opłukał twarz i zwilżył drogą francuską wodą kolońską. Potem chwycił się umywalki, gdy jego wagon towarowy nagle zahamował.

Podszedł do okna, zamaskowanego z zewnątrz tak, że wyglądało jak część drewnianej ściany wagonu, uchylił je ostrożnie i wyjrzał. Parowa lokomotywa manewrowa przepchnęła dziesięć odczepionych wagonów towarowych, łącznie z wagonem Firmy Meblarskiej O'Brian, przez rozległy budynek terminalu kolei Southern Pacific nazywany Falochronem Oakland. Wielką przystań promową wzniesiono na palach, kamieniu i skale w zatoce San Francisco po zachodniej stronie miasta Oakland. Promy dopływały do slipu na zachodnim końcu głównego budynku między dwiema wieżami, z których kierowano załadunkiem i rozładunkiem wielkiej floty kursującej przez zatokę do San Francisco i z powrotem.

Ponieważ Falochron Oakland znajdował się na końcu transkontynentalnej linii kolejowej, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę roiło się tam od pasażerów przybywających ze wschodu i wyruszających przez kontynent w przeciwnym kierunku. Pociągi

osobowe mijały się z towarowymi. W roku 1906 panował tam stale duży ruch, bo interesy w miastach nad zatoką szły dobrze. San

Francisco było kwitnącym ośrodkiem handlowym, a wiele produktów wytwarzano w Oakland.

Ruskin sprawdził w rozkładzie jazdy, że jego sprytnie zamaskowany środek transportu jest na pokładzie „San Gabriela”, należącego do kolei Southern Pacific promu do przewozu pociągów towarowych i osobowych. Po obu stronach dziobu i rufy wznosiły się sterówki, boczne koła łopatkowe napędzały dwa silniki parowe z oddzielnymi kominami. Jak na wszystkich promach kolejowych, przez główny pokład biegły równoległe tory dla wagonów towarowych, pasażerowie zaś zajmowali kajuty powyżej. „San Gabriel” mierzył prawie pięćdziesiąt metrów długości, niecałe dwadzieścia cztery szerokości, mógł przewozić pięćuset pasażerów i dwadzieścia wagonów.

Celem jego podróży była stacja końcowa kolei Southern Pacific u zbiegu Townsend Street i Trzeciej ulicy, gdzie mieli wysiąść pasażerowie, a następnie nabrzeże numer 32 u zbiegu Townsend i King Street, skąd wagony miały być zabrane do depo między ulicami Trzecią i Siódmą. Tam wagon Firmy Meblarskiej O’Brian miał być skierowany na bocznice przy magazynie należącym do złodzieja w przemysłowej części miasta.

Ruskin wiele razy przepływał zatokę „San Gabrielem” i nie mógł się doczekać powrotu do domu po śmiałym przedsięwzięciu w Salt Lake City. Po falochronie rozeszło się donośne buczenie syreny okrętowej sygnalizującej, że prom odpływa. „San Gabriel” zadrzał, gdy silniki obróciły ponad ośmiometrowe koła łopatkowe, które wzburzyły wodę, i wkrótce statek sunął po gładkiej jak szkło zatoce w kierunku oddalonego o dwadzieścia minut drogi San Francisco.

Ruskin szybko ubrał się w doskonale skrojony czarny garnitur w tradycyjnym stylu. Małą żółtą różę wetknął do butonierki. Włożył zawadiacko melonik i zamszowe rękawiczki. Wziął swoją laskę.

Schylił się, chwycił rączkę klapy w podłodze wagonu i ją otworzył. Wyrzucił dużą, ciężką walizkę przez otwór. Potem opuścił się wolno na pokład między szynami, uważając, by nie ubrudzić sobie

ubrania. Ukucnąwszy pod wagonem, sprawdził, czy nikogo z załogi nie ma w polu widzenia. Nie było, więc wydostał się spod wagonu i wyprostował.

Wspinał się po stopniach na pokład pasażerski, gdy w połowie schodów spotkał schodzącego na dół członka załogi. Mężczyzna przystanął i skinął do niego głową z poważną miną.

- Wie pan, że pasażerom nie wolno przebywać na głównym pokładzie?

- Tak. - Uśmiechnął się. - Zdałem sobie sprawę z własnej pomyłki i, jak pan widzi, właśnie

wracam na pokład pasażerski.

- W takim razie przepraszam, że zwróciłem panu uwagę.
- Nie ma za co. To pański obowiązek.

Ruszył dalej po schodach i wszedł na bogato ozdobiony pokład pasażerski, który zapewniał pasażerom podróż w wielkim stylu. Udał się do restauracji, zamówił przy barze herbatę, wyszedł na odkryty pokład dziobowy i popijał ją, obserwując, jak budynki w San Francisco po drugiej stronie zatoki rosną w oczach.

San Francisco stawało się już fascynującym, romantycznym, kosmopolitycznym miastem. Zyskiwało na znaczeniu od 1900 roku, umacniając swoją pozycję finansowego i handlowego centrum Zachodu. Budowali je dalekowzroczni przedsiębiorcy, tacy jak starannie ubrany mężczyzna stojący na pokładzie z dużą walizką. On, podobnie jak inni, dostrzegł swoją szansę i szybko ją wykorzystał.

Ruskin nigdy nie zwracał sobie głowy konwenansami, więc kiedy dopił herbatę, wyrzucił filiżankę za burtę, zamiast odnosić ją do restauracji. Przyglądał się beczynnie, jak obok statku przelatuje duże stado biegusów, a w ślad za nimi trzy brązowe pelikany szybują tuż nad wodą w poszukiwaniu małych ryb. Potem wmieszał się w tłum i zszedł przednimi schodami na główny pokład, skąd pasażerowie schodzili na nabrzeże przy dużej, ozdobnej zbudowanej w hiszpańskim stylu końcowej stacji Southern Pacific.

Przeszedł szybko przez budynek, taszcząc dużą walizkę, i wyszedł na Townsend Street. Przez kilka następnych minut stał na chodniku i czekał. Uśmiechnął się, gdy biały mercedes sim-plex nadjechał ulicą i zahamował z poślizgiem przy krawężniku przed nim. Pod maską mieścił się potężny czterocyldrowy silnik

o mocy sześćdziesięciu koni mechanicznych, który mógł rozpędzić samochód do prawie stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Pro wadzenie tej wspaniałej maszyny ze stali, mosiądzu, drewna, skóry

1 gumy było prawdziwą przygodą.

Podobnie jak auto, rzucała się w oczy piękna kobieta za kierownicą, smukła i cienka w talii jak osa. Jej płomiennorude włosy zdobiła pasująca do nich wielka czerwona kokarda. Czepek miała zawiązany pod brodą, żeby nie sfrunął, a ubrana była w jasnobraż-zową lnianą sukienkę do połowy łydek, która pozwalała sprawnie obsługiwać pięć pedałów w podłodze. Zdjęła rękę z kierownicy i pomachała.

- Witaj, bracie. Spóźniłeś się półtorej godziny.

- Jak się masz, siostrze. - Uśmiechnął się szeroko. - Mogłem jechać tylko tak szybko, jak na to pozwalał maszynista.

Nadstawiała policzek i cmoknęła ją. Wciągnęła nosem jego zapach. Zawsze używał francuskiej wody kolońskiej, którą mu dawała. Pachniała jak morze kwiatów po lekkim wieczornym deszczu. Gdyby nie był jej bratem, mogłaby mieć z nim romans.

- Przypuszczam, że wyprawa się udała.

- Tak - odrzekł, przypasując walizkę do stopnia samochodu. -

I nie mamy chwili do stracenia. - Usiadł na brązowym skórzanym siedzeniu obok kierowcy. - Muszę zrealizować przekaz bankowy, który dostałem w Salt Lake Bank & Trust, zanim zjawią się ich agenci, żeby wstrzymać przelew.

Wcisnęła sprzęgło sznurowanym, skórzanym, brązowym bucikiem. Zmieniała z wprawą biegi, kiedy auto mknęło ulicą niczym lew w pogoni za zebłą.

- Aż dwa dni zajęła ci podróż tutaj. Nie uważasz, że przeciągasz strunę? Mogli już zawiadomić stróżów prawa i wynająć prywatnych detektywów, żeby szukali we wszystkich bankach w kraju skradzionego przekazu wartego fortunę.

- To wymaga czasu, co najmniej czterdziestu ośmiu godzin - odrzekł, a ponieważ samochód nie miał drzwi, chwycił się boku siedzenia, gdy jego towarzyszka skręciła ostro w lewo w Market

Street. Ledwo zdążył przytrzymać melonik drugą ręką, żeby mu nie sfrunął.

Jechała szybko, na granicy ryzyka, ale zwinnie i gładko wyprzedzała wolniejsze pojazdy z prędkością, która zwracała uwagę i budziła obawy przechodniów. Śmignęła obok dużego, zaprzęzonego w perszerony wozu z piwem, który blokował prawie całą jezdnię, i wcisnęła się na styk między beczki a chodnik pełen pieszych. Pasażer dzielnie pogwizdywał marszową melodię *Garry Owen* i kłaniał się ładnym dziewczynom wychodzącym ze sklepów odzieżowych. Duży elektryczny tramwaj wyłonił się z przodu i kobieta zjechała na przeciwny pas ruchu, żeby go przepuścić. Konie stawały dęba, ich wściekli woźnicy wygrażali jej

pięściami.

Pokonała jeszcze dwie przecznice w kanionie budynków z cegły i kamienia, po czym zahamowała gwałtownie z piskiem tylnych kół przed Cromwell Bank na południowowschodnim rogu ulic Market i Sutter.

- Jesteśmy na miejscu, bracie. Mam nadzieję, że podobała ci się jazda.

- Kiedyś się zabijesz.

- To będzie twoja wina - odparła ze śmiechem. - Ty mi podarowałeś ten samochód.

- Dam ci za niego mojego harleya-davidsona.

- Nie ma mowy. - Zamachała wesoło ręką. - Wróc wcześniej do domu i się nie spóźnij. Jesteśmy umówieni z Gruenheimami w Barbary Coast, żeby się tam poszwendać i obejrzeć jedną z tych nieprzyzwoitych rewii.

- Nie mogę się doczekać - odrzekł sarkastycznie. Wysiadł, odwrócił się i odczepił walizkę. Zauważyła, że podniósł ją z wysiłkiem i wiedziała, że w środku jest mnóstwo pieniędzy ukradzonych z banku w Salt Lake.

Nacisnęła gaz i napędzany łańcuchem mercedes simplex przeciął skrzyżowanie z takim rykiem, że brakowało tylko kilku decybeli, by wyleciały szyby w oknach.

Ruskin odwrócił się i spojrzał z dumą na duży, misternie ozdobiony budynek Cromwell Bank z wysokimi jońskimi kolumnami i wielkimi witrażowymi oknami. Odźwierny w szarym uniformie otworzył przed nim jedne z dużych szklanych drzwi. Był wysoki, siwy i miał żołnierską postawę po trzydziestu latach służby w Kawalerii Stanów

Zjednoczonych.

- Dzień dobry, panie Cromwell. Miło pana widzieć po powrocie z wywczasów.
- Miło być z powrotem, George. Jaka tu była pogoda podczas mojej nieobecności?
- Taka jak dziś, słoneczna i przyjemna. - George spojrział w dół na dużą walizkę. - Mogę to panu zanieść?
- Nie, dziękuję. Poradzę sobie. Wysiłek dobrze mi robi.

Mała mosiężna tabliczka informowała, że aktywa banku to

dwadzieścia dwa miliony dolarów. Niedługo będzie dwadzieścia trzy, pomyślał Cromwell. Tylko pięćdziesięcioletni bank Wells Fargo miał większe aktywa, majątek i płynność środków. George przytrzymał drzwi i złodziej nazwiskiem Cromwell poszedł po marmurowej podłodze przez hol obok pięknie rzeźbionych biurów kierowników, okienek kasjerów i kontuarów bez krat. Całkowicie otwarta dla klientów część z kasami była osobliwym rozwiązaniem u człowieka, który nikomu nie ufał i rabował banki w innych stanach, by budować własne imperium finansowe.

W rzeczywistości Jacob Cromwell nie potrzebował już kraść pieniędzy dla swojego banku. Ale odurzało go to wyzwanie. Uważał się za niepokonanego. Mógł prowadzić wojnę umysłów ze wszystkimi policyjnymi śledczymi, nie wspominając o agentach Van Dorna, aż do śmierci, kiedy będzie już stary. Wiedział od swoich szpiegów, że nikt nie potrafi go zidentyfikować.

Wsiadł do windy i wjechał na drugie piętro. Wyszedł na wyłożoną włoską terakotą podłogę galerii nad holem i przestąpił próg głównego biura, gdzie gruby brązowy dywan tłumiał jego kroki. Na tekowej boazerii wyryto sceny z życia XIX-wiecznego Zachodu, kolumny podpierające strop wyrzeźbiono jak słupy totemowe. Malowidła na wielkim suficie przedstawiały początki San Francisco.

Cromwell zatrudniał trzy sekretarki do prowadzenia interesu

i wielu jego spraw osobistych. Wszystkie były bardzo urodziwe, pełne wdzięku, wysokie, inteligentne i pochodziły z dobrych miejscowych rodzin. Płacił im więcej, niż zarabiałaby u jego konkurentów. Wymagał tylko, by na koszt banku nosiły sukienki w jednakowym stylu i kolorze, co dzień innym. Dziś miały na sobie stroje w brązowej barwie dywanu.

Na widok szefa natychmiast wstały i zebrały się wokół niego, gawędząc wesoło i witając go po powrocie z urlopu, który rzekomo spędził, wędkując w Oregonie. Choć kosztowało go to wiele silnej woli, Cromwell nigdy nie romansował z żadną z nich. Trzymał się konsekwentnie swoich żelaznych zasad dotyczących postępowania na własnym terenie.

Kiedy po uprzejmościach kobiety wróciły za biurka, Cromwell poprosił do swojego gabinetu starszą sekretarkę, która pracowała u niego od dziewięciu lat.

Usiadł za masywnym tekowym biurkiem i postawił pod nim walizkę. Uśmiechnął się do Marion Morgan.

- Jak się pani ma, panno Morgan? Spotyka się pani z jakimś dżentelmenem?

Zarumieniła się.

- Nie, panie Cromwell. Spędzam wieczory w domu na czytaniu.

Marion miała dwadzieścia jeden lat, gdy ukończyła college i zaczęła pracować u Cromwella jako kasjerka. Potem awansowała na kierowniczkę. Właśnie stuknęła jej trzydziestka, nie wyszła jeszcze za mąż i wielu uważało ją za starą pannę. Ale mogłaby usidlić każdego zamożnego mężczyznę w mieście. Niezwykle ponętna, mogła przebierać wśród adoratorów, ale jeszcze nie dokonała wyboru. Była wybredna i jej wyśniony książę z bajki jeszcze się nie zjawił. Jasnoblonde włosy miała upięte zgodnie z modą, łabędzia szyja podkreślała jej urodę, a gorset nadawał figurze kształt klepsydry. Patrzyła na Cromwella ponad biurkiem zielonymi oczami, w delikatnej dłoni trzymała ołówek tuż nad notesem.

- W każdej chwili spodziewam się wizyty przedstawicieli pewnego banku z Salt Lake City, którzy będą chcieli sprawdzić nasze rejestry.

- Obejrzą nasze księgi? - zapytała, jakby lekko zaniepokojona.

Pokręcił głową.

- Nic podobnego. Słyszałem od kolegów bankierów, że obrabowano bank w Salt Lake City i skradzione pieniądze mogły zostać wpłacone do innego banku.

- Życzy pan sobie, żebym się tym zajęła?

- Nie. Proszę po prostu ich zabawiać, dopóki nie będę gotowy do spotkania.

Jeśli Marion miała jakieś pytania co do niejasnego polecenia Cromwella, to nie okazała ciekawości.

- Tak, oczywiście, zadbam o ich wygodę do chwili, dopóki nie zechce pan się z nimi zobaczyć.

- To wszystko - powiedział Cromwell. - Dziękuję.

Gdy tylko Marion wyszła z gabinetu i zamknęła drzwi, sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął przekaz bankowy z Salt Lake Bank & Trust. Potem wstał i podszedł do dużego sejfu, gdzie leżały bankowe rejestry i księgi główne. Szybko i z wprawą sfalszował je tak, żeby z nich wynikało, że przekaz już został przyjęty i pełną kwotę wypłacono Eliahowi Ruskinowi. Dokonał też wpisów, które wskazywały, że pieniądze pochodziły z kapitału płynnego jego banku.

Po sfalszowaniu dokumentów nie musiał długo czekać. Spodziewani goście weszli do sekretariatu dwadzieścia minut później. Marion ich zatrzymała, mówiąc, że pan Cromwell jest bardzo zajęty. Kiedy zadzwiczał mały brzęczyk pod jej biurkiem, wprowadziła ich do jego gabinetu.

Cromwell, trzymając słuchawkę telefonu przy uchu, skinął głową na powitanie i wskazał im krzesła.

- Tak, panie Abernathy, dopilnuję osobiście, żeby pański ra chunek został zamknięty, a fundusze przelane do Bank of Baton Rouge w Luizjanie... Nie ma za co, cieszę się, że mogę być do pańskich usług. Życzę przyjemnej podróży. Do widzenia.

Cromwell odłożył słuchawkę głuchego telefonu, wstał, okrążył biurko i wyciągnął rękę.

- Witam, Jacob Cromwell, prezes tego banku.

- Ci panowie są z Salt Lake City - wyjaśniła Marion. - Życzą sobie zobaczyć się z panem w sprawie przekazu z ich banku. -

Uniosła spódnicę dwa centymetry powyżej kostek, wyszła z gabinetu i zamknęła drzwi.

- Czym mogę służyć? - zapytał uprzejmie Cromwell.

Jeden mężczyzna był wysoki i chudy, drugi niski, krępy i spocony. Wysoki odezwał się pierwszy.

- Nazywam się William Bigalow, a to mój wspólnik, Joseph Farnum. Sprawdzamy, czy jakaś instytucja finansowa w San Francisco nie otrzymała przekazu bankowego na sumę czterystu siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów wystawionego przez Salt Lake Bank & Trust.

Cromwell uniósł brwi z udawanym niepokojem.

- A na czym polega problem?

- Przekaz wypisał pod przymusem kierownik banku, zanim został zastrzelony przez bandytę, który uciekł z dokumentem oraz pieniędzmi z bankowego skarbcza. Poszukujemy tego przekazu.

- Ojej. - Cromwell wyrzucił ręce do góry w geście rozpaczy. - Ten przekaz trafił do nas wczoraj po

południu.

Dwaj mężczyźni znieruchomieli.

- Ma go pan? - zapytał wyczekująco Farnum.

- Tak, jest w sejfie w dziale księgowości. - Cromwell przybrał grobowy ton. - Niestety, honorowaliśmy go.

Bigalow wciągnął gwałtownie powietrze.

- Honorowaliście go! Cromwell

wzruszył ramionami.

- Tak.

- Wystawiliście czek, bez wątpienia - powiedział Farnum w nadziei, że jeszcze nie jest za późno, by uniemożliwić złodziejowi pobranie gotówki w innym banku.

- Nie, dżentelmen, którego nazwisko widniało na przekazie, poprosił o gotówkę i wypłaciliśmy mu ją.

Bigalow i Farnum spojrzeli na Cromwella, zaszokowani.

- Wypłaciliście prawie pół miliona dolarów gotówką komuś, kto wszedł do waszego banku z ulicy? - zapytał Bigalow ze zmarszczonymi brwiami.

- Sprawdziłem przekaz osobiście, kiedy kierownik przyniósł mi go do aprobaty. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku.

Bigalow zrobił nieszczęśliwą minę. To na nim spoczywał obowiązek zawiadomienia dyrektorów Salt Lake Bank, że ich czterysta siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów zniknęło.

- Jakie nazwisko było na przekazie?

- Eliah Ruskin - odrzekł Cromwell. - Ten klient przedstawił dokumenty, że jest założycielem towarzystwa ubezpieczeniowego, które musi wypłacić odszkodowania za straty spowodowane przez pożar w mieście... - Cromwell urwał. - Chyba Bellingham w stanie Waszyngton.

- Może go pan opisać? - spytał Farnum.
- Bardzo dobrze ubrany - odpowiedział Cromwell. - Wysoki blondyn z dużymi jasnymi wąsami. Nie zauważyłem koloru oczu. Ale pamiętam, że miał niezwykłą laskę, ze srebrną głową orła.
- To on, Ruskin - mruknął Farnum.
- Nie tracił czasu - zwrócił się do niego Bigalow. - Musiał złapać pociąg ekspresowy, żeby tu dotrzeć w niewiele ponad jeden dzień.

Farnum popatrzył sceptycznie na Cromwella.

- Nie pomyślał pan, że to astronomiczna suma, żeby ją wypłacić kompletnie obcemu z innego stanu?
- Owszem, ale jak wspomniałem, osobiście sprawdziłem przekaz, żeby mieć pewność, że nie jest sfalszowany. Zapytałem Ruski-na, dlaczego nie poszedł do jakiegoś banku w Seattle, ale odrzekł, że jego firma otwiera filię w San Francisco. Zapewniam panów, że przekaz był autentyczny. Nie widziałem powodu, żeby być podejrzliwym. Wypłaciliśmy pieniądze, choć pozbyliśmy się niemal całej gotówki ze skarbca.
- Bank, który reprezentujemy, nie będzie zadowolony - nadmienił Farnum.
- Niczego się nie obawiam - odparł znacząco Cromwell. - Nie zrobiliśmy nic nielegalnego. Postąpiliśmy zgodnie z zasadami bankowości i przepisami. A co do tego, że Salt Lake Bank & Trust nie wywiąże się ze swoich zobowiązań finansowych, jestem spokojny.

Ich towarzystwo ubezpieczeniowe wypłaci im odszkodowanie za kradzież gotówki. Wiem, że ich aktywa wystarczą aż nadto na pokrycie straty pół miliona dolarów.

- Lepiej chodźmy do najbliższego urzędu telegraficznego i wyślijmy wiadomość do dyrektorów Salt Lake Bank & Trust - powiedział Farnum do Bigalowa, nie odwracając się do niego. - Nie będą zachwyceni.
- Właśnie - przytaknął z powagą Bigalow. - Mogą nie przyjąć tego spokojnie.
- Muszą honorować przekaz, nie mają innego wyjścia. Komisja bankowa uzna roszczenie Cromwell Bank, jeśli dyrektorzy Salt Lake Bank zaprotestują.

Dwaj mężczyźni wstali.

- Będzie nam potrzebne pańskie oświadczenie wyjaśniające okoliczności wypłaty - oznajmił

Cromwellowi Farnum.

- Każę moim prawnikom przygotować je z samego rana.
- Dziękujemy za współpracę.
- Nie ma za co - odrzekł Cromwell, nadal siedząc. - Zrobię, co w mojej mocy, żeby pomóc.

Gdy tylko mężczyźni wyszli, wezwał pannę Morgan.

- Proszę dopilnować, żeby mi nie przeszkadzano przez naj bliższe dwie godziny.

Skinęła głową.

- Oczywiście.

Kiedy zamknęła drzwi, Cromwell odczekał chwilę, po czym podszedł i cicho zamknął je na klucz. Potem dźwignął ciężką walizkę spod biurka na tekowy blat i ją otworzył. Pieniądze leżały luźno w środku, niektóre w plikach owiniętych papierowymi opaskami.

Cromwell zaczął metodycznie liczyć banknoty. Banderolował luźne stosy i notował kwoty. Kiedy skończył, blat jego biurka zapełniały oznaczone paczki gotówki, w sumie dwieście czterdzieści jeden tysięcy dolarów. Starannie ułożył pieniądze z powrotem w walizce, postawił ją pod biurkiem, otworzył kilka ksiąg głównych i powpisywał wpłaty na fikcyjne konta, które kiedyś założył, by ukrywać na nich kradzioną przez lata gotówkę. W ten sposób zgromadził środki potrzebne do otwarcia własnego banku. Zadowolony, że się zabezpieczył, wezwał brzęczykiem pannę Morgan i zakomunikował jej, że jest gotowy, by zająć się codziennymi sprawami związanymi z kierowaniem odnoszącą sukcesy instytucją finansową.

Bank był czynny od godziny dziesiątej rano do trzeciej po południu. Kiedy nadeszła pora zamknięcia, Cromwell zaczekał, aż cały personel pójdzie do domu i drzwi banku zostaną zamknięte. Teraz, sam w ogromnym wnętrzu banku, zwiózł walizkę windą na główny poziom i zaniósł do skarbcza, który pozostawiono otwarty na jego polecenie. Umieścił pliki banknotów w odpowiednich kasetach używanych przez kasjerów do obsługi klientów. Sporządzone przez niego potwierdzenia wpłat miały trafić rano do głównego księgowego, żeby zaksięgować wpływy, nie znając numerów seryjnych.

Jacob Cromwell był z siebie zadowolony. Oszukanie i obrabowanie banku w Salt Lake City było jego najśmielszym przedsięwzięciem. I nie planował tego powtarzać. Zakładał, że wyczyn zmyli ścigających go ludzi. Pomyślał, że się rozzuchwalił i znów napadnie na bank w jakimś dużym mieście. Ale on wiedział, kiedy nie należy kusić losu. Taki rabunek byłby bardzo skomplikowany. Zamierzał dokonać następnego napadu, ale w małym mieście, którego jeszcze nie wybrał.

Po zamknięciu skarbca i ustawieniu zegara sterującego Cromwell zszedł do sutereny i wymknął się na ulicę ukrytymi drzwiami, o których istnieniu wiedział tylko on. Pogwizdując *Yankee Doodle*, zatrzymał dorożkę i kazał się zawieźć na California Street, gdzie wsiadł do tramwaju linowego, by dojechać po stromym zboczu o wysokości stu czternastu metrów do swojego domu na Nob Hill, „wzgórzu pokrytym pałacami”, jak je opisał Robert Louis Stevenson.

Rezydencja Cromwella stała przy malowniczej uliczce o nazwie Cushman Street. Inne pomniki bogactwa wzniesli ci, którzy trafili na żyły złota, a także wielka czwórka twórców kolei Central

Pacific, później Southern Pacific: Huntington, Stanford, Hopkins

i Crocker. Malarz albo projektant uznałby te rezydencje za pretensjonalne architektoniczne monstra.

W przeciwieństwie do innych, zbudowanych z drewna, dom Cromwella i jego siostry Margaret był z kamienia i wyglądał bardziej statecznie, niemal jak biblioteka. Niektórzy uważali, że jest uderzająco podobny do Białego Domu w Waszyngtonie.

Siostra czekała na Cromwella niecierpliwie. Przynaglany przez nią, przygotował się szybko do nocy w Barbary Coast. Tak, istotnie, pomyślał, kiedy wkładał strój wieczorowy, to był udany tydzień. Kolejny sukces umocnił go w coraz silniejszym przekonaniu, że jest niepokonany.

Irvine'owi nie udało się zdobyć numerów seryjnych banknotów w Bozeman. Nie dość, że bank ich nie spisał, to po napadzie wypadł z interesu. Zanim odrobił straty, zbankrutował. Jego założyciel sprzedał to, co mu zostało, łącznie z budynkiem, bogatemu właścicielowi kopalni srebra.

Irvine wybrał się do następnego obrabowanego banku na swojej liście. Pojechał koleją Northern Pacific do górniczego miasta Elkhorn w Montanie, położonego na wysokości tysiąca dziewięć-ciuśet sześćdziesięciu czterech metrów. W dwuipółtysięcznym kwitnącym Elkhorn w latach 1872-1906 wydobyto złoto i srebro

o wartości około dziesięciu milionów dolarów. Bandyta nazywany Rzeźnikiem obrabował lokalny bank trzy lata wcześniej i zostawił cztery trupy.

Tuż przed wjazdem pociągu na stację Irvine po raz dziesiąty, odkąd opuścił Bozeman, przestudiował raport o napadzie w Elkhorn. Sposób działania bandyty był taki sam jak przy wszystkich innych dokonanych przez niego napadach. Przebrany za górnika, wszedł do banku wkrótce po tym, jak dostarczono tam transport pieniędzy na wypłaty dla trzech tysięcy osób zatrudnionych przy wydobywaniu kwarcu. Jak zwykle, nie było świadków napadu. Cztery ofiary - kierownik banku, kasjer i małżeństwo podejmujące gotówkę

- zginęły od strzału w tył głowy z bliskiej odległości. I znów nikt nie słyszał huku broni, a przestępca rozpląnął się w powietrzu.

Irvine zameldował się w hotelu Grand i poszedł do banku Mar-vin Schmidt. Nową nazwę nadał bankowi górnik, który go kupił. Budynek z miejscowego kamienia wzniesiono w typowym dla większości górniczych miast gotyckim stylu. Irvine wszedł drzwiami na rogu ulic Old Creek i Pinon. Kierownik siedział za niską przegrodą blisko potężnego stalowego sejfu z namalowanym wielkim

łosiem stojącym na skalnym występie.

- Pan Sigler? - zapytał Irvine.

Młody człowiek z czarnymi, zaczesanymi do tyłu i wypomadowanymi włosami podniósł wzrok. Miał ciemnozielone oczy i rysy świadczące o tym, że w żyłach jego przodków płynęła indiańska krew. Był w wygodnych bawełnianych spodniach i koszuli z miękkim kołnierzykiem bez krawata. Wziął z biurka okulary i włożył je na nos.

- Tak. Czym mogę służyć?

- Nazywam się Glenn Irvine i jestem z Agencji Detektywistycznej Van Dorn. Prowadzę tu śledztwo w sprawie napadu na bank kilka lat temu.

Sigler natychmiast skrzywił się z niezadowoleniem.

- Nie sądzi pan, że Van Dorn zajmuje się tym trochę za późno? Rabunek i zabójstwa wydarzyły się w 1903 roku.

- Wtedy nie zaangażowano nas do wyjaśnienia sprawy - odparował Irvine.

- Więc dlaczego zjawia się pan teraz?

- Chciałbym dostać numery seryjne skradzionych banknotów, jeśli je zapisano.

- Kto płaci za wasze usługi? - naciskał Sigler.

Irvine rozumiał jego nieufność i niechęć. Pewnie czułby to samo, gdyby był na miejscu kierownika banku.

- Rząd Stanów Zjednoczonych. Chcą położyć kres tym rabunkom i morderstwom.

- Odnoszę wrażenie, że tamtego drania nie można złapać - odparł zimno Sigler.

- Jeśli chodzi na dwóch nogach, to agencja Van Dorna go złapie

- zapewnił Irvine.

- Uwierzę, jak zobaczę - powiedział obojętnie Sigler.

- Mogę zajrzeć do waszego rejestru numerów seryjnych? Jeśli będziemy mieli te ze skradzionych banknotów, dołożymy wszelkich starań, żeby je znaleźć.

- Co panu pozwala przypuszczać, że zostały zapisane?

Irvine wzruszył ramionami.

- Nic. Ale nie zaszkodzi spytać.

Sigler pogrzebał w swoim biurku i wyjął komplet kluczy.

- Wszystkie stare dokumenty bankowe trzymamy w magazynie za budynkiem.

Pokazał Irvine'owi gestem, żeby poszedł za nim, i poprowadził go przez tylne drzwi w kierunku małego kamiennego budynku pośrodku należącego do banku terenu. Drzwi zaskrzypiały głośnie na nienaoliwionych zawiasach. Półki wypełniały rzędy ksiąg głównych i rachunkowych. Mały stół i krzesło stały w głębi pomieszczenia.

- Niech pan usiądzie, panie Irvine, a ja zobaczę, co uda mi się znaleźć.

Irvine nie robił sobie wielkich nadziei. Znalezienie banku, który trzyma rejestr numerów seryjnych banknotów, wydawało się bardzo mało prawdopodobne. To była loteria, ale musieli brać pod uwagę każdą ewentualność. Obserwował, jak Sigler przegląda kilka oprawionych w płótno ksiąg. W końcu otworzył jedną.

- Są - oznajmił triumfalnie. - Zapisane przez naszego księgowego numery seryjne wszystkich banknotów, jakie mieliśmy w skarbcu dwa dni przed napadem. Niektóre oczywiście wypłaciliśmy klientom. Ale większość zabrał złodziej.

Irvine był oszołomiony, kiedy otworzył księgę i popatrzył na kolumny liczb zapisanych starannie na kartkach w linie. Zobaczył numery kilku różnych rodzajów banknotów o dużych nominałach.

97

7 - Pościg

W księdze figurowały numery banknotów z certyfikatami złota i srebra oraz wyemitowanych przez poszczególne banki. Numery seryjne Departamentu Skarbu Stanów Zjednoczonych drukowano pionowo i poziomo na bokach; lokalny bank, który wypuszczał banknoty, dodawał własny numer u

dołu. Większość pochodziła z Continental & Commercial National Bank of Chicago i Crocker First National Bank of San Francisco. Irvine zdobył coś, co przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Uszczęśliwiony spojrział na Siglera.

- Nie ma pan pojęcia, co to znaczy - powiedział. - Teraz możemy przekazać numery skradzionych banknotów każdemu bankowi w kraju, gdzie bandyta mógł je wpłacić. Ulotki z numerami można też dostarczyć kupcom na całym Zachodzie z poleceniem, żeby uważali na takie banknoty.
- Powodzenia - odrzekł pesymistycznie Sigler. - Wątpię, żeby udało wam się je znaleźć po trzech latach. Do tej pory każdy z nich mógł przejść z rąk do rąk już ze sto razy.
- Pewnie ma pan rację, ale jest nadzieja, że złodziej jeszcze je wydaje.

Sigler uśmiechnął się wymuszenie.

- Marna szansa. Założę się o miesięczną pensję, że wydał wszystko dawno temu.

Prawdopodobnie tak, pomyślał Irvine. Ale to go nie zniechęciło. Bell powiedział, że przestępca potknie się na jakimś drobiazgu. Teraz należało tylko wysłać informacje do banków i kupców i liczyć na to, że nadejdzie odpowiedź, która doprowadzi do tajemniczego zabójcy.

Curtis siedział przy stole w dziale archiwów zachodnich w biurze kolei Union Pacific w Omaha w Nebrasce. Otaczały go wysokie półki wypełnione księgami głównymi i rachunkowymi oraz sprawozdaniami z eksploatacji pociągów. W ciągu dziewięciu dni poszukiwań przewertował dokumenty czterech różnych kolei i linii dyliżansowych Wells Fargo, próbując zrozumieć, jak Rzeźnik zdołał uciec, mając na koncie tyle rabunków i ohydnych morderstw w tyłu miej scach.

Nadaremnie. Nic do siebie nie pasowało. Zaczął od dyliżansów. Większość linii zniknęła do 1906 roku. Wells Fargo nadal miała monopol na kursy ekspresowymi drogami lądowymi o długości kilku tysięcy kilometrów w odległych rejonach, gdzie nie docierała żadna kolej. Ale rozkłady jazdy nie pokrywały się z datami zbrodni.

W roku 1906 w całym kraju istniało tysiąc sześćset różnych kolei, a całkowita długość torów wynosiła prawie trzysta pięćdziesiąt cztery tysiące kilometrów. Każda z pięćdziesięciu największych kolei miała tysiąc sześćset kilometrów torów. Curtis zawęził poszukiwania do pięciu przedsiębiorstw. Ich pociągi przejeżdżały przez miasta, gdzie dokonano napadów.

- Napije się pan kawy?

Curtis podniósł wzrok znad rozkładu jazdy i zobaczył twarz niskiego mężczyzny, który mógł mieć najwyżej sto sześćdziesiąt centymetrów. Nazywał się Nicolas Culhane i miał jasnobrązowe, przyprószone siwizną włosy, zaczesane do przodu, by zakryć postępującą od czoła łysinę. Jego brązowe oczy były rozbiegane jak u fretki, a szpiczaste końce cienkich wąsików wystawały dobre trzy centymetry po każdej stronie ust. Chodził lekko zgarbiony i nosił okulary z soczewkami, które powiększały mu oczy. Curtisa bawił uczynny człowieczek o sprężystym kroku. Idealnie pasował do stereotypu archiwisty wśród zakurzonych akt.

- Nie, dziękuję. - Curtis zerknął na kieszonkowy zegarek. - Nigdy nie piję kawy po południu.

- Poszczeniło się panu? - zapytał Culhane.

Curtis pokręcił głową ze znużeniem.

- Nie było żadnych pociągów osobowych w porach napadów.

- Modłę się, żebyście złapali tego drania - powiedział Culhane z nagłym gniewem w głosie.

- Mówi pan, jakby go pan nienawidził.

- Mam osobisty powód.

- Osobisty? Culhane

przypadła.

- Rzeźnik zabił moją najbliższą kuzynkę i jej synka w banku w McDowell w Nowym Meksyku.

- Bardzo mi przykro - odrzekł szczerze Curtis.

- Musicie go złapać i powiesić! - Culhane walnął pięścią w stół z taką siłą, że podskoczył leżący na blacie otwarty rejestr rozkładów jazdy i odwróciły się kartki. - Zbrodnie uchodzą mu na sucho o wiele za długo.

- Zapewniam pana, że agencja Van Dorna pracuje dzień i noc, by postawić go przed sądem.

- Nie znaleźliście nic, co pomogłoby go wytropić? - zapytał Culhane z niecierpliwością.

Curtis rozłożył bezradnie ręce.

- Dowiedzieliśmy się tylko tyle, że brakuje mu małego palca u lewej ręki. Poza tym nie mamy nic.

- Sprawdził pan rozkłady jazdy dyliżansów?

- Spędziłem na tym cały dzień w archiwum Wells Fargo. Bezowocnie. Żadnego z ich dyliżansów nie było w tamtych miastach przez cztery godziny po rabunkach. Miał aż nadto czasu, by uciec.

- A pociągi osobowe?

- Szeryf i policjanci telegrafowali do okolicznych miast, żeby zatrzymać wszystkie pociągi i zobaczyć, czy ktoś z pasażerów nie wygląda podejrzanie. Przeszukiwali nawet wszystkie bagaże w nadziei, że w jednej z toreb podróżnych są skradzione pieniądze, ale nigdy nie znaleźli żadnego dowodu i nie zdołali nikogo identyfikować. Bandyta był zbyt sprytny. Podczas napadów nosił świetne, dobrze wykonane przebrania. Stróżom prawa nie mieli żadnego punktu zaczepienia.

- Rozkłady jazdy się na coś przydały?

- Tylko dwa - odrzekł Curtis ze zmęczeniem. - Inne nie pokrywają się w czasie z napadami.

Culhane podrapał się w zamyśleniu w łysiejacą głowę.

- Wyeliminował pan dylizanse i pociągi osobowe. A co z towarowymi?
- Pociągami?
- Sprawdził pan godziny odjazdów?

Curtis przytaknął.

- To zupełnie inna historia. Pociągi, które udało mi się znaleźć, odjeżdżały z obrabowanych miast w interesującym nas czasie.
- Więc ma pan wyjaśnienie - stwierdził Culhane.

Curtis nie od razu odpowiedział. Był zmęczony, na granicy kompletnego wyczerpania, i przybity niepowodzeniem. Przeklinał w duchu Rzeźnika. Wydawało się niemożliwe, żeby człowiek mógł zniknąć jak zjawa, być jak błędny ognik, całkowicie nie do wykrycia. Curtis niemal widział, jak bandyta śmieje się z daremnych wysiłków ścigających go ludzi.

W końcu powiedział:

- Nie docenia pan stróżów prawa. Przeszukiwali wagony wszystkich pociągów towarowych, które przejeżdżały przez tamte miasta w określonych porach.
- A co z wagonami towarowymi, które odstawiano na bocznicę, żeby doczepić je później do pociągów jadących w inne miejsca? Mógł się ukrywać przed oddziałami pościgowymi w jakichś wagonach towarowych.

Curtis pokręcił głową.

- Oddziały pościgowe przeszukiwały wszystkie puste wagony i nigdy nie natrafiły na żaden ślad.
- A zaglądali do zamkniętych? - zapytał Culhane.
- Niby jak? Do takich nie mogli się dostać. Ale bandyta też nie.

Culhane wyszczerzył zęby jak lis na świeżym tropie.

- Chyba nikt panu nie powiedział, że wszyscy hamulcowi noszą klucze do wagonów, żeby otworzyć je w razie pożaru.

- Istotnie - przyznał Curtis. - Nie wiedziałem o tym. Okulary w stalowej oprawce zsunęły się Culhane'owi z nosa.
- Z pewnością warto wziąć to pod uwagę.
- Owszem - przytaknął Curtis i zaczął się głośno zastanawiać. - Trzeba zastosować metodę eliminacji. Oddziały pościgowe twierdziły, że nie było żadnych śladów prowadzących z tamtych miast, co oznacza, że złodziej nie uciekał konno. Prawie nie ma szans, żeby wsiadł do jakiegoś dyliżansu i wydaje się nieprawdopodobne, żeby kupił bilet kolejowy i wyjechał pociągiem osobowym. Nigdzie nie zauważono go także w pustym wagonie towarowym. Culhane nie ustępował.
- Pozostają załadowane wagony towarowe. Tylko ich nie sprawdzano.
- Może pan mieć rację - odrzekł Curtis w zamyśleniu. Dziwna mina pojawiła się na jego twarzy, gdy zaczął sobie wyobrażać nowy scenariusz. - To całkiem nowa możliwość, trzeba będzie ją zbadać. Teraz muszę ustalić, jakie wagony wchodziły w skład tamtych pociągów towarowych, do kogo należały, co przewoziły i dokąd jechały.
- Niełatwe zadanie - stwierdził Culhane. - Będzie pan musiał sprawdzić setki wagonów towarowych z tuzina pociągów.
- Istna łamigłówka. Znaleźć pasujący element, czyli wagon towarowy, który stał na bocznicy w każdym z obrabowanych miast w dniu napadu.
- Chętnie pomogę. Służę naszymi dokumentami przewozowymi.
- Dziękuję. Dwa z interesujących nas pociągów towarowych obsługiwała pańska kolej, Union Pacific.
- Niech pan mi tylko powie, o jakie miasta chodzi, to wygrzebię z naszych akt dokumenty z numerami seryjnymi wagonów, informacją, do kogo należały i nazwiskami ludzi, którzy organizowali transport i płacili za przewozy.
- Jestem naprawdę wdzięczny za tak dużą pomoc z pańskiej strony - powiedział szczerze Curtis.
- To ja jestem wdzięczny, panie Curtis. Nigdy nie myślałem, że przyczynię się do osądzenia Rzeźnika, zabójcy mojej kuzynki i jej dziecka.

Cztery godziny później, dzięki wydatnej pomocy Culhane'a, Curtis miał wytyczony nowy kierunek śledztwa. Teraz musiał tylko przejrzeć archiwa kolei Southern Pacific i Atchison, Topeka & Santa

Fe oraz Denver & Rio Grande, żeby potwierdzić teorię Culhane'a.

Gdy zapadła noc, siedział w pociągu wiozącym go do Los Angeles i archiwów kolei Atchison, Topeka & Santa Fe. Zbyt podniecony, żeby spać, patrzył na swoje odbicie w oknie, bo w ciemności nie widział przesuwanego się za szybą krajobrazu. Był optymistą. Wierzył, że trop kończy się za następnym wzgórzem i najbliższym zakrętem.

Wczesny wieczór przyniósł lekki deszcz, który moczył przecinającą miasto piaszczystą drogę. Bell wysiadł z pociągu. W gasnącym świetle dnia zobaczył, że Bisbee w Arizonie to miasto położone na wzgórzach i do wielu domów można dojść tylko stromymi schodami. Do hotelu Copper Queen ruszył labiryntem wąskich, krętych ulic, przy których stały nowe solidne budynki z cegły.

Była sobota i w połączonym z aresztem biurze szeryfa dyżurował jego zastępca. Powiedział Bellowi, że szeryf wziął kilka wolnych dni, żeby naprawić swój dom, który uszkodziła spływająca ze wzgórz fala powodziowa, i wróci do pracy dopiero w czwartek. Kiedy Bell poprosił o wskazówki, jak trafić do domu szeryfa, zastępca odmówił, tłumacząc, że szeryfowi nie wolno przeszkadzać, chyba że w nagłym wypadku.

Bell zameldował się w Copper Queen, zjadł lekką kolację w hotelowej jadalni i wyszedł do miasta. Zrezygnował z drinka w Copper Queen Saloon i udał się na Brewery Gulch, ulicę z pięćdziesięcioma saloonami znaną na całym Zachodzie jako miejsce najdzikszych wybryków, hulanki i pijatyk.

Wstąpił do czterech saloonów, żeby zobaczyć, co się w nich dzieje. W końcu wszedł do wielkiej sali z drewnianymi ścianami i estradą, gdzie cztery dziewczyny tańczyły przy akompaniamencie małego zespołu grającego ragtime. Przepchnął się między tłumnie okupowanymi stolikami do kontuaru i czekał, dopóki zajęty barman nie zapytał:

- Co ma być, przyjacielu, whisky czy piwo?
- Jaką macie najlepszą whisky?
- Jack Daniel's z Tennessee - odparł barman bez wahania. - Zdobyła złoty medal na targach w St

Louis jako najlepsza na świecie.

Bell się uśmiechnął.

- Próbowałem jej. Podwójną, poproszę.

Kiedy barman nalewał, Bell odwrócił się, oparł łokcie z tyłu na kontuarze i rozejrzał się po zatłoczonym saloonie. Jak w większości knajp na Zachodzie, duża część sali była przeznaczona na hazard. Bell wodził wzrokiem od stolika do stolika w poszukiwaniu odpowiedniej grupy pokerzystów. Wreszcie wypatrzył graczy, jakich miał nadzieję znaleźć - kilku mężczyzn ubranych szykowniej niż liczni górnicy. Wyglądali na biznesmenów, kupców lub urzędników z kopalni. A najlepsze, że siedzieli we czterech, bez piątego gracza.

Bell zapłacił za whisky i podszedł do ich stolika.

- Mogę się do was przyłączyć, panowie? - zapytał.

Tęgi, czerwony na twarzy mężczyzna przytaknął i wskazał wolne krzesło.

- Zapraszamy - odrzekł.

Jego towarzysz po drugiej stronie stolika potasował karty, spoj - rzał na Bella, kiedy ten usiadł, i zaczął rozdawać.

- Nazywam się Frank Calloway. Pozostali to Pat O'Leery, Clay Crum i Lewis Latour.

- Isaac Bell.

- Jest pan nowy w mieście, panie Bell? - spytał O'Leery, wielki, muskularny Irlandczyk.

- Tak, przyjechałem pociągiem o szóstej trzydzieści z Phoenix.

- W interesach czy dla przyjemności? - sondował O'Leery.

- Służbowo. Jestem śledczym z Agencji Detektywistycznej Van Dorn.

Wszyscy podnieśli wzrok znad swoich kart i popatrzyli na Bella z zainteresowaniem.

Crum splótł dłonie na okrągłym brzuchu.

- Niech zgadnę. Zajmuje się pan tym napadem na bank i za bójstwami sprzed czterech miesięcy.

Bell skinął głową, rozłożywszy karty w wachlarzyk i przyjrzał się im.

- Zgadza się.

Latour zapalił cygaro i odezwał się z francuskim akcentem:

- Nie za późno? Trop jest już zwietrzały.

- Nie bardziej niż pięć minut po zbrodni - skontrolował Bell. - Wezmę dwie karty.

Calloway rozdawał, a gracze mówili, ile kart chcą dobrać, w nadziei, że otrzymają takie, które zapewnią im wygraną.

- Tajemnicza sprawa - stwierdził. - Nigdy nie znaleziono ani śladu po bandycie.

- Dziwne - powiedział O'Leery. Popatrzył na swoje karty i wyraz jego twarzy zdradził, że są za słabe, żeby zaliczyć. - Pas. - Zerknął na Bella. - Dziwne, że udało mu się rozplątać w powietrzu.

- Szeryf nie natrafił na żaden trop - mruknął Crum. - Oddział pościgowy wrócił do miasta z takimi minami, jakby ich żony uciekły z bandą domokrażców - urwał. - Stawiam dwa dolary.

- Podbijam do trzech - odrzekł Calloway. Latour

rzucił swoje karty w kierunku rozdającego.

- Wypadam.

- A pan, panie Bell? - zapytał Calloway.

Bella bawiło, że stawki nie są wysokie, ale też nie centowe.

- Sprawdzam.

- Dwie damy - oznajmił Crum.

- Dwie dziesiątki - powiedział Calloway. - Przebiłeś mnie. - Odwrócił się do Bella. - A pan?

- Dwie ósemki. - Bell oddał zakryte karty Callowayowi. Bell nie przegrał. Miał trzy walety, ale

pomyślał, że jeśli przegra, zdobędzie zaufanie obcych. - Wiadomo, jak rabuś uciekł?

O'Leery pokręcił głową.

- Nie słyszałem nic takiego. Kiedy ostatni raz rozmawiałem z szeryfem, był skonsternowany.
- Szeryf Hunter, tak? - upewnił się Bell, przypominając sobie nazwisko w raporcie agencji.
- Joe Hunter zmarł na serce dwa miesiące po zabójstwach - odpowiedział Latour. - Nowym szeryfem jest Stan Murphy, który był głównym zastępcą Huntera. Wie, co się zdarzyło, równie dobrze jak wszyscy.
- Jest sympatyczny, jeśli kogoś polubi - dodał Crum. - Ale jak ktoś mu się nie spodoba, to szkoda gadać.
- Chciałbym z nim porozmawiać, ale wątpię, żeby przyszedł do biura w niedzielę - powiedział Bell, nie wspominając o nieprzychylnym nastawieniu zastępcy Murphy'ego. - Gdzie mógłbym go znaleźć?
- Dwa tygodnie temu mieliśmy w mieście straszną powódź - odrzekł Calloway. - Jego dom mocno ucierpiał. Przypuszczam, że zastanie go pan pochłoniętego naprawami.
- Jak do niego trafić?

O'Leery machnął ręką w kierunku północy.

- Niech pan dojdzie do końca Howland Street i wejdzie po schodach na górę. Zobaczy pan zielony dom i obok mały gaj po marańcowy.

Rozmowa zesłała na politykę i to, czy Teddy Roosevelt będzie się ubiegał o trzecią kadencję w 1908 roku, a jeśli nie, to kogo wyznaczy na swojego następcę. Bell przegrywał trzy razy po każdej wygranej i łatwo przekonał nowo poznanych mężczyzn, że nie jest szulerem. Wrócił do morderstw w banku.

- Wydaje się dziwne, że nikt nie widział, jak złodziej wychodził z banku albo wyjeżdżał z miasta - zauważył, grając od niechcienia.
- Nie zgłosił się żaden świadek - uzupełnił O'Leery.
- I nikt nie widział, jak bandyta wchodził do banku - wtrącił Latour.

- Pewien stary pijany górnik kręcił się po drugiej stronie ulicy -dorzucił Calloway - ale zniknął wkrótce po napadzie.

- Szeryf Hunter nie uznał go za podejrzanego?

Latour nie miał szczęścia. Spasował piąty raz, odkąd Bell usiadł przy stoliku.

- Starego górnika, który ledwo trzymał się na nogach i wyglądał, jakby nie wiedział, co się wokół niego dzieje? Według mieszkańców miasta jego ostatniego można by posądzić, że miał coś wspólnego ze zbrodnią.

- Niejeden raz widziałem go rozciągniętego na chodniku, upitego do nieprzytomności - powiedział O'Leery. - Prędzej ja bym został gubernatorem, niż on obrabował bank i zabił trzy osoby. Nadal uważam, że zrobił to jakiś tutejszy, którego wszyscy znamy.

- To mógł być obcy - zauważył Bell.

Calloway wzruszył ramionami.

- Bisbee to dwudziestotysięczne miasto. Kto rozpozna tu obcego?

- A co z tamtym facetem na motocyklu? - rzucił w przestrzeń Crum.

Bella to zainteresowało.

- W mieście był motocykl?

- Jack Carson podobno widział jakiegoś dandysa przejeżdżającego czymś takim przez któryś zaułek. - Crum pokazał, że ma kolor.

Latour zaciągnął się długo cygarem.

- Jack mówił, że tamten był dobrze ubrany. Nie mógł pojąć, jak ktoś na takiej maszynie może mieć takie czyste ubranie.

- Czy wasz znajomy przyjrzał się jego twarzy?

- Podobno zauważył tylko, że był gładko ogolony - odparł Calloway.

- A kolor włosów?

- Według słów Jacka nosił melonik. Jack nie zdążył mu się dobrze przyjrzeć, bo motocykl minął go zbyt szybko, ale zdawało mu się, że włosy mogły być rude. Przynajmniej tak wywnioskował z koloru bokobrodów.

Po raz drugi w ciągu tego tygodnia Bell poczuł podniecenie. Pewien mieszkaniec Eagle City w Utah, innego górniczego miasta, gdzie Rzeźnik pozostawił po sobie cztery trupy, wspomniał, że w dniu zabójstwa widział obcego na motocyklu.

- Gdzie mogę znaleźć tego Jacka Carsona?

- Nie w Bisbee - odrzekł Crum. - Jak ostatnio słyszałem, wrócił do rodzinnego Kentucky.

Bell zanotował sobie w pamięci, żeby poprosić Van Dorna o odnalezienie Carsona.

O'Leery na widok swoich kart znów zrobił kwaśną minę.

- Ktokolwiek jechał tamtym motocyklem, musiał się kręcić w mieście przez kilka dni po napadzie.

- Dlaczego pan tak mówi? - zapytał Bell.

- Bo szeryf i jego oddział zauważyliby ślady opon, gdyby wyjechał z miasta natychmiast po rabunku.

- Ktoś by go zobaczył, gdyby został w mieście dopóty, dopóki nie zaniechano poszukiwań.

- Tak by się mogło wydawać - odparł Calloway - ale nikt go więcej nie widział.

- Carson to wiarygodny świadek? - spytał Bell i położył pięć dolarów na stoliku. - Podbijam.

- Jack był burmistrzem Bisbee, poważanym adwokatem i bardzo szanowanym człowiekiem - wyjaśnił Latour. - Jeśli powiedział, że widział mężczyznę na motocyklu, to musiało tak być. Nie mam powodu wątpić w jego słowa.

- Wybiera się pan jutro do szeryfa Murphy'ego? - spytał Crum, kiedy w końcu wygrał.

Bell przytaknął.

- Z samego rana. Ale po rozmowie z wami, panowie, obawiam się, że nie powie mi nic ważnego.

Po dwugodzinnej grze przy jednym drinku wyszedł prawie na swoje. Stracił tylko cztery dolary i nikt

z jego towarzyszy nie zatrzymywał go, kiedy się pożegnał i udał z powrotem do hotelu.

Droga wijąca się w górę w kierunku domu szeryfa była długa i błotnista po nocnej ulewie w Bisbee. Bell doszedł do ślepego

zaułka i wspiał się po schodach, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Mimo doskonałej kondycji sapał, gdy dotarł na szczyt.

Humor mu dopisywał. Jeszcze nie wiedział, czy Irvine i Curtis coś ustalili, ale nie miał wątpliwości, że mężczyzna widziany na motocyklu to był Rzeźnik, który pozbył się przebrania starego pijanego górnika. Nie mógł uznać za sukces zdobytych informacji o brakującym palcu i rudych włosach. Uważał, że nawet ich kolor dostrzeżony przez Jacka Carsona to loteria. Intrygował go motocykl. Nie dlatego, że przestępca posiadał taki pojazd, lecz dlatego, że najnowszy środek transportu pasował do sprytnego i wyrachowanego przestępcy.

Pozostawało pytanie, jak wyjechał z miasta niezauważony.

Dom szeryfa Murphy'ego stał zaledwie kilka kroków od szczytu schodów. Był mały i wyglądał raczej jak szopa. Powódź zepchnęła go z fundamentu i Bell zobaczył, że Murphy podpira go w nowym miejscu, trzy metry dalej. Zgodnie z opisem O'Leery'ego dom był zielony, ale powódź zniszczyła pomarańczowy gaj.

Murphy wściekle machał młotkiem i nie usłyszał nadejścia Bella. Wielka grzywa ciemnobrązowych włosów opadała mu na kark i ramiona. Stróże prawa na Zachodzie na ogół bywali szczupli i kościści. Murphy miał budowę raczej jak kowal niż szeryf, byczy kark i muskularne ramiona niczym pnie drzew.

- Szeryfie! - zawołał Bell, przekrzykując hałas młotka.

Murphy zamarł z młotkiem w powietrzu, odwrócił się i popa trzył na Bella jak na kojota.

- Jestem zaj ęty, j ak pan widzi.

- Niech pan sobie nie przeszkadza - odrzekł Bell. - Jestem z Agencji Detektywistycznej Van Dorn i chciałbym zadać panu kilka pytań na temat napadu na bank parę miesięcy temu.

Van Dorn cieszył się szacunkiem wśród kręgach stróżów prawa, toteż Murphy odłożył młotek i wskazał wewnątrz małego domu.

- Wejdźmy do środka. Trochę tam bałagan, ale mam kawę na kuchence.

- Po tej wspinaczce na wzgórze chętnie napiłbym się wody.
- Przykro mi, ale studnia została zanieczyszczona podczas powodzi i przyniosłem tylko kilka litrów wody z końskiego koryta w mieście.
- Niech będzie kawa - powiedział Bell z pewnym niepokojem.

Murphy wprowadził go do domu i zaoferował krzesło przy kuchennym stole. Nic nie świadczyło o obecności kobiety, więc Bell przypuszczał, że Murphy jest kawalerem. Szeryf nalał kawę do dwóch cynowych kubków i odstawił emaliowany dzbanek z powrotem na żelazną kuchnię opalaną drewnem.

- Nie wiem, jak mogę panu pomóc, panie Bell. Wysłałem kopię mojego raportu do waszej agencji w Chicago.
- Nie wspomniał pan, co zgłosił Jack Carson.

Murphy się roześmiał.

- Chodzi o faceta na motocyklu? Nie uwierzyłem w opowieść Jacka. Rysopis nie pasował do nikogo w mieście.
- Bandyta mógł zmienić przebranie - zauważył Bell.
- Nie zdążyłby całkiem zmienić wyglądu, wyciągnąć motocykla z ukrycia i odjechać w siną dal.
- Nie widziano go nigdy więcej?

Murphy wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się dziwne, że nie widział go nikt poza Jackiem.

Mężczyznę na jedynym motocyklu w mieście powinien ktoś zauważyć. I jak mógł wyjechać z miasta, nie zostawiając żadnych śladów?

- Przyznaję, że to trochę naciągane - zgodził się Bell, nie chcąc odrzucać tego tropu.
- Jack Carson był godnym zaufania obywatelem, nie pił za dużo i nie fantazjował. Ale myślę, że coś mu się przywidziało.
- Nie pominął pan nic więcej w swoim raporcie?
- Znalaziono coś już po tym, jak go wysłałem do Chicago. -Murphy wstał od stołu i otworzył szufladę sekretarzyka z żaluzjo-wym zamknięciem. Podał Bellowi mosiężną łuskę po pocisku. -Znalazł to mały chłopiec dwa tygodnie później. Bawił się w banku na podłodze, kiedy jego ojciec wpłacał pieniądze. Łuska leżała pod dywanem. Złodziej musiał ją przeoczyć.

Bell obejrzał łuskę.

- Dziewięć milimetrów. Jeśli została wyrzucona z broni, to z samopowtarzalnej, prawdopodobnie z colta.
- Też tak pomyślałem.
- Mogę ją zatrzymać? - zapytał Bell.
- Oczywiście. Ale wątpię, żeby dowiedział się pan czegoś poza tym, że pochodzi z broni złodzieja. I nawet na to nie ma niezbitego dowodu.
- Jeśli nie z jego broni, to z czyjej?

Murphy rozłożył bezradnie ręce.

- Nie mam pojęcia.

Bell ostrożnie trzymał łuskę w dłoni.

- Liczę na to, że zdobędziemy odciski palców.

Murphy uśmiechnął się szeroko.

- Zdobędziecie też moje, moich dwóch zastępców i tamtego małego chłopca.
- Mimo to - odrzekł Bell z optymizmem - naszym specjalistom może się udać wyłowić te właściwe. Nie będziemy potrzebowali próbki linii papilarnych tamtego chłopca. Jego odciski będą małe. Ale przydadzą się nam pańskie i pańskich zastępców. Może je pan wysłać do naszego biura w Chicago.
- Nigdy nie zdejmowałem odcisków palców - odparł Murphy. - Nie wiem, jak to się robi.
- Ta wiedza jest znana od wieków, ale dopiero od kilku lat wykorzystuje się ją w kryminalistyce. Wzory na przedmiocie, w tym wypadku na tej łusce, tworzą linie papilarne palców. Kiedy trzymamy przedmiot, przenosimy na niego pot i tłuszcz i zostawiamy odciski. Aby je zdjąć do zbadania, opyla się powierzchnię drobnym proszkiem, jak zmielony grafit ołówkowy, i przykłada kawałek taśmy.

Murphy wypił mały łyk kawy.

- Spróbuję.

Bell podziękował szeryfowi i zszedł po schodach. Trzy godziny później wracał pociągiem do Denver.

Szofer Cromwella wyprowadził sześciocyndrowego trzydziestokonnego rolls-royce'a brougham z 1906 roku, z karoserią wykonaną przez londyńskiego wytwórcę powozów Barkera, z garażu przed okazałą rezydencją na Nob Hill. Zbudowano ją według własnego projektu Cromwella z bloków białego marmuru sprowadzonych koleją z kamieniołomów w Kolorado. Fronton z wysokimi żłobkowanymi kolumnami przypominał grecką świątynię, reszta domu miała prostszy styl z łukowymi oknami i gzymsem wieńczącym ściany.

Szofer, Abner Weed, Irlandczyk o kamiennej twarzy, którego Cromwell zatrudnił bardziej ze względu na jego przeszłość zapaśnika niż

umiejętność prowadzenia samochodu, stał cierpliwie przy rolle. Cromwell tymczasem czekał na siostrę w swoim gabinecie, gdzie wyciągnięty wygodnie na kanapie słuchał walców Straussa na wynalezionym przez Edisona fonografie z wymiennymi cylindrami. Był ubrany w tradycyjny ciemny wełniany garnitur. Po wysłuchaniu *Odgłosów wiosny* zmienił cylinder na inny z *Opowieściami Lasku Wiedeńskiego*. Każdy cylinder odtwarzał muzykę przez dwie minuty.

Cromwell podniósł wzrok znad fonografu, gdy jego siostra weszła do pokoju. Miała na sobie irchową sukienkę, która sięgała do jej zgrabnych łydek.

- Dość śmiały strój - zauważył, patrząc na jej odsłonięte ciało.

Obróciła się dookoła, zadzierając spódnicę do połowy ud.

- Skoro idziemy się zabawić w Barbary Coast, pomyślałam, że ubiorę się jak ladaczniczka.

- Tylko się tak nie zachowuj.

Wstał z kanapy, wyłączył fonograf i pomógł siostrze włożyć zakiet. Nawet w półbutach z flekami był jej wzrostu. Potem wyszedł za nią przez wielkie, misternie rzeźbione dwuskrzydłowe drzwi na podjazd, gdzie czekał rolls-royce. Abner, w liberii i lśniących czarnych butach z cholewami, stał na baczność i trzymał otwarte tylne drzwi. Rolls miał zamknięty przedział pasażerski, szofer zaś siedział odkryty i chroniony jedynie przez przednią szybę. Gdy tylko jego siostra wsiadła, Cromwell poinstruował kierowcę, dokąd ma jechać. Abner wrzucił bieg i duży samochód potoczył się cicho po granitowej nawierzchni jezdni.

- Mamy w końcu okazję, żeby porozmawiać, pierwszy raz odkąd wróciłem - odezwał się Cromwell, wiedząc, że kierowca ich nie słyszy przez szybę oddzielającą przednie siedzenia od

tylnych.

- Wiem, że udała ci się wyprawa do Salt Lake City. I nasz bank jest bogatszy o kolejnych siedemset tysięcy dolarów.
- Jeszcze mi nie powiedziałaś, jak ci poszło w Denver.
- Twój szpiedzy w agencji Van Dorna całkiem trafnie ocenili sytuację. Biuro w Denver przejęło śledztwo w sprawie Rzeźnika.
- Nie cierpię, jak mnie tak nazywają. Wolałbym coś z większą klasą.

Roześmiała się.

- Na przykład co takiego?
- Arcymistrz.

Przewróciła oczami.

- Wątpię, żeby redaktorom naczelnym gazet przypadło to do gustu.
- Czego jeszcze się dowiedziałaś?
- Szef biura w Denver, Nicholas Alexander, to idiota. Kiedy się trochę powdzięczyłam, nie potrafił przestać mówić o śledztwie. Był wściekły, że to nie on je prowadzi i bez oporów opowiadał o metodach, jakich zamierzają użyć, by złapać słynnego bandytę. Van Dorn osobiście przydzielił do tej sprawy swojego najlepszego detektywa. To Isaac Bell, przystojny, dziarski i bardzo bogaty, mogę dodać.
- Widziałas go?
- Poznałam go i, co więcej, tańczyłam z nim. - Wyjęła małą fotografię z torebki. - Czekałam, żeby ci to dać. Niezbyt dokładnie oddaje podobieństwo, ale fotograf, którego wynajęłam, nie miał zbyt dużej wprawy w niepozowanych zdjęciach.

Cromwell włączył lampkę na suficie samochodu i przyjrzał się fotografii. Pokazywała wysokiego blondyna z wąsami.

- Powinienem się go obawiać?
- Nie wiem - odrzekła wymijająco z obojętnym wzrokiem. - Wydaje się inteligentniejszy i bardziej wyrafinowany, niż pozwolili mi sądzić nasi szpiedzy. Kazałam im sprawdzić jego osiągnięcia. Rzadko nie udaje mu się znaleźć i aresztować tego, kogo tropi. Odnosi godne podziwu sukcesy. Van Dorn ocenia go bardzo wysoko.
- Jeśli, jak mówisz, jest zamożny, to dlaczego marnuje czas, pracując jako zwykły detektyw?

Margaret wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Może, tak jak ty, lubi wyzwania? - Zawahała się i poprawiła włosy.
- Skąd ma pieniądze?
- Zapomniałam wspomnieć, że pochodzi z rodziny bostońskich bankierów?

Cromwell zeszywniał.

- Wiem, kim są Bellowie. To właściciele American States Bank of Boston, jednej z największych instytucji finansowych w kraju.
- Ten człowiek to paradoks - powiedziała wolno na wspomnienie kilku minut spędzonych z nim w hotelu Brown Palace. - Ale może być też bardzo niebezpieczny. Będzie nas ścigał jak lis królika.

- Detektyw, który zna się dobrze na bankowości, to nic dobrego - odrzekł cicho Cromwell lodowatym tonem. - Musimy być wyjątkowo ostrożni.
- Zgadza się.
- Jesteś pewna, że nie miał żadnych wskazówek co do naszej tożsamości?
- Starannie zatarłam za sobą ślady. On i Alexander wiedzą, że nazywam się Rose Manteca i jestem z Los Angeles, gdzie mój ojciec ma wielkie ranczo.
- Jeśli Bell jest taki sprytny, jak sugerujesz, sprawdzi to i odkryje, że Rose nie istnieje.
- I co z tego? - zapytała zadziornie. - Nigdy się nie dowie, że nazywam się Margaret Cromwell i jestem siostrą szanowanego bankiera, który mieszka w rezydencji na Nob Hill w San Francisco.
- Co jeszcze wyciągnęłaś z Alexandra?
- Tylko to, że śledztwo nie idzie Bellowi dobrze. Nie mają żadnego tropu. Alexander był wściekły, że Bell go we wszystko nie wtajemnicza. Powiedział, że nie mówi mu, co planuje wspólnie z dwoma agentami o nazwiskach Curtis i Irvine. Dowiedziałam się jedynie tego, że wszyscy trzej są w terenie i bez powodzenia szukają jakiejś poszlaki.
- Miło to słyszeć. - Cromwell się uśmiechnął. - Nie przyjdzie im do głowy, że to bankier dokonuje napadów

Spojrzała na niego.

- Możesz się wycofać, wiesz o tym. Nie potrzebujemy już pieniędzy. I bez względu na to, jaki będziesz ostrożny i przebiegły, w końcu cię złapią i powieszą.

- Chcesz, żebym zrezygnował z emocji, które towarzyszą podejmowaniu wyzwań i robieniu tego, na co nikt inny by się nie odważył, a potem do końca życia grał rolę nudnego bankiera?
- Nie - zaprzeczyła z szelmowskim błyskiem w oczach. - Ja też uwielbiam emocje. - Potem jej głos złagodniał i stał się jakby odległy. - Ale wiem, że to nie może trwać wiecznie.
- Będziemy wiedzieli, kiedy przestać, przyjdzie taki dzień - odparł bez emfazy.

Ani brat, ani siostra nie czuli nawet cienia skruchy czy wyrzutów sumienia z powodu zbrodni popełnionych przez Cromwella. Nie obchodziło ich, że zamordował mężczyzn, kobiety i dzieci, pozbawił oszczędności małe firmy, górników i farmerów, doprowadził do bankructwa obrabowane banki, które nie mogły wyrównać strat swoich klientów.

Zmieniła temat.

- Kogo zabierasz dziś ze sobą?
- Marion Morgan.
- Tę świętoszkę? - zadrwiła. - Dziwię się, że wciąż ją zatrudniasz.
- Tak się składa, że jest bardzo kompetentna - ripostował, nie chcąc się kłócić.

Roześmiała się cicho.

- Dlaczego jeszcze nie wzięłaś jej do łóżka?
- Wiesz, że nigdy nie zabawiam się z pracownikami. Trzymanie się tej zasady oszczędza mi wielu kłopotów. Zabieram ją dziś w nagrodę za jej pracę. Nic więcej. - Margaret miała sukienkę podciągniętą do kolan. Wyciągnął rękę i ścisnął jedno. - Komu się dziś poszczęściło?
- Eugenowi Butlerowi.
- Temu fircykowi? - szydził. - On nie jest nic wart.
- Jest obrzydliwie bogaty...
- Nie on, tylko jego ojciec - poprawił ją Cromwell. - Gdyby Sam Butler nie trafił na żyłę złota, umarłby w nędzy.

- Eugene będzie bogatszy niż ty po śmierci ojca.
- To utraczysz i opój. Przepuści swój majątek, zanim się obejrzysz.
- Potrafię sobie z nim poradzić - zapewniła. - Jest we mnie zakochany do szaleństwa i zrobi wszystko, co mu każe.
- Stać cię na więcej, dużo więcej - mruknął Cromwell. Wziął rurę głosową i polecił kierowcy: - Abner, skreć w lewo w następną ulicę i zatrzymaj się przy domu Butlerów.

Abner uniósł rękę na znak, że zrozumiał. Zajechał rollsem przed wielką drewnianą rezydencją w wiktoriańskim stylu. Potem wysiadł z samochodu i zadzwonił do frontowych drzwi za żelazną furtką. Służąca otworzyła, a on wręczył jej wizytówkę Cromwella. Wzięła ją i zamknęła drzwi. Kilka minut później drzwi znów się otworzyły i wysoki przystojny mężczyzna o ostrych rysach wyszedł i skierował się do samochodu. Mógłby uchodzić za amanta filmowego. Jak Cromwell, miał na sobie wełniany garnitur, raczej ciemnogramatowy niż czarny, sztywny kołnierzyk i krawat w białe romby. Przystanął w portyku i wciągnął nosem powietrze. Lekka mgła nadciągała znad zatoki.

Abner otworzył tylne drzwi rollsa, rozłożył odchylane siedzenie

i się cofnął. Butler wsiadł.

- Maggie - zwrócił się do siostry Cromwella - wyglądasz tak olśniewająco, że mógłbym cię zjeść. - Zamilkł na widok groźnego, nieprzyjaznego spojrzenia Cromwella. Przywitał się z nim bez uścisku dłoni. - Miło cię widzieć, Jacob.
- Dobrze wyglądasz - odrzekł Cromwell, jakby go to obchodziło.
- Jestem w doskonałej formie. Chodzę osiem kilometrów dziennie.

Cromwell go zignorował, wziął rurę głosową i wyjaśnił Abnerowi, skąd mają zabrać Marion Morgan. Potem odwrócił się do siostry.

- W którym saloonie w Barbary Coast życzysz sobie wmieszać się w cuchnącą hałastrę?
- Podobno U Kelly'ego Pająka są niezłe burdy.
- To najgorsza spelunka na świecie - odrzekł Cromwell ze znajomością rzeczy. - Ale mają dobre kapele i duży parkiet.
- Myślisz, że jest tam bezpiecznie? - spytała Margaret.

Cromwell się roześmiał.

- Red Kelly zatrudnia małą armię krzepkich wykidajłów, którzy czuwają nad tym, żeby bogaci klienci jak my nie byli przez nikogo niepokojeni.

- Zatem do Kelly'ego Pajaka - powiedział Butler. - Któregoś wieczoru zabrałem tam nawet moich staruszków. Naprawdę dobrze się bawili, obserwując element, który odwiedza ten lokal. Siedzieliśmy na balkonie, żeby dobrze widzieć, jak się bawią szumowiny.

Rolls zatrzymał się przed kamienicą przy Lombard Street na Russian Hill kawałek od Hyde Street w modnej, ale nie bardzo drogiej dzielnicy. W tej części Russian Hill były domy i miejsca spotkań, gdzie intelektualiści, artyści, architekci, pisarze i dziennikarze prowadzili zażarte dyskusje i spory, ale głównie udzielali się towarzysko.

Marion nie przestrzegła protokołu. Czekwała na dworze na szczycie schodów budynku. Kiedy rolls podjechał do krawężnika, zeszła na dół i przystanęła, gdy Abner otwierał przed nią drzwi. Była ubrana z prostą elegancją w krótki żakiet, niebieską bluzkę i spódnicę w tym samym kolorze. Blond włosy miała ściągnięte do tyłu i zaplecione w długi warkocz z kokardą na karku.

Cromwell wysiadł i z galanterią pomógł jej zająć miejsce na tylnym siedzeniu. Szofer opuścił drugie rozkładane siedzenie i Cromwell uprzejmie na nim spoczął.

- Panno Morgan, przedstawiam pani pana Eugene'a Butlera. Zna pani moją siostrę Margaret - powiedział, wymieniając jej prawdziwe imię.

- Miło mi panią znów widzieć, panno Cromwell. - Ton Marion był grzeczny, ale niezbyt ciepły. - Ciebie też, Eugene. - Poufałość zabrzmiała w jej głosie.

- Znać się? - zapytała Margaret, zaskoczona.

- Eugene... pan Butler... zabrał mnie na kolację jakiś czas temu.

- Przed dwoma laty - uściślił Butler przyjaźnie. - Nie udało mi się jej oczarować. Odrzucała wszystkie moje późniejsze zaproszenia.

- I zaloty - dodała Marion z uśmiechem.

- Gotowa na szaloną noc w Barbary Coast? - zapytał Cromwell.

- To będzie dla mnie nowe doświadczenie - odrzekła Marion. - Nigdy nie miałam odwagi się tam wybrać.

- Niech pani zapamięta słowa starej piosenki - poradziła Margaret. - Idzie tak:

Górnicy przybyli w czterdziestym dziewiątym, a dziwki po latach dwóch. I kiedy się zeszli, to wkrótce potem narodził się miejscowy zuch.

Marion się zarumieniła i spuściła skromnie wzrok, mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

Kilka minut później Abner skręcił w Pacific Street i pojechał przez serce dzielnicy Barbary Coast, która wzięła swoją nazwę od berberyjskiego wybrzeża, kryjówki marokańskich i tunezyjskich piratów. Roilo się tutaj od hazardzistów, prostytutek, włamywaczy, oszustów, pijaków, bezdomnych włóczęgów, rzezimieszków i morderców. Królowało rozpasanie i upodlenie, niedola i śmierć, nędza mieszała się z bogactwem.

W owianym złą sławą rejonie obejmującym sześć kwartałów sąsiadowało ze sobą ponad trzysta saloonów, aż pięćdziesiąt na samej Pacific Street. Dzielnica istniała, ponieważ przekupni politycy brali łapówki od właścicieli knajp, domów gry i burdeli. Porządni obywatele miasta skarżyli się głośno na gniazdo rozpusty, ale jednocześnie przymykali oczy, bo w duchu byli dumni, że San Francisco czymś się wyróżnia i co najmniej dorównuje Paryżowi, który miał godną pozazdroszczenia reputację najbardziej grzesznego miasta na zachodniej półkuli, siedliska występku i zepsucia.

A jednak efekciarska, pełna blichtru, szumu i machlojek Barbary Coast była prawdziwym rajem dla bogaczy szukających przyjemności. Podejrzane typki, które prowadziły jaskinie grzechu - głównie mężczyźni - zacierali ręce na widok eleganckiego towarzystwa z Nob Hill w drzwiach swoich lokali. Bez skrupułów niemiłosiernie zdzierali z bogatych klientów za wstęp i alkohol. Za butelkę szampana w cenie sześciu do ośmiu dolarów żądali zwykle trzydziestu. Koktajle w większości saloonów kosztowały dwadzieścia pięć centów, a piwo dziesięć.

Abner przejechał między wędrującymi ulicą hulakami i zatrzymał rollsa przed dwupiętrowym budynkiem. Na górze mieścił się hotel, w

rzeczywistości burdel nazywany „oborą” z pięćdziesięcioma kobietami w pokojach zwanymi „żłobami”. Na parterze uprawiano hazard i pito, w podziemiach była scena do sprośnych przedstawień i wielki drewniany parkiet do tańca. Wysiedli z samochodu i mężczyźni ruszyli przodem, by ochraniać damy, które patrzyły z fascynacją na krzykliwie umundurowanego naganiacza klientów na chodniku.

- Zapraszamy do nas. U Kelly'ego Pająka pije się i tańczy najprzyjemniej w tej dzielnicy. Każdy jest mile widziany, każdy spędzi tu noc swojego życia. Takich szalonych występów i pięknych dziewczyn nie znajdziecie nigdzie indziej. Zobaczcie, jak zadzierają nogi nad głowy i jak się poruszają. Zadziwią was i zaskoczą.

- Już mi się tu podoba - oświadczyła wesoło Margaret.

Marion ścisnęła mocno ramię Cromwella i spojrzała w górę na ignorowany przez klientów napis „Wulgarność jest zabroniona w tym lokalu”.

Weszli do wielkiego holu w kształcie litery U. Zdobiły go malowidła nagich kobiet tańczących wśród rzymskich ruin. Kierownik w źle dopasowanym smokingu powitał ich i zaprosił dalej.

- Życzą państwo sobie zejść na dół na występ? - zapytał. -Następny zaczyna się za dziesięć minut.

- Chcielibyśmy dostać stolik w bezpiecznym miejscu - odrzekł Cromwell - z dala od motłochu. Wypijemy butelkę waszego najlepszego szampana, a potem zjedziemy na dół potańczyć i obejrzyć występ.

Kierownik się skłonił.

- Tak jest, proszę pana. Tędy.

Poprowadził Cromwella i jego towarzystwo przez zatłoczoną salę do stolika na wspomnianym przez Butlera balkonie z widokiem na parter. Wkrótce kelnerka w cienkiej bluzce z głębokim dekoltem, kończącej się wysoko powyżej kolan spódnicy i czarnych jedwabnych pończochach z wymyślnymi podwiązkami przyniosła półtoralitrową butelkę szampana Veuve Clicquot Ponsardin rocznik 1892. Kiedy wkładała ją do wiaderka z lodem, otarła się o mężczyznę i uśmiechnęła do każdego zachęcająco. Margaret odwzajemniła uśmiech na znak, że wie, iż poza obsługiwaniem gości w

saloonie kelnerka pracuje też w żłobach na górze. Zaskoczona śmiałym strojem elegantki z Nob Hill kelnerka posłała Margaret lubieżne spojrzenie.

- Wiesz, złotko, jest duże zapotrzebowanie na takie rude jak ty. Mogłabyś dyktować cenę.

Marion była zaszokowana. Cromwell starał się powstrzymać śmiech, Butler się oburzył.

- To jest dama! - warknął. - Przepróż!

Kelnerka go zignorowała.

- Jeśli jest Żydówką, to może być na szczycie skali. Odwróciła

się, zakręciła pośladekami i zeszła po schodach.

- Co bycie Żydówką ma z tym wspólnego? - zapytała naiwnie Marion.

- Jest taki mit - wyjaśnił Cromwell - że rudowłose Żydówki są najbardziej namiętymi kobietami na świecie.

Margaret dobrze się bawiła, obserwując parter saloonu. Czowała radosne podniecenie na widok marynarzy i dokerów, młodych i uczciwych dziewczyn, które łatwo dawały się sprowadzać na złą drogę, i zatwardziały przestępców kręcących się po sali, gdzie roiło się od mężczyzn tak pijanych, że nie mogli ustać na nogach. W tajemnicy przed wszystkimi, łącznie z bratem, Margaret kilkakrotnie odwiedzała spelunki w Barbary Coast. I dobrze wiedziała, że Jacob często bywa w drogich i najbardziej ekskluzywnych domach publicznych, gdzie kobiety o złej reputacji uprawiają swój zawód.

Marion była zniesmaczona i jednocześnie zafascynowana. Słyszała, że ta dzielnica to otchłań goryczy i rozpaczki dla biedoty San Francisco, ale nie miała pojęcia, że można upaść tak nisko. Nie przywykła do picia, więc szampan po chwili uderzył jej do głowy i zaczęła widzieć deprawację w mniej ostrym świetle. Próbowała wyobrazić sobie siebie w roli jednej z tamtych rozwiązłych kobiet, które biorą mężczyzn do żłobów na górze za marne pięćdziesiąt centów. Przerażona, szybko pozbyła się tej myśli i wstała niepewnie, gdy Cromwell uniósł pustą butelkę i oznajmił, że czas zejść na dół.

Zjawił się kierownik i znalazł zajęty stolik na parkiecie niedaleko sceny. Dwie pary w brudnych roboczych ubraniach zaprotestowały, kiedy kazał im zwolnić miejsce, ale zagroził, że zostaną pobici, jeśli się nie ruszą.

- Mamy szczęście - powiedziała Margaret. - Występ właśnie się zaczyna.

Cromwell zamówił drugą butelkę szampana, gdy patrzyli, jak hojnie obdarzona przez naturę kobieta wchodzi na małą scenę i zaczyna taniec siedmiu zasłon, które zresztą szybko opadły. Została w skąpym kostiumie, niewymagającym wiele wyobraźni. Mięśnie jej podbrzusza naprężyły się, kiedy się obracała i wykonywała lubieżne figury. Gdy skończyła, mężczyźni na widowni rzucili monety na scenę.

- Szalenie podniecające - stwierdziła sarkastycznie Margaret.

Mała kapela zagrała, pary wyszły na parkiet i zaczęły żwawo

tańczyć texas tommy. Butler i Margaret wirowali na parkiecie w radosnym uniesieniu, jakby stanowili jedność. Marion czuła się skrępowana w ramionach swojego szefa. Pierwszy raz gdzieś ją zaprosił. Doskonale tańczył i pozwalała mu się prowadzić.

Kapela zmieniła tempo kilka razy, żeby tancerze mogli przejść do kroków turkey trot i bunny hug. Wkrótce w dusznych podziemiach zaczęli się pocić. Marion zakręciło się w głowie od szampana i zapytała Cromwella, czy mogłaby usiąść na kilka minut.

- Pozwoli pani, że zostawię ją na chwilę? - spytał uprzejmie. -Chciałbym pójść na górę i zagrać w fardo.

Marion odetchnęła z wielką ulgą. Była na granicy wyczerpania, a nowe pantofle ją uciskały.

- Proszę iść, panie Cromwell. Odsapnę trochę.

Wspiął się po drewnianych schodach, przeszedł wolno przez zatłoczoną salę gier i dotarł do stolika, gdzie siedział tylko rozdający. Dwóch krzepkich mężczyzn stało za nim i zniechęcało gości do zajęcia miejsca przy stoliku.

Rozdający wyglądał jak potomek byka. Jego głowa zdawała się wyciosana z kamienia, szyja była gruba niczym pniak. Włosy miał ufarbowane na czarno, wypomadowane i uczesane z przedziałkiem pośrodku, nos rozplaszczony po licznych złamaniach. Przejrzyste oczy dziwnie nie pasowały do twarzy, w którą niegdyś aż za często trafiały ciosy pięści. Twardy tors bez grama tłuszczu przypominał beczkę piwa. Red Kelly Pająk był kiedyś zawodowym bokserem i walczył raz z Jamesem J. Corbettem. Dwukrotnie posłał na deski byłego mistrza wagi ciężkiej, ale został znokautowany w dwudziestej pierwszej rundzie. Podniósł wzrok na Cromwella.

- Dobry wieczór, panie Cromwell, czekałem na pana.

Cromwell otworzył klapkę zegarka i zerknął na wskazówki.

- Proszę mi wybaczyć ośmiominutowe spóźnienie, panie Kelly. Coś mnie zatrzymało.

Red Kelly pokazał w uśmiechu szereg złotych zębów.

- Mnie też zatrzymałoby towarzystwo tak pięknej damy. - Wskazał stolik. - Ma pan ochotę spróbować szczęścia?

Cromwell wyjął portfel i odliczył dziesięć pięćdziesięciodolarowych banknotów Banku Narodowego, które jego bank wydrukował na podstawie umowy z rządem federalnym. Kelly niedbale położył mały plik pieniędzy z boku stolika i podsunął Cromwellowi stos miedzianych żetonów z reklamą saloonu. Typowy układ trzynastu kart w jednym kolorze do gry w faro był namalowany na pokrywającym blat zielonym suknie. Kolor tworzyły piki od króla do asa, który znajdował się na lewo od rozdającego.

Cromwell położył żeton na walecie i jeden między piątką a szóstką. Kelly wyrzucił szczytową kartę z buta i odsłonił następną. Okazało się, że to dziesiątka. Gdyby Cromwell postawił na nią, przegrałby, gdyż krupier wygrywa zakłady na odsłonięte karty. Kelly wyciągnął z buta przegrywającą kartę i pokazał wygrywającą. Była nią piątka. Cromwell wygrał cały zakład, nie połowę.

- Szczęście początkującego - stwierdził, kiedy Kelly podsunął mu wygrane żetony.

- Życzy pan sobie coś, panie Cromwell?

- Nie, dziękuję.

- Poprosił pan o spotkanie - przypomniał Kelly. - Jak się mogę odwdzińczyć za przysługi, które wyświadczą mi pan od lat, za hojne pożyczki i pomoc w trzymaniu policji z dala od lokalu?

- Muszę kogoś wyeliminować - odrzekł Cromwell takim tonem, jakby zamawiał piwo.

- W tym mieście? - spytał Kelly, rozdając karty.

- Nie, w Denver.

- Mężczyznę, mam nadzieję - powiedział Kelly, nie odrywając wzroku od buta. - Proszę obstawić.

Cromwell przytaknął i umieścił żeton między damą a waletem.

- Kogoś z Agencji Detektywistycznej Van Dorn.

Kelly znieruchomiał przed wyciągnięciem karty.

- Usunięcie człowieka Van Dorna może mieć poważne reperkusje.
- Tylko wówczas, jeśli nie zrobi się tego, jak należy.
- Kto to jest?
- Detektyw nazwiskiem Isaac Bell. - Cromwell wręczył Kelly'emu fotografię, którą dała mu siostra.
- Oto jego zdjęcie.

Kelly zerknął na nie.

- Dlaczego chce pan go zlikwidować?
- Mam swoje powody.

Kelly wyciągnął przegrywającą kartę i odsłonił wygrywającą, damę. Cromwellowi znów się poszczęściło. Kelly spojrzał na niego ponad stolikiem.

- Z tego, co słyszałem, każdy, kto zabił jakiegoś agenta Van Dorna, został wytropiony i powieszony.
- To byli kryminaliści, którzy głupio dali się złapać detektywom z agencji. Jeśli zrobi się to należycie, Van Dorn nigdy się nie dowie, kto zabił Bella, i dlaczego. Niech pan upozoruje przypadkowe zabójstwo lub nawet wypadek. Jeśli nie pozostawi się żadnych śladów, to agenci nie zdołają znaleźć sprawcy.

Kelly odchylił się wolno do tyłu na krześle.

- Muszę wyznać, Cromwell, że mi się to nie podoba. - Nie padło słowo „pan”.

Cromwell uśmiechnął się ponuro.

- A spodobałoby się panu, gdybym zaproponował dwadzieścia tysięcy dolarów?

Kelly usiadł prosto i popatrzył na Cromwella, jakby mu nie wierzył.

- Dwadzieścia tysięcy, mówi pan? - „Pan” powróciło.
- Chcę, żeby to zrobił zawodowiec, a nie jakiś drobny rzezimieszek z ulicy.
- Jak pan sobie życzy, gdzie to ma się stać?

Cromwell ani przez chwilę nie wątpił, że Kelly weźmie tę robotę. Właściciel saloonu tkwił po uszy w działalności przestępczej. Było z góry wiadomo, że skusi go korzyść finansowa.

- W Denver. Bell ma bazę w tamtejszym biurze Van Dorna.
- Im dalej od San Francisco, tym lepiej - stwierdził cicho Kelly.
- Umowa stoi, panie Cromwell.

Dogadali się. Cromwell wstał i z szerokim uśmiechem wskazał głową żetony na stoliku.

- Dla rozdającego. Każę dostarczyć panu dziesięć tysięcy go tówką jutro do południa. Resztę dostanie pan po śmierci Bella.

Kelly się nie podniósł.

- Rozumiem.

Cromwell przepchnął się na dół i zobaczył, że tancerze stoją i przyglądają się, jak jego siostra na scenie wykonuje zmysłowy i prowokacyjny taniec brzucha ku uciesze wszystkich gości. Rozluźniła gorset i rozpuściła włosy. Poruszała biodrami w rytm muzyki. Przy stoliku Butler był już kompletnie pijany, a Marion patrzyła z podziwem na popis Margaret.

Cromwell przywołał gestem jednego z kierowników, którzy pełnili również role wykidajłów.

- Słucham szanownego pana.
- Proszę zanieść tego dżentelmena do mojego samochodu.

Wykidajło skinął głową, jednym wprawnym ruchem dźwignął

urzędnika Butlera do pozycji stojącej i zarzucił sobie na ramię. Potem wspiął się po schodach, niosąc go bez wysiłku niczym worek owsa.

Cromwell nachylił się do Marion.

- Dojdzie pani do samochodu?

Spojrzała na niego jakby z gniewem.

- Oczywiście, że dojdę.

- Więc czas iść. - Wziął ją za ramię i podniósł z krzesła. Marion bez pomocy, choć chwiejnie, weszła po schodach. Cromwell skupił uwagę na siostrze. Nie bawiło go jej skandaliczne zachowanie. Złapał ją za ramię wystarczająco mocno, by zostawić si niaka, ściągnął ze sceny i powlókł przez lokal do czekającego przy krawężniku samochodu. Nieprzytomny Butler zajmował miejsce z przodu obok Abnera, zaś Marion siedziała ze szklistymi oczami z tyłu.

Bankier brutalnie wepchnął Margaret na tylne siedzenie, wcisnął ją w róg i usadowił się między dwiema kobietami. Abner wsiadł za kierownicę, uruchomił samochód i pojechał skapaną w blasku kolorowych świateł ulicą.

Cromwell powoli otoczył ramieniem Marion. Spojrzała na niego z obojętną, roztargnioną miną. Szampan zasumiał jej w głowie, ale się nie upiła. Miała jasny umysł. Kiedy Cromwell ścisnął jej ramię, wstrzymała na chwilę oddech. Czuła, jak jego ciało napiera na nią na wąskim siedzeniu.

Był czas, gdy Marion uważała swojego szefa za atrakcyjnego i bardzo ją pociągał. Ale przez te wszystkie lata, kiedy u niego pracowała, nie próbował się do niej zbliżyć. A teraz, nagle, po tak długiej znajomości, zainteresował się nią. O dziwo, nie ogarnęło jej podniecenie. Wydał jej się odpychający i nie rozumiała dlaczego.

Marion ulżyło, że nie posunął się dalej. Jego ręka spoczywała luźno na jej ramionach, dopóki Abner nie zatrzymał rollsa przed jej kamienicą. Cromwell wysiadł i pomógł jej wyjść z samochodu.

- Dobranoc, Marion - powiedział, nie puszczać jej dłoni. - Mam nadzieję, że to był dla pani interesujący wieczór.

Miała wrażenie, że teraz dostrzega głęboko w jego wnętrzu coś, czego nie zauważała przedtem, i jego dotyk napełnił ją odrazą.

- Będę go długo pamiętała - odrzekła szczerze. - Mam nadzieję, że pan Butler i pańska siostra dojdą do siebie.

- Jutro będą mieli kociokwik i należy im się to - odparł z cierpkim uśmiechem. - Widzimy się w poniedziałek rano. Mam stos korespondencji do podyktowania. Chcę mieć puste biurko, kiedy będę wyjeżdżał służbowo w piątek.

- Znow pan wyjeżdża? Tak prędko?

- Na konferencję bankierów w Denver. Muszę na niej być.

- Zatem do poniedziałku - powiedziała z głęboką ulgą, gdy puścił jej dłoń.

Wspięła się po schodach do drzwi, odwróciła i popatrzyła na rolls-royce'a, kiedy odjeżdżał. Wiedziała, że między jej przełożonym i nią już nigdy nie będzie tak samo. Był w nim chłód, z którego wcześniej nie zdawała sobie sprawy, i wzdrygnęła się na wspomnienie jego dotyku. Nagle zrobiło jej się niedobrze od zapachu dymu i potu, którym przesiąkło jej ubranie.

Wbiegła na górę do swojego pokoju, odkręciła kurki nad wanną, rozebrała się gorączkowo i zanurzyła w mydlanej wodzie, by zmyć z siebie wszelkie wspomnienia dekadentckiego wieczoru.

- Po co spotkałeś się z Redem Kellym? - zapytała Margaret, kiedy zostawili Marion przed jej domem.

- Wynająłem go do pewnej drobnej roboty.

Popatrzyła na jego twarz w świetle mijanych ulicznych latarni.

- Jakiej?

- Zajmie się Isaakiem Bellem - odparł rzeczowo.

Margaret wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Nie możesz zamordować agenta Van Dorna! Każdy stróż prawa w kraju będzie cię ścigał.

Cromwell się roześmiał.

- Bez obaw, droga siostrze. Poinstruowałem Kelly'ego, żeby tyl ko posłał Bella na kilka miesięcy do szpitala. Jako ostrzeżenie. To wszystko.

Oklamał siostrę. Zamierzał udać zaskoczonego na wiadomość o śmierci Bella i twierdzić, że detektyw zginął przez pomyłkę, że Kelly'ego poniosło. Uznał, że gniew siostry to niska cena za usunięcie człowieka, który stał się jego największym wrogiem.

Nałóżcie jeszcze jedną warstwę - polecił Cromwell dwóm mężczyznom malującym jego wagon towarowy. Wcześniej był brązowy jak większość wagonów towarowych od początku istnienia kolei. Ale Southern Pacific wybrała czerwień toskańską dla swojego ogromnego taboru, żeby ujednoczyć jego kolor. Cromwell chciał, by nałożono drugą warstwę farby, bo napis „Firma Meblarska O’Brian, Denver” wciąż przebijał przez pierwszą, która dopiero wyschła.

Margaret, ubrana w wełnianą sukienkę i krótki żakiet chroniący przed chłodną bryzą wiejącą od oceanu przez Golden Gate, trzymała parasolkę, by nie zmoczyła jej lekka wczesnoporanna mgła, która opadała na miasto. Obserwując malarzy, stali na rampie załadunkowej pustego magazynu, który Cromwell wynajmował pod pseudonimem.

- Można im ufać? - zapytała Margaret.
- Tym malarzom? - Popatrzył na czterech mężczyzn nanoszących pędzlami farbę na wagon. - To dla nich po prostu kolejne zlecenie, kolejny wagon, który wymaga odświeżenia. Dopóki im się dobrze płaci, nie zadają pytań.
- Zdecydowałeś się zmienić nazwę w samą porę - powiedziała. - Któryś szeryf albo detektyw Van Dorna w końcu odkryje, że wagon Firmy Meblarskiej O’Brian był w pięciu obrabowanych miastach.
- Przeszło mi przez myśl to samo - odrzekł.
- Jaką nazwę dasz teraz?
- Żadnej - odparł. - Wagon będzie wyglądał po prostu jak jeden z wielu należących do Southern Pacific.
- Mógłbyś kupić i wyposażyć nowy. Dlaczego trzymasz tego starego grata?

Cromwell roześmiał się lekko.

- Dlatego, że wygląda jak stary grat. Został zbudowany w 1890. Kolej nadal używa tego modelu. Wolę, żeby sprawiał wrażenie sfatygowanego po wielu latach eksploatacji i przejechaniu tysięcy kilometrów z ładunkiem. A ponieważ nie rzuca się w oczy, nikt nie będzie podejrzewał, do czego naprawdę służy. Nawet ten twój mądrała, pan Bell, nigdy się nie domyśli jego prawdziwego przeznaczenia.

- Nie lekceważ Bella. Jest wystarczająco sprytny, by się zorientować, że to twój apartament hotelowy na kołach.

Spojrzał na nią z kwaśną miną.

- Nie aż tak sprytny. A nawet jeśli coś wywęszy, to za późno. Wagon Firmy Meblarskiej O'Brian już nie istnieje.

Cromwell był dumny ze swojego wagonu. Jego środek transportu miał prawie dziesięć i pół metra długości i ładowność ponad osiemnastu ton. Pusty ważył niecałe pięć i pół. Kiedy wyszła druga warstwa farby, należało umieścić odpowiednie oznaczenia na drewnianych bokach, łącznie z numerem seryjnym pod literami SP, Southern Pacific. Ładowność i masa też musiały być widoczne, a logo SP - wschodzące słońce na białym tle ze słowem „Southern” biegnącym łukiem powyżej, słowem „Pacific” biegnącym łukiem poniżej i słowem „Lines” poziomo przez środek - miało być namalowane po przeciwnej stronie. Po wykończeniu wagon nie różniłby się od tysięcy innych należących do Southern Pacific.

Nawet numer seryjny 16173 był autentyczny. Cromwell zlecił skopiowanie go z jakiegoś wagonu z depa, zdrapanie i naniesienie na jego zamaskowaną salonkę.

Nigdy niczego nie zostawiał przypadkowi. Każde posunięcie starannie obmyślał i przygotowywał. Rozważał wszystkie ewentualności. Nic nie umykało jego uwadze, nawet najdrobniejszy szczegół. Żaden bandyta w historii Stanów Zjednoczonych, łącznie z Jesse Jamesem i Butchem Cassidy razem wziętymi, nie mógł się z nim równać pod względem liczby udanych rabunków, wartości zagarniętego łupu ani liczby zamordowanych ludzi.

Na wzmiankę o Bellu Margaret wróciła myślami do ich tańca w hotelu Brown Palace. Przeklinała siebie za to, że ma chęć go dotknąć. Na samą myśl o tym przechodził ją dreszcz. Znała mnóstwo

mężczyzn, z wieloma miała intymne kontakty. Ale z żadnym nie czuła tego, co w ramionach Bella. Niezrozumiałe pragnienie, nad którym nie panowała. Zaczynała się zastanawiać, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczy, wiedząc jednak, że byłoby to szalenie niebezpieczne. Gdyby się znów spotkali, z pewnością poznałby jej prawdziwą tożsamość i znalazł drogę do jej brata Jacoba.

- Chodźmy - powiedziała, zła na siebie, że pozwoliła sobie na utratę kontroli nad uczuciami.

Cromwell dostrzegł jej nieobecny wzrok, ale postanowił to zignorować.

129

9 - Pościg

- Jak sobie życzysz. Wrócę tu jutro i dopilnuję, żeby skończyli pracę.

Odwrócili się i weszli do magazynu. Cromwell zamknął drzwi i założył antabę, żeby nikt nie mógł dostać się do środka. Ich kroki odbijały się echem w pustym wnętrzu budynku. Tylko w jednym rogu stały dwa biurka i kontuar przypominający okienka kasjerów w banku.

- Szkoda, że nie możesz wynająć tego pomieszczenia i zrobić z niego dobrego użytku - stwierdziła Margaret, poprawiając kapelusz, który przekrzywił się jej na głowie, kiedy wysunęła się szpilka.

- Muszę mieć jakieś miejsce, żeby trzymać w nim wagon - odparł Cromwell. - Stoi sobie niezauważony na boczniczy przy rampie pustego magazynu, którego właściciela nie można znaleźć, i dobrze.

Zerknęła na brata podejrzliwie.

- Znów masz tę minę.

- Jaką?

- Taką, jakbyś planował następny rabunek.

Uśmiechnął się szeroko.

- Nie oszukam własnej siostry.
- Przypuszczam, że byłoby stratą czasu próbować cię namówić, żebyś się z tego wszystkiego wycofał.

Ujął jej dłoń i poklepał.

- Człowiekowi trudno jest zrezygnować z czegoś, w czym celuje.
- Dobrze, więc gdzie tym razem? - westchnęła i się poddała.
- Jeszcze nie zdecydowałem. Najpierw dyskretnie zapytam wśród bankierów o sumy na wypłaty. Potem wybiorę miasta, gdzie są stacje kolejowe z bocznicami dla pociągów towarowych. Ucieczka to najważniejsza część przedsięwzięcia. Potem muszę poznać ulicę i położenie banku. Na końcu starannie zaplanuję napad, czas i moje przebranie.

Margaret przystanąła obok biurka i lady.

- A tutaj ćwiczysz.

Przytaknął.

- Kiedy nasi agenci zdobędą rozkład wnętrza, ustawię odpowiednio meble.
- Dprowadzasz to do perfekcji.

- Staram się - odrzekł wyniośle.
- Twój sposób działania staje się zbyt doskonały, zbyt wyrafinowany - ostrzegła.

Wziął ją za ramię i ścisnął delikatnie.

- Inaczej być nie może.

Bell przyszedł do biura prosto z pociągu. Curtis i Irvine czekali już na niego w sali konferencyjnej. Poznał po ich pogodnych minach, że mają dobre wieści. O optymistycznym nastroju świadczyło również to, że Irvine palił cygaro, a Curtis właśnie wyciągał srebrną papierośnicę z kieszeni marynarki.

- Wyglądacie na zadowolonych - zauważył Bell, stawiając walizkę.
- Znaleźliśmy pewne ślady - odrzekł Curtis, zapalając papierosa. - Nic wielkiego, po prostu kilka małych elementów, które pasują do łamigłówki.
- A ty, Isaac? Natrafiłeś na coś? - zapytał Irvine.

Zanim Bell zdążył odpowiedzieć, Agnes Murphy weszła do sali konferencyjnej z tacą, na której stały trzy filiżanki i dzbanek kawy.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała uprzejmie - ale pomyślałam, że może mają panowie ochotę na kawę.

Bell wziął od niej tacę i postawił na długim stole.

- To bardzo miło z twojej strony, Agnes.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi.

- Zaraz wrócę. - Po niecałej minucie zjawiała się ponownie z cukierniczką i dzbanuszkim śmietanki. - Nie zapomniałam, ale nie mogłam przynieść wszystkiego jednocześnie.

Curtis uśmiechnął się szeroko i cmoknął ją lekko w policzek.

- Jesteś aniołem.

Bell i Irvine z uśmiechem wymienili spojrzenia. Obaj wiedzieli, że Curtis i Agnes są tylko kolegami i zawsze drażnią się ze sobą. Agnes zebrała spódnicę, odwróciła się, wyszła z sali konferencyjnej i

zamknęła drzwi.

- Oprócz kawy pomyślała o zamknięciu drzwi - zauważył Bell.

Curtis wypuścił kółko dymu w kierunku sufitu.

- Agnes wie, co w trawie piszczy. Nie ma dla Alexandra większego szacunku niż my.
- Miałeś właśnie powiedzieć... - przypomniał Bellowi Irvine.
- Dowiedziałem się, że oprócz brakującego palca nasz bandyta jest prawdopodobnie rudy. I jeździ na motocyklu, którego użył do więcej niż jednego napadu. - Bell sięgnął do kieszeni, wyjął jedwabny woreczek, otworzył go i wyrzucił łuskę na stół. - Już wiemy, że Rzeźnik używa samopowtarzalnego colta kaliber 9 milimetrów. Ta łuska została znaleziona w banku pod dywanem. Musiał ją przeoczyć, bo nie zostawił żadnych łusek podczas innych rabunków. Szeryf Murphy z Bisbee to mądry człowiek i kazał koronerowi okręgowemu wydobyć pociski z ciał ofiar zabójstwa. Wszystkie pochodziły z colta dziewiątki.
- Możemy sprawdzić sprzedaż wszystkich takich pistoletów - zaproponował Curtis.
- Nie mogło być ich więcej niż jakieś dziesięć tysięcy - odparł sarkastycznie Irvine. - Przepytanie każdego handlującego bronią, sprzedawcy i właściciela sklepu żelaznego, w którym można kupić samopowtarzalną dziewiątkę, zajęłoby dziesięciu agentom lata.

Bell przytaknął.

- Art ma rację. To loteria.

Curtis uśmiechnął się chytrze.

- Niekoniecznie. Gdyby mieli wskazówkę, gdzie bandyta się kryje, moglibyśmy spytać handlujących bronią w tamtym rejonie.
- Słuszne rozumowanie - zgodził się Bell, nie wiedząc, co Curtis za chwilę ujawni. - Na razie wyślę tę łuskę do Chicago, żeby nasi specjaliści spróbowali zdjąć z niej odciski palców. - Wyciągnął się na krześle, odchylił je do tyłu i oparł stopę na krawędzi stołu. - A teraz mówcie, co odkryliście.

Irvine otworzył oprawioną księgę i położył ją na stole przed Bellem i Curtisem.

- Trafiłem na żyłę złota w Elkhorn w Nevadzie. Spisali numery seryjne banknotów

pięćdziesięci dolarowych z ich skarbca dzień przed rabunkiem.

- Wiem dlaczego - powiedział Bell. - Pięćdziesiątki są podrabiane częściej niż jakiegokolwiek inne nominały. Kiedy księgowy je ewidencjonował, musiał każdą dokładnie obejrzeć, żeby sprawdzić, czy nie są fałszywe.

Irvine postukał palcem w wykaz i spojrzał na Bella.

- Możesz poprosić nasze biuro w Chicago, żeby rozesłali do wszystkich banków na Zachodzie komunikat, że mają na nie uważać. Pięćdziesiątki będzie łatwiej znaleźć niż piątki, dziesiątki czy dwudziestki.

- I o wiele łatwiej niż jedyńki - dodał Curtis.

- Zajmę się tym - zapewnił Irvine'a Bell.

- Sam trochę popytałem i uzyskałem nazwy dwóch banków w San Francisco, gdzie pojawiły się trzy takie banknoty.

- Dobra robota - pochwalił Bell i odwrócił się do Curtisa. -A ty, Arthur? Dopisało ci szczęście?

- Znalazłeś jakieś pociągi osobowe, którymi mógł uciec? -spytał Irvine.

- Nie. Ale co innego z towarowymi.

- Nie przeszukiwały ich oddziały pościgowe?

Curtis pokręcił głową.

- Nie te wagony, które były załadowane i pozamykane.

- Więc na czym stoimy? - zapytał Bell.

Curtis uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Wymagało to wielu godzin grzebania w zakurzonych sta rzych dokumentach przedsiębiorstwa kolejowego, ale udało mi się dokonać interesującego odkrycia. Znalazłem trzy wagony, które stały na bocznicach w obrabowanych miastach. Wagon towarowy o numerze seryjnym 15758 był w Virginia City i Bisbee podczas napadów na banki. W Virginia City wiozł pięćdziesiąt zwojów drutu kolczastego dla jakiegoś rancza w południowej Kalifornii. W Bisbee był pusty i czekał na bocznicę, aż go przyczepią do innego pociągu. Irvine poruszył się niespokojnie na krześle.

- Pusty - powtórzył.
- Tak, pusty. Przewiózł wyroby ceramiczne z Las Cruces w Nowym Meksyku do Tucson, zanim został odesłany pusty z powrotem do El Paso.
- Więc ten możemy skreślić - mruknął Bell. - A co z pozostałymi?

Curtis zajrzał do swoich notatek.

- Numer 18122 był w Elkhorn w Nevadzie i w Grand Junction w Kolorado, kiedy rabowano ich banki. Stał na boczniczy w Grand Junction i czekał na dołączenie do pociągu, który go zabrał do Los Angeles. Wiózł sześćdziesiąt skrzynek wina. A w Elkhorn materace z fabryki w Sacramento w Kalifornii.
- To tyle, jeśli chodzi o 18122 - skwitował Irvine. - Nie jest prawdopodobne, że bandyta nim uciekł.

Curtis się rozpromienił.

- Najlepsze zostawiłem na koniec. - Wstał, podszedł do tabli cy szkolnej i napisał na niej: „Firma Meblarska O’Brian, Denver”. Potem odwrócił się z zadowoloną miną. - Dochodzimy do wagonu towarowego, który był w miejscach pięciu rabunków.

Bell i Irvine wyprostowali się gwałtownie na krzesłach, gdy słowa agenta przykuły ich uwagę. Curtis chwycił byka za rogi i zbadał coś, co nikomu nie przyszło do głowy.

- Ten wagon był w pięciu miastach w dniach napadów na tam tejsze banki? - upewnił się Bell zaskoczony nieoczekiwaną rewe lacją Curtisa.
- Zrobiłem listę tych miast, dat i punktu docelowego.

Irvine o mało nie rozlał swojej kawy, odstawiając ją z powrotem na tacę.

- Chyba punktów docelowych, w liczbie mnogiej.
- Nie, punktu docelowego, w liczbie pojedynczej. - Curtis zaśmiał się cicho. - Za każdym razem wagon meblowy z Denver odjeżdżał do San Francisco. Nie mogłem znaleźć żadnego śladu, że kiedykolwiek trafił do Denver albo gdzie indziej. Mogę tylko przypuszczać, że służył do ucieczki przed oddziałami pościgowymi.

Bell popatrzył na napis na tablicy.

- Założę się o miesięczną pensję, że jak sprawdzimy sklepy meblowe w Denver okaże się, że Firma Meblarska O'Brian nie istnieje.

- Sądzę, że to pewne - podsumował Irvine.

Bell odwrócił się do Curtisa.

- Kiedy była ostatnia wzmianka Southern Pacific o tym wagonie?

-- Dwa tygodnie temu został odstawiony na bocznicę w San Francisco. Według moich ostatnich ustaleń nadal tam jest.

- Więc musimy go odnaleźć i przeszukać.

- I wziąć pod obserwację - dodał Irvine.

- To też - przytaknął Bell. - Ale musimy bardzo uważać, żeby nie wzbudzić podejrzeń bandyty, że jesteśmy na jego tropie.

Curtis zapalił następnego papierosa.

- Pojadę do San Francisco pierwszym porannym pociągiem.

- Glenn i ja przyłączymy się do ciebie. - Bell skierował swoją uwagę na Irvine'a. - Wspomniałeś, że trzy banknoty pojawiły się w San Francisco.

Irvine skinął głową.

- Zgadza się. Jeden w Cromwell National Bank of San Francisco i dwa w Crocker National Bank.

Bell po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Zdaje się, panowie, że wszystkie drogi prowadzą do San Francisco.

- Na to wygląda - zgodził się Curtis z rosnącym zapalem.

Dwaj detektywi patrzyli wyczekująco na Bella, który studiował

mapę z chorągiewkami w miejscach, gdzie Rzeźnik popełnił zbrodnię. Trzej agenci Van Dorna mieli nikły trop, który mógł prowadzić w ślepy zaułek. Ale byli zadowoleni z tego, co ustalili. Nawet ten

słaby punkt zaczepienia wystarczył, by Bell wpadł na pewien pomysł.

- To może być coś takiego jak postawienie na perszerona na wyścigach konnych, ale myślę, że może nam się uda zastawić pułapkę.

- Masz jakiś plan? - zapytał Irvine.

- Założmy, że zamieścimy w lokalnych gazetach w San Francisco wiadomość o transporcie miliona dolarów. Będą je przewozić specjalnym pociągiem na wypłaty do banku w pewnym kilkutysięcznym górniczym mieście. Suma będzie duża, bo właściciele kopalń obiecali robotnikom specjalną premię, by zapobiec strajkowi, którym zagroził związek zawodowy górników, żądając znaczącej podwyżki.

Curtis rozważył propozycję Bella.

- Mógłby to łatwo sprawdzić i odkryć, że informacja jest nieprawdziwa.

- Jeden z nas siedziałby w urzędzie telegraficznym i potwierdziłby ją, gdyby przyszło zapytanie.

- Może nawet udałoby się nam ustalić, kto przysłał telegram - powiedział Irvine.

Bell przytaknął.

- To też.

Irvine zajrzał do swojej filiżanki z kawą niczym wróżbiarz odczytujący przepowiednię z fusów.

- Szansa powodzenia jest jak jeden do tysiąca. Wszyscy to wiemy.

- Bez wątpienia - przyznał Bell - ale warto spróbować. Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, to kto wie, czy nie wpadniemy na inny trop.
- Wybrałeś już miasto? - spytał Curtis.
- Tak, Telluride w Kolorado - odrzekł Bell - bo leży w kanionie otwartym tylko z jednej strony. Poza tym tamtejsi górnicy przystąpili do strajku w roku 1901 i 1903, więc kolejny jest całkiem możliwy.
- Jeśli pojawi się wagon towarowy Firmy Meblarskiej O'Brian -powiedział Curtis - to będziemy wiedzieli, że nasz złodziej chwycił przynętę.
- Kiedy pociąg wjedzie na bocznice w Telluride, to będzie mógł wyjechać tylko tą samą drogą, którą przyjechał. - Irvine westchnął i uśmiechnął się z zadowoleniem. - Bandyta znajdzie się w pułapce bez żadnej możliwości ucieczki.

W sali konferencyjnej zapanowała atmosfera nadziei. To, co wydawało się niemal przegraną sprawą, zaczęło się układać. Trzej detektywi powiedli wzrokiem po wielkiej mapie na zachód w kierunku Pacyfiku i skoncentrowali się na portowym mieście San Francisco.

Kiedy Bell zjeżdżał windą na parter, żeby udać się do hotelu Brown Palace, tryskał optymizmem. Bez względu na wynik gry jej koniec był w polu widzenia. Jeszcze niewyraźny, ale karty wreszcie były korzystne dla Bella. Wrócił myślami do Rose i po raz setny zadał sobie pytanie, co może ją łączyć z Rzeźnikiem.

Jaka kobieta może być w bliskich stosunkach z mordercą kobiet i dzieci? Przypuszczał, że jest równie podła jak bandyta, jeśli nie bardziej.

Bell wysiadł z hotelowej windy i poszedł do swojego pokoju. Wyjął klucz z kieszeni spodni i wsunął do zamka. Zanim zdążył go przekręcić, drzwi się uchyliły. Nie zostały dobrze zamknięte.

Bell zamarł i stęzał. Najpierw pomyślał, że to nieuwaga pokojówki. Wniosek wydawał się logiczny, ale stał się podejrzliwy. Ostrożność już nieraz go uratowała.

Narobił sobie wielu wrogów przez lata pracy u Van Dorna. Kilku ludzi, których aresztował i oddał w ręce sprawiedliwości, co skończyło się dla nich więzieniem, poprzysięgło mu zemstę. Trzech próbowało jej dokonać i dwaj już nie żyli.

Pomyślał, że jeśli ktoś czeka na niego w pokoju, to bez broni palnej. Strzały zaalarmowałyby

personel. Przestępca miałby tylko dwie drogi ucieczki z ósmego piętra - windę lub schody. Obie nie byłyby dobre.

Bell zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie wyolbrzymia zagrożenie, które może w ogóle nie istnieć. Ale nie dożyłby swojego wieku, gdyby nie podejrzliwość. Uznał, że jeśli ktoś czai się na niego w apartamencie, to z nożem.

Zdjął kapelusz i go upuścił. Zanim nakrycie głowy dotknęło dywanu, trzymał w ręku derringera, małą broń kaliber 10 milimetrów z dwiema lufami umieszczonymi jedna pod drugą. Pistolet był zadziwiająco skuteczny z małej odległości.

Bell poruszył kluczem w zamku, jakby go przekręcał. Pchnął drzwi i przed wejściem rozejrzał się po przedpokoju i salonie. Zapach dymu papierosowego uderzył go w nozdrza, co potwierdziło jego podejrzenia. Palił tylko cygara, i to rzadko, jedynie do brandy po dobrej kolacji. Z derringerem w ręku przekroczył próg apartamentu. Śmierć, jak trzeci człowiek, czekała w środku.

Jakiś mężczyzna siedział na kanapie i czytał gazetę. Na widok Bella odłożył ją na bok i odsłonił oblicze paskudne jak grzech. Czarne włosy miał tłuste i przylizane. Jego twarz wyglądała tak, jakby nadepnął na nią muł. Budową ciała przypominał knura, który zdobył główną nagrodę na stanowych targach trzody chlewnej. Oczy patrzyły dziwnie łagodnie i przyjaźnie, co zwiódło wiele ofiar. Bell nie dał się zwieść; zauważył, że mężczyzna ma siłę, by skoczyć jak tygrys.

- Jak pan się tu dostał? - zapytał po prostu.

Obcy uniósł klucz.

- Za pomocą klucza uniwersalnego - odrzekł głosem jak zgrzyt pracującej kruszarki kamienia. - Bez niego nie ruszam się z domu.

- Jak pan się nazywa?

- Moje nazwisko nic ci nie da. Nie zdążysz go wykorzystać. Ale skoro zapytałeś, to brzmi ono Red Kelly.

Fotograficzna pamięć Bella sprawiła, że przypomniał sobie pewien raport, który kiedyś czytał.

- A tak, cieszący się złą sławą Red Kelly, bokser, właściciel saloonu w Barbary Coast i zabójca. Stoczyłeś dobrą walkę z mi strzem świata Jamesem J. Corbettem. Przystudiowałem kiedyś raport na twój temat, na wypadek gdybyś kiedykolwiek opuścił

Kalifornię. To błąd z twojej strony. Chronią cię skorumpowani politycy, którzy nie dopuszczają do

ekstradycji za zbrodnie w innych stanach, ale w Kolorado to ci nie pomoże. Zostaniesz tu aresztowany.

- Przez kogo? - zapytał Kelly, pokazując złote zęby. - Przez ciebie?

Bell stał swobodnie i czekał na ruch Kelly'ego.

- Nie byłbyś pierwszy.

- Wiem o tobie wszystko, lalusi - odparł pogardliwie Kelly. - Wykrwawisz się jak inni nieszczęśnicy, których posłałem do grobu.

- Ilu detektywów i policjantów?

Kelly uśmiechnął się szkaradnie.

- Pamiętam trzech. Po jakimś czasie liczba zaczyna zacierać się w pamięci.

- To koniec twoich morderstw, Kelly - powiedział spokojnie Bell.

- Czyżby, lalusi? Jeśli myślisz, że sterroryzujesz mnie tą pu-kawką, to grubo się mylisz.

- Sądzisz, że nie zdołam cię z niej zabić? - zapytał Bell.

- Nie masz szans - odrzekł lodowato Kelly.

Bell natychmiast zrozumiał, co oznacza zmiana w jego spojrzeniu. Odwrócił się błyskawicznie w półprzysiadzie, wycelował i strzelił w czoło mężczyźnie, który podkradał się do niego z tyłu, wyłowiwszy się zza zasłony. Huk broni w otwartym pokoju rozniósł się po całym hotelowym atrium.

Kelly zerknął na ciało swojego pomagiera z obojętnością konia, który rozdeptał pieska preriowego. Potem uśmiechnął się do Bella.

- Zaslugujesz na swoją reputację. Musisz mieć oczy z tyłu głowy.

- Przyszedłeś mnie zabić - stwierdził beznamiętnie Bell. - Dlaczego?

- To tylko robota, nic więcej.

- Kto ci zapłacił?

- Nie musisz tego wiedzieć. - Kelly odłożył na bok gazetę i wstał wolno.

- Nawet nie próbuj wyciągać broni z za paska - ostrzegł Bell, derringer tkwił w jego ręku nieruchomo niczym gałąź dębu.

Kelly znów błysnął złotymi zębami.

- Nie potrzebuję broni.

Skoczył naprzód, umięśnione nogi przeniosły go przez pokój, jakby został wystrzelony z armaty.

Bella w ciągu tych dwóch sekund uratowało dzielące ich dwa i pół metra. Gdyby odległość była mniejsza, Kelly runąłby na niego jak lawina. Tymczasem uderzył go niczym taran i Bell został odrzucony w bok przez fotel na zielony dywan. Ale wcześniej nacisnął spust derringera i trafił Kelly'ego w prawy bark.

Napastnik zatrzymał się, ale nie przewrócił. Był zbyt potężny, zbyt muskularny, żeby zważyć go z nóg pocisk, który nie przebił mu serca ani mózgu. Przyjrzał się rosnącej czerwonej plamie na koszuli z obojętną miną chirurga. Potem uśmiechnął się szatańsko.

- Miałeś tylko dwa naboje w tej swojej pukawce, lalusi. Teraz jest pusta.

Bell zerwał się na nogi.

- Chciałbym, żebyś przestał nazywać mnie lalusiem.

Teraz przyszła kolej Kelly'ego, żeby sięgnąć za plecy po colta. Właśnie go unosił, by ściągnąć spust, gdy Bell cisnął derringerem niczym miotacz piłką bejsbolową po otrzymaniu sygnału od łapacza. Z

odległości stu dwudziestu centymetrów nie mógł chybić. Mała broń, twarda jak kryształ kwarcu, odbiła się od nosa Kelly'ego na wysokości oczu.

Krew trysnęła z rany i szybko zalała mu dolną połowę twarzy. Zachwiał się bardziej niż po postrzale w bark. Nie zrobił gwałtownego wdechu z bólu, nie wydał mrozącego krew w żyłach okrzyku. Westchnął tylko głęboko. Nie wypuścił broni z ręki, ale nie uniósł jej ponownie, by wycelować. Nie mógł. Bell schylił głowę i natarł na przeciwnika niczym morświn na wielkiego białego rekina. Przyśpieszał z każdym krokiem i z impetem uderzył bykiem w brzuch. Były bokser tylko stęknął, złapał Bella i rzucił przez pół pokoju z fenomenalną siłą.

Bell wpadł na ścianę i stracił oddech. Gdyby uderzył w nią mocniej, leżałby na wyciągu przez dwa miesiące. Ale jego atak nie poszedł na marne. Kiedy wyrzwał swoim osiemdziesięcioczkilogramowym ciałem w stutrzynastokilogramowego Kelly'ego, wyrwał mu rewolwer.

Nie próbował zatrzymać go słowami „stój, bo strzelam”, bo wiedział z doświadczenia, że to nie podziała na zabójcę zdecydowanego posłać go na marmurową płytę u koronera okręgowego. Nie lękał się, że pokona Kelly'ego w walce wręcz. Napastnik był silniejszy i bardziej bezlitosny. Bell ledwo zdążył oddać dwa strzały, zanim Kelly doszedł do siebie, chwycił go za gardło z brutalnością goryla i zaczął dusić wielkimi łapskami. Runął na niego, przycisnął do dywanu, przygniótł mu klatkę piersiową i przygwoździł ramiona do podłogi, żeby nie mógł znów wypalić z colta. Kelly miażdżył go spokojnie, jakby pociski nie zrobiły mu krzywdy.

Bell nie mógł się ruszyć i sięgnąć w górę, by oderwać od szyi wbijające się w nią palce. Kelly był od niego dużo silniejszy. Bell nie wątpił, że udusił już niejednego człowieka. Musiał szybko coś wymyślić, żeby nie stać się jego kolejną ofiarą. Zaczynało mu ciemnieć w oczach, z każdą chwilą coraz bardziej.

Bardziej niż świadomość, że tylko sekundy dzielą go od śmierci, szokowało Bella to, że postrzały nie wywarły na Kellym żadnego wrażenia. Z całą pewnością wpakował w niego dwie kule. Podniósł wzrok na dwoje oczu, czarnych jak otchłań piekła, i na krew, która zamieniła dolną połowę twarzy w przerażającą szkarłatną maskę. Co go trzyma przy życiu, dlaczego nie traci sił? To nie jest ludzka istota.

Wtem Bell wyraźnie poczuł, jak ucisk zaczyna stopniowo słabnąć. Zamiast spróbować uwolnić szyję z chwytu, wbił kciuki w pozbawione wyrazu oczy mordercy, wiedząc, że będzie to ostatni ruch,

zanim ogarnie go ciemność. Gwałtownie obrócił ciało i wydostał się spod Kelly'ego.

Wielki bokser jęknął i zasłonił oczy rękami. Popęzł na ślepo w kierunku Bella, który kopnął go mocno w brzuch. Bell dopiero teraz zobaczył dwie krwawe dziury po pociskach w koszuli

Kelly'ego poniżej piersi. Dlaczego on nie umiera? - zastanawiał się Bell. Powinien już skonać. Tymczasem Kelly złapał go za nogę.

Bell poczuł, że jest wleczony po dywanie, poplamionym i przesiąkniętym krwią wroga. Wierzgnął wolną nogą. Trafił Kelly'ego, ale ten nie puścił, lecz wzmocnił chwyt na łydce. Paznokcie wbiły się Bellowi w ciało. Został przyciągnięty bliżej, zobaczył udręczoną minę i pałające nienawiścią oczy.

Nadszedł czas, by zakończyć tę koszmarną walkę. Bell wciąż trzymał colta w prawej ręce. Z całkowitym spokojem uniósł lufę, i gdy jej wylot znalazł się centymetry od twarzy Kelly'ego, nacisnął spust i posłał jedenastomilimetrowy pocisk w prawe oko opryszka.

Nie rozległ się przeraźliwy wrzask ani makabryczny bulgot. Kelly głośno wypuścił powietrze i przewrócił się na dywan jak wielka bestia w agonii.

Bell usiadł na podłodze i pomasował szyję, dysząc ciężko z wysiłku. Odwrócił głowę i spojrzał na drzwi, gdy ludzie wpadli do apartamentu. Zatrzymali się, zszokowani morzem krwi i widokiem leżącego zwalistego mężczyzny, którego twarz była nie do rozpoznania pod maską krzepnącej krwi. Wyglądała groteskowo z widocznymi przez otwarte usta złotymi zębami, które powoli purpurowiały.

Kelly zginął straszną śmiercią, i po co? Dla pieniędzy? Dług? Wendeta? Nie to ostatnie. Bell nigdy nie prowadził śledztwa przeciwko olbrzymowi z Barbary Coast. Ktoś musiał mu dobrze zapłacić za

zabójstwo.

Bell się zastanawiał, czy kiedykolwiek pozna odpowiedź.

Następnego ranka Bell wyszedł z dużej porcelanowej wanny, wytarł ręcznikiem ociekające wodą ciało i spojrzął w lustro. Szyja nie wyglądała ładnie. Była spuchnięta i widniały na niej wyraźne purpurowe ślady palców Reda Kelly'ego. Włożył czystą białą koszulę i zobaczył z zadowoleniem, że wysoki sztywny kołnierzyk, choć drażni wrażliwą skórę, zasłania sińce.

Nie były to jedyne fioletowozielone plamy na jego obolałym ciele. Miał jeszcze kilka. Kiedy Kelly nim cisnął, przeleciał przez

fotel i wpadł na ścianę. Siady bolały przy dotknięciu i nie zanosiło się na to, że szybko znikną.

Włożywszy swój typowy lniany garnitur, Bell wyszedł z hotelu, wstąpił do placówki Western Union i wysłał do Josepha Van Dorna telegram z wiadomością o zamachu na swoje życie. Kiedy wszedł wolno do biura, Agnes Murphy przyjrzała mu się otwarcie. Wstała z wyrazem matczynej troski w oczach.

- Och, panie Bell. Słyszałam, co pana spotkało. Mam nadzieję, że nic się panu nie stało.

- Mam kilka siniaków, Agnes, nic więcej.

Na dźwięk jego głosu Curtis i Irvine wyszli z sali konferencyjnej, a Alexander ze swojego gabinetu. Obaj agenci potrząsnęli energicznie jego dłonią - trochę zbyt energicznie, pomyślał Bell, krzywiąc się z powodu nieprzyjemnego doznania w obolałym ciele. Alexander tylko stanął z tyłu jak postronny widz.

- Cieszę się, że widzę cię całego i zdrowego - powiedział Curtis.

- Podobno była niezła walka.

- O mało nie przeniosłem się na tamten świat.

- Po naszej rozmowie telefonicznej - ciągnął Curtis - nadałem telegraf do biura w San Francisco, że

zaatakował cię Red Kelly. Zamierzają się dowiedzieć, kto z jego klientów mógł chcieć cię wyeliminować.

- Straszna sprawa - wtrącił beznamiętnie Alexander. - To nie do pomyślenia, żeby ktoś usiłował zgładzić agenta Van Dorna.

Bell posłał mu przeciągłe surowe spojrzenie.

- Jestem ciekaw, skąd Kelly wiedział, gdzie mieszkam.

- Kelly był dobrze znanym szefem przestępczego podziemia w Barbary Coast - powiedział Irvine. - Czy jacyś twoi dawni znajomi, których wpakowałeś za kratki, albo przyjaciele lub krewni kogoś, mogą zaaresztować i zostać skazany na śmierć, mogli być z San Francisco?

- Nie przypominam sobie nikogo takiego - odrzekł Bell. - Gdybym musiał zgadywać, to powiedziałbym, że stał za tym Rzeźnik.

- Jeśli wie, że go szukasz, z pewnością ma motyw - stwierdził Irvine.

- Nie spoczniemy, dopóki tego nie wyjaśnimy - oznajmił Alexander. W uszach Bella jego słowa zabrzmiały pusto. - Nie ma pan pojęcia, jak się cieszę, że wyszedł pan z tego cało. - Odwrócił się i wszedł z powrotem do swojego gabinetu.

Gdy tylko znalazł się poza zasięgiem głosu, Bell powiedział:

- Kolejny gwóźdź do trumny, panowie. Trop bandyty prowadzi do San Francisco.

Bell, Irvine i Curtis zeszli z promu w Oakland i weszli do wielkiej przystani. Znaleźli się w wysokiej na dwa piętra hali z łukami i świetlikami w górze. Wyszli na Embarcadero u stóp Market Street. Gdy Irvine i Curtis poszli złapać taksówkę, Bell odwrócił się i spojrzął na siedemdziesięciotrzymetrową wieżę zegarową zbudowaną na wzór XII-wiecznej dzwonnicy La Giralda w hiszpańskiej Sewilli. Długie wskazówki na dużej tarczy pokazywały czwartą jedenastą.

Bell sprawdził godzinę na swoim zegarku i stwierdził, że zegar na budynku przystani śpieszy się minutę.

Po przyplłynięciu czterech promów jednocześnie w terminalu panował tłok i trzech agenci nie mogli znaleźć wolnej taksówki. Bell zatrzymał dorożkę, uzgodnił cenę z woźnicą i kazał ich zawieźć do hotelu Palace przy Montgomery Street.

- Jak zamierzasz wykorzystać nasze tutejsze biuro? - zapytał go Curtis, kiedy wsiedli.

- Jesteśmy umówieni na kolację z dyrektorem okręgowym. Nazywa się Horace Bronson. Sympatyczny facet i bardzo kompetentny. Pracowałem z nim kiedyś w Nowym Orleanie. Kiedy wysłałem do niego telegram, zaoferował wszelką możliwą pomoc. Obiecał wysłać swoich agentów do sprzedawców broni po nazwiska klientów, którzy mogli kupić samopowtarzalną dziewiątkę.

Irvine obrócił w palcach niezapalone cygaro.

- Ja zacznę od banków Cromwella i Crockera i zobaczę, czy pomogą odnaleźć jakieś numery seryjne skradzionych banknotów.

- Możesz się też wybrać do innych dużych banków - podsunął Bell. - Do Wells Fargo i Bank of Italy na wypadek, gdyby jakieś skradzione pieniądze znalazły się u nich. Jeśli złodziej jest z San Francisco, to zrozumiałe, że wydaje je tutaj.

- Czeka nas mnóstwo pracy - stwierdził Curtis. - Ja poszukam wagonu Firmy Meblarskiej O'Brian.

Bell wyciągnął nogi.

- Po spotkaniu z Bronsonem napiszę fałszywe informacje prasowe o transporcie gotówki do San Miguel Valley Bank w Telluride i nakłonię redaktorów naczelnych tutejszych gazet do publikacji.

Dorożka dojechała do wspaniałego hotelu Palace i skręciła w Garden Court, elegancki hotelowy wjazd dla powozów, nad którym górowało siedem kondygnacji balkonów z białego lśniącego

marmuru z ponad setką ozdobnych kolumn. Światło przenikało z góry przez wielki witrażowy świetlik w kształcie kopuły.

Bell zapłacił woźnicy, gdy portierzy wnosili bagaże do środka. Trzej detektywi Van Dorna weszli do rozległego majestatycznego holu. Zameldowali się i wjechali na górę hydrauliczną windą w sekwojowej boazerii. Bell kazał połączyć ich pokoje, żeby powstał duży apartament.

- Wiecie co - powiedział do Irvine'a i Curtisa - jest prawie piąta, więc nic już dzisiaj nie zdziałamy. Odświeżymy się, potem wyjdziemy, zjemy coś dobrego, wyśpimy się i zaczniemy poszukiwania z samego rana.
- Mnie to odpowiada - odrzekł Irvine. Burczało mu w żołądku, bo nic nie jedli od ośmiu godzin.
- Jaką restaurację masz na myśli? - zapytał Curtis.
- Bronson jest członkiem Klubu Bohemy. Zaprasza nas do ich jadalni.
- To musi być ekskluzywny lokal.

Bell się uśmiechnął.

- Nie masz pojęcia, jaki ekskluzywny.

145

10 - Pościg

O ósmej detektywi wysiedli z taksówki na Taylor Street przed wejściem do wpływowego i elitarnego Klubu Bohemy. Został założony w 1872 roku jako miejsce spotkań dziennikarzy, artystów i literatów. Należeli do niego między innymi Mark Twain, Bret Harte, Ambrose Bierce i Jack London. Z biegiem lat wstępowali do niego potężni ludzie, którzy tworzyli biznesową elitę miasta, i wkrótce stali się dominującą grupą. Kobiety nie wpuszczano, a żony oraz towarzyszkę członków musiały wchodzić tylnymi drzwiami.

Tego wieczoru kobiety miały wstęp do jadalni, gdyż goszczono Enrica Carusa, który nalegał, żeby jego żona była obecna. Dyrektorzy klubu uznali to za specjalną okazję i zrobili jeden z niewielu wyjątków.

Irvine i Curtis weszli za Bellem do głównej recepcji i czekali przez chwilę, dopóki wysoki,

muskularny i najwyraźniej wysportowany mężczyzna o młodzieńczej twarzy nie wystąpił naprzód i nie potrząsnął energicznie dłonią Bella.

- Isaac, miło cię widzieć.
- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł Bell, zadowolony ze spotkania ze starym przyjacielem i przygotowany na miażdżący uścisk dłoni. - Dobrze wyglądasz.
- Stale nad tym pracuję. - Skinął głową Irvine'owi i Curtisowi. - Witam, jestem Horace Bronson.

Jego mocny głos pasował do szerokich barów, które zdawały się rozsadzać dobrze skrojony szary garnitur. Miał chłopięce rysy i gęstą, spłowiałą od słońca czuprynę.

Bell dokonał prezentacji i patrzył z rozbawieniem na nietęgę miny agentów mrugających powiekami, gdy Bronson ścisnął im dłonie swoją wielką łapą. Choć kierował biurem w dużym mieście i podlegało mu dziesięciu detektywów, zdawał się na Bella, który przewyższał go rangą w agencji. Podziwiał też jego doświadczenie i godną pozazdroszczenia reputację. I miał wobec niego dług wdzięczności, gdyż Bell zarekomendował go Van Dornowi na stanowisko szefa placówki w San Francisco.

- Proszę tędy do jadalni - powiedział ciepło. - Klub słynie z dobrego jedzenia i wina.

Branson zaprowadził ich z imponującego holu do wielkiej wspaniałej jadalni z mahoniową podłogą, ścianami i sufitem. Zamienił parę słów z kierownikiem sali.

Położył dłoń na ramieniu Bella.

- Poprosiłem go o stół, który zwykle rezerwuję na spotkania służbowe. Jest w rogu, gdzie nikt nas nie podsłucha.

Kierownik zaprowadził ich do stolika na uboczu, ale z widokiem na całą salę. Stojący obok kelner położył im serwetki na kolanach i zaczekał, aż Branson przejrzy listę win i dokona wyboru. Gdy tylko kelner się oddalił, Branson odprężył się i spojrzał na Bella.

- Zasięgnąłem informacji w różnych firmach, które sprzedają samopowtarzalne dziewiątki od czasu wprowadzenia ich na rynek. W sumie wyszło sześćdziesiąt siedem. Przydzieliłem czterech agentów do dochodzenia. Powinni coś wiedzieć za dwa, trzy dni... może wcześniej, jeśli dopisze im szczęście.

- Dziękuję ci, Horace - odrzekł Bell. - To nam zaoszczędzi sporo czasu, którego potrzebujemy, żeby sprawdzić inne tropy.

Branson uśmiechnął się szeroko.

- Przynajmniej tyle mogę zrobić. Poza tym pan Van Dorn polecił mi udzielić ci wszelkiej możliwej pomocy.
- Przyda nam się każda pomoc.
- Masz jakieś inne poszlaki prowadzące do Rzeźnika?
- Będę musiał cię poprosić o zachowanie tego w tajemnicy. Ustaliłem, że ma szpiegów w naszej agencji.
- Możesz mi w pełni zaufać - zapewnił Branson z rosnącą troską. - Trudno uwierzyć, że coś takiego jest możliwe. Van Dorn o tym wie?

Bell przytaknął.

Potem wyjaśnił Bronsonowi, jakie dowody sprowadziły ich do San Francisco. Powiedział mu o tym, że Irvine znalazł numery seryjne banknotów, że Curtis natrafił na podejrzany wagon towarowy, i że on sam dowiedział się o rudych włosach i brakującym palcu. Nie pominął żadnego szczegółu, ale niczego nie upiększył. Irvine i Curtis dodali swoje uwagi na temat własnych odkryć. Kiedy Bell skończył, Branson milczał przez chwilę.

- Wasze śledztwo posuwa się naprzód, Isaac - stwierdził w końcu. - Macie coś konkretnego, podczas gdy jeszcze kilka tygodni temu nie było nic. Ale, niestety, to nie wystarczy, żeby go zidentyfikować.
- To prawda - przyznał Bell - ale to jest nitka, która może prowadzić do kłębka.

Przyniesiono wybrane przez Bransona wino, kalifornijskie chardonnay z zapasów wytwórni Charles Krug, najstarszej w Napa Valley, i po odpowiedniej ceremonii próbowania nalano do kieliszków. Kiedy studiowali menu i delektowali się winem, nie rozmawiali o bandycie.

- Co cię tak intryguje? - zapytał Bella Branson.
- Mają tu grasicę cielecą w sosie beszamelowym. Spróbuję tego, bo uwielbiam grasicę.
- Czy to nie jądra byka? - spytał Curtis.

Branson się roześmiał.

- Masz na myśli ostrygi z Gór Skalistych.

- Cenione przez smakoszy na całym świecie - wyjaśnił Bell - grasicie cielęce to gruczoły. Są dwa, jeden blisko serca, drugi w gar dle. Ten pierwszy jest uważany przez szefów kuchni za najsmaczniejszy...

Urwał nagle w pół zdania i z uwagą utkwiał wzrok w sali. Zmrużył niebieskie oczy, jakby patrzył w dal. Usiadł prosto i zeszytniał, wyraźnie czymś zaabsorbowany.

- Co się stało, Isaac? - zapytał Irvine. - Zobaczyłeś ducha?

- Żebyś wiedział - mruknął Bell, przyglądając się parze, która weszła do jadalni i rozmawiała z kierownikiem. Wzbudzała ogólne zainteresowanie. Oboje mieli takie same płomiennorude włosy. Kobieta dorównywała wzrostem drobnemu mężczyźnie.

Była ubrana w żółty dwuczęściowy kostium, spódnica z klinów tworzyła kształt wydłużonego dzwonu z krótkim trenem. Bluzkę ozdobiły koronki, krótki żakiet z niezwykle głębokim wycięciem odsłaniał wspaniały diamentowy naszyjnik. W epoce dbałości o formy modny szeroki kapelusz z piórami a la *Wesoła wdówka* wyglądał bardzo szykownie, podobnie jak etola z lisów wokół jej ramion.

Towarzysz kobiety był w drogim czarnym garniturze z kamizelką. Gruby złoty łańcuszek biegł z jednej kieszonki przez dziurkę od guzika do drugiej z zegarkiem. Z dewizki zwisał duży inkrustowany diamentami brelok. Mężczyzna miał w oczach czujność i pewność siebie. Lustrował wzrokiem salę, jakby należała do niego. Zauważywszy kilka znajomych osób, uśmiechnął się lekko i skinął uprzejmie głową. Para została zaprowadzona do stolika na środku jadalni w miejscu dobrze widocznym dla innych gości. To było przeciwiczone wejście, wykonane z finezyjną elegancją.

- Tych dwoje to kto? - zapytał Bransona Bell.

- To Jacob Cromwell, właściciel Cromwell National Bank, członek tego klubu. Przystojna kobieta u jego boku jest jego siostrą.

- Siostrą?

- Tak, ma na imię Margaret. Należy do elity towarzyskiej. Zajmuje się działalnością charytatywną. Ona i jej brat są bardzo bogaci i wpływowi. Mieszkają na Nob Hill.

- Więc ona nazywa się Margaret Cromwell - powiedział cicho Bell. - Poznałem ją w Denver jako Rose Mantecę.

Irvine spojrzał na niego.

- To ta kobieta, o której nam mówiłeś, szpieg Rzeźnika?
- Jeśli nie ma siostry bliźniaczki - odrzekł Bell - to musi być ona.
- Niemożliwe - zadrwił Branson. - Takie założenie jest zupełnie niedorzeczne. Ona i jej brat robią dla San Francisco więcej niż połowa bogaczy w mieście razem wziętych. Wspierają sierocińce, towarzystwa opieki nad zagubionymi i bezdomnymi zwierzętami, rozwój miasta. Dają duże sumy na szlachetne cele. Są bardzo szanowani i podziwiani.
- To poważny argument - stwierdził Curtis. - Skoro Cromwellowie posiadają duży bank w San Francisco i już są bogaci, to po co mieliby rabować i zabijać?
- Czy Margaret Cromwell jest mężatką? - spytał Bransona Bell.
- Nie, panną, i ma opinię osoby niekonwencjonalnej.
- Może się myliłeś, że jest szpiegiem Rzeźnika? - zasugerował Irvine.

Bell przypatrywał się bacznie twarzy Margaret Cromwell. Wydawała się całkowicie pochłonięta rozmową z bratem i nie odwróciła się w jego kierunku.

- Mogę nie mieć racji - mruknął bez przekonania. - Jest uderzająco podobna do tamtej kobiety, którą poznałem w Denver.
- Znam Cromwella osobiście - powiedział Bronson. - Współpracował z Van Dornem, kiedy gang oszustów za pomocą szwindlu bankowego naciągał tutejszych biznesmenów. Przedstawię cię.

Bell pokręcił głową i wstał.

- Nie fatyguj się. Sam to zrobię.

Ruszył do stolika Cromwellów. Omijał krzesła gości i celowo zbliżał się do Margaret trochę z tyłu i z boku, żeby go nie zobaczyła. Zignorował Cromwella i spojrzał na nią z protekcyjnym uśmiechem, ciekaw jej reakcji.

- Przepraszam, panno Cromwell, ale chyba poznaliśmy się w Denver. Nazywam się Isaac Bell.

Zesztywniała, nie odwróciła się ani nie podniosła na niego wzroku. Wpatrywała się przez stolik w oczy brata z nieodgadnioną miną - może zaskoczona albo skonsternowana - może na granicy szoku lub

strachu. Przez moment jakby nie widziała, co zrobić. A potem otrząsnęła się w mgnieniu oka.

- Przykro mi, ale nie znam nikogo o tym nazwisku - odrzekła bez najmniejszego śladu drżenia w głosie. Gdy to mówiła, nie pa trzymała na Bella. Wiedziała, że gdyby na niego spojrzała, byłoby to jak cios w brzuch. Szczęśliwie dla siebie siedziała, bo gdyby stała, nogi ugięłyby się pod nią i upadłaby na dywan.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział Bell. Jej reakcja utwierdziła go w przekonaniu, że to ją poznał jako Rose Mantecę. - Musiałem się pomylić.

Cromwell wcześniej wstał przez uprzejmość i trzymał serwetkę. Przyglądał się Bellowi taksująco, jak zawodowy bokser przeciwnikowi przed gongiem rozpoczynającym pierwszą rundę. Nie okazywał zaskoczenia ani zmieszania. Wyciągnął rękę.

- Jacob Cromwell. Jest pan członkiem klubu, panie Bell?

- Nie, gościem Horace'a Bransona z Agencji Detektywistycznej Van Dorn.

Bell uściśnął dłoń Cromwellowi, dziwiąc się w duchu, że bankier je w rękawiczkach. Nawyk śledczego kazał mu zerknąć na mały palec lewej. Był wypełniony. Nie, żeby dopuszczał myśl, że Cromwell jest bandytą. To byłby szalony pomysł.

Cromwell skinął głową.

- Znam Horace'a. Wspaniały człowiek. Przynosi chlubę waszej firmie.

Bell zauważył z bliska, że krótko ostrzyżone rude włosy Cromwella zaczynają rzednąć na ciemieniu. Bankier był niski i chudy i poruszał się bardziej z kobiecą gracją niż męskim zdecydowaniem. Bell dostrzegł w jego oczach ten sam wyraz, co w ślepiach kuguara, którego kiedyś zastrzelił w Kolorado. Były zimne, niemal martwe, i patrzyły z głębokiego wnętrza.

- Tak, owszem.

- Bell? Chyba nie słyszałem dotąd tego nazwiska - powiedział Cromwell, jakby usiłował je umiejscowić. Dał sobie z tym spokój, jak gdyby nie miało to większego znaczenia. - Mieszka pan w San Francisco?

- Nie, w Chicago.

Margaret wciąż nie mogła się zdobyć na to, by spojrzeć na Bella. Czowała niepoohamowany żar w głębi ciała. Dyskomfort psychiczny sprawił, że zaczerwieniła się jak wiśnia. Potem wpadła w złość, nie

tylko na Bella, ile na siebie, że nie potrafi ukryć emocji.

- Pan wybaczy, panie Bell, ale mój brat i ja chcielibyśmy zjeść kolację sami.

Bell zobaczył rumieniec na jej długiej szyi i poczuł zadowolenie.

- Bardzo przepraszam, że przeszkodziłem. - Skinął głową bankierowi. - Panie Cromwell. - Odwrócił się i poszedł z powrotem do swojego stolika.

Gdy tylko Cromwell się upewnił, że Bell jest poza zasięgiem głosu, prychnął.

- Co on, u diabła, robi w San Francisco? Red Kelly miał się nim zająć.

- Kelly najwyraźniej zawiódł - stwierdziła Margaret z satysfakcją.

- Skąd on wiedział, że ty tu jesteś?

- Nie patrz na mnie - powiedziała gniewnie Margaret. - Pojechałam pociągiem z Denver do Los Angeles jako Rose Manteca i kupiłam tam konia pod innym nazwiskiem. Potem dojechałam na nim do Santa Barbara i wsiadłam w pociąg do San Francisco pod jeszcze innym nazwiskiem. Nie ma mowy, żeby mnie wytropił.

- Mamy to uznać za przypadek?

Zrobiła minę zagubionego psa.

- Nie wiem. Po prostu nie wiem.

Cromwell popatrzył z wymuszonym uśmiechem na czterech agentów przy stoliku w rogu.

- Bez względu na to, po co Bell przyjechał do San Francisco, jego obecność wróży kłopoty. Wątpię, żeby kojarzył fakty, ale widział cię,

może podejrzewać, że masz związek z bandytą i wie, że jesteś moją siostrą, więc będzie węszył.

- Może powinnam wyjechać na wakacje.
- Niezły pomysł.
- Zarezerwuję sobie bilet na statek do Juneau na Alasce jutro z samego rana.
- Dlaczego do Juneau? - zapytał Cromwell. - Tam jest piekielnie zimno.
- Bo to ostatnie miejsce, gdzie będzie mnie szukał. - Urwała i spojrzała chytrze. - Poza tym ojciec Eugene'a, Sam Butler, nadzoruje swoją kopalnię pod Juneau. - Odprężyła się i roześmiała. - Będę miała okazję przyjrzeć się mojemu przyszłemu majątkowi.
- Droga siostrzo - odrzekł Cromwell - ciągle mnie zdumiewasz. - Potem spojrzał przez salę na Bella. - Ciekaw jestem - mruknął - co się stało z Redem Kellym.
- Może Bell go zabił.
- Może - odparł Cromwell. - Jeśli tak, to jest dużo niebezpieczniejszy, niż sądziłem. Następnym razem wezmę sprawę w swoje ręce.

Kiedy Bell wrócił do stolika, podano mu grasicę cielęcą. Wziął widelec, nie mogąc się doczekać pierwszego kęsa przysmaku, ale powstrzymały go pytania jego towarzyszy. Pierwsze zadał Bronson.

- Czy to jest ta kobieta, którą poznałeś w Denver?

Bell uchylił się od odpowiedzi, żeby uniknąć drażliwego dla Bronsona tematu.

- Prawdopodobnie jestem w błędzie. Przyznaję to. Ale podoba mi się jest uderzająca.

Bronson zachichotał.

- Wpadła ci w oko.

- Jak znajdujesz Cromwella? - spytał Irvine. - Myślisz, że mi pomoże, jak umówię się z nim w sprawie skradzionych pieniędzy, które przeszły przez jego bank?

- Musisz zapytać Horace'a. Nie wspomniałem o naszym śledztwie. Wydaje się sympatyczny, choć trochę wyniosły.

- Ma opinię takiego - potwierdził Bronson. - Ale jest bardzo uprzejmy i na pewno będzie chętny do współpracy z wami.

- Zobaczmy - odrzekł Bell, delektując się wreszcie grasicą. Przełknął i skinął głową do Irvine. - Chyba wybiorę się z tobą do Cromwell National Bank.

- Chcesz spotkać się z nim ponownie? - zapytał Bronson. Bell

pokręcił głową.

- Niekoniecznie, ale chciałbym się rozejrzeć po jego banku.

Curtis się zdziwił.

- Co spodziewasz się znaleźć?

Bell wzruszył ramionami, ale lekki błysk pojawił się w jego oczach.

- Nie mam zielonego pojęcia.

Marion siedziała za swoim biurkiem i pisała list na maszynie Underwood 5, gdy dwaj mężczyźni weszli do sekretariatu. Oderwała wzrok od tekstu i spojrzała w górę. Jeden z nich, z szopą nieuczesanych brązowych włosów, uśmiechnął się przyjaźnie. Był chudy i sprawiałby wrażenie chorego, gdyby nie opalenizna. Twarzy drugiego, wysokiego blondyna, nie mogła zobaczyć, bo się odwrócił i oglądał wystrój luksusowego wnętrza.

- Panna Morgan?

- Tak, czym mogę służyć?

- Nazywam się Irvine. - Wręczył jej wizytówkę. - Mój kolega, Isaac Bell, i ja jesteśmy z Agencji Detektywistycznej Van Dorn. Umówiliśmy się na spotkanie z panem Cromwellem.

Wstała, ale bez uśmiechu.

- Wiem, na dziewiątą trzydzieści. Są panowie pięć minut za wcześnie.

Irvine wykonał szeroki gest rękami.

- Zna pani to powiedzenie...

- Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje? - zapytała, jakby ubawiona.

Wysoki blondyn odwrócił się przodem do niej.

- Ale śpiesz się powoli.

- Bardzo słusznie, panie Bell... - odrzekła Marion i urwała.

Ich spojrzenia się spotkały, i gdy popatrzyła w fiołkowonie-

bieskie oczy, poczuła nagle coś, czego nie doznała nigdy przedtem. Zauważyła teraz, że ma sporo powyżej stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, żyłaste ciało pod dobrze skrojonym białym lnianym garniturem i duże wąsy dokładnie w takim samym odcieniu jak jego starannie uczesane jasne włosy. Nie był przystojny jak amant filmowy, ale miał wyraziste męskie rysy. Wyglądał na zahartowanego człowieka, który czuje się jak u siebie i na Dzikim Zachodzie, i wśród wygód wielkomiejskiego życia. Przyglądała mu się otwarcie, nie mogąc zapanować nad zwykle dobrze skrywanymi-

mi emocjami. Jeszcze żaden mężczyzna nie wywarł na niej takiego wrażenia, z pewnością nie przy pierwszym spotkaniu.

Bell też był pod wrażeniem urody i powabu Marion. Podłoga drżała mu pod stopami, kiedy na nią patrzył. Wydawała się delikatna, a jednocześnie mocna jak wierzba. Emanowała z niej spokojna pewność siebie, która sugerowała umiejętność rozwiązywania wszelkich problemów. Była opanowana i pełna wdzięku, odległość od jej wąskiej talii do rozkloszowanego dołu spódnicy wskazywała, że ma długie nogi. Jeden kosmyk upiętych na czubku głowy gęstych, lśniących włosów opadał jej prawie do pasa. Bell ocenił, że są w tym samym wieku, dzieli ich najwyżej rok.

- Pan Cromwell jest zajęty? - zapytał, koncentrując się z powrotem na celu wizyty.

- Tak... - odrzekła z lekkim zająknięciem. - Ale oczekuje panów.

Zapukała do drzwi Cromwella, weszła i zaanonsowała Bella i Irvine'a. Potem odsunęła się na bok i zaprosiła ich gestem do środka, gdy bankier wyszedł zza biurka, by ich przywitać. Kiedy mijali się w progu, Bell celowo musnął ręką dłoń Marion. Poczuli się jak porażona prądem i zamknęła drzwi.

- Siadajcie, panowie - powiedział Cromwell. - Horace Bran son mówił mi, że chodzi wam o skradzione pieniądze, które prze szły przez mój bank.

Irvine jakby tego nie zauważył, ale Bella znów zaintrygowało, że Cromwell jest w rękawiczkach.

- Zgadza się - przytaknął Irvine, gdy Bell pozwolił mu prowadzić rozmowę. -Jeden z banknotów, numer seryjny 214799, został wpłacony do pańskiego banku.

- Całkiem możliwe - odparł Cromwell, bawiąc się niezapalonym cygarem. - Przypuszczam, że był to banknot pięćdziesięcio-lub studolarowy, ponieważ mniejszych nigdy nie rejestrujemy.

Irvine zajrzał do swojego notesu.

- Pochodził z kwiaciarni na Geary Street. Kierownik nazwi skiem Rinsler skontaktował się z Agencją Detektywistyczną Van Dorn, gdyż podejrzewał, że banknot może być fałszywy. Okazał się autentyczny. Tamten człowiek twierdzi, że dostał go w Cromwell National Bank, kiedy przeniósł gotówkę do prywatnego sejf.

- Powody podane przez Rinslera są trochę podejrzane - dodał Bell - ale jeśli złamał prawo, jest to sprawa dla lokalnej policji.

- Miliony dolarów przechodzą przez ten bank w ciągu roku -powiedział Cromwell. - Nie rozumiem, dlaczego jeden banknot jest taki ważny.

- Ponieważ pochodził z obrabowanego banku w Elkhorn w Montanie, gdzie zamordowano cztery osoby podczas napadu -wyjaśnił Bell.

Cromwell czekał na więcej, ale Bell i Irvine zamilkli. Irvine studiował swoje notatki, Bell przyglądał się uważnie Cromwellowi. Bankier wytrzymał jego bezlitosne spojrzenie bez odwracania wzroku. Świadomość, że prowadzi grę z najlepszym agentem Van Dorna, łechtala jego ego.

- Przykro mi, panowie - odezwał się w końcu Cromwell, przenosząc wzrok z Bella na swoje niezapalone cygaro - ale nie wiem, jak mogę pomóc. Jeśli inne banknoty z rabunku przeszły przez mój bank, to dawno trafiły do obiegu i nie sposób ich odnaleźć ani ustalić, kto je wpłacił.

- To prawda - przyznał Bell - ale musimy sprawdzić każdy trop.
- Banknoty były nowe i miały kolejne numery seryjne - wytłumaczył Irvine. - Czy jest możliwe, że je spisaliście, zanim trafiły do obiegu?
- Całkiem możliwe, gdyż jak wspominałem, rejestrujemy banknoty pięćdziesięcio- i studolarowe.
- Czy mógłby pan polecić księgowemu, żeby sprawdził wasze wykazy? - zapytał Bell.
- Proszę bardzo. - Cromwell nacisnął brzęczyk pod biurkiem. Po kilku sekundach Marion Morgan stanęła w drzwiach. - Panno Morgan, niech pani będzie uprzejma wezwać do mnie pana Hopkinsa.

Skinęła głową.

- Oczywiście.

Hopkins wyglądał zupełnie inaczej, niż Bell się spodziewał. Wyobrażał sobie bezbarwnego, nijakiego człowieczka w okularach i z ołówkiem za uchem, który przez całe zawodowe życie ślęczy nad cyframi w księgach głównych, a tymczasem zobaczył atletę -wielkiego, silnego i zdrowego mężczyznę o szybkich ruchach. Hopkins skinął głową, gdy Bell i Irvine zostali mu przedstawieni.

- Panowie Bell i Irvine są z Agencji Detektywistycznej Van Dorn. Przyszli sprawdzić numery seryjne banknotów skradzionych podczas napadu na bank w Elkhorn w Montanie. Banknot pięćdziesięciodolarowy wpłynął do nas, potem został wypłacony klientowi realizującemu czek. Ci panowie uważają, że inne zrabowane banknoty mogły przejść przez nasz bank. Chcieliby, żeby pan sprawdził spis numerów seryjnych, które zanotowaliśmy.

Hopkins wyglądał bardzo sympatycznie, kiedy się uśmiechnął.

- Będą mi potrzebne numery seryjne.
- Niech pan sprawdzi kolejne banknoty powyżej i poniżej 214799 - odrzekł Cromwell, polegając na swojej pamięci.
- Tak jest. - Hopkins skłonił się lekko Bellowi i Irvine'owi. -Powiniennem mieć te numery za kilka godzin, jeśli istnieją.
- Byłbym wdzięczny - powiedział Bell.
- Coś jeszcze, panowie? - zapytał Cromwell, kończąc rozmowę.

- Nie, dziękujemy, bardzo nam pan pomógł.

Bell przepuścił Irvine'a do windy i został z tyłu. Zatrzymał się przy biurku Marion i utkwił w niej wzrok.

- Panno Morgan?

Odwróciła się na krześle od maszyny do pisania w jego kierunku, ale nie miała śmiałości spojrzeć mu w oczy.

- Wiem, że to bezczelność z mojej strony, ale wygląda pani na odważną kobietę, więc postanowiłem zapytać, czy mogłaby pani zapomnieć o ostrożności i zjeść dziś ze mną kolację?

W pierwszym odruchu chciała odmówić, ale otworzyły się jakieś zakazane drzwi i rozgorzała w niej walka zasad z pragnieniami.

- Nie wolno mi umawiać się na randki z klientami banku. Poza tym skąd mam wiedzieć, czy mogę zaufać zupełnie obcej osobie?

Roześmiał się i nachylił do niej.

- Po pierwsze, nie jestem klientem banku. A po drugie, jeśli nie może pani zaufać detektywowi, to komu? - Wyciągnął rękę

i ujął jej dłoń.

Ogarnęła ją przerażająca fala niepokoju - toczyła przegraną bitwę. Runęła ostatnia zaporą i wraz z nią zniknęła samokontrola. Cała powściągliwość gdzieś uleciała.

- Dobrze - odrzekła, mając wrażenie, że słyszy inną osobę. - Kończę pracę o piątej.

- Świetnie - powiedział. Pomyślał, że trochę zbyt entuzjastycznie. - Będę czekał na panią przed frontowym wejściem.

Obserwowała, jak Bell idzie do windy.

- Wielki Boże - mruknęła pod nosem - muszę być szalona, skoro zgodziłam się pójść na kolację z obcym.

A jednak, gdy się strofowała, oczy jej błyszczały.

Irvine czekał na Bella w windzie.

- O co chodziło?
- Umówiłem się na randkę z osobistą sekretarką Cromwella.
- Szybko działasz - stwierdził z podziwem Irvine. Bell

uśmiechnął się szeroko.

- Po prostu sprawy dobrze się układają.
- Znam cię. Mogę się założyć, że masz ukryty motyw.
- Można powiedzieć, że łączę obowiązek z przyjemnością.
- Lepiej nie igraj z ogniem - odparł poważnie Irvine. - Jak się zorientuje, że ją wykorzystujesz, żeby wybadać Cromwella, mogą być kłopoty.
- Będę się tym martwił, jak przyjdzie czas - odrzekł beztrósco Bell.

W drodze powrotnej do hotelu myślał nie o obowiązku, lecz o przyjemności nadchodzącego wieczoru.

Marion nie potrafiła tego wyjaśnić. Nie czuła się tak, odkąd w szkole chłopiec jej marzeń uśmiechnął się do niej. To wszystko. Nigdy nie podszedł i z nią nie porozmawiał. Teraz, gdy siedziała przy dwuosobowym stoliku w intymnej atmosferze, kręciło jej się w głowie jak uczennicy.

Bell zabrał ją sprzed banku Cromwella taksówką punktualnie o piątej. Kierowca pojechał prosto do sześciopiętrowego budynku, gdzie mieściła się najszynniejsza w mieście francuska restauracja Delmonico. Winda zawiozła ich na ostatnie piętro i kierownik sali zaprowadził ich do wydzielonej części restauracji z dużym oknem widokowym wychodzącym na miasto i zatokę.

Ludzie, którzy mogli sobie na to pozwolić, spożywali posiłki złożone z dziesięciu dań i do każdego pili inne wino. Bell zamówił ostrygi a la Rockefeller z pikantnym sosem curry, dobrze przyprawiony bulion, jesiotra z Wielkich Jezior, żabie udka a la poulette, kotlety schabowe z kością kurczaka po kijowsku, rozmaite pieczone ptaki łowne, gotowane ziemniaki i krem z zielonego groszku.

Marion jeszcze nigdy w życiu nie jadła takiej wystawnej kolacji. Owszem, podejmowali ją bogaci kawalerowie, ale żaden nie ugościł jej aż tak. Była wdzięczna, że porcje są małe, ale żałowała, że nie rozluźniła zawczasu gorsetu.

Na deser Bell zamówił *crepes suzette*, naleśniki z płonącym likierem pomarańczowym. Kiedy kelner serwował je z wprawą, Marion zmusiła się, żeby spojrzeć Bellowi prosto w oczy.

- Mogę o coś zapytać, panie Bell?

Uśmiechnął się ujmująco.

- Moim zdaniem znamy się już na tyle dobrze, że może pani zwracać się do mnie Isaac.

- Wolalabym „panie Bell”, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu

- odrzekła, uważając, że tak nakazują dobre maniery.

- Jak pani sobie życzy. - Uśmiech pozostał na jego ustach.

- Jak pana stać na to wszystko przy pensji detektywa?

Roześmiał się.

- Uwierzyłaby pani, że oszczędzałem cały miesiąc, żeby wyrzucić na pani wrażenie?

- Ani na moment - odparła wyniośle.

- Czy bank Cromwella jest największy w San Francisco?

Zaskoczyło ją, że zareagował pytaniem na jej odpowiedź.

- Nie, są dwa większe, między innymi Wells Fargo. Dlaczego pan pyta?

- Moja rodzina posiada największy bank w Nowej Anglii.

Spróbowała to strawić, ale nie zdołała.

- Poczuj się pan urażony, jeśli powiem, że mu nie wierzę?

- Niech pani spyta swojego szefa. Potwierdzi moje słowa.

Zmarszczyła brwi zdezorientowana.

- Dlaczego jest pan detektywem, skoro mógłby pan być prezesem banku?

- Tak się składa, że prowadzenie śledztw podoba mi się bardziej niż bankowość. Za biurkiem czuję się uwięziony. Poza tym to wyzwanie mierzyć się intelektualnie z przestępcami.

- Odnosi pan sukcesy? - zapytała, żeby się z nim podrażnić.

- Zwycięzam częściej, niż przegrywam - odrzekł szczerze.

- Dlaczego wybrał pan mnie? - spytała. - Dlaczego zaprosił pan na kolację zwykłą sekretarkę, zamiast spędzić czas w towarzystwie kogoś równego sobie?

Bell nie owijał w bawełnę.

- Bo jest pani atrakcyjna, inteligentna i zauroczyła mnie pani.

- Ale pan mnie nie zna.

- Mam nadzieję to zmienić - powiedział, znów ją onieśmielając swoim spojrzeniem. - Ale dość rozmów. Delektujmy się deserem.

Kiedy skończyli smakowite *crepes*, Bell poprosił kelnera o dwa kieliszki pięćdziesięcioletniego porto. Potem oparł się wygodnie,

śyty.

- Niech pani mi opowie o Jacobie Cromwellu.

Jedzenie i wino zrobiły swoje. Marion za bardzo się odprężyła, by dostrzec pułapkę.

- Co chciałby pan wiedzieć?

- Skąd pochodzi, jak założył swój bank, czy jest żonaty. Po spotkaniu uznałem go za bardzo interesującego człowieka. Słyszałem, że on i jego siostra Margaret są czołowymi filantropami w mieście.

- Pracuję u pana Cromwella od dziewięciu lat i mogę śmiało stwierdzić, że jest bardzo bystry i spostrzegawczy. To również

zaprzysięgły kawaler. Założył bank w 1892 roku, dysponując bardzo małym kapitałem, i przetrwał kryzys lat dziewięćdziesiątych. Robił pieniądze w najgorszym okresie recesji. Większość banków w mieście omal nie została zamknięta w trudnych czasach. Ale nie Cromwell National Bank. Umiejętne zarządzanie i zdrowe zasady bankowości umożliwiły mu zbudowanie finansowego imperium z aktywami idącymi w miliony dolarów.

- Zaradny człowiek - odrzekł z podziwem Bell. - Najwyraźniej sam doszedł do wszystkiego.

Przytaknęła.

- Rozwój Cromwell National Bank to wręcz finansowy cud.

- Skąd wziął pieniądze na otwarcie banku?

- To trochę tajemnicza sprawa. Nic nie mówi o swoich interesach, zanim założył mały bank na Market Street. Chodzą słuchy, że zaczynał z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów. Kiedy ja przyszedłam do pracy, aktywa banku znacznie przekraczały milion.

- W co inwestuje swój majątek?

Uniosła ręce w geście bezradności.

- Naprawdę nie wiem. Nigdy mi nie wspomina o swoich sprawach finansowych i nie widuję żadnych dokumentów ani korespondencji. Przypuszczam, że swoje zyski lokuje z powrotem w banku.

- A co z jego rodziną? Skąd pochodzą on i jego siostra?

Marion znów nie potrafiła odpowiedzieć.

- Nigdy nie opowiada o swojej przeszłości. Kiedyś napomknął, że ich ojciec miał farmę w Dakocie Północnej pod małym miastem

161

11 - Pościg

o nazwie Buffalo. Poza tym jego więzy rodzinne są pogrzebane w przeszłości.

- Na pewno ma swoje powody - powiedział Bell. Nie chciał za bardzo naciskać Marion, więc skierował rozmowę na własne dzieciństwo w Bostonie, gdzie dorastał wśród elity towarzyskiej, swoje studia na Uniwersytecie Yale i niezadowolenie jego ojca, gdy wybrał pracę w Agencji Detektywistycznej Van Dorn, a nie w rodzinnym banku. Wrócił okreśną drogą do Cromwella. - Cromwell zrobił na mnie wrażenie wykształconego człowieka. Ciekaw jestem, gdzie chodził do szkoły.

- Margaret wspomniała kiedyś, że oboje uczęszczali do colle-ge'u w Minnesocie - odrzekła Marion, wycierając serwetką usta po deserze.

- Margaret to piękna kobieta - zauważył Bell, obserwując jej reakcję.

Marion z trudem ukrywała swoją niechęć do siostry Cromwella.

- Wiem, że jest zaangażowana w działalność charytatywną, ale nie chciałabym takiej przyjaciółki.

- Nie można jej ufać? - zapytał.

- Nie zawsze mówi prawdę. I stale krążą plotki o skandalach, które panu Cromwellowi udaje się zatuszować. O dziwo, nie wydaje się

zaniepokojony jej wybrykami. Jest niemal tak, jakby go bawiły.

- Dużo podróżuje?
- O tak, często wybiera się na ryby do Oregonu, do wiejskiego ustronia Klubu Bohemy w sekwojowym lesie albo na polowania na Alaskę. Bierze też udział w co najmniej trzech konferencjach bankierów w roku w różnych częściach kraju. Raz do roku on i Margaret wyjeżdżają razem do Europy.
- Więc nie zarządza codziennie bankiem.

Pokręciła głową.

- Nie, nie, pan Cromwell zawsze kontaktuje się z bankiem raz w tygodniu, kiedy go nie ma. Ma też zarząd złożony z najlepszych fachowców w branży.

Kelner przyniósł im kieliszki porto na srebrnej tacy. Popijali w milczeniu przez chwilę, potem Marion zagadnęła:

- Dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania o pana Cromwella?
- Jestem śledczym. To po prostu wrodzona ciekawość.

Odgarnęła lok z czoła i przygładziła włosy.

- Czuję się odrzucona.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Odrzucona? - powtórzył jak echo.
- Tak, pyta pan tylko o mojego szefa, o mnie wcale. Większość mężczyzn, których poznałam, zawsze na pierwszej randce pytała

0 moją przeszłość.

- A mnie wolno? - podrażnił się z nią.

Roześmiała się.

- Nic pikantnego. Mam raczej nudne życie. Pochodzę z Kali fornii, urodziłam się po drugiej stronie zatoki w Sausalito. Moja matka umarła, kiedy byłam mała, a ojciec, który pracował jako ma szynista w Western Pacific, zatrudniał dla mnie nauczycieli, dopóki nie osiągnęłam wieku, kiedy mogłam pójść do pierwszej w mieście szkoły sekretarek. Gdy ją ukończyłam, zaangażował mnie Jacob Cromwell i od tamtej pory pracuję w jego banku. Najpierw byłam maszynistką, teraz jestem jego osobistą sekretarką.

- Czy kiedykolwiek wyszła pani za mąż?

Uśmiechnęła się z fałszywą skromnością.

- Miałam jedną czy dwie propozycje, ale nigdy nie stanęłam przed ołtarzem.

Sięgnął przez stół i ujął jej dłoń.

- Miejmy nadzieję, że pewnego dnia zjawi się książę z bajki

1 panią porwie.

Cofnęła rękę, bardziej po ty, by wykorzystać swój autorytet niż go odtrącić.

- Książęta z bajki bardzo rzadko się trafiają. Jeszcze nie spo tkalam żadnego w San Francisco.

Bell nie chciał drażnić tego tematu. Postanowił znów ją wypytać i zobaczyć, dokąd może ich zaprowadzić wzajemne zauroczenie.

- Jestem bardzo zadowolony z tego wieczoru. Nieczęsto bywam w towarzystwie takiej pięknej kobiety, która nie poddaje się w rozmowie.

- Pochlebca z pana.

Oderwał wzrok od jej oczu. Nie chciał przeciągać struny, ale musiał uzyskać odpowiedź na jeszcze jedno pytanie.

- Coś jeszcze intryguje mnie w Cromwellu.

Poznał po jej minie, że jest zawiedziona. Najwyraźniej spodziewała się usłyszeć propozycję następnego spotkania we dwoje. Wyczuł, że Marion zaczyna wątpić w swoje uczucia do niego.

- Co takiego? - Jej ton stał się nagle lodowaty.

- Kiedy zobaczyłem go pierwszy raz w jadalni Klubu Bohemy i dziś w jego gabinecie, był w rękawiczkach. Zawsze w nich je i pracuje za biurkiem?

Złożyła swoją serwetkę i położyła ją na stoliku na znak, że dla niej wieczór jest skończony.

- W dzieciństwie poparzył sobie dłonie w pożarze, więc nosi rękawiczki, żeby zasłonić blizny.

Bell poczuł się winny, że wykorzystuje Marion. Była pełną życia, piękną i inteligentną kobietą. Wstał, okrążył stolik i odsunął jej krzesło.

- Bardzo przepraszam, że nadmierna dociekliwość detektywa wzięła we mnie górę. Mam nadzieję, że pani mi wybaczy. Da mi pani szansę to sobie wynagrodzić?

Wiedziała, że Bell mówi szczerze i poczuła podniecenie. Znow wstąpiła w nią nadzieja, że jest nią naprawdę zainteresowany. Pociągał ją dużo bardziej, niż sobie wyobrażała.

- Dobrze, Isaac, spotkam się z tobą ponownie. Ale żadnych pytań.

- Żadnych pytań - powtórzył, zadowolony, że zwróciła się do niego po imieniu. - Przyrzekam.

Dwa dni później czterej detektywi spotkali się w biurze Agencji Detektywistycznej Van Dorn na czwartym piętrze Call Building przy Market Street. Siedzieli półkolem przy okrągłym stole i porównywali notatki. Wszyscy byli w koszulach, ich marynarki wisiały na oparciach krzesel. Większość nosiła proste, tradycyjne krawaty pod sztywnymi kołnierzykami. Tylko jeden miał muszkę. Trzej sączyli kawę z filiżanek z logo agencji wypalonym na porcelanowej powierzchni, czwarty pił herbatę. Luźne papiery i opracione raporty leżały na stole.

- Napisałem informację prasową, że jeden z największych w historii transportów świeżo wydrukowanych banknotów zostanie dostarczony pod strażą z mennicy w San Francisco do górniczego miasta Telluride w Kolorado. Przeznaczony będzie na wypłaty i premie dla dziesięciu tysięcy górników - oznajmił im Bell. - Nie podałem dokładnej sumy, ale zasugerowałem, że to około pięciuset tysięcy dolarów.

- Wykorzystałem swoje kontakty z naczelnymi gazet, żeby dać tekst do druku - powiedział Bronson.

- Opublikują go w jutrzejszych wydaniach.

Irvine obrócił wolno filiżankę na spodeczku.

- Jeśli bandyta mieszka w San Francisco, powinno go to skusić.

- Jeśli mieszka w San Francisco - powtórzył Curtis. - Stawiamy wszystko na jedną kartę. To może być ślepy zaulek.

- Wiemy, że trafił tu tamten wagon towarowy i kilka banknotów

- przypomniał Bell. - Moim zdaniem jest duża szansa na to, że mieszka gdzieś w rejonie zatoki.

- Dobrze byłoby mieć pewność - odrzekł Bronson zmęczonym głosem. Spojrzał na Irvine'a. - Mówiłeś, że twoje poszukiwania skradzionych pieniędzy zaprowadziły cię donikąd.

Irvine przytaknął.

- Klapa. Trop zwiertzał i nie udało się ustalić, jaką drogę prze szły tamte banknoty, zanim wróciły do obiegu.

- Banki nie mają w wykazach, kto je wpłacił? - zapytał Bronson.

Irvine pokręcił głową.

- Kasjerzy nie wiedzą, bo nie spisują numerów seryjnych. Ro bią to później księgowi. Spóźniliśmy się. Ktokolwiek przyniósł tamte banknoty, dawno poszedł w zapomnienie.

Branson odwrócił się do Curtisa.

- A twoje poszukiwania tamtego wagonu towarowego?

Curtis zrobił taką minę, jakby właśnie zginął mu ukochany pies.

- Zniknął - odparł bezradnie. - W depo nie ma po nim ani śladu.

- Może przyczepiono go do jakiegoś pociągu towarowego, który wyjechał z miasta - podsunął Bell.

- Wagonu Firmy Meblarskiej O'Brian nie było w składzie żadnego pociągu towarowego Southern Pacific, który odjechał stąd w ciągu ostatniego tygodnia.

- Mówisz, że nie opuścił depo?

- Właśnie tak.

- Więc dlaczego nie można go znaleźć? - zapytał Branson. - Przecież nie mógł się rozpuścić w powietrzu.

Curtis rozłożył ręce.

- Co mogę powiedzieć? Dwóch twoich agentów i ja przeszukaliśmy dokładnie całe depo. Nie ma go tam.

- Dyżurni ruchu z Southern Pacific wiedzą, gdzie został odstawiony po przyjeździe? - spytał Bell.

- Na bocznicy przy rampie załadunkowej jakiegoś opuszczonego magazynu. Sprawdziliśmy. Nie stoi tam.

Irvine zapalił cygaro i wypuścił kłęb dymu.

- Mógł być doczepiony do jakiegoś pociągu bez wiedzy dyżurnego?

- Nie - zaprzeczył Curtis. - Wiedzieliby, gdyby jakiś wagon został potajemnie doczepiony do ich pociągu. Hamulcowi mają spisy numerów seryjnych wagonów w kolejności ich dołączania do składu. Kiedy wagony docierają do celu, mogą być łatwo odczepione od tyłu, zanim pociąg pojedzie dalej.

- Może uznał, że wagon przestał być mu potrzebny i oddał go na złom - zasugerował Bronson.

- Nie sądzę - odrzekł Bell w zamyśleniu. - Moim zdaniem po prostu go przemalował, dał nowy numer seryjny i wymyślił inną nazwę firmy.

- To by mu nic nie dało - zauważył Curtis. - I tak nie mógłby wykorzystać wagonu.

- Co masz na myśli? - spytał Bell.

- Tylko pociągi Rio Grande Southern Railroad kursują do Telluride.

- A co by go powstrzymało przed namalowaniem ich logo na poprzednim, Southern Pacific?

- Nic. Tyle że to byłaby strata czasu. Pociągi Rio Grande Southern jeżdżą po wąskich torach, a

Southern Pacific po standardowych, szerszych o prawie trzydzieści centymetrów. Nie ma mowy, żeby takie szyny pasowały do jego wagonu.

- Dureń ze mnie - mruknął Bell. - Zapomniałem, że tylko koleje wąskotorowe kursują przez Góry Skaliste.

- Nie przejmuj się - pocieszył go Bronson. - Ja też o tym nie pomyślałem.

Sfrustrowany Irvine walnął pięścią w stół.

- Nigdy nie połknie przynęty, jeśli nie będzie mógł uciec swo im prywatnym wagonem.

Bell uśmiechnął się lekko.

- Ma swoje mocne strony, ale słabości również. Liczę na jego chciwość i ego, na jego poczucie, że jest niezwyciężony. Jestem pewien, że połknie przynętę i spróbuje obrabować bank w Telluride. To dla niego zbyt kuszące wyzwanie, żeby je zignorował.

- Życzę ci powodzenia - powiedział Bronson. - Jeśli ktokolwiek może złapać Rzeźnika, to tylko ty.

- A co z tobą, Horace? Udało ci się dowiedzieć czegoś o pistolecie?

- Niestety nie - odrzekł ponuro Bronson. - Nowych zakupów broni palnej nie trzeba rejestrować. Kładziesz pieniądze i wychodzisz z pistoletem. Nie mieliśmy szczęścia w sklepach. Nawet jeśli pamiętają, komu sprzedali colta dziewiątkę, to nie podadzą żadnych nazwisk.

Irvine utkwiał w ścianie niewidzący wzrok.

- Wygląda na to, panowie, że wszystkie nasze tropy prowadzą w ślepe zaułki.

- Nie idzie nam, to prawda - mruknął Bell. - Ale gra jeszcze się nie skończyła. Wciąż mamy szansę wygrać.

Cromwell siedział przy stole, jadł śniadanie i czytał poranną gazetę. Zgiął ją na wstępie artykułu na pierwszej stronie i podsunął bez słowa siostrze.

Przebiegła wzrokiem treść, zmrużyła oczy i spojrzała na niego pytająco.

- Zamierzasz się tam wybrać?
- To bardzo kuszące - odrzekł. - Zupełnie, jakby ktoś rzucił mi rękawicę do stóp.
- Co wiesz o Telluride?
- Tylko to, co przeczytałem. Leży w zamkniętym z trzech stron kanionie. Ma dużą dzielnicę domów publicznych i Butch Cassidy obrabował tamtejszy bank San Miguel Valley w 1889 roku.
- Udało mu się?

Cromwell przytaknął.

- On i jego banda uciekli z ponad dwudziestoma tysiącami dolarów.
- Pewnie myślisz sobie, że jeśli jemu się powiodło, to tobie też musi.
- Cassidy dokonał napadu po amatorsku i odjechał ze swoimi ludźmi na koniach - powiedział pompatycznie Cromwell. - Moje metody są bardziej naukowe.
- Jeśli Telluride leży w zamkniętym z trzech stron kanionie, to prowadzi tam tylko jedna droga. Zdążą zatrzymać pociąg i przeszukać wagony.

- I tak nie mogę skorzystać ze swojego wagonu. Będę musiał go zostawić.
- Nie rozumiem.
- Do Telluride kursuje tylko Rio Grande Southern. Jest wąskotorowa. Rozstaw szyn jest za mały dla mojego wagonu Southern Pacific. Będę musiał znaleźć inny sposób, żeby opuścić miasto bez ryzyka, że mnie złapią.

Margaret znów przebiegła wzrokiem artykuł.

- Mam złe przeczucia.
- Nie kieruję się przeczuciami. Opieram się na faktach i dla własnego bezpieczeństwa rozważam każdą ewentualność, nawet najmniej prawdopodobną.

Popatrzyła na niego, kiedy nalewał sobie następną filiżankę kawy.

- Będzie ci potrzebna pomoc - stwierdziła.

Spojrzał na nią znad filiżanki.

- Co masz na myśli?
- Pojadę z tobą.
- A co z twoją podróżą do Juneau na Alasce?
- Po prostu ją odłożę.

Cromwell zastanawiał się przez chwilę.

- Nie mogę cię narażać.
- Jeszcze się nie potknąłeś - upomniała go Margaret. - Ale tym razem mogę ci się przydać.

Milczał przez chwilę, potem się uśmiechnął.

- Przypuszczam, że będziesz mi towarzyszyła, nawet jeśli ci zabronię.

Roześmiała się.

- Czy dotąd kiedykolwiek cię posłuchałam?

- Nie, nawet kiedy byliśmy dziećmi. Choć jesteś dwa lata ode mnie młodsza, nigdy nie udało mi się zdobyć nad tobą przewagi.

Osuszyła serwetką czerwone wargi.

- Więc załatwione. Zrobimy to razem.

- Wygrałaś - westchnął. - Ale mam nadzieję, że nie pożałuję, że nie wsadziłem cię na statek na Alaskę.

- Jakie dostanę zadanie?

Zataczając widelcem kręgi na obrusie, wpatrzył się w stół, jakby widział tam jakiś obraz.

- Jutro pojedziesz pociągiem do Kolorado i dotrzesz do Telluride.

Przyjrzała mu się.

- Mam wyjechać przed tobą?

Skinął głową.

- Odstąpię od swojego zwyczaju. Zamiast wmieszać się w miejscowych i obserwować bank, powierzę to tobie. Kobieta może przeprowadzić dokładne rozpoznanie bez wzbudzania po dejrzeń.

Zadumała się.

- Kobieta w Telluride? Będę musiała udawać prostytutkę.

- Lepiej podawaj się za porzuconą żonę, którą mąż zostawił, żeby się wzbogacić w kopalniach, i przepadł. Wtedy nikogo nie będzie dziwiło, że zadajesz pytania i się rozglądasz.

- Ale żeby mieć za co żyć, będę musiała znaleźć pracę w burdelu.

- Zrobisz po swojemu - odrzekł Cromwell, jak zwykle ulegając dziwnym kaprysom siostry.

- A ty?

- Przyjadę kilka dni później, kiedy sprawdzę informacje o transporcie pieniędzy, ułożę plan rabunku i naszej ucieczki. -Urwał i popatrzył na nią z braterską miłością. - Muszę być szalony, skoro wciągam cię w takie niebezpieczne przedsięwzięcie.

Roześmiała się melodyjnie.

- Ja też jestem szalona. Wariuję z podniecenia i rosnącej żądzy przeżycia przygody. - Zrobiła minę kotki, która zaraz skoczy na mysz. - Oczywiście perspektywa wcielenia się w prostytutkę jest niezmiernie kusząca.

- Oszczędź mi szczegółów.

Nagle spowaźniała.

- A co z Isaakiem Bellem?

Wzruszył ramionami.

- A co ma być?

- Wydaje się pojawiać wszędzie, kto wie, czy nie będzie go w Telluride?

- Przeszło mi to przez myśl, ale wydaje mi się, że jest zbyt zajęty ściganiem duchów po całym San Francisco, żeby się nagle zjawić w Telluride.

- Prędzej bym porzuciła ten dom, niż mu zaufała.

Roześmiał się.

- Głowa do góry, droga siostró. To będzie przechadzka po par ku jak inne napady. Zobaczysz.

Wiosenny dzień był chłodny i rześki. Bell wysiadł z pociągu w miejskim depo. Doszedł do rogu Aspen Street i Colorado Avenue, gdzie znalazł dwupiętrowy drewniany budynek z szyldem na froncie „Pensjonat Mamie Tubbs”. Niósł sfatygowany sakwojaż, miał znoszoną wełnianą marynarkę, kamizelkę i flanelową koszulę. Jego spodnie z grubej bawełny przypominały brezent. Buty wyglądały tak, jakby przeszedł w nich dziesięć tysięcy kilometrów, pognieciony stary stetson tkwił mocno na jego głowie. Przebranie upiększała wygięta fajka Dublin trzymana w zębach. Bell wyraźnie utykał, jakby miał sztywną lewą nogę.

Kiedy przekroczył próg pensjonatu, powitała go Mamie Tubbs, wesółka i okrągła jak ogromna gruszka. Siwe włosy opadały na jej plecy splecione w dwa warkocze, twarz wyglądała jak wielki spodek z nosem.

- Witaj, przybyszu - odezwała się męskim basem. - Szukasz kwatery?

- Tak, proszę pani - odrzekł uprzejmie Bell. - Jestem nowy w mieście.

- Siedem dolarów za tydzień, łącznie z posiłkami, ale masz być przy stole, kiedy je podaję.

Sięgnął do kieszeni, wyjął kilka złożonych banknotów i odliczył siedem dolarów.

- Oto pani pieniądze, płacę z góry. Nie mam dużo, ale wystar czy mi na jakiś czas.

Gdy wchodził do środka, zauważyła, że utyka.

- Do pracy w kopalni?

Bell poklepał się w nogę.

- Moja kariera górnika się skończyła. Zranił mnie wybuch, jak źle podłożyli laskę dynamitu.

Przyjrzała mu się podejrzliwie i zaczęła zastanawiać, skąd on weźmie pieniądze na dalszy pobyt.

- Gdzie spodziewasz się dostać robotę?
- Znajomy załatwił mi posadę sprzątacza w hotelu New She-ridan.

Uśmiechnęła się.

- Nie mogli znaleźć ci jakiegoś pokoju w suterenie?
- Wszystkie łóżka w suterenie zajmują górniczy - skłamał Bell. Nie miał pojęcia, czy śpią w suterenie.

Wiedział, że wizerunek kalekiego górnika zadowoli Mamie Tubbs na tyle, że nie będzie plotkowała na mieście o swoim nowym lokatorze. Zaprowadziła go do jego pokoju, gdzie rozpakował sakwojaż. Wyjął zawinięty w ręcznik pistolet samopowtarzalny Colt Browning 1905 kaliber 11,43 milimetra z dwudziestonabojowym magazynkiem na zamówienie i kolbę wciskaną w szczelinę za chwytem. Wsunął broń pod łóżko, ale pozostawił swojego niezawodnego derringera remingtona w stetsonie. Owiązał mocniej kolano, żeby nie móc nim normalnie poruszać.

Jedząc na kolację gulasz wołowy w jadalni Mamie, poznał innych mieszkańców pensjonatu. Przeważali górniczy, ale było kilku ekspedientów i małżeństwo, które otwierało własną restaurację. Po posiłku Bell wybrał się na przechadzkę Pacific Avenue, żeby poznać miasto.

Telluride - nazwa wzięła się przypuszczalnie od powiedzenia „To hell you ride”¹ - założono po odkryciu złota w rzece San Miguel. Ten kruszec i ruda srebra, znaleziona wysoko w górach San Juan, szybko przyciągnęły rzeszę poszukiwaczy i górników, którzy przybywali przez następnych pięćdziesiąt lat. W roku 1906 więcej milionerów na głowę przypadało w Telluride niż w Nowym Jorku.

Górnicy ostatecznie wydrążyli ponad pięćset sześćdziesiąt kilometrów tuneli przecinających okoliczne góry, niektóre o wysokości prawie trzech tysięcy sześciuset sześćdziesięciu metrów. Liczba mieszkańców przekroczyła pięć tysięcy i w mieście wkrótce zapanowało szaleństwo hulanki i zepsucie. Trzydzieści sześć saloonów i sto osiemdziesiąt prostytutek utrzymywało górników w dobrych nastrojach, gdy kończyli długie, dwunastogodzinne szychty w kopalniach Silver Bell, Smuggler-Union i Liberty Bell, gdzie zarabiali trzy dolary dziennie.

Kiedy słońce skryło się za górami i zapadła ciemność, jasne światła rozbłysły wzdłuż ulic. W 1892 roku właściciel kopalni L.L. Nunn zaangażował Nikołę Teslę do budowy pierwszej na świecie elektrowni prądu zmiennego, by transportować na linach rudę na dół z gór i górników w górę z miasta. Kiedy przeciągnięto kable z elektrowni do Telluride, stało się ono pierwszym w historii miastem z elektrycznymi latarniami ulicznymi.

Bell minął okryte złą sławą domy publiczne, gdzie nierządnicę uprawiały swój zawód. Burdele wyższej klasy nosiły nazwy Senate i Silver Belle. Muzyka płynęła z okien, pianista grał *Dill Pickles Rag* i inne ragtime'owe melodie. Ulicę nazywano Popcorn Alley z powodu ciągłego otwierania i zamykania drzwi przez całą noc.

Dotarł do głównej części miasta na Colorado Avenue i zajrzał przez okna do Telluride First National Bank. Nazajutrz miał się spotkać z miejscowym szeryfem i kierownikiem banku, żeby zaplanować powitanie Rzeźnika na wypadek, gdyby bandyta połknął przynętę i spróbował napaść na bank. Bell przeszedł obok starego banku San Miguel Valley, który Butch Cassidy obrabował siedemnaście lat wcześniej.

Wieczorne powietrze stało się zimne, gdy słońce, zniknąwszy za szczytami gór, przestało grzać. Bell zauważył, że na wysokości ponad dwóch tysięcy siedmiuset metrów musi głębiej oddychać. Zignorował saloony przy głównej ulicy i skierował się do hotelu New Sheridan.

Wszedł do holu i powiedział recepcjoniście, że chciałby się zobaczyć z kierownikiem. Chwilę później niski, łysy mężczyzna z rumianą twarzą wyszedł z biura szybkim krokiem niczym mysz wybiegająca z dziury w ścianie. Uśmiechnął się, ale niezbyt ciepło, na widok nieszczerólnie eleganckiego Bella.

- Przykro mi, ale wszystkie pokoje są zajęte. Hotel jest pełny.
- Nie chcę pokoju - odrzekł Bell. - Pan Marshall Buckman?

Uśmiech zniknął, oczy się zwęziły.

- Tak.
- Nazywam się Isaac Bell i jestem z Agencji Detektywistycznej Van Dorn.

Buckman znów szeroko otworzył oczy i się skłonił.

- Pan Bell. Dostałem pański telegram. Zapewniam, że zrobimy, co w naszej mocy, żeby pomóc.
- Najważniejsze, żeby odpowiedzieć każdemu, kto zapyta, że pracuję tutaj jako sprzątac - wyjaśnił Bell.
- Oczywiście - odparł protekcjonalnie Buckman. - Może pan na mnie liczyć.
- Dziękuję panu. A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, napiję się najlepszej whisky w waszym barze.
- Podajemy tylko whisky najwyższej klasy z najwyżej cenionych gorzelni. Nie dostanie pan u nas żadnego lokalnego zajzajera.

Bell skinął głową, odwrócił się tyłem do Buckmana i ruszył do baru. Przystanął i przeczytał regulamin hotelowy na tablicy:

„Nie strzelać do pianisty, on się naprawdę stara.

Żadnych koni powyżej parteru. Nie więcej niż 5 osób w łóżku.

Pogrzeby na koszt firmy.

Łóżko 50 centów, z pościelą 75”.

W drzwiach odsunął się na bok, gdy obok niego przeszła jakaś blondynka z twarzą ukrytą pod szerokim rondem kapelusza. Zobaczył tylko, że jest zgrabna.

Ona odwrotnie - idąc w kierunku wyłożonych dywanem schodów prowadzących do jej pokoju, w ogóle nie zwróciła uwagi na utykającego mężczyznę, który ją mijał.

Dużo później Bell przeklinał siebie za to, że nie rozpoznał blondynki, tak jak Margaret nie mogła

sobie wybaczyć, że nie zorientowała się w porę, kim jest utykający mężczyzna.

1

To hell you ride (ang.) - dosł. „do piekła jedziesz” (przyp. tłum.).

Bell wyjaśniał sytuację szeryfowi Henry'emu Pardee'emu i kierownikowi banku Murrayowi Oxnardowi. Trzej mężczyźni siedzieli wokół stołu przy śniadaniu, które podała żona szeryfa. Dom Par-dee'ego stał tuż za jego biurem i aresztem. Gospodarz podszedł do drzwi, upewnił się, że są zamknięte i zaciągnął zasłony, żeby nikt ich nie zobaczył.

Szeryf zaimponował Bellowi. Całą jedną ścianę salonu zajmowały półki na książki wypełnione dziełami Szekspira, Platona, Woltera, Bacona i Emersona oraz kilkoma tomami po łacinie. Bell jeszcze nigdy nie spotkał tak odczytanego małomiasteczkowego stróża prawa.

Pardee przecesał ręką gęste siwiejące włosy i szarpnął sumiaste wąsy.

- Z tego, co pan mówi, panie Bell, wynika, że Rzeźnik zamierza napaść na bank w naszym mieście.
- Nie mam pewności - zastrzegł Bell. - Ale przypuszczam, że skusi go duża suma pieniędzy na wypłaty, przewożona z First National Bank of Denver.
- Nic mi nie wiadomo o takim transporcie pieniędzy - odparł Murray Oxnard. Był wysoki, cichy, barczysty i wąski w biodrach. Rzadko się uśmiechał i stale miał kwaśną minę.
- Nie będzie żadnego transportu - wytłumaczył mu Bell. - To podstęp, żeby zdemaskować bandytę.

Pardee zabębnił palcami w stół.

- Jeśli jest taki sprytny, jak słyszałem, to dotrze do faktów i od kryje, że to lipa.

Bell pokręcił głową.

- Nie, dyrektorzy banku w Denver zostali poinstruowani, żeby potwierdzić, że to prawda.
- Jeśli mogę spytać - powiedział Pardee - dlaczego wybrał pan Telluride?
- Bo wasze miasto leży w zamkniętym z trzech stron kanionie z jednym tylko wjazdem i wyjazdem na zachód. To idealne warunki, żeby zablokować mu drogę ucieczki, jeśli nie zaaresztujemy go podczas próby rabunku.
- Nie podoba mi się to - oświadczył Oxnard. - Ten bandyta jest znany z tego, że zabija bez mrugnięcia okiem. Nie mogę narażać moich pracowników na śmiertelne niebezpieczeństwo i nie chcę mieć ich na sumieniu.

- Nie zamierzam trzymać pana ani pańskiego personelu w banku, kiedy i jeśli zdarzy się napad. Ja i drugi agent Van Dorna obsadzimy stanowiska w banku. Inny detektyw będzie obserwował przyjeżdżające i odjeżdżające pociągi, bo wiemy, że bandyta ucieka z miejsc zbrodni ukryty w wagonie towarowym.
- A co z moimi klientami? - naciskał Oxnard. - Kto się zajmie ich obsługą?
- Mój agent i ja znamy się na tym. Jeśli bandyta podejdzie do boksu kasjera, będziemy gotowi do działania.
- Wiecie, jak on wygląda? - spytał Pardee.
- Poza tym że jest rudy i brakuje mu małego palca u lewej ręki, nie mamy żadnego rysopisu.
- To dlatego, że morduje każdego, kto mógłby go zidentyfikować. Nie macie zbyt mocnego punktu zaczepienia.
- Wciąż nie jestem przekonany - powiedział Oxnard. - Ktoś z moich klientów może się znaleźć w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze i zginąć.
- Zastosujemy wszelkie środki ostrożności - zapewnił go Bell. - Może pozostać pewne ryzyko, ale tego bandytę trzeba zatrzymać. Zabił już ponad trzydzieści osób. Nie wiadomo, ile jeszcze będzie ofiar, zanim zdołamy go zaarrestować i zapobiec następnym morderstwom.

Pardee posłał Oxnardowi zimne spojrzenie.

- Jak mogę pomóc?
- Niech pan nie patroluje najbliższej okolicy banku, żeby go nie spłoszyć - poinstruował szeryfa Bell. - Bądźcie w pogotowiu, ale nie na widoku, jeśli to możliwe. Uzgodnimy sygnał na wypadek, gdyby się zjawił.

Choć Oxnard miał zastrzeżenia co do zasadzki, Pardee już sobie

wyobrażał, jaką chwałą się okryje, jeśli pojmie bandytę na swoim terenie. Dla niego klamka zapadła i dyskusja była zakończona. Miał tylko jeszcze jedno pytanie.

- Kiedy przyjedzie ten rzekomy transport pieniędzy?
- Jutro - odrzekł Bell.

Oxnard spojrział na niego pytająco.

- A co z gotówką na wypłaty, która naprawdę już jest w sejfie?
- Niech tam zostanie. Gwarantuję, że złodziej jej nie zabierze.

Pardee podkręcił końce wąsów.

- Był pan kiedyś w górniczym mieście w dniu wypłaty, panie Bell?
- Nie miałem tej przyjemności, ale słyszałem, że bywa rozrywkowe
- To prawda - przytaknął Oxnard z lekkim uśmiechem. - W każdy dzień wypłaty w całym mieście jest istne piekło.

Pardee też się uśmiechnął.

- Tak, burdele są pełne, dopóki górnicy nie roztrwonią swoich ciężko zarobionych pieniędzy na whisky i hazard. - Na moment urwał i spojrział na Bella. - Gdzie pan się zatrzymał? Na wypadek, gdybym musiał się z panem skontaktować.

- W pensjonacie Mamie Tubbs.
- Dobre miejsce, żeby nie rzucać się w oczy - przyznał Oxnard. - Mamie to miła kobieta i doskonała kucharka.
- Mogę polecić jej gulasz - potwierdził Bell z uśmiechem.

Po śniadaniu spotkanie się skończyło. Bell i Oxnard podziękowali pani Pardee za wspaniały posiłek. Potem trzech mężczyźni wyszli i skierowali się w stronę miasta. Pardee rozstał się z nimi, kiedy dotarł do swojego biura i aresztu. Bell udał się z Oxnardem do banku, żeby poznać rozkład wnętrza.

Wyglądało tak jak w setkach innych banków. Gabinet kierownika mieścił się za oszklonym boksem kasjera, pozbawionym szyby tylko przy szufladach z gotówką. Zamiast niej były kraty. Skarbiec, a raczej wielki sejf, zajmował wnękę z boku sali. Bell dowiedział się, że jest zamknięty podczas pracy banku i otwierany tylko po to, by pobrać pieniądze lub zwrócić wszystkie banknoty i bilon po zakończeniu pracy.

- Nie macie skarbcza? - zapytał Oxnarda Bell.
- Nie potrzebujemy. Pieniądze na wypłaty są dostarczane do kopalń pod strażą zwykle nazajutrz po przyjeździe transportu z Denver.
- Dlaczego nazajutrz?
- Musimy mieć czas, żeby je przeliczyć.
- Więc bandyta musi się pośpieszyć.

Oxnard przytaknął.

- Jeśli zamierza dokonać napadu, będzie musiał zrobić to jutro.
- Miał kontakt z jakimiś nowymi klientami albo widział ludzi, którzy po prostu weszli do banku i wyszli?
- Nowy dyrektor kopalni Liberty Bell otworzył rachunek bieżący. - Oxnard urwał i wpatrzył się w sufit w zamyśleniu. - I bardzo atrakcyjna kobieta założyła sobie konto. Bardzo małe. To takie smutne.

- Smutne?

- Mąż ją zostawił w Iowa, żeby zbić majątek w Kolorado. Nie odezwał się więcej. Ostatnią wiadomość miała od znajomego kierownika pociągu. Dowiedziała się od niego, że jej mążzonek poje-

chał do Telluride do pracy w kopalni. Przyjechała tutaj, żeby go odnaleźć. Biedactwo. Możliwe, że zginął w kopalni jak wielu innych.

- Chciałbym dostać nazwisko tego dyrektora kopalni, żebym mógł go sprawdzić - powiedział Bell.

- Podam je panu.

Oxnard wszedł do swojego gabinetu i wrócił po niecałej minucie.

- Nazywa się Oscar Reynolds.

- Dziękuję.

Oxnard popatrzył na Bella.

- Nie sprawdzi pan tamtej kobiety?

- Bandyta nie ma współniczki, zresztą współnika też nie. Zawsze sam dokonuje napadu.

- W porządku. - Oxnard westchnął. - Nieszczęsna kobieta. Wpłaciła tylko dwa dolary. Żeby mieć co jeść, będzie pewnie musiała zatrudnić się w burdelu, bo w Telluride jest niewiele posad dla kobiet i wszystkie są zajęte przez żony górników.

- Na wszelki wypadek proszę mi podać również jej nazwisko.

- Rachel Jordan.

Bell roześmiał się cicho.

- Jej pan pamięta.

Oxnard się uśmiechnął.

- Nazwisko ładnej kobiety łatwo zapamiętać.

- Powiedziała, gdzie mieszka?

- Nie, ale przypuszczam, że w jakimś domu publicznym. -Oxnard zerknął chytrze na Bella. - Odszuka ją pan?

- Nie - zaprzeczył w zamyśleniu Bell. - Nie sądzę, że kobieta jest Rzeźnikiem.

Margaret nie wiodła nędznego życia prostytutki w burdelu na Pacific Avenue. Mieszkała z klasą w hotelu New Sheridan. Założyła

małe konto w miejskim banku, żeby poznać jego wnętrze, liczbę pracowników, rozmieszczenie ich stanowisk i typ sejfów. Potem obeszła firmy górnicze, aby wypytać o dawno zaginionego męża, który nigdy nie istniał. Wiarygodnie przedstawiona historia sprawiła, że wkrótce plotkowano na jej temat w całym mieście.

Posunęła się nawet do tego, że poszła do szeryfa Pardee'ego ze swoją zmyśloną smutną opowieścią, by zobaczyć, co to za człowiek. Alice Pardee weszła do biura, kiedy Margaret prosiła szeryfa

o pomoc w poszukiwaniach męża. Alice natychmiast ogarnęło współczucie dla kobiety w taniej, mocno wypłowiałej bawełnianej sukience, porzuconej żony rozpaczliwie szukającej męża, który ją opuścił. Alice pomyślała, że ta Rachel Jordan na pewno prawie głoduje i zaprosiła ją do ich domu na kolację. Margaret przyjęła zaproszenie i przyszła w tej samej taniej sukience, którą kupiła w San Francisco w sklepie z używaną odzieżą dla biednych.

Tego wieczoru Margaret zrobiła przedstawienie, próbując pomagać Alice w kuchni, ale dla żony szeryfa było oczywiste, że ich gość nie ma pojęcia o przyrządzaniu posiłków. Alice podała kotlety baranie domowej roboty, gotowane ziemniaki i gorące jarzyny, a na deser szarlotkę. Po jedzeniu pili herbatę w salonie, gdzie Alice grała na starym pianinie.

- Gdzie pani się zatrzymała, pani Jordan? - zapytała Alice, kiedy przerwała, by zmienić nuty.

- Pewna miła kobieta, panna Billy Maguire, zatrudniła mnie jako kelnerkę w swoim pensjonacie dla pań.

Pardee i jego żona wymienili zbolące spojrzenia. Alice wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Duża Billy to burdelmama w domu publicznym Silver Belle. Nie wiedziała pani?

Margaret udała zmieszaną.

- Nie miałam pojęcia!

Alice uwierzyła w jej kłamstwo, szeryf nie. Uważał, że to niemożliwe, by jakakolwiek kobieta nie potrafiła odróżnić pensjonatu od burdelu. Nabrał podejrzeń, ale jego żonę znów ogarnęło współczucie.

Otoczyła ramieniem Margaret.

- Biedactwo. Nie zostanie pani w Silver Belle ani chwili dłużej. Będzie pani mieszkała tutaj, z Henrym i mną, dopóki nie znajdzie pani swojego męża.

- Ale może go nie być w Telluride - odrzekła Margaret, jakby miała się rozplakać. - Wtedy będę musiała jechać dalej i nie chcę sprawiać kłopotu.

- To żaden kłopot - zapewniła Alice. - Pójdzie pani teraz prosto do Dużej Billy i zabierze swoje rzeczy. Pościelę pani zapasowe łóżko.

Margaret nie wypadła z roli i uroniła parę łez.

- Jak ja się pani odwdzięczę?

- Niech pani o tym nie myśli. Henry i ja cieszymy się, że możemy pomóc komuś w nieszczęściu. To po chrześcijańsku.

Popijając kawę, Margaret skierowała rozmowę na pracę Par-dee'ego.

- Musi pan wieść ekscytujące życie. Telluride wydaje się miastem pełnym swobody. Na pewno jest pan stale zajęty.

- Górnicy potrafią być czasami niesforni - przyznał Pardee -ale zbrodnie, takie jak morderstwo, zdarzają się najwyżej raz na pół roku. Jest bezpiecznie od strajków przed dwoma laty, kiedy to gubernator przysłał wojsko, żeby stłumić zamieszki.

Margaret wolno i w przemyślany sposób odpowiadała na pytania szeryfa o jej zaginionego męża. Sama zaś starała się zdobyć ogólne informacje o mieście i kopalniach.

- Mnóstwo pieniędzy musi trafiać przez bank do firm górni czych - rzuciła swobodnie.

Pardee przytaknął.

- Sumy na wypłaty bywają znaczne.

- I nigdy nie obawiał się pan rabunku? - spytała niewinnie.

- Górnicy to porządni ludzie i rzadko popełniają przestępstwa. Z wyjątkiem sporadycznych bójek w saloonach czy jakiegoś zabójstwa, kiedy sytuacja wymknie się spod kontroli, w mieście jest dość spokojnie.

- Kiedy byłam w banku, zauważyłam, że sejf wygląda na bardzo solidny.

- I taki jest - odrzekł Pardee, zapalając fajkę. - Pięć lasek dynamitu nie zdołałoby go rozwalić.

- I tylko kierownik banku zna szyfr?

Pardee uznał za dziwne, że kobieta zadaje takie pytanie, ale odpowiedział bez wahania.

- Rygle są co dzień ustawiane na otwarcie nazajutrz o dziesiątej rano. O trzeciej po południu kierownik zamyka drzwi i nastawia zegar.

- Ktoś w Silver Belle powiedział mi, że Butch Cassidy obrabował tutaj

szy bank.

Pardee się roześmiał.

- To było dawno temu. Od tamtej pory nie mieliśmy tu napadu na bank.

Margaret nie chciała być zbyt wścibska, ale musiała wiedzieć jeszcze coś, żeby jej brat mógł dokonać rabunku.

- Pieniądze na wypłaty dla górników są dostarczane bezpo średnio do firm górniczych, kiedy tu docierają?

Pardee pokręcił głową i powtórzył historyjkę Bella.

- Zostały przywiezione dzisiaj i trafiły prosto do banku. Jutro będą przeliczone i wysłane do kopalń następnego dnia.

- W banku są dodatkowi strażnicy do ochrony pieniędzy?

- Nie ma takiej potrzeby - odparł Pardee. - Gdyby ktoś obrabował bank, nie uciekłby daleko. Wzdłuż torów kolejowych biegną linie telegraficzne, więc stróże prawa w całym hrabstwie zostaliby zaalarmowani na czas, sformowali oddziały pościgowe i czekali na sprawców.

- Więc napad nie mógłby się udać.

- Myślę, że można tak powiedzieć - odrzekł z przekonaniem Pardee. - Nie ma mowy, żeby się powiódł.

Margaret wyszła z domu szeryfa i powędrowała w kierunku Silver Belle. Gdy tylko zniknęła z pola widzenia, pobiegła zaułkiem do hotelu New

Sheridan, aby spakować swoje liche ubrania. Była z siebie zadowolona i nie mogła uwierzyć, że aż tak dopisało jej szczęście. Gościna u Pardee'ego i jego żony umożliwiała jej dostęp do niemal wszystkich spraw miasta. Liczyła na to, że kiedy przyjedzie jej brat, będzie miała dla niego dość informacji, żeby mógł ułożyć niezawodny plan napadu.

Tylko nie wiedziała, gdzie on jest. O ile było jej wiadomo, nie przybył do miasta, a nazajutrz miała się pojawić jedyna szansa, żeby zrabować pieniądze, zanim trafią do kopalń i zostaną wypłacone górnikom. Poczwała głęboki niepokój.

Następnego ranka czarnowłosa kobieta wjechała do Telluride zaprzężoną w tarantowatego konia elegancką bryczką. Pojawiła się na drodze, która prowadziła z ranczerskiej miejscowości Montrose, końcowej stacji kolei Rio Grande Southern. Przybyła z Denver i wypożyczyła zaprzęg w lokalnej stajni. Miała na sobie długą spódnicę z koźlej skóry, ładny dziany zielony sweter i kurtkę z wilczej skóry, a na nogach skórzane buty ze szpiczastymi noskami. Na jej głowie tkwił prosto damski płaski kapelusz kowbojski. Była ubrana modnie w stylu Zachodu, ale nie pretensjonalnie.

Dotarła do Colorado Avenue, minęła gmach sądu hrabstwa San Miguel i zatrzymała bryczkę przed miejską stajnią. Wsiadła i przywiązała konia do słupka. Właściciel stajni wyszedł i uchylił kapelusza.

- Witam szanowną panią. Czym mogę służyć?
- Chciałabym poprosić o nakarmienie i napojenie mojego konia. Muszę wrócić do Montrose dziś po południu.
- Oczywiście, szanowna pani - odrzekł uprzejmie mężczyzna, zaskoczony jej nieco grubym głosem. - Zajmę się tym. I dociągnę pani mocniej przednie koła. Wyglądają na trochę obluzowane.
- Jest pan bardzo uprzejmy, dziękuję. A, i przy okazji, moja siostra przyjdzie po bryczkę i zapłaci panu.
- Doskonale, szanowna pani.

Kobieta opuściła stajnię i przeszła jeden kwartał do hotelu New Sheridan.

- Czy jest tu zameldowana panna Rachel Jordan? - zapytała recepcjonistę.

Spojrzał na atrakcyjną kobietę i pokręcił głową.

- Nie, proszę pani, wyprowadziła się wczoraj wieczorem. - Za milkł, odwrócił się i wyjął kopertę z przegródki na pocztę i klucz. - Ale prosiła o przekazanie tego osobie, która będzie o nią pytała.

Kobieta podziękowała recepcjoniście, wyszła przed hotel, otworzyła kopertę i przeczytała wiadomość. Schowała ją do torebki i ruszyła przez miasto. Po krótkim spacerze dotarła do cmentarza Lone Tree na wzgórzu na północ od rzeki San Miguel. Weszła przez bramę i skierowała się w głąb między nagrobkami. Zauważyła, że większość pochowanych to ofiary wypadków w kopalniach i lawin śnieżnych oraz zmarli na pylicę.

Ładna blondynka siedziała wyciągnięta na ławce przy grobie i opalała się. Kątem oka dostrzegła nadchodzącą kobietę. Wyprostowała się i popatrzyła na przybyłą, która się zatrzymała i przyglądała jej. Margaret wybuchnęła śmiechem.

- Mój Boże, Jacob - wysapała w końcu. - To najbardziej pomy słowe przebranie, jakie kiedykolwiek miałeś.

Cromwell się uśmiechnął.

- Wiedziałem, że ci się spodoba.

- Dobrze, że jesteś niski, chudy i żyłasty.

- Nie wiem, dlaczego dotąd nie wpadło mi to do głowy. - Podciągnął niezgrabnie spódnice z kozłej skóry i usiadł na ławce obok Margaret. - I czego się dowiedziałaś, droga siostró?

Margaret opowiedziała bratu, jak zaprzyjaźniła się z szeryfem i jego żoną. Wręczyła mu rysunek wnętrza Telluride First National Bank, który sporządziła, i rysopisy pracowników. Powiedziała, że z banku w Denver dostarczono pieniądze na wypłaty, dziś są liczone i jutro zostaną wysłane do kopalń.

Cromwell spojrział na zegarek.

- Mamy jeszcze godzinę do zamknięcia banku. Najlepsza pora, żeby zabrać gotówkę i opuścić miasto.
- Zauważyłam jakiegoś mężczyznę kręcącego się po stacji kolejowej. Nie jestem pewna, ale podejrzewam, że to może być agent Van Dorna, który cię wypatruje.

Cromwell się zamyślił.

- Nawet jeśli Van Dorn polecił swoim ludziom obserwować pociągi przyjeżdżające i odjeżdżające podczas dostaw pieniędzy, to tylko gonią za duchem. Nie ma mowy, żeby wiedzieli, gdzie dokonam następnego napadu.
- Jeśli wiedzą o twoim wagonie towarowym, to dobrze, że kazałeś go przemalować. - Popatrzyła na niego pytająco. - Ale jak potem uciekniemy?

Cromwell uśmiechnął się chytrze.

- Kto będzie podejrzewał dwie schludne, atrakcyjne panie wyjeżdżające z miasta bryczką?

Położyła mu ręce na ramionach.

- Najprostszy plan jest najlepszy. Jesteś genialny, bracie. Nie przestajesz mnie zadziwiać.
- Dziękuję za komplement - odrzekł i wstał. - Nie mamy dużo czasu. Wypłata czeka.
- Co mam robić?
- Idź do stajni i odbierz konia i bryczkę. Uprzedziłem właściciela stajni, że moja siostra przyjdzie po zaprzęg. Potem czekaj przy tylnych drzwiach banku.

Podczas gdy Curtis obserwował stację kolejową i miejskie depo, Bell i Irvine grali role pracowników banku w Telluride. Siedząc w gabinecie Murraya Oxnera, Bell zaczął podejrzewać, że postawił na złego konia. Tylko dziesięć minut pozostało do zamknięcia, a tu ani śladu bandyty. Udający kasjera Irvine przygotowywał się, żeby schować kasetę z gotówką i niecierpliwie wyczekiwał ostatniego klienta.

Bell zerknął w dół na samopowtarzalnego colta kaliber 11,43 milimetra w otwartej szufladzie biurka i pożałował, że nie użyje go przeciwko Rzeźnikowi. Pomyślał, że rozwalenie draniowi głowy to za mało po tym, jak zamordował tyle niczego się niespodziewających osób. Ale jego śmierć oszczędziłaby podatnikom wydatków na proces. A teraz Bell stał w obliczu porażki i perspektywy, że będzie musiał zacząć wszystko od nowa z tymi niewieloma wskazówkami, które udało im się zdobyć.

Irvine podszedł do drzwi gabinetu i oparł się ramieniem o framugę.

- Nie można zaprzeczyć, że bardzo się staraliśmy - powiedział ściśniętym głosem.
- Wygląda na to, że nie połknął przynęty - odrzekł wolno Bell.
- Może nie przeczytał artykułu w gazecie, bo nie mieszka w San Francisco.

- Na to wygląda.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do banku weszła kobieta w spódnicy z kozłej skóry i kapeluszu nasuniętym na oczy. Bell wyrżał zza Irvine'a, ale się odprężył na widok dobrze ubranej klientki. Skinął głową Irvine'owi, który wrócił do boksu kasjera i zapytał:

- Czym mogę pani służyć?

Cromwell uniósł lekko głowę, żeby spojrzeć na twarz Irvine'a i natychmiast zeszywniał ze strachu, rozpoznawszy agenta Van Dorna, który siedział z Bronsonem i Bellem w jadalni Klubu Bohemy zaledwie kilka dni wcześniej. Nie odpowiedział Irvine'owi w obawie, że zdradzi go głos. Poczuł napięcie, kiedy sobie uświadomił, że to pułapka. Schylił głowę i zaczął gorączkowo przemyśliwać możliwości. Miał przewagę, bo agent go nie rozpoznał w przebraniu kobiety i nie zdawał sobie sprawy, że bandyta stoi zaledwie metr od niego po drugiej stronie kontuaru.

Mógł zastrzelić agenta i zabrać jakiegokolwiek pieniądze z sejfu lub po prostu się odwrócić i wyjść z banku. Wybrał to drugie i właśnie zamierzał pośpiesznie się wycofać, gdy Bell wyszedł z gabinetu. Cromwell od razu go rozpoznał i po raz pierwszy w swojej przestępczej karierze wpadł w panikę.

- Czym mogę pani służyć? - powtórzył Irvine, zastanawiając się, dlaczego kobieta nie odpowiedziała mu za pierwszym razem.

Bell już patrzył na niego pytająco, jakby klientka wyglądała znajomo. Był mistrzem identyfikacji i miał fotograficzną pamięć do twarzy. Jego oczy zdradzały, że usiłuje sobie przypomnieć, gdzie ją widział. Potem przeniósł wzrok na dłonie Cromwella w skórzanych rękawiczkach. Nagle, jakby zobaczył zjawę, uświadomił sobie, że ma przed sobą bandytę. Poczuł się jak po ciosie młotkiem w głowę. Otworzył szeroko oczy i wykrzyknął:

- To ty!

Cromwell nie tracił więcej czasu. Sięgnął do dużej torebki z materiału i wyszarpnął colta dziewiątkę z lufą owiniętą grubą ścierką. Bez chwili wahania wycelował w pierś Irvine'a i nacisnął spust. Głośny głuchy odgłos rozległ się w sali banku. Cromwell obrócił broń i wypalił do Bella, zanim Irvine osunął się na podłogę niczym szmaciana lalka.

Gdyby Bell nie rzucił się odruchowo na ladę, by spaść po drugiej stronie, pocisk trafiłby go prosto w brzuch. Gwałtowny skok uratował go, ale dostał w udo. Ledwo to poczuł. Gdy tylko wylądował na podłodze, jednym ruchem sięgnął w górę do szuflady biurka i chwycił swojego colta. Nie mając czasu na celowanie, strzelił do Cromwella i chybił. Kula przeszła centymetr od jego szyi.

Obaj mężczyźni błyskawicznie znów wypalili. Nacisnęli spust w tym samym momencie i wystrzały

zabrzmiały jednocześnie.

Drugi pocisk Cromwella drasnął skroń Bella. Ledwo rozerwał skórę, ale zrobił wgłębienie w czaszce. Bell stracił ostrość widzenia i przytomność, krew szybko zalała mu bok twarzy. Rana nie była śmiertelna, ale Cromwellowi, który nadal stał, wydawało się, że odstrzelił Bellowi pół głowy.

Bandyta też nie wyszedł ze strzelaniny bez szwanku. Kula Bella przeszła mu przez ciało na wysokości pasa, ale nie uszkodziła żadnego narządu wewnętrznego. Rzeźnik się zachwiał i przytrzymał krawędzi boksu kasjera, żeby nie upaść. Przez chwilę zmagał się z bólem, potem się odwrócił, otworzył tylne drzwi i odsunął się na bok, gdy Margaret wpadła do środka.

- Słyszałam strzały! - krzyknęła zszokowana. - Co poszło nie tak?

- To była pułapka - wymamrotał, kiedy gniew zastąpił strach.

Przycisnął dłoń do rany i wskazał lufą colta gabinet kierownika banku. - Zabiłem Isaaca Bella.

Margaret weszła do pokoju, spojrzała na leżącego agenta Van Dorna i przerażenie pojawiło się w jej oczach, gdy rozpoznała Bella mimo krwi na jego twarzy.

- O mój Boże! - Zrobiło jej się niedobrze, ale mdłości szybko minęły, kiedy się odwróciła i zobaczyła, że jej brat też krwawi. Wciągnęła gwałtownie powietrze. - Jesteś ranny!

- Nie tak ciężko, jak się wydaje - odrzekł przez zaciśnięte zęby.

- Musimy uciekać. Strzały ściągają tu szeryfa i pół miasta.

Margaret na wpół wyniosła, na wpół wywlokła brata tylnymi

drzwiami z banku. Na zewnątrz czekał zaprzęg. Musiała użyć całej swojej siły, żeby wepchnąć Jacoba na siedzenie bryczki. Odwiązała konia i wspięła się na kozioł.

Uniosła bat, ale Cromwell chwycił ją za rękę.

- Nie, jedź wolno, jakbyśmy byli dwiema kobietami na przejażdżce. Wzbudzimy podejrzenia, wypadając galopem z miasta.
- Szeryf to spryciarz. Znam go. Nie da się łatwo oszukać.
- Nawet spryciarz nie będzie podejrzewał kobiety o obrabowanie banku i zabicie dwóch osób - mruknął Cromwell.

Na końcu zaułka Margaret skręciła w boczną ulicę, a potem skierowała się na zachód w stronę granic miasta. Cromwell zdjął kurtkę z wilczej skóry i położył ją sobie na podołku, żeby zasłonić krew przesączającą się przez sweter. Wsunął colta do kowbojskiego buta, oparł się wygodnie i usiłował ignorować ból w boku.

Bell umówił się z szeryfem Pardee'em, że odda jeden strzał jako sygnał, jeśli bandyta się zjawi. Ale Pardee zorientował się, że są kłopoty, kiedy usłyszał pięć strzałów, niektóre przytłumione jak dalekie wybuchy dynamitu w pobliskiej kopalni. Wypadł na ulicę ze sklepu żelaznego, gdzie się ukrywał, pełen obaw, że kobieta,

którą widział wchodzącą do banku, mogła zostać zabita przez bandytę.

Widząc, że szeryf biegnie w kierunku banku, jego czterej zastępcy wyskoczyli ze swoich kryjówek i popędzili za nim, piąty zaś pobiegł na stację kolejową zawiadomić Curtisa. Z wyciągniętym Smith & Wessonem i odwiedzionym kurkiem Pardee wpadł do banku. W pierwszej chwili nikogo nie zauważył. Irvine leżał za boksem, a Bell po drugiej stronie biurka. Potem okrążył boks i zobaczył agenta Van Dorna rozciągniętego na podłodze w kałuży krwi. Upewnił się, że Irvine nie żyje, zanim wszedł do pokoju i znalazł Bella.

- Martwy? - zapytał jeden z jego zastępców, stojący z gotowym do strzału obrzynkiem wielki jak niedźwiedź mężczyzna, któremu brzuch wylewał się ze spodni na rozciągniętych do granic wytrzymałości szelkach.

- Pocisk tylko drasnął mu głowę - odrzekł Pardee. - Jeszcze żyje.

- A co z kobietą?

Pardee nie od razu zrozumiał. Potem pojął.

- Tą, która weszła do banku przed strzelaniną?

- Tak.

- Bandyta musiał ją porwać.

- Ale nie widzieliśmy, żeby przed nią albo po niej wchodził ktoś inny.

Pardee wstał, zdezorientowany. Musiał użyć całej swojej wyobraźni, żeby uwierzyć, że bandyta nazywany Rzeźnikiem to kobieta.

- Bandyta musiał wejść tylnymi drzwiami.

Zastępca podrapał się w brodę.

- No nie wiem, szeryfie. Drzwi powinny być zamknięte od we wewnątrz, jak zawsze.

Pardee podszedł szybko do tylnych drzwi i zobaczył, że są otwarte. Szarpnął je i wyjrzał w lewo i w prawo, ale zaułek był pusty.

- A niech to piekło pochłonie - mruknął. - Uciekła.
- Nie może być daleko - odparł zastępca.
- Zbierz ludzi! - warknął Pardee. Skinął do innego zastępcy, który stał w głównym wejściu. - Sprowadź doktora Madisona. Na jednej nodze. Powiedz mu, że agent Van Dorna jest ranny w głowę. - Przyklęknął i znów szybko obejrzał Bella. - I chyba ma kulę w udzie.

Ledwo podwładny szeryfa zniknął za drzwiami, Pardee pobiegł po swojego konia przywiązanego przed jego biurem. To niemożliwe, pomyślał, żeby wszystko poszło tak strasznie źle. Dopiero wtedy wpadło mu do głowy, że bandyta był przebrany za kobietę, a biedna wdowa, którą z żoną przygarnęli, była jego współniczką.

Gdy tylko przekroczyli granice miasta Telluride i minęli drogę prowadzącą do kopalń Ofiru na południu, Margaret smagnęła konia batem i przynagliła go do biegu drogą wiodącą przez kanion na zachód w kierunku Montrose. W ciągu dziesięciu minut, które upłynęły od opuszczenia banku, Cromwell zdążył pomyśleć. Wskazał przerwę między drzewami ciągnącą się do mostu na rzece San Miguel. Była to zarośnięta droga dojazdowa używana przez kolejowe ekipy remontowe naprawiające tory.

- Skręć tam - polecił siostrze Jacob. - Przekrocz most i jedź po podsypce torów.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Chyba mówiłeś, że nikt nie będzie podejrzewał dwóch kobiet w bryczce.

- Owszem, zanim przyszło mi do głowy, że szeryf i jego zastępcy obserwowali bank.
- Na pewno, ale co to ma wspólnego z naszą ucieczką?
- Nie rozumiesz, droga siostrze? Ja ostatni wszedłem do banku i nie wyszedłem stamtąd. Jeśli mówiłaś prawdę, to Pardee nie jest durniem. Musiał już skojarzyć fakty i szuka nas oboje. Ale nigdy nie wpadnie na to, że jedziemy po podsypce. Będzie przekonany, że uciekamy drogą.
- A jak nas nie znajdzie, to co twoim zdaniem zrobi?
- Zawróci, myśląc, że ukryliśmy się wśród drzew, kiedy on i oddział pościgowy będą się zbliżali. Do tego czasu będziemy w pociągu odjeżdżającym z Montrose, przebrani w męskie stroje.

jak zwykle, Cromwell wywiódł w pole pościg. Choć przybity tym, że Bell go przechytrzył i zastawił doskonale wymyśloną pułapkę, czuł pewną satysfakcję, mniemając, że zabił sławnego agenta Van Dorna.

Tak jak przewidział, szeryf i jego ludzie popędzili drogą, z której tory kolejowe były niewidoczne poprzez drzewa. Nie znalazłszy uciekinierów, zawrócili szybko w kierunku miasta. Bryczka mocno podskakiwała na podkładach szyn, ale niewygodę wynagradzała świadomość, że Pardee został wykołowany i wróci do Telluride z pustymi rękami.

Bella zabrano do szpitala w Telluride, gdzie zajął się nim miejscowy lekarz. Pierwszy pocisk z colta Cromwella przebił mu udo na wylot, ale tylko nieznacznie uszkodził tkankę. Lekarz orzekł, że rana zagoi się w ciągu miesiąca. Potem zszyl rozciętą skórę na skroni tak starannie jak krawiec naprawiający rozerwaną kieszeń marynarki od garnituru.

Bell zignorował żądanie lekarza, żeby został w szpitalu przez kilka dni, i pokuśtykał na stację kolejową, by wsiąść do najbliższego pociągu do Denver. W towarzystwie Curtisa w kapeluszu zasłaniającym bandaż wokół głowy przyglądał się, z gniewem i smutkiem, jak zastępcy szeryfa ładują trumnę z ciałem Irvine'a do wagonu bagażowego. Potem się odwrócił i wyciągnął rękę do Pardee'ego.

- Szeryfie, nie wiem, jak panu dziękować za współpracę. Jestem wdzięczny.

Pardee uściskał mu dłoń.

- Przykro mi z powodu śmierci pańskiego przyjaciela - powiedział szczerze. - Miał rodzinę?

- Na szczęście ani żony, ani dzieci, ale mieszkał z matką w podeszłym wieku.

- Biedaczka. Pewnie trafi do przytułku dla ubogich.

- Zostanie umieszczona w dobrym domu spokojnej starości.

- Takie miejsce nie jest tanie. Irvine miał pieniądze?

- Nie - zaprzeczył Bell - ale ja mam. Pardee

powstrzymał się od dalszych pytań.

- Gdyby tylko sprawy ułożyły się po naszej myśli.

- Nasz dobrze opracowany plan niestety się nie powiódł - odrzekł Bell, patrząc, jak drzwi wagonu bagażowego zamykają się za trumną. - Bandyta zrobił ze mnie durnia.

- Nie pańska wina - odparł Pardee. - Wykiwał nas wszystkich, a na największego głupca wyszedłem ja. Jestem teraz pewien, że uboga wdowa, którą przyjęliśmy z żoną pod swój dach, była z nim w zмовie. Powinienem nabrać podejrzeń, kiedy wyciągała ze mnie informacje o banku.

- Ale nie zdradził jej pan, że zastawimy pułapkę. Cromwell nie wszedłby do banku, gdyby to podejrzewał.

Pardee pokręcił głową.

- Połknęli pańską przynętę. Gdybyśmy tylko wiedzieli, że przebierze się za kobietę, może zastrzelilibyśmy go bez wahania jak psa, którym jest.

- Według raportów o jego innych napadach nigdy się tak nie przebierał.

- Nawet jeśli zasadzka się nie udała, mój oddział pościgowy i ja powinniśmy ich schwytać. Myślałem głupio, że pozostaną na drodze. Nie przyszło mi w porę do głowy, że mogą wykorzystać tor kolejowy. Zanim zdałem sobie sprawę, jak mnie przechytrzyli, dawno zniknęli.

- Sprawdzono listy pasażerów pociągów w Montrose?

- Zatelegraowałem do naczelnika stacji - odpowiedział Curtis -ale już odjechali do Grand Junction. Nie pamiętał dwóch wsiadających kobiet, ale zauważył dwóch mężczyzn. Podobno jeden wyglądał na chorego.

Pardee uśmiechnął się lekko.

- Na stopniu z tyłu banku była krew. Musiał go pan ranić.

- Nie na tyle ciężko, żeby go zatrzymać - mruknął Bell.

- Wysłałem telegram do tamtejszego szeryfa. Jego zastępcy w Grand Junction przeszukali wszystkie pociągi odchodzące na wschód i zachód, ale nie natrafili na podróżujące razem kobiety.

Bell oparł się na lasce, którą dostał od Pardee'ego.

- Zaczynam rozumieć jego sposób myślenia. Włożył z powrotem męskie ubranie i kazał siostrze przebrać się za mężczyźnię. Policjantowi, który szukał dwóch kobiet, ta para nie wydała się podejrzana.

- Spryciarz z tego Cromwella.

- Owszem - przyznał Bell.
- Co pan teraz zamierza? - zapytał Pardee.
- Wrócić do Denver i zacząć od początku.
- Ale zna pan już nazwisko i zwyczaj e przestępcy.
- Tak, ale oskarżenie jest niemożliwe. Żaden prokurator federalny nie będzie tracił czasu przy takich słabych dowodach.
- Przygwoździ go pan - powiedział z przekonaniem Pardee.
- Teraz będziemy się jeszcze bardziej starali, bo mamy osobisty powód, żeby doprowadzić go na szubienicę - odrzekł Bell.

Kiedy Bell i Curtis dotarli do Denver późnym wieczorem, karawan już czekał, by zabrać ciało Irvine'a do miejscowej kostnicy.

- Był moim najlepszym przyjacielem - odezwał się Curtis. -Pocieszę jego matkę i zajmę się pogrzebem.
- Dziękuję ci - odrzekł Bell. - Pokryję wszystkie koszty.

Bell wziął taksówkę do hotelu Brown Palace. Wszedł do swojego apartamentu, zdjął ubranie i dla odprężenia zanurzył się w wannie z gorącą wodą, opierając ranną nogę na krawędzi, żeby nie zamoczyć bandaża.

Zamknął oczy i wrócił myślami do wydarzeń kilku ostatnich dni. Teraz już wiedział, że kobietą, którą minął w hotelu New She-ridan, była Margaret Cromwell. Kiedy jej brat wszedł do banku

frontowymi drzwiami, czekała z tyłu w bryczce. Obraz Cromwella ucharakteryzowanego na kobietę budził w nim odrazę, ale nie mógł powstrzymać podziwu dla jego sprytu i wyrachowania. Ucieczka przed oddziałem pościgowym szeryfa Pardee'ego konnym zaprzęgiem po torach świadczyła o pomysłowości.

Bell najpierw uznał, że Cromwell nie będzie już kusił losu kolejnym napadem. Taka możliwość wydawała się mało prawdopodobna, ale podobnie jak w wypadku innych przestępców, których aresztował, Bell próbował wniknąć do jego umysłu. Starał się rozumować tak jak on. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że Cromwell uważa się za niepokonanego i nie do wytopienia przez stróżów prawa, zwłaszcza tych z Agencji Detektywistycznej Van Dorn.

Następny krok musiał być starannie przemyślany. Bell rozważał możliwości zebrania dowodów wystarczających do aresztowania Cromwella, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Stał na zdrowej nodze, a kiedy się podniósł, lekko zakręciło mu się w głowie z powodu rany na skroni. Wszedł niezgrabnie z wanny, włożył płaszcz kąpielowy i pokuśtykał do drzwi. Gdy je otworzył, zobaczył z zaskoczeniem, że na korytarzu stoi Joseph Van Dorn.

Van Dorn spojrział na bandaż wokół głowy Bella, przez który przesączała się krew, i uśmiechnął się lekko.

- Stanowisz żałosny widok.

- Proszę wejść i czuć się jak u siebie.

Szef agencji przyjrzał się uważnie swojemu rannemu agentowi. Był zaniepokojony, ale starał się zachowywać nonszalancko.

- Bardzo boli?
- Nie aż tak, żeby nie wystarczyła aspiryna.

Van Dorn przestąpił próg apartamentu i rozejrzał się wokół.

- Lubię, kiedy agent mieszka z klasą nie za moje pieniądze.
- Mogę zamówić panu coś do jedzenia albo do picia?

Van Dorn machnął ręką.

- Nie, dzięki, jadłem w pociągu z Chicago tuż przed przyjazdem do Denver. Ale kieliszek porto byłby nie od rzeczy.

Bell złożył zamówienie przez telefon i odwiesił słuchawkę.

- Przypuszczam, że nie przebył pan ponad tysiąca sześciuset kilometrów tylko po to, żeby po prostu mnie zobaczyć.
- Nasze spotkanie jest nie tylko stosowne, lecz również ważne dla śledztwa. - Van Dorn usiadł w wygodnym fotelu. - Wolę szczegółowy raport niż kilka słów w telegramie. Opowiedz mi, co się wydarzyło w Telluride. Niczego nie pomijaj.
- Wszystko poszło źle - odrzekł ponuro Bell.
- Nie wini się za to - pocieszył go Van Dorn. - Chciałbym mieć dolara

za każdy mój plan, który się nie powiódł.

Kelner przyniósł porto, a potem Bell przez czterdzieści minut zdawał Van Dornowi relację z próby złapania Rzeźnika. Opowiedział, jak Cromwell odwrócił sytuację na niekorzyść jego i szeryfa Pardee'ego, jak zginął Irvine, jak on sam został ranny i ocknął się w szpitalu w Telluride.

Kiedy skończył, Van Dorn zapytał:

- Jesteś pewien, że Rzeźnik to Jacob Cromwell?
- Był tak pomysłowo przebrany, że uśpił czujność Irvine'a i moją. Ale nie mam wątpliwości, że to Cromwell był w banku w kobiecym stroju. Pardee i ja zidentyfikowaliśmy też jego siostrę, Margaret, która przyjechała do miasta, żeby pomóc mu w napadzie.

Van Dorn wyciągnął cygarnicę z kieszeni kamizelki, wyjął długą cienką coronę, zapalił drewnianą zapałkę o paznokciec kciuka i przytknął płomień do cygara.

- To bez sensu. Cromwell jest bogaty, ma własny bank z mi lionowymi aktywami i mieszka w rezydencji na Nob Hill w San Francisco. Co by zyskał, ryzykując to wszystko, żeby rabować i za bijać?
- Z tego, co zdołałem wywnioskować, ukradzione pieniądze pozwoliły mu otworzyć bank.
- Ale po co dalej kradnie, skoro jest już finansowo zabezpieczony i jego bank zdobył pozycję?

Bell popatrzył przez okno na błękitne niebo nad miastem.

- Prosta odpowiedź jest taka, że to szalenie. Obmyśliłem jego portret psychologiczny. Jestem pewien, że rabuje i zabija, bo go to bawi. Pieniądze już nie są jego celem. Straciły znaczenie. Podobnie jak człowiek uzależniony od whisky czy opium nie może się bez nich obyć, on musi popełniać zbrodnie. Uważa się za nietykalnego. W swoim mniemaniu jest niepokonany i każdy przestępczy czyn traktuje jako okazję, by wykazać się większym sprytem niż władze.

- Musisz przyznać - powiedział Van Dorn, wypuszczając duże kółko niebieskiego dymu - że jak dotąd całkiem dobrze wychodzi mu robienie z nas i wszystkich stróżów prawa na zachód od Missisipi bandy amatorów.

- Cromwell nie jest doskonały. Jest człowiekiem, a ludzie popełniają błędy. Kiedyś się potknie.

- Co teraz zamierzasz?

Bell się skrzywił.

- Chciałbym, żeby wszyscy przestali mnie o to pytać.

- No więc?

Bell miał w oczach skupienie i spokój, gdy spojrzał na Van Dorna.

- Wybrać się z powrotem do San Francisco i wnieść oskarżenie przeciwko Cromwellowi.

- Z tego, co mi powiedziałaś, to nie będzie łatwe. Masz za mało dowodów. Jego obrońca zetrze cię na miazgę jako świadka. Wyśmieje cię, że rozpoznałeś mężczyznę ubranego jak kobieta. Będzie twierdził, że wskazanie różnicy jest niemożliwe. Bez innego świadka i odcisków palców przegrasz sprawę, ja ci to mówię.

Bell popatrzył na Van Dorna lodowatym wzrokiem.

- Sugeruje pan, żebym zrezygnował ze śledztwa?

Van Dorn zrobił gniewną minę.

- Nic podobnego. Wskazuję tylko fakty. Doskonale wiesz, że ta sprawa jest priorytetem dla agencji.

Nie spoczniemy, dopóki Cromwell nie trafi za kratki.

Bell dotknął ostrożnie skroni, jakby sprawdzał, czy rana wciąż tam jest.

- Jak tylko wyjaśnię kilka szczegółów w Denver, wracam do San Francisco.
- Dam ci do pomocy zespół agentów, jeśli chcesz.

Bell pokręcił głową.

- Nie. Wystarczy mi Curtis jako moja prawa ręka oraz wsparcie Bransona i jego ludzi. Lepiej nadal działać potajemnie bez rzeszy detektywów, która spowoduje komplikacje.
- A co z pułkownikiem Danzlerem i Departamentem Kryminalnym w Waszyngtonie? Rząd mógłby ci jakoś pomóc?
- Owszem, ale dopiero we właściwym momencie. Cromwell ma ogromne wpływy w politycznej i finansowej elicie San Francisco. Jest tam czołowym filantropem. Kiedy zdobędziemy dość dowodów, by go oskarżyć, jego przyjaciele będą go bronili do upadłego. Wtedy przyda nam się każda pomoc rządu federalnego.
- Co planujesz?
- Nie mam jeszcze konkretnego planu. Cromwell nie wie, że z każdym dniem coraz bardziej go osaczamy.

- Ale nie jesteś bliżej aresztowania niż trzy tygodnie temu.

- Nie, ale teraz mam przewagę.

Van Dorn uniósł ze zdziwieniem brwi.

- Jaką? - mruknął sceptycznie.
- Cromwell nie wie, że ja żyję.
- To będzie straszny cios dla jego ego, kiedy zobaczy, że zmartwychwstałeś.

Bell uśmiechnął się lekko.

- Na to liczę.

Rana Cromwella od kuli Bella nie była groźna. Nie opatrzył jej, dopóki nie wrócił z Margaret do San Francisco. Tam otwory wlotowy i wylotowy w jego boku zostały odkażone, zszyte i zabandażowane. Lekarz, stary przyjaciel, nie zadawał pytań, ale Cromwell i tak skłamał, że postrzelił się przypadkowo przy czyszczeniu broni.

Ponieważ żona lekarza dostała od Cromwella szczerą dotację na swoją ukochaną grupę baletową San Francisco, lekarz nie powiadomił policji i przyrzekł, że nigdy nie wspomni o tym zdarzeniu.

Cromwell wrócił do swojego biura w banku i natychmiast zajął się zarządzaniem swoim finansowym imperium. Jego pierwszym zadaniem było napisanie przemowy, którą miał wygłosić na otwarciu sanatorium dla starszych ludzi, powstałego dzięki jego wielkoduszności. Skromność nie należała do jego cnót i nazwał placówkę Sanatorium Jacoba Cromwella. Wezwał Marion Morgan, żeby przekształciła jego notatki w przemówienie.

Usiadła na krześle obok jego biurka i przyjrzała się mu.

- Proszę wybaczyć, że zapytam, panie Cromwell, ale czy do brze się pan czuje? Jest pan trochę blady.

Zmusił się do uśmiechu, instynktownie dotykając lekko swojego boku.

- Przeziębilem się w czasie nocnego wędkowania. Już prawie mi przeszło.

Wręczył jej swoje notatki, odwrócił się na skórzanym fotelu i popatrzył przez okno na miasto.

- Proszę zredagować moje przemówienie i nie krępować się, jeśli będzie pani miała jakieś sugestie.

- Tak jest.

Marion wstała, by wyjść z gabinetu Cromwella, ale zawahała się przy drzwiach.

- Przepraszam, ale jestem ciekawa, czy kontaktował się jeszcze z panem tamten detektyw z agencji Van Dorna?

Cromwell odwrócił się z powrotem od okna i spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Isaac Bell?

- Chyba tak się nazywał.

Nie mógł powstrzymać lekkiego uśmiechu, gdy powiedział:

- On nie żyje. Słyszałem, że został zabity podczas napadu na jakiś bank w Kolorado.

Marion poczuła się tak, jakby dwie bryły lodu ścisnęły jej serce. Nie mogła uwierzyć w słowa Cromwella. Wargi jej drżały, więc odwróciła się od niego, by nie zobaczyć szoku na jej twarzy. Ledwo zachowując spokój, wyszła w milczeniu z gabinetu i zamknęła drzwi.

Usiadła przy swoim biurku jak w transie. Nie mogła zrozumieć żalu po śmierci człowieka, którego ledwo знаła; mężczyzny, z którym tylko raz zjadła kolację. Jednak widziała w wyobraźni jego twarz, jakby przed nią stał. Świeża więź między nimi została brutalnie przecięta. Nie potrafiła wytłumaczyć swojego smutku i nawet nie próbowała. Czowała się tak, jakby straciła bliskiego przyjaciela.

Trzęsącymi się rękami wsunęła kartkę do maszyny do pisania i zaczęła tworzyć z notatek Cromwella jego przemówienie.

O piątej po południu Cromwell stał na schodach nowego dwupiętrowego budynku z czerwonej cegły u zbiegu ulic Geary i Fill-more. Słuchał długiego, kwiecistego wstępu wygłaszanego przez burmistrza Eugene'a Schmitza, swojego przyjaciela, któremu w tajemnicy przelewał duże sumy pieniędzy na osobiste konto w Cromwell Bank. Pięćsetosobowy tłum uczestniczył w inauguracji wraz z członkami straży pożarnej i policji, politykami i ponad pięćdziesięcioma starszymi pacjentami siedzącymi apatycznie w swoich wózkach inwalidzkich.

Przemówienie Cromwella było krótkie i treściwe. Skromnie nazwał siebie „pokornym posłańcem Boga”, który postanowił pomóc bezradnym. Kiedy skończył, rozległ się uprzejmy, lecz powściągliwy aplauz, stosowny do okoliczności. Przecięto wstęgę przed głównym wejściem i serdecznie pogratulowano Cromwellowi. Uścisnął każdą dłoń wyciągniętą w jego stronę. Na pokaz obejmował wszystkich pacjentów czekających, by wejść do budynku. Burmistrz Schmitz wręczył mu tabliczkę z brązu za działalność dobroczynną i ogłosił, że od tej pory dwunasty kwietnia będzie Dniem Jacoba Cromwella.

Przeciskając się przez tłum życzliwych osób i wielbicieli, Cromwell dotarł na parking, gdzie stał mercedes simplex. Margaret siedziała już za kierownicą. Wyglądała pięknie w zielonej wełnianej sukience i pelerynce.

- Dobra robota, bracie. Kolejny miłosierny uczynek pod sztandarem Cromwellów.

- Nie zaszkodzi mieć wysoko postawionych przyjaciół i być wielbionym przez śmierzdzącą hołotę.

- Czy to nie my mamy być filantropami? - zapytała sarkastycznie.

- A co z twoimi akcjami na rzecz zwierząt, które z jakiegoś powodu nagłośniono w gazetowych rubrykach towarzyskich? -odparował.

- Punkt dla ciebie.

Cromwell podszedł do przodu samochodu i zakręcił korbą. Margaret opóźniła zapłon i ustawiła ręczną przepustnicę. Silnik zaskoczył i zaryczał nisko. Cromwell wspiął się na siedzenie, a Margaret przyspieszyła zapłon, wrzuciła bieg i otworzyła przepustnicę. Mercedes wytoczył się na ulicę między tramwaj linowy a ciężarówkę z piwem.

Cromwell był już przyzwyczajony do szaleńczej jazdy swojej siostry i odprężył się na siedzeniu. Zachowywał jednak czujność na wypadek niebezpieczeństwa.

- Pojedź do Pacific Heights i zatrzymaj się przy Lafayette Park.

- Z jakiegoś konkretnego powodu?

- Będziemy mogli pospacerować i porozmawiać.

Nie zadawała więcej pytań. Mercedes z łatwością wjechał pod górę do Pacific Heights. Skręciła z Fillmore Street w Sacramento Street, dotarła do parku i zatrzymała się u stóp ścieżki prowadzącej między drzewa. Po pięciominutowym spacerze doszli na szczyt wzgórza, skąd rozciągał się piękny panoramiczny widok na miasto.

- O czym chcesz porozmawiać? - spytała Margaret.

- Postanowiłem dokonać następnego napadu. Przystanęła

w pół kroku i spojrzała na niego z rozpaczą.

- Chyba żartujesz?

- Mówię poważnie.

- Ale po co? - zapytała ostro. - Co chcesz osiągnąć? Omal cię nie złapali w Telluride. Po co znowu bez powodu kusić los?

- Bo lubię wyzwania. Poza tym podoba mi się bycie żywą le gendą.

Odwróciła się i spojrzała w inną stronę, zaszokowana.

- To głupie.
- Nie rozumiesz - powiedział i otoczył ją ramieniem w talii.
- Rozumiem. To jest szaleństwo. Pewnego dnia szczęście przestanie ci sprzyjać i cię powieszą.
- Nieprędko - odparł. - Ich najlepszy agent leży w grobie.

Margaret przypomniała sobie niewiarygodnie fiołkowe oczy

i ramię Bella, które ją otaczało, gdy tańczyli w Brown Palace. Zdawało jej się, że słyszy swój głos z oddali.

- Trudno uwierzyć w to, że Bell nie żyje.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Mówisz tak, jakbyś się w nim zadurzyła. Wzruszyła

ramionami i starała się zrobić obojętną minę.

- Och, był przystojny na swój sposób. Przypuszczam, że podobał się innym kobietom.

- Nieważne. Isaac Bell to już przeszłość. - Cromwell zatrzymał się i poprowadził siostrę z powrotem do samochodu. - Zamierzam wykiwać Van Dorna i wszystkich innych durnych stróżów prawa, którzy chcą mnie powiesić. Nie będą podejrzewali, że dokonam kolejnego napadu tak szybko, i to tam, gdzie się nie spodziewają. Znów zostaną zaskoczeni.

Łza napłynęła Margaret do oka i otarła ją chusteczką, nie wiedząc, czy jej przygnębienie wywołała śmierć Bella, czy obłąd brata.

- Gdzie tym razem?

- Nie zrabuję pieniędzy na wypłaty w żadnym górniczym mieście - odrzekł z szerokim uśmiechem. - Zrobię im przykrą niespodziankę i uderzę zupełnie gdzie indziej.

- To znaczy?

- W San Diego, tu, w Kalifornii.
- To prawie na naszym podwórku.
- Tym lepiej - odparł Cromwell. - Będzie mi o wiele łatwiej uciec.
- Dlaczego akurat w San Diego?
- Ponieważ w tamtejszym banku Wells Fargo jest mnóstwo pieniędzy armatorów i kupców sprowadzających towary do portu. I dlatego, że chciałbym dać prztyczka w nos mojemu największemu konkurentowi.
- Jesteś szalony.
- Nie nazywaj mnie tak! - powiedział szorstko.
- A jak ty sam siebie nazwiesz? Wszystko, na co pracowaliśmy, może przepaść, jeśli cię złapią.
- Jeszcze długo mnie nie złapią, bo mają do czynienia z geniuszem - odparł arogancko Cromwell.
- Kiedy z tym skończysz? - zapytała ostro Margaret.
- Kiedy Cromwell Bank będzie tak potężny jak Wells Fargo i zostanę niekoronowanym królem San Francisco - wyjaśnił z nieprzyjemnym błyskiem w oczach.

Wiedziała, że sprzeczenie się z bratem jest bezcelowe. Bez jego wiedzy przez lata pomału przenosiła swój majątek do banku Wells Fargo, gdzie nigdy nie przyszłoby mu do głowy szukać. Kosztowną biżuterię, którą kupowała, deponowała w skrytce bankowej. Gdyby stało się najgorsze, złapaliby Jacoba i powiesili, wyjechałaby z San Francisco do Europy i żyła w luksusie, dopóki nie znalazłaby bogatego i utytułowanego męża.

Doszli do samochodu, Jacob pomógł siostrze zająć miejsce za kierownicą i uruchomił korbą silnik. Czuł się tak pewny siebie jak kapitan okrętu wypływający na wzburzone morze pod pełnymi żaglami, dla którego niebezpieczeństwo stało się wyzwaniem graniczącym z uzależnieniem. Na myśl o tym, że znów przechytrzy wszystkich stróżów prawa na Zachodzie, promieniał jak fanatyk religijny, który właśnie stał się świadkiem cudu.

Żadne z nich nie zwróciło najmniejszej uwagi na mężczyznę w stroju robotnika, siedzącego na ławce blisko samochodu. Na kolanach miał skrzynkę na narzędzia i beztrósco palił fajkę.

Pociąg dowiózł Bella do San Francisco o ósmej rano. O dziewiątej miał spotkanie z Curtisem,

Bronsonem i jego pięcioma agentami. Wszyscy siedzieli przy dużym stole konferencyjnym, dwa razy większym od tamtego w biurze w Denver. Bell był śmiertelnie zmęczony i rany wciąż mu dokuczały, ale ignorował ból, jak przy poprzednich urazach, i nie poddawał się.

- Panowie - zaczął - teraz, kiedy naszym podejrzanym numer jeden jest Jacob Cromwell, będziemy obserwowali jego i jego siostrę Margaret przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- To znaczy, każdy ich ruch poza rezydencją na Nob Hill - dodał Bronson.

Jeden z agentów podniósł rękę.

- Będą nam potrzebne zdjęcia, bo większość z nas nie wie, jak wyglądają.

Bronson wziął ze stołu pękata teczkę z aktami.

- Zostali sfotografowani w mieście.

- Kto zrobił zdjęcia? - zapytał Bell.

Bronson uśmiechnął się i wskazał głową jednego ze swoich agentów po drugiej stronie stołu.

- Dick Crawford jest doskonałym fotografem.

- Cromwellowie nie stali się podejrzliwi na widok człowieka, który ich śledził i robił zdjęcia? - spytał Curtis.

Bronson skinął głową do Crawforda.

- Dick, opowiedz wszystkim, jak to zrobiłeś, że nic nie zauważyli.

Crawford był poważnym, łysym mężczyzną z wąską twarzą, małą szczęką i krzaczastymi brwiami. Jego posępna mina nie wskazywała bynajmniej wesołego usposobienia.

- Śledziłem ich w kombinezonie roboczym i miałem skrzynkę na narzędzia z małym otworem na obiektyw aparatu. Musiałem tylko do niej sięgać, żeby ustawiać ostrość i pstrykać im zdjęcia. Nie zorientowali się i nawet na mnie nie zerknęli. - Postawił na

stole mały aparat fotograficzny i wyjaśnił jego zastosowanie. - To skrzynkowy aparat kodak quick focus, który robi zdjęcia rozmiaru pocztówek.

Gdy Crawford mówił, Branson rozdał fotografie Jacoba i Margaret Cromwellów.

- Zauważcie, że zdjęcia są bardzo ostre i wyraźne - ciągnął Crawford. - W tym aparacie, w przeciwieństwie do innych, ze stałą ogniskową, można ustawić ostrość tym małym pokrętkiem z boku. Potem wystarczy nacisnąć przycisk, żeby wysunąć obiektyw na od powiednią odległość.

Wszyscy przyglądali się zdjęciom uważnie. Przedstawiwały Cromwellów, osobno lub razem, idących ulicą, wychodzących ze sklepów i restauracji. Kilka pokazywało Jacoba Cromwella wchodzącego do swojego banku i wychodzącego z niego. Dwa zostały zrobione, kiedy przemawiał na otwarciu sanatorium dla seniorów. Crawford śledził rodzeństwo nawet w Lafayette Park i sfotografował je na ścieżce. Bella zainteresowały zwłaszcza te fotografie, na których Margaret siedziała za kierownicą egzotycznie wyglądającego samochodu.

- Mercedes simplex - powiedział z podziwem. - Cromwello wie mają dobry gust, jeśli chodzi o automobile.

Branson obejrzał dokładnie zdjęcia z samochodem.

- Wygląda na drogi. Jest szybki?
- Wyciąga co najmniej sto dziesięć, może nawet sto trzydzieści kilometrów na godzinę - odparł Bell.
- Wątpię, czy jest w San Francisco samochód, który mógłby go w razie potrzeby dogonić - wtrącił zarośnięty agent siedzący przy końcu stołu.
- Już jest - odrzekł Bell z szerokim uśmiechem. - Wyładowano go z wagonu towarowego dziś rano.
- Spojrzał na Curtisa. - Mam rację, Arthur?

Curtis skinął głową.

- Twój automobil czeka w magazynie Southern Pacific. Wynająłem chłopaka, który pracuje w depu, żeby go wyczyścił.
- Przysłałeś tu samochód z...
- Chicago - dokończył Bell.

- Jestem ciekaw - powiedział Branson - co jest takiego wyjątkowego w tym automobiliu, że ściągnąłeś go tutaj aż z Chicago.

- Szybkie auto może się przydać. Poza tym prześcignęłoby mercedesa Cromwella, gdyby było trzeba.

- Jakiej jest marki? - zapytał Crawford.

- Locomobile - wyjaśnił Bell. - Joe Tracy zajął nim trzecie miejsce w wyścigu drogowym o Puchar Vanderbilta w 1905 na Long Island.

- Jaką osiąga prędkość? - dopytywał Branson.

- Na prostej rozpędza się do stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Zapadło milczenie. Wszyscy wokół stołu byli zdumieni i niedowierzali.

Nigdy nie widzieli ani nie słyszeli, żeby jakikolwiek pojazd rozwijał taką szybkość.

Profesjonalne wyścigi samochodowe z autami fabrycznymi nie dotarły jeszcze na zachodnie wybrzeże.

- Niesamowite - powiedział Branson z podziwem. - Nie po trafię sobie wyobrazić pojazdu, który się porusza w tempie stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Można nim jeździć po ulicach? - spytał Curtis.

Bell skinął głową.

- Kazałem zamontować błotniki i reflektory i przystosować napęd do ruchu ulicznego.

- Musisz mnie przewieźć - oświadczył Branson. Bell

się zaśmiał.

- Myślę, że da się to zorganizować.

Branson ponownie skupił swoją uwagę na zdjęciach Cromwellów.

- Jak myślicie, co ten bandyta teraz robi?

- Po Telluride - odrzekł Curtis - obstawiałbym, że jego kradzieże i morderstwa się skończyły.

- Brzmi logicznie, jeśli wie, że go podejrzewamy - zgodził się Branson.

- Nie możemy być tego pewni, jeśli sądzi, że wszyscy świadkowie niepowodzenia w Telluride są martwi, łącznie ze mną - za uważał Bell. - To szalenię ogarnięty żądzą rabowania i zabijania. Nie wierzę, by kiedyś przestał. Cromwell jest przekonany, że nigdy nie zostanie wytropiony. Po prostu nie pasuje do wzorca takich przestępców, jak Czarny Bart, Butch Cassidy, banda Jamesa czy Daltonowie. W porównaniu z Cromwellem tamci byli niezdarni mi, prowincjonalnymi amatorami.

Jeden z agentów patrzył na Bella z rosnącym podziwem.

- Zatem uważa pan, że uderzy ponownie.

- Tak.

- Mogłeś go nabrać na tę historyjkę o Telluride - oznajmił Bronson. - Ale jeśli jest taki sprytny, jak twierdzisz, to nie popełni znów tego samego błędu i nie wpadnie w kolejną pułapkę.

Bell pokręcił głową.

- Obawiam się, że są na to małe szanse. Na razie możemy tyl ko przewidywać jego następny krok, a jeśli się nie uda, to nadal zbierać dowody, dopóki nie będziemy mogli go oskarżyć.

- Przynajmniej wiemy, że nie jest nieomylny.

Bronson chrząknął.

- Ale niewiele mu do tego brakuje.

Bell nalał sobie kawę z dzbanka stojącego na stole konferencyjnym.

- Mamy przewagę, bo nie wie, że każdy jego ruch jest śledzony. Będziecie musieli być bardzo ostrożni, żeby nie wzbudzić podejrzeń jego ani Margaret. Jeśli będziemy go mieć na oku, to następnym ra zem, kiedy pojedzie rabować, może uda nam się go powstrzymać.

Bronson popatrzył na agentów zgromadzonych wokół stołu.

- Wygląda na to, panowie, że mamy przydzielone zadania. Uzgodnijcie między sobą, w jakim systemie zmianowym będziecie prowadzili inwigilację. Otrzymałem telegram od pana Van Dorna. Kazał nam pracować na pełnych obrotach. Chce, żeby Rzeźnik został schwytany za wszelką cenę.

- Mógłbyś mi wyświadczyć przysługę? - Bell zwrócił się do Bransona.

- Mów.
- Zadzwoń do biura Cromwella i poproś do telefonu Marion Morgan. Powiedz jej, że dzwonisz w tajemnicy i żeby nic nikomu nie mówiła, łącznie z jej szefem. Umów się z nią na północno-wschodnim rogu ulic Montgomery i Sutter, przecznice od Cromwell Bank w czasie jej przerwy na lunch.
- A jeśli zapyta mnie o cel spotkania?

Bell uśmiechnął się krzywo.

- Po prostu odpowiedz jej wymijająco, że to pilne.

Bronson się zaśmiał.

- Postaram się wypaść przekonująco.

Po zebraniu Bell i Curtis pojechali taksówką do magazynu Southern Pacific. Zgłosili się do kierownika, dokonali oględzin samochodu i stwierdziwszy, że nie jest uszkodzony, podpisali niezbędne dokumenty przewozowe.

- Cudo - pochwalił Curtis z podziwem, patrząc na jaskrawo czerwony samochód z lśniąca mosiężną chłodnicą. Wieńczył ją wykonany na zamówienie orzeł z brązu z rozpostartymi skrzydła mi i termometrem na piersi. Za chłodnicą była maska w kształcie dachu stodoły. Duży cylindryczny zbiornik paliwa umieszczono za dwoma siedzeniami. Wąskie opony założono na wielkie drewniane koła szprychowe, które toczyły się po krętych drogach Long Island podczas wyścigu o Puchar Vanderbilta.

Bell wspiął się na siedzenie za dużą kierownicą na długim wale, obrócił włącznik prądu na drewnianej desce rozdzielczej, ustawił dźwignię przepustnicy i opóźnił zapłon. Potem ujął ręczną pompę, która wytworzyła ciśnienie w zbiorniku paliwa i doprowadziła je do gaźnika. Dopiero wtedy podszedł do przodu auta, chwycił dużą korbę prawą ręką i zakręcił energicznie. Silnik kaszlnął i zaskoczył przy drugiej próbie z ogłuszającym rykiem.

Potem Bell zaprosił Curtisa na miejsce pasażera, sam usiadł na czerwonym skórzanym siedzeniu kierowcy, przyspieszył zapłon i przesunął przepustnicę. Po zwolnieniu mosiężnego hamulca ręcznego wcisnął sprzęgło i wrzucił pierwszy bieg. Potem przestawił przepustnicę i puścił sprzęgło. Przyciągnął uwagę grupki pracowników magazynu, którzy zaczęli wiwatować, gdy zawadiacki samochód potoczył się naprzód.

Kiedy locomobile pędził już drogą wzdłuż torów kolejowych, Curtis spytał głośno:

- Jedziemy z powrotem do biura?

Bell pokręcił głową.

- Poprowadź mnie do magazynu, przy którym stał wagon Firmy Meblarskiej O'Brian.

- W takim razie skręć w lewo na następnym przejeździe - polecił Curtis.

Kilka minut później Bell zaparkował locomobile'a za pustym magazynem i wyłączył potężny silnik. Idąc za Curtisem, wszedł na rampę załadunkową. Samotny wagon towarowy stał na boczniczy.

- To tu znalazłeś fałszywy wagon Cromwella? - spytał Bell.

- Sprawdziłem wykaz wagonów Southern Pacific - odrzekł Curtis. - Numer 16173 już tam nie figuruje. Nikt nie wie, co się z nim stało. Jakby zniknął z dnia na dzień.

Bell przyjrzał się uważnie bocznym ścianom wagonu stojącego obok rampy załadunkowej.

- Mógł być przemalowany i dostać nowy numer seryjny.

- To całkiem możliwe. - Curtis spojrział na numer i skinął głową. - Wagon 16455. Sprawdzę to.

- Ten wagon został niedawno pomalowany - powiedział wolno Bell. - Nie ma na nim ani jednej rysy.

- Masz rację - mruknął Curtis w zamyśleniu. - Jest taki czysty, jakby właśnie wyjechał z fabryki.

Bell podszedł do drzwi wagonu i chwycił za kłódkę z brązu.

- Dlaczego pusty wagon na boczniczy jest zaryglowany?

- Może został załadowany i czeka, aż go przyczepią do pociągu.

Bell się zadumał.

- Chciałbym wiedzieć, co jest w środku.

- Włamiemy się? - zapytał Curtis z rosnącą niecierpliwością.

Bell pokręcił lekko głową.

- Lepiej na razie zostawmy go w spokoju. Dopóki nie sprawdzimy numeru seryjnego, nie poznamy historii tego wagonu. A jeśli Cromwell jest jego właścicielem, to się zorientuje, że majstrowaliśmy przy zamku.
- Gdybyśmy udowodnili, że to jest wagon, którym uciekał z miejsc zbrodni, moglibyśmy go aresztować.
- To nie takie łatwe. To może być po prostu pusty wagon odstawiony chwilowo na tę bocznice. Cromwell nie jest głupi. Nie zostawiłby dowodów, żeby czekały, aż ktoś je znajdzie. W środku na pewno nie ma nic takiego, żeby miał przez to trafić na stryczek.

Curtis wzruszył ramionami.

- Będziemy mieli ten wagon na oku, ale wątpię, żeby Cromwell wykorzystał go w najbliższym czasie, jeśli w ogóle. W końcu

0 włos uniknął złapania w Telluride.

- I prędzej czy później dowie się, że ja żyję. Będzie wiedział, że go rozpoznałem - dodał Bell z szerokim uśmiechem. - A wtedy naprawdę zrobi się ciekawie.

Marion odłożyła słuchawkę telefonu i spojrzała w stronę drzwi gabinetu Cromwella. Jak zwykle były zamknięte. Prawie zawsze pracował w samotności i załatwiał swoje codzienne sprawy przez telefon lub za pomocą głośników zainstalowanych w całym banku.

Zerknęła w górę na duży zegar ścienny Seth Thomas Regulator z osłoniętym wahadłem, które wychylało się tam i z powrotem. Wskazówki na tarczy z arabskimi cyframi pokazywały za trzy dwunastą. Kiedy skończyła rozmowę z Bronsonem, wysłuchawszy jego instrukcji,

poczuła się rozdarta między lojalnością wobec Cromwella - być może powinna mu powiedzieć o telefonie - i rosnącym podnieceniem na myśl o wypełnieniu sekretnego zadania. W ostatnim roku między nią i Cromwellem powstał wyraźny rozdźwięk, zwłaszcza po tamtej nocy w Barbary Coast, gdzie on i Margaret zachowywali się tak dziwnie. Jej lojalność wobec niego zmalała

1 nie darzyła go takim szacunkiem jak kiedyś. Nie był tym samym człowiekiem, któremu ufała przez tyle lat. Odnosił się do niej z rezerwą, przez większość czasu traktował ją chłodno i nieuprzejmie.

209

14 - Pościg

Wskaźówka minutowa pokryła się z godzinową. Było południe. Wzięła torebkę, włożyła kapelusz i wyszła z sekretariatu, patrząc cały czas na zamknięte drzwi gabinetu Cromwella. Minęła windę i zbiegła po schodach do holu. Przeszła przez duże drzwi wejściowe, skręciła i ruszyła szybko Sutter Street w kierunku Montgomery. Ulice i chodniki były pełne w porze lunchu i minęło ponad dziesięć minut, zanim przedostała się przez tłum. Dotarła do rogu, przystanąła i rozejrzała się dookoła, ale nie zauważyła, by ktoś patrzył w jej stronę lub ku niej szedł. Nie знаła Bransona i nie miała pojęcia, jak wygląda.

Po chwili, jak wielu przechodniów, zwróciła uwagę na duży czerwony samochód, który bez trudu torował sobie drogę. Była w jego wyglądzie jakaś zwierzęca siła, która sprawiała, że wydawał się pędzić ulicą, choć poruszał się nie szybciej niż trzydzieści kilometrów na godzinę. Jego jaskrawoczerwony lakier został wypolerowany na wysoki połysk. Pojazd robił wrażenie potęgi i elegancji.

Skoncentrowana na samochodzie, nie zauważyła mężczyzny siedzącego za kierownicą, dopóki auto nie zatrzymało się przed nią, a on nie powiedział:

- Wsiadaj, proszę, Marion.

Zbladła, uniosła jedną rękę i przycisnęła do krtani, zaskoczona na widok fiołkowych oczu Isaaca Bella, których spojrzenie zdawało się wciągać ją do jego duszy.

- Isaac - wymamrotała zaszokowana. - Jacob powiedział mi, że nie żyjesz.

Wyprostował ramię, chwycił jej dłoń i dźwignął ją na skórzane siedzenie z łatwością i siłą, które ją zdumiały.

- To tylko dowodzi, że nie można wierzyć we wszystko, co się słyszy.

Nie zważając na tłum zgromadzony wokół samochodu, Bell objął Marion w talii. Potem wziął ją w ramiona i pocałował.

- Isaac! - wykrzyknęła, gdy ją puścił. W jej sprzeciwie było więcej radości niż zakłopotania. - Nie przy tych wszystkich lu dziach.

Przypatrujący się automobilowi tłum zainteresował się teraz mężczyzną i kobietą na przednich siedzeniach. Ludzie zaczęli klaskać, wiwatować i dopingować parę.

Bell odsunął się i uśmiechnął szelmowsko.

- Nigdy nie potrafiłem się oprzeć pięknej damie.

Marion niemal uległa nastrojowi chwili.

- Możemy już odjechać? Proszę.

Bell się roześmiał, uchylił kapelusza w kierunku pozdrawiających go przechodniów i wrzucił pierwszy bieg. Nacisnął lekko pedał gazu i włączył się do ruchu. Pojechał na północ Montgomery i skręcił w lewo do Chinatown. Wjechał w zaułek i zatrzymał auto za dużą restauracją w mandaryńskim stylu, pomalowaną na czerwono i złoto, z pagodowym dachem. Oczekujący pracownik lokalu skłonił się.

- Popilnuję pańskiego samochodu.

- Liczę na to - odrzekł Bell i dał mu taki napiwek, że mężczyzna wytrzeszczył oczy. Potem pomógł Marion wysiąść z auta.

- Cesarzowa Szanghaju - powiedziała, patrząc na ozdobne wejście. - Zawsze chciałam tu zjeść.

- Miej sce j est godne polecenia.

- Jestem ciekawa, skąd wiedziałeś o tylnym parkingu.

Kiedy weszli do długiego holu, powitała ich piękna kobieta

o długich, lśniących czarnych włosach. Była ubrana w chińską, obcisłą, jedwabną sukienkę z sięgającymi wysoko rozcięciami po bokach. Zaprowadziła ich na górę do małej osobnej sali i posadziła przy stoliku. Kiedy studiowali menu, kelner przyniósł dzbanek

1 nalał im herbatę.

- Utykasz - powiedziała.

- Drobną pamiątkę z Telluride w Kolorado.

Gdy zdjął kapelusz, zauważyła bandaż na jego głowie. Zmarszczyła czoło i uniosła brwi.

- Następna pamiątka?

Przytaknął i uśmiechnął się dziarsko.

Marion utkwiała w nim wzrok i oczy jej się zaszklily.

- Nie masz pojęcia, jaka jestem szczęśliwa, że żyjesz.

- Twój szef próbował to zmienić.

- Pan Cromwell? - wykrzyknęła, gdy niepokój zastąpił współczucie. - Nie rozumiem.

- To on mnie postrzelił. Zabił też agenta Van Dorna, mojego przyjaciela.

- Chyba nie mówisz poważnie.

- Czy ci się to podoba, czy nie, Jacob Cromwell to Rzeźnik. Napadł na ponad dwadzieścia banków w ciągu ostatnich dwunastu lat i zabił niemal czterdzieści niewinnych osób.

- To szaleństwo! - Marion przygryzła dolną wargę. Wyglądała tak, jakby się gdzieś zgubiła i nie wiedziała, w którą stronę iść. - Nie mógł tego zrobić.

- Mówię prawdę - zapewnił Bell z nagłą łagodnością. - Mamy dowody. Może nie są wystarczające, żeby go skazać, ale go obciążają.

- Ale Cromwell pomaga tylu ludziom w potrzebie - zaprotestowała.

- To fasada - odparł lodowato Bell. - Zbudował mur wokół swojego imperium strzeżonego przez armię porządnymi obywateli, którzy wierzą, że on i Margaret są wspaniałomyślni i z dobroci serca pomagają biednym. To gra. Cromwella absolutnie nie obchodzą ubodzy. Wykorzystuje ich do własnych celów. W oczach tutejszych przekupnych polityków jest bez skazy, dopóki ich wspiera potajemnymi dotacjami.

Zaszokowana Marion napiła się herbaty. Jej ręka wyraźnie drżała.

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć - westchnęła.

Bell sięgnął przez stół i ujął jej dłoń.

- Uwierz mi, Marion, to prawda. Spojrzałem mu w oczy i roz poznałem go, kiedy do mnie strzelał w banku w Telluride.

Oswobodziła ręce i zacisnęła je razem.

- Och, Isaac, to wszystko jest zbyt nieprawdopodobne. Po co Jacob miałby kraść, skoro jest właścicielem drugiego co do wielkości banku w San Francisco? Ten pomysł jest zbyt absurdalny.

- Nie potrafię ci na to odpowiedzieć, Marion. Na początku rabował, żeby zbudować własny bank. Ale kiedy się wzbogacił, napady i zabójstwa stały się jego obsesją. Widziałem wiele takich przypadków. Rozboje są dla niego jak narkotyk. Nie może przestać i będzie zabijał, dopóki go nie powstrzymam.

Spojrzała ponad stolikiem w jego czułe fiołkowe oczy. Stały się ciemne i zimne.

- Ty, Isaac? Czy to musisz być ty?

- Nie mogę mu pozwolić nadal mordować ludzi. - Bell wypowiedział te słowa monotonnym głosem, jakby odczytywał akt oskarżenia w sali sądowej. - Nie pozwolę mu grać prawu na nosie, być wolnym i wieść życia bogatego Świętego Mikołaja. - Potem dodał: - To dotyczy też jego siostry, Margaret. Jest uwikłana w jego zbrodnie, tkwi w tym po swoje piękne uszy.

Marion spuściła głowę z zakłopotaniem i kapelusz zasłonił jej oczy.

- Znam Jacoba i Margaret od lat, a jednak nic o nich nie wiedziałam.

- To trudne - powiedział łagodnie Bell - ale będziesz musiała się z tym pogodzić.

Odchyliła głowę do tyłu, szerokie rondo przybranego kwiatami kapelusza uniosło się tak, że Bell mógł spojrzeć prosto w jej zielone oczy.

- Co mam zrobić? - zapytała cicho.

- Przede wszystkim musisz się zachowywać tak, jakbyś o niczym nie wiedziała. Wykonuj nadal swoje obowiązki jak lojalna sekretarka. Nasi agenci będą mieli ich oboje pod stałą obserwacją. Ty tylko melduj o podejrzeniach lub niecodziennych posunięciach Jacoba.

- Mam, oczywiście, meldować o tym tobie.

Skinął głową.

- Tak.

Nagle odniosła wrażenie, że jest wykorzystywana, że interesuje Bella wyłącznie jako informatorka. Odwróciła się, żeby nie zobaczył łez napływających jej do oczu.

Isaac natychmiast wyczuł, co ją gnębi. Przysunął do niej swoje krzesło i otoczył ją ramieniem.

- Wiem, co myślisz, Marion, ale to nieprawda. Zdaję sobie sprawę, że proszę cię o szpiegowanie, ale chodzi o ludzkie życie.

I jest jeszcze coś. To wykracza daleko poza prośbę o pomoc. -Urwał, by zebrać się na odwagę. - Zakochałem się w tobie, Marion. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego stało się to tak nagle, ale stało się. Musisz mi uwierzyć.

Marion spojrzała na niego i zobaczyła tylko uczucie i czułość. Jej obawy zniknęły. Pochyliła się i mocno pocałowała go w usta. Kiedy się odsunęła, uśmiechnęła się szelmowsko.

- Pewnie myślisz, że jestem bezwstydną latawicą.

Zaśmiał się, widząc jej rumieniec.

- Wcale nie. To było przyjemne.

Potem jej wzrok złagodniał.

- Muszę przyznać, że poczułam coś do ciebie, kiedy cię zoba czyłam w biurze.

Tym razem on ją pocałował.

Po dłuższej chwili odsunął się i uśmiechnął szeroko.

- Może powinniśmy złożyć zamówienie, zanim nas wyproszą za niestosowne zachowanie.

Gdy tylko Marion wróciła po lunchu z Bellem i zabrała się do pisania listu na maszynie, Cromwell wezwał ją do swojego gabinetu. Ukrywała swoje zdenerwowanie, nie patrząc na niego, kiedy do niej mówił.

- Marion, zamierzam wziąć udział w Krajowej Konferencji Bankierów. W tym roku odbywa się w Los Angeles od dwudziestego ósmego do trzydziestego marca. Czy mogłaby pani zorganizować mi podróż i zarezerwować pokój w hotelu Fremont w śródmieściu?

- Żeby być w Los Angeles dwudziestego ósmego, musiałby pan wyjechać jutro - odrzekła. - Zostało bardzo mało czasu.

Cromwell wzruszył ramionami.

- Wiem. Nie wybierałem się tam, ale zmieniłem zdanie.

- Życzy pan sobie wynająć prywatny wagon?

- Nie. Prywatne wagony zostawię prezesom Crockera i Wells Fargo. Podróżuję służbowo jak zwykły pasażer, żeby moi deponenci wiedzieli, że dbam o ich dobro i nie trwonię ich pieniędzy.

Marion wstała z szelestem spódnic.

- Zajmę się tym.

Gdy wróciła za swoje biurko, podniosła słuchawkę telefonu i cichym głosem, prawie szeptem, poprosiła centralę o połączenie jej z Agencją Detektywistyczną Van Dorn. Kiedy podała recepcjonistce swoje nazwisko, natychmiast połączono ją z Bellem.

- Isaac?

- Marion? Właśnie miałem zadzwonić, żeby zaprosić cię na kolację i do teatru.

Było jej przyjemnie, że się ucieszył, słysząc jej głos.

- Mam dla ciebie pewną informację - powiedziała poważnie. - Jacob wyjeżdża z miasta.

- Wiesz dokąd?

- Do Los Angeles - odrzekła. - Ma uczestniczyć w Krajowej Konferencji Bankierów. Wymieniają się tam nowinkami branżowymi.

- Kiedy to się odbywa?

- Między dwudziestym ósmym a trzydziestym.

Bell zastanawiał się przez chwilę.

- Musiałby jutro wsiąść do pociągu, jeśli chce być w Los Angeles dwudziestego ósmego.

- Zgadza się - przytaknęła Marion. - Jak tylko skończymy rozmawiać, muszę zrobić mu rezerwację. Zamierza podróżować jak zwykły pasażer.

- Taki oszczędny? To do niego niepodobne.

- Twierdzi, że robi wrażenie na klientach banku, jeśli nie będzie rozrzutny.

- Co sądzisz, Marion? To prawdziwy cel jego podróży?

Nie zawahała się przy odpowiedzi.

- Wiem, że w Mieście Aniołów w tych dniach naprawdę odbywa się konferencja.

- Dopilnuję, żeby jeden z naszych agentów obserwował go przez całą drogę.

- Mam wyrzuty sumienia, że działam za jego plecami - powiedziała skruszona.

- Niepotrzebnie, kochanie - odrzekł czule Bell. - Jacob Cromwell to zły człowiek.

- O której mam się ciebie spodziewać? - spytała Marion, zadowolona, że może zakończyć temat Cromwella.

- Zabiorę cię o szóstej, żebyśmy zdążyli zjeść kolację przed sztuką.

- Pojedziemy twoją czerwoną wyścigówką?

- Masz coś przeciwko temu?

- Nie, uwielbiam upajać się prędkością.

Roześmiał się.

- Wiedziałem, że jest w tobie coś, co nas łączy.

Marion odłożyła słuchawkę, zaskoczona, że serce bije jej w przyśpieszonym rytmie.

Cromwell miał instynkt i wiedział, że Bell i jego agent Irvi-ne węszyli wokół niego, zanim ich zabił. Postanowił więc jeszcze staranniej zatrzeć za sobą ślady. Był pewien, że po stracie dwóch detektywów Van Dorn energiczniej weźmie się do śledztwa i będzie badał każdy trop coraz dokładniej. Spodziewał się, że do akcji wkroczy więcej agentów wypytyjących o skradzione pieniądze wpuszczane w mieście do obiegu przez kupców i inne banki.

Dla bezpieczeństwa Cromwell zadzwonił do głównego dyspozytora Southern Pacific i poinformował go, że wysła pisemną prośbę o przewiezienie jego wagonu towarowego o numerze seryjnym 16455, stojącego przy opuszczonym magazynie, na nowe miejsce postoju po drugiej stronie zatoki w Oakland. W ciągu kilku minut polecenie dotarło do dyżurnego ruchu, który przydzielił lokomotywę manewrową, żeby przetransportowała wagon na prom kolejowy.

Cromwell zamówił też specjalny pociąg do San Diego, prywatny wagon pulmanowski ciągnięty przez parowóz z tendrem. Zlecenie przyszło do Southern Pacific z Firmy Meblarskiej O'Brian w Denver, długoletniego i szanowanego klienta tej kolei.

Dopiero wtedy Cromwell usiadł wygodnie w swoim fotelu, zapalił drogie cygaro i się odprężył, całkowicie pewny, że ponownie odsunął od siebie wszelkie podejrzenia, jakie mogła snuć agencja Van Dorn lub jakikolwiek inny organ ochrony porządku publicznego.

Byłby jeszcze bardziej zadowolony z siebie, gdyby wiedział, że wagon został umieszczony na boczniczy w depo Southern Pacific w Oakland, zanim Branson zdążył wysłać agenta, żeby obserwował, czy nikt się koło niego nie kręci.

Nazajutrz wczesnym rankiem Cromwell pożegnał się z Margaret i wsiadł do swojego rolls-royce'a. Abner płynnie dojechał do stacji Southern Pacific dla pociągów osobowych, które kursowały na północ lub południe, nie przecinając zatoki. Zatrzymawszy się przed wejściem na stację, szofer otworzył drzwi auta i wręczył Cromwellowi sakwojaż.

Gdy rolls oderwał się od krawężnika, Cromwell wszedł niedbale na dworzec, pokazał swój bilet bileterowi i dołączył do innych pasażerów idących wzdłuż peronu. Wspiął się po stopniach do trzeciego wagonu i zajął swoje miejsce.

Agent Van Dorna obserwował, jak bankier wsiada do wagonu, i poczekał, aż pociąg ruszy, żeby mieć pewność, że Cromwell nie wyszedł z powrotem na peron. Dopiero wtedy wskoczył do ostatniego wagonu i doszedł korytarzem do tego, do którego wsiadł Cromwell. Ku jego zdumieniu, Cromwella tam nie było. Zaniepokojony popędził przez pozostałe wagony w poszukiwaniu bankiera i dotarł do zamkniętych drzwi wagonu bagażowego. Nadal ani śladu Cromwella. Pobiegnął na koniec pociągu, przypuszczając, że go przegapił, ale nie mógł go nigdzie znaleźć.

Cromwell, niezauważony, wysiadł drzwiami po drugiej stronie na tory i doszedł do innego peronu, gdzie czekał na niego pociąg, który wynajął. Wspiął się do prywatnego wagonu i odprężył w luksusie i przepychu istnego jachtu na kołach. Zdjął płaszcz, usiadł beztrosko w wygodnym aksamitnym fotelu, po czym otworzył poranną gazetę. Steward podał mu śniadanie przygotowane przez prywatnego kucharza. Cromwell spokojnie czytał „San Francisco Chronicle”, kiedy pociąg ruszył ze stacji i wjechał na główny tor do Los Angeles zaledwie piętnaście minut później niż pociąg osobowy, w którym Marion zarezerwowała mu miejsce.

- Żadnych wieści od mojego agenta, więc mogę spokojnie założyć, że Cromwell jest w drodze do Los Angeles - powiedział Bronson.

Bell podniósł wzrok znad mapy terenu San Francisco i sąsiadujących z nim dużych miast na południu.

- Według rozkładu jego pociąg powinien przyjechać do Los Angeles o czwartej trzydziści po południu. Wiem, że zamieszka w hotelu Fremont.
- Miałem szczęście. Udało mi się zatelegrafować do Boba Harringtona, szefa biura Van Dorna w południowej Kalifornii, zanim nagle powódź gdzieś na południu zerwała linię. Wyśle swojego człowieka w przebraniu taksówkarza, żeby odebrał Cromwella i zawiózł do hotelu. Mój agent w pociągu go wskaże. Potem ludzie Harringtona wezmą go pod obserwację.
- Cel jego podróży brzmi dość niewinnie - odrzekł wolno Bell. - Ale ja mu nie ufam. Coś knuje. Czuję to w kościach.
- Nie ucieknie daleko, jeśli czegoś spróbuje - zapewnił Bronson z przekonaniem. - Jeśli zrobi choćby jeden fałszywy krok, tuzin agentów zwali się na niego jak tona cegieł.

Bell wrócił do pustego biura i zadzwonił do Marion do banku.

- Przeżyłaś wczorajszy wieczór? - zapytał czule.
- Cudownie spędziłam czas, dziękuję. Kolacja była przepyszna, a sztuka zachwycająca.
- Skoro kota nie ma, to może mysz wyszłaby poharcować, powiedzmy, na lunch?
- Chętnie.
- Zabiorę cię sprzed banku.
- Spotkajmy się tam, gdzie ostatnio - zaproponowała bez wahania. - Nie chcę, żeby nasz związek wyszedł na jaw. Jeśli ktoś z pracowników zobaczy, jak wsiadam do twojego samochodu w tym krzykliwym kolorze, to zaczną się plotki i Jacob się dowie.
- W tym samym miejscu o tej samej godzinie - powiedział, zanim się rozłączył.

Później tego ranka posłaniec Western Union przybiegł pędem do biura.

- Mam pilną wiadomość dla pana Horace'a Bransona - oznajmił recepcjonistce, zdyszany.

Bronson właśnie wracał z toalety na końcu korytarza.

- Ja jestem Bronson. Wezmę to. - Rzucił posłańcowi mone tę i rozerwał kopertę. Gdy przeczytał wiadomość, zacisnął wargi i zmarszczył czoło. Pognął przez biuro do Bella.

- Mamy kłopot - oświadczył. Bell

spojrzał na niego pytająco.

- Jaki?

- Mój człowiek zgubił Cromwella.

Bell zachwiał się, kompletnie wyprowadzony z równowagi.

- Jak mógł go zgubić w pociągu?

- Cromwell musiał wsiąść do wagonu i natychmiast wyskoczyć z drugiej strony, niezauważony.

- Twój agent powinien nas zawiadomić wcześniej - warknął gniewnie Bell.

- Jak pociąg ruszył, nie mógł wsiąść, dopóki nie dotarł do San Jose - wytłumaczył Bronson. - Stamtąd wysłał telegram.

- Mógł zaoszczędzić pół godziny i skorzystać z telefonu.

Bronson wzruszył bezradnie ramionami.

- Linie telefoniczne są zawodne i stale w naprawie.

Bell osunął się na krzesło, zaskoczony i wściekły, że jego plan wziął w łeb.

- Znow okradnie bank i zabije - powiedział, czerwony z irytacji.

- Ten drań śmieje się nam w twarz.

- Gdybyśmy tylko wiedzieli gdzie - westchnął Branson, przybity z powodu niepowodzenia.

Bell podszedł do okna i spojrzął w dal ponad dachami budynków. Patrzył niewidzącym wzrokiem, pogrążony w rozmyślaniach. W końcu się odwrócił.

- Cromwell z nas szydzi - odezwał się wolno. - Spodziewa się, że będziemy biegali w kółko jak kurczaki z uciętymi łebkami i zastanawiali się, gdzie on jest.

- Najwyraźniej podróżuje w przeciwnym kierunku, niż powiedział swojej sekretarce. - Branson

popatrzył twardo na Bella. -Chyba że ona kłamie.

Bell nie odwzajemnił spojrzenia. Jemu też przyszło to na myśl. Ale pokręcił głową.

- Nie, jestem pewien, że Marion mówiła prawdę.

Branson podszedł do mapy Stanów Zjednoczonych na ścianie. Popatrzył na nią, skonsternowany.

- Wątpię, żeby wybrał się na północ do Oregonu albo Waszyngtonu. Pewnie wrócił na przystań promową, dostał się na drugą stronę zatoki i wsiadł do pociągu na wschód.

Uśmiech wypłynął wolno na twarz Bella.

- Założę się, że Cromwell nadal jedzie na południe.

Branson spojrział na niego.

- Dlaczego miałby nadal jechać na południe, skoro dosłownie wyrzucił nas z kolein?

- Wiem, jak rozumuje - odparł Bell tonem wykluczającym wszelką dyskusję. - Choć nie wie, że każdy jego ruch jest śledzony, na pewno starannie przemyślał każdą ewentualność i nie ryzykuje.

Branson zerknął na swój zegarek kieszonkowy.

- Następny pociąg jest dopiero w południe.

- Za późno - sprzeciwił się Bell. - Ma zbyt dużą przewagę.

- Tego nie wiemy, bo wyskoczył z pociągu.

- Opowiedział Marion bajeczkę, że będzie podróżował jak zwykły pasażer, żeby klienci banku widzieli, jaki jest oszczędny. Stawiam mego locomobile'a, że wynajął prywatny pociąg.

Branson trochę odetchnął.

- Agenci Harringtona wciąż mogą go śledzić, kiedy przyjedzie do Los Angeles.

Bell pokręcił głową.

- Nie rozpoznają go. Twój człowiek wysiadł z pociągu w San Jose, żeby cię zawiadomić, że

Cromwell zniknął. Teraz pewnie czeka na powroty do San Francisco.

- To jest problem - zgodził się Branson. - Ale mogą go złapać, kiedy się zamelduje w hotelu Fremont.
- Jeśli się tam zamelduje - zaznaczył Bell. - Skoro wymknął się z pociągu, to wątpię, żeby reszta historyjki, którą opowiedział pannie Morgan, była prawdziwa.
- Jeśli nie jedzie do Los Angeles, to dokąd?
- Cromwell może zatrzymać swój pociąg gdziekolwiek, ale przypuszczam, że przejedzie przez Los Angeles.
- Przejedzie? - zdziwił się Branson. - A potem?
- Dojedzie tam, gdzie najmniej spodziewamy się napadu.
- To znaczy?
- Do San Diego.

Branson milczał przez chwilę w zamyśleniu. W końcu powiedział:

- To loteria.
- Być może. Ale to wszystko, co mamy - odrzekł Bell. - Pokazał, że nie zawsze ograbia górnicze miasta. Dlaczego nie miałyby wybrać takiego, gdzie jest bank z majątkami właścicieli wielkich rancz w południowej Kalifornii i bogatych importerów?
- Loteria czy nie, nie możemy tego pominąć. Gdybym tylko mógł zawiadomić Harringtona, że ma wysłać swoich agentów na dworzec w San Diego, i żeby uważali na prywatny pociąg. Ale linie telefoniczne i telegraficzne od San Jose do Los Angeles są wciąż nieczynne z powodu powodzi.

Bell pokręcił głową.

- Cromwell jest zbyt sprytny, żeby wjechać swoim pociągiem do miasta. Zostawi go na jakiejś odległej bocznicy i skorzysta z innego środka lokomocji, pewnie z motocykla, którego używał podczas innych napadów.
- Gdyby tylko Harrington miał jego rysopis - powiedział Branson.

- I tak by go nie rozpoznali. Na pewno będzie przebrany.

Optymizm nagle opuścił Bransona.

- Więc co zrobimy?

Bell się uśmiechnął.

- Będę musiał pojechać do San Diego i sam stawić mu czoło.

- To niemożliwe - odparł Bronson. - Zanim zdołamy wynająć pociąg ekspresowy, załatwić, żeby go podstawili, i wyruszyć z miasta, on już wykona brudną robotę i będzie w połowie drogi powrotnej do San Francisco.

- To prawda - przyznał Bell. - Ale przy odrobinie szczęścia powinno mi się udać dotrzeć do Los Angeles, zanim przyjedzie jego pociąg, i poczekać na niego.

- A jak zamierzasz się tam dostać przed nim? Polecieć do Los Angeles na wielkim ptaku? - spytał sarkastycznie Bronson.

- Nie potrzebuję ptaka. - Bell posłał Bronsonowi chytre spojrzenie. - Mam coś równie szybkiego. - Uśmiechnął się smętnie. - Ale najpierw muszę odwołać randkę.

Duży czerwony locomobile pędził przez San Francisco jak byk ulicami Pampeluny podczas święta San Fermin. Bell siedział oparty na czerwonym skórzanym siedzeniu i ścisnął mocno oburącz dół dużej szprychowej kierownicy. Trzymał dłonie skierowane do góry i używał siły mięśni do obracania sztywnego mechanizmu, kiedy skręcał.

Była za kwadrans dziesiąta.

Obok Bella siedział Bronson, który miał za zadanie utrzymywać ciśnienia paliwa. Co kilka minut pociągał uchwyt pompy zamontowany na górnym drewnianym panelu tuż nad pochyłą podłogą i popychał go naprzód, by wtłoczyć benzynę do gaźnika. Jednocześnie pilotował Bella, który nie znał Kalifornii. W czasie jazdy Bronson zapierał się stopami o podłogę i wciskał plecy w skórzane oparcie, żeby nie wypaść na jezdnię. Czuł się jak wystrzeliwany z lufy armatniej.

Bell, który nie chciał puszczać kierownicy, poprosił Bransona, by dodatkowo ścisnął dużą gruszkę klaksonu. Agenta zdawało się bawić trąbienie na ludzi i pojazdy, zwłaszcza na skrzyżowaniach, ale wkrótce rozboleła go ręka.

Bronson miał na sobie długi skórzany płaszcz, na nogach buty z cholewami, a na głowie skórzaną pilotkę z dużymi goglami, w których wyglądał jak sowa polująca na gryzonia. Gogle były konieczne, ponieważ locomobile nie miał przedniej szyby.

Samochód nie pokonał jeszcze stu metrów, gdy Bransona ogarnęły wątpliwości, czy dobrze zrobił, upierając się, że będzie towarzyszył Bellowi w tej szaleńczej wyprawie do San Diego po drogach niewiele lepszych od krowich ścieżek.

- Jakie hamulce ma ten cud techniki? - zapytał cierpko Bronson.

- Nie za dobre - odpowiedział Bell.- Jedyne hamulce są na wale, z którego łańcuchy przenoszą napęd na tylne koła.
- Musisz jechać tak szybko przez miasto? - zaprotestował Bronson.
- Prywatny pociąg Cromwella ma ponad godzinę przewagi -odkrzyknął Bell przez ryk rury wydechowej. - Liczy się każda minuta, jaką możemy nadrobić.

Piesi, którzy słyszeli zbliżający się gardłowy ryk i towarzyszący mu dziwny odgłos klaksonu, zaszokowani patrzyli na czerwony locomobile pędzący prosto na nich. Przyglądali mu się z niedowierzaniem i uskakiwali szybko na chodnik. Dwie rury wydechowe, ledwo wystające z lewego boku maski, grzmiały jak armaty.

Dwaj robotnicy, którzy nieśli dużą szybę okienną wzdłuż jezdni, zastygli w osłupieniu, kiedy samochód przemknął obok i szkło w ich rękach rozprysło się od huku pojazdu. Ani Bell, ani Bronson nie oglądali się za siebie, bo całą uwagę skupiali na ruchu ulicznym, który zmuszał Bella, by gwałtownie obracał kierownicą to w lewo, to w prawo jak na torze przeszkód. Miał wielką satysfakcję, kiedy udawało mu się skierować samochód tam, gdzie chciał,

i gdy maszyna reagowała tak, jakby czytała w jego myślach.

Bell przekładał nogę z pedału gazu na hamulec i z powrotem. Gnał ulicami i pokonywał ostro zakręty na skrzyżowaniach, by dostać się na główną drogę wylotową z miasta. Żałował, że nie jest czarodziejem, który mógłby w magiczny sposób sprawić, że cały ruch uliczny zniknie. Ledwo ominął ciężarówkę z pralni, wprowadzając locomobile'a w czterokołowy poślizg, by uniknąć zderzenia. Kręcił zawzięcie grubą drewnianą obręczą kierownicy, kiedy wciskał się między pojazdy.

Kierowcy podziwiali prędkość samochodu, który wyskakiwał zza nich i szybko znikał z przodu. Konie zaprzęzione do bryczek i wozów stawały dęba, słysząc hałas, który w uszach ich woźniców brzmiał niczym szatański chór.

Kiedy Bell przekraczał południowe obrzeża miasta, ruch zaczął maleć. Zwolnił na szerokim łuku prowadzącym do głównej drogi na południe, równoległej do torów. Odetchnął z ulgą na widok bardzo nielicznych automobili i wozów konnych. Był też wdzięczny, że ma wreszcie dość miejsca, by ominąć każdego zawalidrogę. Jego wielkie auto reagowało niewiarygodnie szybko. Wcisnął pedał gazu prawie do podłogi i samochód zaczął się rozpędzać na prostej drodze z rzadkimi zakrętami. Im szybciej jechał locomobile, tym lepiej się prowadził, łańcuchy napędowe na osiach wydawały wysoki metaliczny dźwięk.

Wkrótce ulica zmieniła się w prostą wiejską drogę. Malownicze wsie ukazywały się na horyzoncie i szybko znikwały w kurzu za pojazdem. Minęli San Carlos, Menlo Park, a potem San Jose, miasta połączone El Camino Real starą drogą używaną pod koniec XVIII wieku przez franciszkańskich mnichów, którzy zbudowali dwadzieścia jeden misji oddalonych od siebie o dzień drogi.

Rozkoszując się prostą, szeroką i pustą drogą, Bell docisnął pedał gazu do podłogi i wyciskał z samochodu, ile tylko mógł. Locomobile był teraz w swoim żywiole, mknął jak podczas wyścigu o Puchar Vanderbilta na Long Island, gdzie zapisał się w historii jako pierwszy amerykański samochód, który w międzynarodowych zawodach dowiózł swojego kierowcę na podium. Jak koń wyścigowy wysłany na emeryturę, a potem przywrócony na tor, locomobile pędził z dzikim rykiem, a tłoki w przepastnych cylindrach potężnego silnika bez trudu obracały wielki wał korbowy.

Bell kochał tę dużą maszynę. Miał wyjątkowe wycucie jej temperamentu i charakteru. Szczycił się jej mocą i prostotą, odurzała go prędkość rozwijana dzięki wielkiemu głośnemu silnikowi. Prowadził jak opętany i upajał się wirującym za locomobile'em tumanem kurzu.

Bronson spojrzał na Bella ubranego w krótką skórzaną kurtkę, bryczesy i wysokie buty. Miał na oczach gogle, ale nie włożył pilotki, żeby słyszeć odgłos silnika. Na jego twarzy malowało się

ogromne skupienie. Wyglądał na zdecydowanego pokonać Cromwella w jego własnej grze. Bronson nigdy nie widział kogoś tak zdeterminowanego i zawziętego. Odwrócił się i przestudiował mapę. Potem klepnął Bella w ramię.

- Zbliża się rozwidlenie. Skręć w lewo. Droga jest lepsza w głębi lądu niż wzdłuż wybrzeża. W tym tempie dotrzemy do Salinas za godzinę. Potem będzie Soledad.
- Która godzina? - zapytał Bell, żeby nie zdejmować rąk z kierownicy i nie wyciągać swojego zegarka kieszonkowego.
- Dziesięć po jedenastej - odpowiedział Bronson, przekrzykując hałas. - Nie wiem, jak szybko jedziemy, więc nie mogę obliczyć, czy doganiamy pociąg Cromwella.

Bell skinął głową ze zrozumieniem.

- To auto nie ma prędkościomierza ani tachometru, ale myślę, że ponad sto czterdzieści kilometrów na godzinę.

Bronson przyzwyczajał się powoli do tego, że wiatr smaga mu twarz, a słupy telegraficzne błyskawicznie zostają z tyłu. Ale wtem droga stała się wyboista i poryta koleinami - uświadomił sobie,

225

15 - Pościg

że wytrzęsie go jak wewnątrz grzechotki wściekłego grzechotnika. Jedną ręką chwycił się kurczowo podłokietnika, a drugą dzielnie obsługiwał pompę paliwową.

Pędzili wąską, pofałdowaną wiejską drogą, wpadli do hrabstwa Monterey, a potem do rolniczej miejscowości Salinas. Pola uprawne po obu stronach drogi zaczynały się zielenić w wiosennym słońcu i wyglądały niezwykle malowniczo. Na szczęście główna ulica przecinająca miasto była prawie pusta, tylko jeden czy dwa automobile i

kilka wozów konnych parkowało wzdłuż chodników. Ludzie usłyszeli głośny ryk locomobile'a, gdy samochód przekroczył granice miasta. Odwracali się i patrzyli oniemiała, jak duża ogni-stoczerwona maszyna mknie przez dzielnicę handlową. Nie zdążyli zaspokoić swojej ciekawości, a już auto wypadło na otwartą przestrzeń na południu.

- Jakie jest następne miasto? - zapytał Bell.

Bronson sprawdził na mapie.

- Soledad.

- Jak daleko?

- Około czterdziestu kilometrów. Lepiej tam zatankujmy, bo do następnego dużego miasta jest dobre trzysta kilometrów. - Odwrócił się i spojrzał na cylindryczny mosiężny zbiornik zamontowany za siedzeniami. - Jaką ma pojemność?

- Dwieście litrów.

- W Soledad powinien być warsztat obsługujący automobile i maszyny rolnicze.

Ledwo Bronson wypowiedział te słowa, tylną lewą oponę przebił ostry kamień na drodze. Locomobile zarzucił przez prawie sto metrów, zanim Bell odzyskał nad nim kontrolę i go zatrzymał.

- To było tylko kwestią czasu - stwierdził z rezygnacją. - To jedna z przeszkód na wyścigach drogowych.

Wysiadł z samochodu i w trzy minuty wsunął lewarek pod tylną oś.

Przez ten czas Bronson zdjął jedno z dwóch zapasowych kół umieszczonych z tyłu auta. Bell wymienił je w niespełna dziesięć minut. Wiele razy robił to w zawrotnym tempie, odkąd posiadał locomobile'a. Potem oddzielił gumę od obręczy i rzucił oponę Bronsonowi.

- Pod twoim siedzeniem jest zestaw narzędzi. Załatasz dziurę w czasie jazdy. Zamontuję oponę z powrotem na koło, jak dotrze my do Soledad.

Gdy tylko ponownie znaleźli się na względnie gładkiej drodze, pojawił się wóz z sianem ciągnięty przez konny zaprzęg. Farmer, przekonany, że jest sam w promieniu kilometra, jechał samym środkiem drogi, pozostawiając tylko kilkadziesiąt centymetrów wolnej przestrzeni między porośniętą chwastami krawędzią gościńca a płotami wzdłuż pól karczochów, czerwonego pieprzu i sałaty.

Bell zaczął zwalniać, ale musiał zjechać dwoma kołami z drogi, żeby wyprzedzić furę z zaledwie kilkucentymetrowym zapasem. Zabrakło mu jednak miejsca na swobodny manewr. Skosił dobre dziesięć metrów słabego drewnianego płotu, ale na szczęście nie uszkodził poważnie samochodu. Jedyne przedni prawy błotnik zgiął się i skrzywił. Ocierał teraz o oponę, gdy trafiała na wybój. Bell się nie obejrzał, więc nie widział, jak farmer wygrażał mu pięścią i przeklinał go, kiedy konie stanęły dęba i omal nie przewróciły wozu. Nie był też zachwycony, że spowił go kurz spod rozpędzonych kół locomobile'a.

- Kmiotek się wścieka - powiedział Bronson, spojrzawszy za siebie.

- Bo pewnie jego płot zniszczyliśmy - odrzekł Bell z chytrym uśmiechem.

Po piętnastu kilometrach zobaczyli Soledad. Nazwane tak od założonej ponad sto lat wcześniej misji Nuestra Senora de la Soledad, miasto było

głównym przystankiem kolejowym w dolinie. Stąd w błyskawicznym tempie transportowano miejscowe produkty rolne. Bell zwolnił, gdy tylko wjechał do miasta, i wkrótce znalazł warsztat, gdzie mógł kupić benzynę. Kiedy Bronson i właściciel warsztatu wlewali bańki paliwa do dużego zbiornika, Bell mocował się ze zdeformowanym prawym przednim błotnikiem, aż wreszcie odciągnął go z powrotem od opony. Potem wziął dętkę załataną przez Bransona i wsunął ją do opony, którą zamontował na kole, zanim przykręcił je z tyłu locomobile'a.

- Jesteście, panowie, pierwszą załogą w wyścigu samochodowym? - zapytał właściciel warsztatu w ubrudzonym smarem kom binezonie.

Bell się zaśmiał.

- Nie, jesteśmy sami.

Mężczyzna spojrzał na zakurzony, uszkodzony samochód i pokręcił głową.

- Musi wam się strasznie spieszyć, panowie.

- Zgadza się - przytaknął Bell i wcisnął mu do ręki pieniądze, które z nawiązką pokryły koszt benzyny.

Właściciel warsztatu podrapał się w głowę, gdy pojazd odjechał z rykiem i szybko stał się czerwoną kropką w głębi głównej ulicy miasta, po czym zniknął w oddali.

- Ci faceci chyba oszaleli - wymamrotał. - Mam nadzieję, że wiedzą o zerwanym moście na Solvang Creek.

Piętnaście minut później i trzydzieści kilometrów za Soledad zaczęli się zbliżać do ostrego lewego zakrętu, który opadał w dół. Tablica przy

drodze tylko mignęła obok.

- Co tam było napisane? - spytał Bell.
- Coś o moście, tylko tyle zdążyłem zauważyć - odpowiedział Branson.

Zapora z podkładów kolejowych blokowała środek drogi i Bell zobaczył górną część mostu, który wyglądał tak, jakby most zapadł się pośrodku. Ekipa remontowa naprawiała środkowe przęsło, a inna ustawiała słupy i rozciągała kable telefoniczne i telegraficzne zerwane przez powódź.

Bell zdjął szybko stopę z pedału gazu, wykonał ostry skręt i obiema nogami wcisnął mocno hamulec. Tylne koła się zablokowały, locomobile zarzucił w poprzek drogi i zwolnił w czterokołowym poślizgu. Bell wyrównał w ostatnim momencie, poszybował w powietrze poza krawędź skarpy i znurkowali w dół stromego brzegu wąwozu, dawnego obszaru zalewowego. Wylądowali w tumanie kurzu około pięciu metrów od szerokiego płytkiego strumienia, który płynął ku morzu.

Ciężkie stalowe podwozie i masywny silnik wpadły do potoku w ogromnym rozbryzgu brązowej wody. Wysoka fala wyrosła przed locomobile'em. Bell i Bronson poczuli gwałtowne uderzenie we wszystkich kościach. Woda przelała się ponad chłodnicą na maskę, omyła mężczyznę płynnym błotem i przemoczyła ich do suchej nitki. Mieli wrażenie, że jadą przez falę przyływu.

Potem samochód wystrzelił ze strumienia na drugi brzeg i Bell natychmiast wcisnął gaz do podłogi w nadziei, że potężny silnik nie zawiedzie i nie zgaśnie. Jakimś cudem świece zapłonowe, iskrownik i gaźnik nie ucierpiały i w komorach dużego czterocy-lindrowego silnika nieprzerwanie trwała praca. Niczym wierny wierzchowiec, locomobile wdarł się na szczyt przeciwległego zbocza i wylądował ponownie na górze, gdzie Bell powrócił na drogę.

Z wielką ulgą uniknąwszy o włos katastrofy, Bell i Bronson ściągnęli gogle i wytarli do czysta szkła opryskane błotem i mułem.

- Byłoby miło, gdyby tamten facet w warsztacie nas ostrzegł - powiedział Bronson.

- Może ludzie w tych stronach są małomówni - zażartował Bell.
- Właśnie tutaj powódź zerwała linie telefoniczne i telegraficzne.
- Skontaktujemy się z biurem w Los Angeles, kiedy znów się zatrzymamy, żeby zatankować.

Droga zrobiła się równa i okazała się dobrze utrzymana na odcinku następnych stu pięćdziesięciu kilometrów. Bell, wyczulony na każdy dźwięk silnika locomobile'a, jechał ziemnozwierową drogą tak szybko, na ile starczało mu odwagi, wdzięczny za brak ostrych zakrętów i szczęśliwy, że opony pozostają całe.

Szczęście go opuściło, gdy na drodze pojawiło się mnóstwo kamieni wygładzonych przez deszcze. Zwolnił, by oszczędzić opony, ale jedną przedziurawił ostry kamień i po stu metrach zeszło z niej powietrze. Jedno z kół zapasowych zostało szybko założone na oś i Bronson znowu łatał dętkę, gdy Bell kontynuował szaleńczą jazdę w kierunku Los Angeles.

Minęli San Luis Obispo i Santa Maria. Potem znaleźli się niżej, a droga poprowadziła ich wzdłuż wybrzeża Pacyfiku. Lśniący niebieski ocean stawał się biały, gdy fale przyboju wtaczały się na piaszczystą plażę usianą czarnymi kamieniami.

Przed Santa Barbara wyskoczyli do góry na dużym wyboju i uderzyli w ziemię tak mocno, że Bronsonowi zabrakło tchu. Był zdumiony, że samochód, choć wytrzymały, nie rozpadł się na kawałki.

Wjechali do Santa Barbara, gdzie zatankowali, uzupełnili wodę w chłodnicy i zamontowali zapasową oponę. Zrobili też krótki postój na stacji kolejowej, skąd Bronson wysłał do swojego kolegi, agenta Boba Harringtona, telegram z prośbą, żeby spotkał się z nimi na dworcu w Los Angeles.

Nie wybrali niebezpiecznej krętej drogi nazywanej Grapevine over Tejon Pass. Zamiast tego Bronson poprowadził Bella, trasą wzdłuż torów kolejowych o dużo łagodniejszych łukach. Ostra jazda nadwerżyła podwozie, gdy pokonywali wąską przełęcz poniżej ponadtyśięcznego szczytu, ale auto wytrzymało i dotarli do długiego zbocza prowadzącego do doliny San Fernando.

Wreszcie najgorsze było za nimi. Finiszowali i locomobile zbliżał się z każdym kilometrem do prywatnego pociągu Cromwella. Według oceny Bronsona stracili jedynie piętnaście minut. Przy odrobinie szczęścia mogli dotrzeć na dworzec w Los Angeles przed Rzeźnikiem.

Najbardziej podniósł ich na duchu widok wysokich budynków w oddali. Na obrzeżach miasta ruch uliczny zaczął gęstnieć. Bronson podziwiał kondycję Bella, który nie odrywał wzroku od drogi. Pomyślał, że ten człowiek urodził się po to, by prowadzić szybki samochód. Spojrzał na zegarek. Wskazówki na tarczy pokazywały czwartą dwanaście. Podczas ponad sześćsetkilometrowej podróży

osiągnęli średnią prędkość stu kilometrów na godzinę.

Im bliżej byli centrum miasta, tym większy panował ruch i Bell zaczął gwałtownie omijać wozy konne, bryczki i automobile. Poczul wielką ulgę, gdy w końcu drogę gruntową zastąpił ceglany bruk. Przemykał obok dużych czerwonych tramwajów jeżdżących po szynach na środku jezdni. Był zaskoczony liczbą wyprzedzanych samochodów, gdyż nie wiedział, że w tym szybko rozwijającym się studwudziestotysięcznym mieście jest ich ponad dwa tysiące.

Bell zauważył, że główne arterie w Mieście Aniołów są znacznie szersze niż w San Francisco i pozwalają na szybszą jazdę. Pędzili przez śródmieście, a ludzie odwracali głowy, pełni podziwu dla prędkości czerwonego locomobile'a. Policjant dmuchnął w gwizdek

i wpadł w gniew, gdy Bell go zignorował i pomknął dalej. Stróż prawa wskoczył na swój rower i ruszył w pościg, ale szybko został z tyłu i stracił samochód z oczu.

Duży dworzec kolejowy wyłonił się zza rogu, gdy Bell pokonał zakręt na dwóch kołach. Mężczyzna w brązowym garniturze i kapeluszu z szerokim rondem stał na krawężniku przed wejściem i gorączkowo wymachiwał rękami. Bell zatrzymał auto przed agentem Bobem Harringtonem, szefem południowokalifornijskiego biura Van Dorna. Harrington w pierwszej chwili nie poznał Bransona. Postać w ubłoconym skórzanym płaszczu i pilotce wyglądała jak zjawą, dopóki nie zdjęła gogli.

- Mój Boże, Horace, nie poznałem cię - powiedział opalony mężczyzna o ostrych rysach. Miał metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i górował nad Bellem i Bronsonem.

Branson stanął sztywno na chodniku i rozciągnął bolące mięśnie.

- Wątpię, czy moja matka by mnie poznała. - Odwrócił się

i wskazał wyczerpanego Bella, wciąż siedzącego za kierownicą. -Bob, to jest Isaac Bell. Isaac, to Bob Harrington.

Bell ściągnął rękawicę samochodową i uściśnął Harringtonowi dłoń.

- Miło mi cię poznać, Bob.

- Dużo słyszałem o twoich wyczynach, Isaac. To zaszczyt cię poznać.

Bell nie tracił więcej czasu na uprzejmości.

- Co z prywatnym pociągiem Cromwella? Zdążyliśmy, żeby go zatrzymać?

Harrington pokręcił wolno głową.

- Przykro mi, że muszę wam to powiedzieć, ale regularny pociąg osobowy zjechał na bocznice w Ventura i go przepuścił. Kiedy tamten dojechał do Los Angeles, minął dworzec i wjechał na tor ekspresowy na południe do San Diego. Zyskał prawie pół godziny.

Bell poczuł rezygnację.

- Kiedy to było? - zapytał.

- Około dwudziestu minut temu.

- Prześcignęlibyśmy go o dziesięć minut - zauważył ponuro Bronson.

Bell spojrzał na wysłużonego locomobile'a, zastanawiając się, czy wytrzyma ostatni zryw. Wiedział bez patrzenia w lustro, że jest bardziej wykończony niż samochód.

Harrington przyjrzał się zmęczonym mężczyznom.

- Moi agenci w San Diego mogą aresztować Cromwella, kiedy jego pociąg zatrzyma się na tamtejszym dworcu.

- Jest zbyt sprytny, żeby wysiąść na dworcu - odrzekł Bell. - Zatrzyma pociąg poza miastem i dostanie się tam w jakimś przebraniu.

- Jak myślisz, dokąd się uda?

- Do jednego z moich banków.

- Do którego? - spytał Harrington. - Jest ich co najmniej dziesięć.

- Do tego, w którym jest najwięcej pieniędzy.

- Naprawdę wierzysz w to, że samotny bandyta spróbuje okraść bank Wells Fargo w San Diego? - zapytał sceptycznie Harrington. - To najlepiej strzeżony bank w południowej Kalifornii.

- Właśnie dlatego będzie chciał to zrobić - odpowiedział Bell. - Cromwell kocha wyzwania.

- Zadzwoń, żeby ich uprzedzić, i ustawię moich agentów przed wejściem.

Bell pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Zauważy ich i zrezygnuj. Jeśli nie zdołamy go złapać na gorącym uczynku, nadal będziemy mieli za mało dowodów, żeby go oskarżyć. Twój agenci nie mają pojęcia, jak on wygląda, a gdy by nawet mieli, nie rozpoznaliby go w przebraniu. Taki jest dobry.
- Nie możemy stać bezczynnie i pozwolić mu bez przeszkód wejść do banku - sprzeciwił się Bronson. - Pozabija wszystkich wokół.
- Powiedz swoim agentom, żeby zamknęli bank do czasu, aż Horace i ja tam dotrzemy - zwrócił się Bell do Harringtona.
- Chyba nie zamierzasz teraz jechać do San Diego? - spytał Harrington z niedowierzaniem.
- Owszem - odparł Bell i wsiadł ociężale za kierownicę loco-mobile'a. - Jaka jest najszybsza droga na południe?
- Po prostu trzymaj się tej wzdłuż torów kolejowych. Doprowadzi cię prosto do San Diego.
- W jakim jest stanie?
- Dobrze utrzymana na całej długości - odpowiedział Harrington. Popatrzył z powątpiewaniem na sfatygowaną maszynę. - Powinieneś szybko dojechać, jeśli twoje auto wytrzyma.

Bell uśmiechnął się wymuszenie.

- Dowiozło nas aż tutaj. Nie zawiedzie.
- Zawiadom swoich agentów, że jesteśmy w drodze - powiedział ciężko Bronson. Wyglądał jak człowiek idący na stryczek.

Harrington stał przez chwilę i obserwował oddalający się z rykiem locomobile. Potem powoli pokręcił głową i poszedł do najbliższego telefonu.

Dziesięć minut później Bell dotarł do granic miasta i wycelował ozdobnego orla na dużej mosiężnej chłodnicy w pustą drogę do San Diego. Nawet po szaleńczej jeździe z San Francisco Bronson wciąż podziwiał wiedzę techniczną i wprawę Bella. Trafnie oceniał obroty silnika i precyzyjnie wybierał moment, żeby wcisnąć sprzęgło i przesunąć długą mosiężną dźwignię skrzyni biegów.

Zmęczony Bell był skupiony na prowadzeniu samochodu, ale jednocześnie widział w wyobraźni, jak Jacob Cromwell rabuje następny bank i zabija wszystkich wewnątrz. W miarę jak zbliżali się do

celu, czuł coraz większe napięcie i narastający przyływ adrenaliny. Tymczasem niezawodny silnik pracował tak równo, jak bije zdrowe serce.

Czas szybko minął. Locomobile połknął sto dziewięćdziesiąt trzy kilometry dzielące dwa miasta w niecałe dwie godziny. Ostatnie promienie dziennego światła błyszcząły nad oceanem na zachodzie, kiedy zjeżdżali z Mount Soledad w kierunku centrum miasta, rozpościerającego się przed nimi jak dywan z budynków zabarwionych na złoto przez zachodzące słońce. Choć locomobile miał duże acetylenowe reflektory, Bell nie chciał tracić czasu na postój, żeby je zapalić.

- Jak stoimy z benzyną? - zapytał ochryple z powodu pyłu w ustach.

Branson odwrócił się na siedzeniu, odkręcił korek dużego zbiornika paliwa i zanurzył wskaźnik prętowy do dna. Wyjął go i popatrzył na mokry ślad na samym jego końcu.

- Powiedzmy, że będziemy musieli ukończyć wyścig na opa rach.

Bell tylko skinął głową.

Zmęczenie dawało o sobie znać. Po godzinach kręcenia dużą kierownicą, żeby poruszyć oporny mechanizm połączony z przednimi kołami, ramiona tak mu zdrętwiały, że ich nie czuł. Kostki i kolana też go bolały od ciągłego naciskania pedałów sprzęgła, gazu i hamulca. I choć prowadził w skórzanych rękawicach samochodowych, na obu dłoniach miał pęcherze. Mimo to przejechał pełnym gazem ostatnich kilka kilometrów, zmuszając locomobile'a, by gnał do celu jak niedźwiedź za łośiem.

Auto też doznało uszczerbku. Bieżnik opon Michelin prawie całkiem się starł, koła się poluzowały, niezawodny silnik zaczynał wydawać dziwne odgłosy i para wydobywała się z korka chłodnicy. Ale wspaniała maszyna wciąż jechała.

- Zastanawiam się, co zamierza Cromwell - powiedział Bell. - Już za późno, żeby dziś uderzył. Bank jest zamknięty do jutra rano.

- Jest piątek - odrzekł Branson. - Banki w San Diego są otwarte do dziewiątej wieczorem.

Pędzili India Street równoległą do torów kolejowych i od dworca dzieliło ich nie więcej niż półtora kilometra. Bell na moment oderwał oczy od drogi i zerknął w stronę zwalniającego pociągu z jednym tylko wagonem.

Lokomotywa ciągnąca prywatny wagon pulmanowski zatrzymała się na bocznicy cztery tory od ulicy.

Dym unosił się leniwie z jej komina, gdy maszynista wypuszczał z niej parę. Palacz wspinał się na szczyt tendra, żeby wziąć wodę z wielkiego drewnianego zbiornika. W gęstniejącym mroku światła rozblęły w wagonie, który stał teraz półtora kilometra od dworca i centrum miasta.

Bell od razu wiedział, że to musi być prywatny pociąg Cromwella.

Nie wahał się. Skręcił ostro w lewo i przeciął tory, podskakując gwałtownie na szynach. Zanim pokonał trzy tory, przebił wszystkie cztery zdarte opony i resztę drogi do pociągu przebył na obręczach kół, które wzniecały snopy iskier przy uderzeniach w stalowe szyny.

Branson milczał. Zastygł osłupiały i ocknął się dopiero wtedy, gdy zobaczył pociąg i uświadomił sobie, co Bell zamierza zrobić. Podniecenie przerodziło się w euforię, kiedy pojął, że po ośmiuset kilometrach ryzykanckiej jazdy w końcu są o krok od celu.

Bell zatrzymał locomobile'a w poprzek torów przed parowozem. Zdezelowany samochód znieruchomiał z przegrzanym skwierczącym silnikiem, para uchodziła z sykiem z chłodnicy, opony w strzępach cuchnęły. Szaleńczy pościg się zakończył i dopadli zdobyczą, którą gonili przez ostępy piekła.

- Możemy się wyrwać za wcześnie - zauważył Branson. - Nie próbował jeszcze obrabować banku. Nie możemy go aresztować przed popełnieniem przestępstwa.

- Być może. Ale podczas jazdy tutaj z San Francisco dużo

o tym myślałem. Lepiej pojmać Cromwella teraz, zanim zdąży zadziałać. Jeśli znów się zorientuje, że zastawiliśmy pułapkę, przegramy. Później będę się martwić o zebranie wystarczających dowodów, żeby go skazać. Poza tym nie jest na własnym terenie. Nie może wezwać drogich adwokatów, żeby załatwili zwolnienie za kaucją.

Bell dobrze wiedział, że nikt nie zdążyłby opuścić pociągu w kilka minut, jakie upłynęły od chwili, gdy się zatrzymał. Wysiadł z samochodu i poszedł chwiejnie w stronę pulmanowskiego wagonu. Ból i zmęczenie powoli ustępowały. Nagle przystanął, po czym wśliznął się między pulmana i tender, kiedy dwaj stewardzi zaczęli się mocować z motocyklem, żeby wystawić go z wagonu na ziemię obok torów

Czekał cierpliwie przez kilka minut, w końcu mężczyzna w mundurze kierownika pociągu wyszedł z pulmana i przerzucił jedną nogę nad siodełkiem motocykla, w którym Bell rozpoznał harleya-davidsona. Mężczyzna był odwrócony plecami do Bella, który przeszedł cicho wzdłuż wagonu i zatrzymał się półtora metra za nim. Schylał się, żeby otworzyć zawór dopływu paliwa do gaźnika i uruchomić silnik.

- Harley to dobra maszyna - odezwał się spokojnie Bell. - Ale wolę indiańską.

Mężczyzna na motocyklu zastygł na dźwięk znajomego głosu. Odwrócił się wolno i zobaczył za sobą ducha. Upiorny blask padał z zawieszonych nad bocznicą lamp elektrycznych. Postać miała na sobie krótką skórzaną kurtkę, bryczesy i długie buty, które wyglądały tak, jakby zostały zanurzone w bagnie. Podniesione wysoko na czoło gogle odsłaniały kosmyki blond włosów ubrudzonych zaschniętym błotem. Ale nie sposób było nie rozpoznać twarzy, przenikliwych oczu i brudnych wąsów.

- To ty!

- Niezbyt oryginalne - stwierdził cynicznie Bell. - Ale ponieważ sam użyłem tego zwrotu w banku w Telluride, nie będę krytykował.

Zapadło milczenie, które zdawało się trwać wieczność, ale zaledwie po kilku sekundach Cromwell pojął, że ta zjawka to naprawdę Isaac Bell. Bandyta zbladł. Nie wierzył własnym oczom.

- Byłeś martwy! - wykrzyknął. - Strzeliłem do ciebie i trafiłem

cię!

- Nawet dwa razy - odparł Bell ostrym tonem. W prawej dłoni trzymał samopowtarzalnego colta model 1905 kaliber 11,43 mili metra i celował Cromwellowi między oczy. Lufa nawet nie drgnęła, jakby była metalowym prętem w betonie.

Pierwszy raz w życiu Jacob Cromwell został całkowicie zaskoczony. Zbyt pewny siebie, nigdy się nie zastanawiał, jak by się zachował, gdyby go kiedykolwiek aresztowano. Nie rozmyślał nad nieprawdopodobnym. Zawsze uważał się za nietykalnego. Teraz stał twarzą w twarz ze swoim największym wrogiem, który powinien nie żyć. Czuł się jak kapitan niezatopionego statku, który wpadł na skały.

Cromwell miał w kieszeni kurtki swojego colta dziewiątkę, ale wiedział, że Bell strzeli mu w głowę, zanim zdąży po niego sięgnąć. Podniósł wolno ręce do góry na znak, że się poddaje.

- Co teraz będzie? - zapytał.

- Zamierzam pożyczyć twój pociąg i zabrać cię z powrotem do San Francisco. Tam przekażę cię w ręce policji, zostaniesz postawiony przed sądem, skazany za usiłowanie zabójstwa i powieszony.

- Wszystko zaplanowałeś.

- Ten dzień musiał nadejść, Cromwell. Powinieneś się wycofać, kiedy miałeś przewagę.

- Nie możesz mnie aresztować. Nie popełniłem żadnego przestępstwa.
- Więc czemu j esteś przebrany za kierownika pociągu?
- Dlaczego po prostu nie zastrzelisz mnie na miejscu i z tym nie skończysz? - spytał arogancko Cromwell, odzyskując pewność siebie.
- To byłaby zbyt łagodna kara za twoje zbrodnie - odrzekł Bell. - Muszę dać ci dużo czasu na myślenie o stryczku zaciskającym ci się na szyi.

Branson wyszedł zza wagonu z wyciągniętym rewolwerem Smith & Wesson kaliber 11 milimetrów z podwójnym mechanizmem spustowym, celując Cromwellowi w pierś.

- Dobra robota, Isaac. Schwyciłeś naszego przyjaciela, zanim zdążył popełnić kolejną zbrodnię.

Bell dał mu niklowane kajdanki Tower z podwójnym zamkiem. Agent bez zwłoki zatrzasnął je na nadgarstkach Cromwella. Potem dokładnie go przeszukał i znalazł samopowtarzalnego colta dziewiątkę.

- Tej broni użyłeś do popełnienia trzydziestu sześciu zabójstw -stwierdził chłodno Bronson.
- Skąd się tu wziąłeś? - spytał Cromwell na widok Bronsona. Dobrze wiedział, że ci dwaj zastrzelą go bez wahania przy najmniejszej próbie ucieczki.
- Isaac przywiózł mnie z San Francisco swoim automobilem -odparł Bronson, jakby to była codzienność.
- Niemożliwe! - prychnął Cromwell.
- Też tak myślałem - powiedział Bronson, wprowadzając Cromwella po stopniach do pulmanowskiego wagonu. Wziął własne kajdanki, założył je bandycie na kostki i popchnął go brutalnie na kanapę.

Bell poszedł z powrotem wzdłuż torów i popatrzył smutno na zdezelowanego locomobile'a. Niosący oliwiarę mężczyzna o beczkowatej klatce piersiowej, ubrany w kombinezon i pasiastą drelichową czapkę maszynisty, dołączył do niego i wlepił wzrok w automobil.

- Jak, na Boga, ten grat znalazł się na torach przed moją lokomotywą?
- To długa historia - odparł Bell zmęczonym głosem.

- Co się z nim stanie?

Bell odpowiedział cicho, niemal z namaszczeniem:

- Zostanie wysłany z powrotem do fabryki w Bridgeport w Connecticut, gdzie go odbudują i będzie jak nowy.

- Naprawiać ten wrak? - Maszynista pokręcił głową. - Nie szkoda zachodu?

Bell spojrzał na locomobile'a z czułością w oczach.

- Zasługuje na to.

Jesteś głupcem, jeśli myślisz, że możesz mnie porwać - oświadczył pogardliwie Cromwell. - Nie masz prawa aresztować mnie bez nakazu. Jak tylko wrócimy do San Francisco, moi adwokaci zażądają żebyś mnie uwolnił. Ośmieszę agencję Van Dorna i będę wolny jak ptak. Potem wniosę kilka pozwów sądowych, które zniszczą twoją agencję i utopia ją w morzu skandalu.

Cromwell siedział przykuty do dużej kanapy na środku salonki. Na nadgarstkach, nogach, a nawet szyi miał metalowe obręcze przymocowane łańcuchami do uchwyty w podłodze w przedniej bagażowej części wagonu. Nie ryzykowano. Czterech dobrze uzbrojonych agentów Van Dorna z biura w Los Angeles siedziało w wagonie niecałe trzy metry od bandyty z naładowanymi i odbezpieczonymi obrzynkami na kolanach.

- Może będziesz miał szansę pokazać swoje aroganckie ego znajomkom w ratuszu, przyjacielu - odparł Bell - ale wolny zajdziesz tak daleko jak świnia do rzeźni.

- Jestem niewinny - powiedział rzeczowo Cromwell. - Mogę udowodnić, że nie byłem w pobliżu napadów na banki, o które mnie oskarżasz. Jakie masz dowody? Jakich świadków?

- Ja jestem świadkiem - odrzekł Bell. - Rozpoznałem cię w przebraniu kobiety w Telluride, zanim mnie postrzeliłeś.

- Ty, Bell? Jaka ława przysięgłych w San Francisco uwierzy w twoje zeznanie? Proces będzie farsą. Nie masz nic, żeby mogli mnie oskarżyć, a tym bardziej skazać.

Bell posłał Cromwellowi chytry uśmiech.

- Nie jestem jedynym świadkiem. Są inni ludzie w miastach, gdzie popełniłeś zbrodnie, którzy potrafią cię zidentyfikować.

- Czyżby? - Cromwell rozsiadł się na kanapie, jakby nie miał żadnych zmartwień. - Z tego, co czytałem, Rzeźnik zawsze używał przebrań. Jak może zostać zidentyfikowany?

- Będziesz musiał poczekać, żeby się przekonać.

- Mam wielkie wpływy w San Francisco - powiedział Cromwell z pełnym przekonaniem. - Znacznie się przyczyniłem do wyboru każdego sędziego sądu najwyższego i federalnego. Są mi coś winni. Tak samo jak poczciwi obywatele San Francisco. Nawet gdyby ci się udało postawić mnie przed sądem, żaden z moich znajomych sędziów mnie nie skáže. Wiedzą, ile tysięcy na nich wydaję.

- Licytujesz, zanim zobaczyłeś karty - odparł Bell. - Sędzia federalny zostanie przysłany z Waszyngtonu, by rozpatrzyć twoją sprawę, a proces będzie przeniesiony tam, gdzie nie jesteś ulubieńcem miasta.

- Stać mnie na najlepszych adwokatów w kraju - kontynuował wyniośle Cromwell. - Żadna ława przysięgłych, bez względu na to, jaki sędzia będzie prowadził sprawę, nie skáže mnie na podstawie tak słabych dowodów. Zwłaszcza że w San Francisco mam opinię człowieka uwielbianego przez biednych i bezdomnych.

Branson słuchał tego z irytacją i odrazą. Musiał użyć całej siły woli, żeby nie uderzyć Cromwella pięścią w twarz.

- Powiedz to rodzinom ludzi, których zastrześliłeś z zimną krwią. Powiedz im, jak pieniądze, które ukradłeś, poszły na to, żebyś mógł prowadzić wystawne życie bankiera w rezydencji na Nob Hill.

Cromwell tylko uśmiechnął się bezczelnie.

Pociąg zaczął zwalniać. Branson podszedł do okna i wyjrzał.

- Wjeżdżamy do Santa Barbara. Maszynista prawdopodobnie się zatrzyma, żeby uzupełnić wodę.

- Chciałbym wysiąść na tej stacji - powiedział Bell. - Mam do załatwienia drobną sprawę.

Gdy tylko pociąg stanął, Bell zbiegł po stopniach na peron i szybko zniknął w budynku dworca. Dziesięć minut później, kiedy maszynista zagwizdał ostrzegawczo, Bell wybiegł i wskoczył do wagonu.

- O co chodziło? - spytał Branson.

Cromwell natychmiast zaczął podejrzewać, że coś poszło nie po jego myśli. Przesunął się na kanapie i pochylił do przodu, żeby podsłuchiwać.

16 - Pościg

- Linie telefoniczne zostały naprawione nad wąwozem, gdzie przeszła powódź - odpowiedział Bell. Potem spojrział w dół na Cromwella z sardonicznym uśmiechem.
- Zadzwoiłem do biura Van Dorna i poleciłem naszym agentom, żeby aresztowali twoją siostrę jako twoją współpracowniczkę.
- Jesteś obłąkany! - krzyknął Cromwell.
- Chyba możemy udowodnić, że jest zamieszana w zabójstwa popełnione przez Rzeźnika.

Cromwell poderwał się z kanapy z twarzą pałającą wściekłością i nienawiścią, ale przytrzymały go łańcuchy.

- Ty parszywa świnio - wycedził. - Margaret nie miała z ni czym nic wspólnego. Nie wiedziała nic o moim... - Zdażył urwać, zanim sam się przyznał. Opuścił się wolno na kanapę i odzyskał nad sobą panowanie. - Drogo zapłacisz za wplątanie niewinnej kobiety w swoje absurdalne oskarżenia. Margaret wróci do domu godzinę po bezpodstawnym oskarżeniu jej o zbrodnie, o których nic nie wie.

Bell popatrzył Cromwellowi w oczy z pewnością siebie pantery, która zaraz rzuci się na antylopę.

- Margaret będzie mówiła - oznajmił stanowczo. - Powie to, co wie, żeby ratować brata. Oczywiście skłamię, ale powinie jej się noga na setkach szczegółów, których nie zna. Margaret będzie tym świadkiem, który nieświadomie zaprowadzi cię na szubienicę.
- Nawet gdybym był winny, Margaret nie powiedziałałaby jednego słowa na moją niekorzyść - odparł Cromwell z przekonaniem.
- Powie, kiedy się dowie, że trafi do więzienia na resztę życia i straci wszystkie luksusy. Obciążanie współwinnych przychodzi łatwo, kiedy można zapłacić wysoką cenę za milczenie.
- Zbyt nisko oceniasz Margaret.
- Nie wydaje mi się - odrzekł cicho Bell.

Cromwell uśmiechnął się wymuszenie.

- Nie zdołasz powiązać Margaret ze zbrodniami, tak jak nie uda ci się przekonać ławy przysięgłych, że jestem winny.

Bell przyjrzał się bankierowi.

- A jesteś?

Cromwell się roześmiał i wskazał głową obecnych w salonce.

- Mam się przyznać przy świadkach, że jestem Rzeźnikiem? Daj spokój Bell. Stąpasz po cienkim lodzie, i wiesz o tym.

Wtedy Bell ściągnął Cromwellowi rękawiczkę z lewej dłoni i odsłonił metalową rurkę w miej scu małego palca.

- Zobaczmy - zadumał się głośno. - Zobaczmy.

Bell nie ryzykował. Kiedy dotarli do San Francisco, polecił maszyniście ominąć dworzec i wjechać na bocznice w depo. Branson miał pod ręką małą armię agentów, by odeskortować Jacoba Cromwella do ambulansu, gdzie miał zostać przywiązany do noszy na czas przejazdu przez miasto.

- Nie możemy ryzykować i umieszczać Cromwella w więzieniu okręgowym - stwierdził Bell. - Byłby zbyt blisko swoich przyjaciół, którzy wyciągnęliby go w ciągu godziny. Zabierz go na drugą stronę zatoki do więzienia stanowego San Quentin. Przetrzymamy go, dopóki nie będziemy gotowi do wniesienia oficjalnego oskarżenia.

- Każdy reporter z każdej gazety w mieście będzie chciał zrelacjonować to wydarzenie - odrzekł Branson.

Bell uśmiechnął się szeroko.

- Prztelegrafują tę historię do wszystkich gazet w kraju stąd do Bangor w Maine. Teraz musimy tylko pilnować, żeby nam się nie wymknął. Cromwell spróbuje przekupić każdego strażnika, jaki się do niego zbliży.

- Znam naczelnika San Quentin - powiedział Branson. - Jest absolutnie uczciwy. Cromwell nic nie wskóra, jeśli będzie usiłował go przekupić, żeby umożliwił mu ucieczkę.

- Nie myśl, że nie spróbuje. - Bell spojrział na Cromwella, kiedy wpychano go brutalnie do

ambulansu. - Załóż mu kaptur na głowę, żeby nikt go nie rozpoznał. Poproś naczelnika, żeby nikomu nic nie mówił i zamknął Cromwella w pojedynczej celi z dala od innych więźniów. Rano dostarczymy mu niezbędną dokumentację.

- A co z Margaret? Wątpię, żeby jakiś sędzia, którego Cromwell ma w kieszeni, wydał nakaz aresztowania jej.

- Stwórz pozory - poinstruował Bell. - Wywrzycj na nią presję. Kiedy Margaret się dowie, że jej brat jest w więzieniu, a ona może pójść na dno razem z nim, to założę się, że zgromadzi tyle gotówki, ile zdoła, i spróbuje uciec. Wtedy wpadnie prosto w nasze ręce. Zanim Bell udał się do biura Bransona, wstąpił do urzędu telegraficznego i wysłał do Van Dorna długi telegram z wiadomością o pojmaniu bandyty nazywanego Rzeźnikiem. Poprosił też

o wszelką pomoc, jakiej pułkownik Danzler mógłby udzielić z ramienia rządu federalnego.

Cromwell miał rację co do jednego. Margaret wyszła z komendy policji niecałe pół godziny po tym, jak została tam przywieziona przez dwóch agentów Van Dorna. Prawnicy Cromwella już tam czekali i wpłacili kaucję, kiedy przyjechała. Nawet jej szofer był pod ręką, żeby odwieźć ją do domu - czekał przed wejściem w rollsie zaparkowanym w niedozwolonym miejscu. Sędzia pokoju zjawił się w jakiś cudowny sposób, by podpisać niezbędne do zwolnienia papiery. Reporter, który przypadkiem był obecny, bo relacjonował sprawę jakiegoś włamania, miał wrażenie, że aresztowanie i niemal natychmiastowe zwolnienie Margaret było czystą formalnością.

Tymczasem Branson i jego agenci wjechali wiozącym Cromwella ambulansem na prom, który zabrał ich na drugą stronę zatoki do hrabstwa Marin. Po opuszczeniu przystani pojechali do więzienia stanowego San Quentin. Tak jak twierdził Branson, naczelnik był bardzo chętny do współpracy i nawet dumny, że będzie miał w swoim więzieniu słynnego Rzeźnika do czasu, aż Bell

1 Branson postawią go w stan oskarżenia.

Po wyjściu z urzędu telegraficznego Bell poszedł do banku Cromwella. Wjechał windą na poziom biur i podszedł do biurka Marion.

- Weź kapelusz - polecił bez wstępu rzeczowym tonem. - Bie rzesz wolne na resztę dnia.

Zawahala się, kompletnie zaskoczona jego nagłą wizytą po trzech dniach. Jej uczucia do niego gwałtownie powróciły. Wiedziała, że nie ma sensu spierać się z nim, a jednak odrzekła:

- Nie mogę tak po prostu wyjść, kiedy mam na to ochotę. Mog łąbym stracić pracę.

- Już ją straciłaś. Twój szef jest za kratkami. - Bell okrążył biurko i odsunął jej krzesło, żeby mogła

wstać.

Podniosła się wolno i popatrzyła na niego w osłupieniu.

- Co ty mówisz?

- Przedstawienie skończone. Przetrywam Cromwella, dopóki nie dostaniemy nakazu aresztowania i dokumentów niezbędnych do sporządzenia aktu oskarżenia.

Poruszając się niemal jak we mgle, wyjęła kapelusz i torebkę z szafki za biurkiem, a potem zastanowiła się, co jeszcze zrobić. Wzrok utkwiała niepewnie w podłódze, nie dowierzając. Nigdy nie sądziła, że Jacob Cromwell, bez względu na swoje zbrodnie, może zostać aresztowany.

Bell widział wcześniej rumieniec na policzkach Marion i zawsze brał to za oznakę onieśmienia. Wyjął jej kapelusz z palców i włożył jej na głowę zawadiacko przekrzywiony.

- Podoba mi się - powiedział ze śmiechem.

- A mnie nie - odparła z kobiecą irytacją w głosie i poprawiła kapelusz. - Dokąd mnie zabierasz?

- Na plażę, gdzie będziemy mogli pospacerować po piasku i odbyć długą rozmowę na temat ostatnich wydarzeń.

- Jedziemy twoim wymyślnym samochodem?

Zaskoczyło ją jego zbolące spojrzenie i smutna mina.

- Obawiam się, że w najbliższym czasie nigdzie nim nie pojeziemy.

Budowa więzienia San Quentin rozpoczęła się obiecująco w Dniu Zburzenia Bastylji, czternastego lipca, 1852 roku. Nikt nie wie, dlaczego zostało później ochrzczone nazwiskiem znanego więźnia, Miguela Quentina, odsiadującego wyrok za morderstwo. Słowo San w języku hiszpańskim oznacza świętego. Quentin nie był świętym, ale jego nazwisko przylgnęło i więzienie stało się znane jako San Quentin.

W tym najstarszym więzieniu stanowym w Kalifornii pierwszą egzekucję wykonano w roku 1893, wieszając Jose Gabriela za zabójstwo starszego małżeństwa, u którego pracował. Osadzano tam również kobiety, w oddzielnym budynku. Do roku 1906 za murami zakładu karnego straciło życie ponad stu więźniów z powodu zabójstw, samobójstw i naturalnych przyczyn. Zostali pochowani na cmentarzu poza terenem więzienia.

Naczelnik Richard Weber, wielki i zwinny jak gimnastyk, był energicznym pracoholikiem oddanym swojej pracy. Przysadzisty, ale twardy jak skała, stale miał na twarzy szeroki uśmiech, od którego nieco wyginały mu się kąciki ust. Zwolennik surowej dyscypliny, poważnie podchodził do reform i nakładał na więźniów obowiązek wytwarzania produktów, uprawiania ogrodów i uczęszczania na kursy edukacyjne. Jego program resocjalizacji osadzonych i nagradzania ich skracaniem wyroków umocnił jego reputację „wymagającego, ale sprawiedliwego naczelnika”.

Branson był bliski prawdy, że Weber nie weźmie łapówki. Znano go jako człowieka, którego nie da się skorumpować. Ten żarliwy katolik wychowywał wraz z żoną ośmioro dzieci. Jego pensja szefa największego w stanie zakładu karnego była wysoka, ale nie wystarczała na wiele dodatkowych przyjemności. Wizja Webera

o odejściu pewnego dnia na emeryturę i kupnie rancza w dolinie San Joaquin pozostawało tylko marzeniem.

Choć często mówi się, że każdy ma swoją cenę, wszyscy, którzy znali naczelnika Webera, uważali go za nieprzekupnego. Ale jak się okazało, pod twardą powłoką uczciwości był tylko człowiekiem.

Wkrótce po tym, jak Cromwell został zamknięty w odosobnieniu, Weber odwiedził bankiera bandytę w jego małej celi dwa poziomy pod głównym budynkiem więzienia. Poleciał strażnikowi otworzyć stalowe drzwi, wszedł do środka i usiadł na składanym krzeselku, które przyniósł ze sobą.

- Panie Cromwell - powiedział uprzejmie - witam w San Quentin.

Cromwell podniósł się ze swojej pryczy i skinął głową.

- Być może powinienem powiedzieć, że jestem wdzięczny za pańską gościnność, ale byłoby to

kłamstwo.

- O ile mi wiadomo, będzie pan u nas tylko przez krótki czas.
- Dopóki nie zostaną postawiony przed sądem federalnym -odrzekł Cromwell. - Czy tak panu powiedział Bronson z Agencji Detektywistycznej Van Dorn?

Weber skinął głową.

- Powiedział, że czeka na instrukcje z Departamentu Kryminalnego w Waszyngtonie.
- Wie pan, dlaczego mnie aresztowano?
- Powiedziano mi, że jest pan sławnym bandytą nazywanym Rzeźnikiem.
- Wie pan, jaką mam pozycję społeczną? - spytał Cromwell.
- Wiem - przytaknął Weber. - Jest pan właścicielem Cromwell Bank i podziwianym filantropem.
- Sądzi pan, że ktoś taki mógłby okradać banki i zabijać ludzi?

Weber poprawił się na krześle.

- Muszę przyznać, że ten pomysł wydaje mi się trochę nacią gany.

Cromwell przeszedł do rzeczy.

- Gdybym dał panu słowo, że nie popełniłem żadnej zbrodni i są to fałszywe oskarżenia amerykańskiego rządu, który chce przejąć mój bank, wypuściłby mnie pan?

Weber myślał przez chwilę, potem pokręcił głową.

- Przykro mi, panie Cromwell, nie jestem do tego upoważniony.
- Mimo że nie zostało wniesione oficjalne oskarżenie?
- Zapewniono mnie, że jest to właśnie załatwiane.
- Jeśli zagwarantuję, że nie ucieknę, tylko pojedę do swoich prawników w mieście i uzyskam od sędziego pokoju dokumenty niezbędne do zwolnienia, pozwoli mi pan opuścić więzienie?

- Może bym to zrobił, gdybym mógł - odparł Weber. - Ale jako naczelnik zakładu karnego nie mogę pozwolić panu stąd wyjść, dopóki wymagane do tego papiery nie znajdą się w moich rękach.

Poza tym agenci Van Dorna patrolują teren na zewnątrz, żeby zapobiec pańskiej ucieczce.

Cromwell rozejrzał się po betonowej, pozbawionej okien celi ze stalowymi drzwiami.

- Czy j jakiś więzień kiedykolwiek uciekł z poj edynki?

- W historii San Quentin to się jeszcze nie zdarzyło.

Cromwell zamilkł, by zastawić pułapkę.

- A gdyby, tylko gdyby, naczelniku, pan osobiście zabrał mnie do San Francisco?

Weber spojrział na niego z zainteresowaniem.

- Co pan ma na myśli?

- Zawiezie mnie pan do biura prokuratora okręgowego Hor-vatha i pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce zostanie dostarczone do pańskiego domu przez prywatnego posłańca dokładnie godzinę później.

Naczelnik rozważał propozycję Cromwella przez kilka chwil. Wiedział, że nie jest to czcze gadanie. Bankier miał wiele milionów dolarów i oferował gotówkę, więc nie pozostałby żaden ślad transakcji, gdyby stróże prawa zaczęli węszyć. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów było ogromną sumą. Mógłby schować pieniądze do czasu emerytury. Obliczył, że kwota wystarczyłaby mu aż nadto na kupno najlepszego rancza w stanie. Takiej oferty nie odrzuciłby nawet najbardziej prawy człowiek.

W końcu Weber wstał z krzeselka, podszedł do stalowych drzwi i zastukał trzy razy. Otworzyły się i umundurowany strażnik wszedł do środka.

- Włóż więźniowi kaptur na głowę - poinstruował naczelnik -i przyprowadź go do biura za moim domem. Będę tam czekał.

Potem odwrócił się i wyszedł z celi.

Dziesięć minut później strażnik wepchnął Cromwella do biura Webera.

- Ściągnij mu kaptur i rozkuj go - polecił Weber. Gdy tylko strażnik pozbawił Cromwella kaptura i kajdan na rękach i nogach, został odprawiony.

- Ufam, że mogę polegać na pańskim słowie dżentelmena i moja rekompensata dotrze tu godzinę po tym, jak bezpiecznie dostarczę pana na schody ratusza.

Cromwell przytaknął uroczyście.

- Może pan być pewien, że po południu dostanie pieniądze.

- To mi wystarczy. - Weber wstał i podszedł do szafy. Wrócił z damską suknią, kapeluszem, torebką i szalem. - Niech pan to włoży. Jest pan niski i ma mniej więcej takie same wymiary jak moja żona. Będzie pan za nią przebrany. Niech pan trzyma głowę nisko, to wartownicy niczego nie zauważą. Ona i ja często jeździmy po okolicy albo do miasta.

- A co z agentami Van Dorna patrolującymi teren?

Weber uśmiechnął się lekko.

- Jestem ostatnią osobą, którą by podejrzewali o nieuczciwą grę-

Cromwell spojrzał na ubranie i się roześmiał.

- Coś zabawnego? - spytał Weber.

- Nie - odrzekł Cromwell - tylko już to znam.

Cromwell włożył suknię żony naczelnika, owinął szalem szyję i naciągnął nisko kapelusz, żeby zasłonić lekki zarost na podbródku.

- Jestem gotowy - oznajmił.

Weber poprowadził go z biura przez podwórze do garażu, gdzie stał jego ford model T. Bez trudu uruchomił korbą silnik i usiadł za kierownicą. Samochód potoczył się po zwirowej drodze w kierunku wewnętrznych bram i został przepuszczony, kiedy naczelnik pomachał ręką. Przy głównej bramie było inaczej. Tu dwóch wartowników podeszło do Webera, żeby uzyskać jego osobistą zgodę na otwarcie bramy.

- Wybieramy się z Shari do miasta po prezent urodzinowy dla jej siostry - wyjaśnił spokojnie.

Wartownik po lewej stronie samochodu zasalutował posłusznie naczelnikowi i dał mu znak, że może jechać. Ten po prawej przyglądał się Cromwellowi, który udawał, że szuka czegoś w torebce.

Wartownik ugiął kolana, by zajrzeć kobiecie pod kapelusz, ale Weber dostrzegł ten ruch i warknął:

- Przestań się gapić i otwórz bramę.

Mężczyzna się wyprostował i pomachał do kolegi na wieży, który obsługiwał mechanizm otwierający masywne stalowe wrota. Gdy tylko rozwarły się wystarczająco, Weber pociągnął w dół dźwignię przepustnicy i uniósł stopę z lewego pedału. Samochód skoczył do przodu i wkrótce telepał się drogą w kierunku przystani, żeby wjechać na prom do San Francisco.

Co?! - ryknął Bell do telefonu.

- O co chodzi? - spytał Bronson, który wszedł do biura, gdy Bell odkładał słuchawkę.

Bell podniósł na niego wzrok z twarzą wykrzywioną wściekłością.

- Twój przyjaciel, prawy i nieprzekupny naczelnik San Quen-tin, wypuścił Cromwella.

- Nie wierzę - wypalił Bronson.

- Lepiej uwierz! - warknął Bell. - To była Marion Morgan, osobista sekretarka Cromwella. Powiedziała, że pięć minut temu wszedł do swojego gabinetu.

- Musiała się pomylić.

- Nie - odezwał się Curtis od drzwi. Spojrzał na Bronsona. - Twój agent, który śledził Margaret, widział, jak Cromwell schodził po schodach ratusza i wsiadał do jej samochodu.

- Naczelnik Weber wziął łapówkę - wymamrotał Bronson. - Nigdy bym nie pomyślał.

- Cromwell prawdopodobnie zaproponował mu dużą sumę - powiedział Bell.

- Moi agenci przed więzieniem zameldowali, że Weber pojechał z żoną na zakupy do miasta swoim samochodem.

- Cromwell nie pierwszy raz przebrał się za kobietę - wyjaśnił gniewnie Bell. - Bez wątpienia zrzucił suknię, kiedy się oddalili od San Quentin i zanim dotarli do promu.

- Co teraz? - spytał Curtis.

- Wysłałem telegram do pułkownika Danzlera, szefa Departamentu Kryminalnego Stanów Zjednoczonych. Załatwia z sędzią federalnym nakaz aresztowania Cromwella, którego nie może uchylić miejski ani stanowy wymiar sprawiedliwości. Jak tylko go dostaniemy, będziemy mogli zamknąć Cromwella na dobre.

- Kolejną nakaz będzie tu jechał co najmniej cztery dni - odrzekł Bronson. - A jeśli Cromwell spróbuje uciec z kraju? Nie mamy środków prawnych, żeby mu w tym przeszkodzić.

- W San Diego też nie mieliśmy środków prawnych, żeby go aresztować - odparował Bell. - Schwytamy go ponownie i będziemy trzymali w ukryciu, dopóki nie przyjdą dokumenty.

Bronson wyglądał, jakby miał wątpliwości.

- Zanim zdążymy ponownie złapać Cromwella, zaprzyj ażnio ny z nim burmistrz, szef policji i szeryf okręgowy przydzielą mu do ochrony armię uzbrojonych po zęby ludzi. Będą mieli przewagę dwadzieścia do jednego nad moimi siedmioma agentami.

- Cromwell ma takie wpływy? - spytał Curtis.

- San Francisco jest tak skorumpowane, że przy nim polityczna machina Tammany Hall¹ w Nowym Jorku wygląda jak żeński klasztor - odparł Bronson. - Cromwell nad wyraz dba o to, żeby miejskim notablom nie brakowało ptasiego mleka.

Bell uśmiechnął się chytrze.

- Możemy mieć własną armię - powiedział cicho. - Pułkownik Danzler wezwie stacjonujący w Presidio pułk wojska, jeśli o to poproszę.

- Może nam być potrzebny prędzej, niż myślisz - odrzekł Bronson. - Jeśli Cromwell wyczyści swój bank z gotówki i wynajmie kolejny pociąg, to będzie po drugiej stronie granicy z Meksykiem wolny jak ptak, zanim zdążymy kiwnąć palcem.

- On ma rację - zgodził się Curtis. - Jesteśmy bezradni. Nie możemy go tknąć. Zanim Danzler skontaktuje się z dowódcą gar nizonu w Presidio i żołnierze dostaną rozkaz, żeby wymaszerować i wkroczyć do miasta, będzie za późno. Cromwell łapówkami uto ruje sobie drogę ucieczki.

Bell odchylił się do tyłu na krześle i wpatrzył w sufit.

- Niekoniecznie - powiedział wolno.

- Co się rodzi w tym twoim przebiegłym umyśle? - zapytał Curtis.

- Przypuśćmy, że prezydent Stanów Zjednoczonych zażąda od prezesa kolei Southern Pacific, żeby nie wynajmował pociągu Cromwellowi.

Bronson spojrzał na niego.

- Czy to możliwe?

Bell skinął głową.

- Pułkownik Danzler ma ogromne wpływy w Waszyngtonie. Wiem od Van Dorna, że on i prezydent Roosevelt są bliskimi przyjaciółmi. Walczyli ramię w ramię podczas bitwy o wzgórze San Juan. Chyba można śmiało powiedzieć, że mógłby przekonać prezydenta.

- A jeśli Cromwell wynajmie statek? - dociekał Bronson.

- Wtedy amerykański okręt wojenny zatrzyma go na morzu, zabierze Cromwella i odstawi z powrotem do San Francisco. Do tego czasu dostaniemy dokumenty niezbędne, żeby go aresztować i wytoczyć proces.

- Wygląda na to, że jesteś przygotowany na każdą ewentualność

- stwierdził Bronson z podziwem.

- Cromwell to spryciarz - odrzekł Bell. - Jeśli istnieje jakiś sposób, żeby wymknąć się z naszej sieci, on go znajdzie. - Spojrzał w górę na zegar ścienny. - Czwarta trzydzieści pięć. O szóstej mam randkę.

- Z Marion Morgan? - zapytał Curtis z chytrym uśmiechem. - Coś mi się zdaje, że oprócz rozpracowywania Cromwella macie się ku sobie.

Bell przytaknął.

- To niezwykła kobieta. - Wstał i włożył płaszcz. - Zaprosiła mnie do siebie na kolację.

Branson puścił oko do Curtisa.

- Nasz przyjaciel to szczęściarz.

- Straciłem poczucie czasu - powiedział Bell. - Jaki dziś jest dzień?

- Wtorek, siedemnasty kwietnia - odrzekł Curtis. Potem dodał żartobliwie: - 1906 roku.

- Wiem, który mamy rok - zapewnił go Bell, przekraczając próg. - Widzimy się wszyscy rano.

Niestety, jednemu z trzech mężczyzn nie dane było dożyć następnego dnia.

Margaret zatrzymała mercedesa pod portykiem, który osłaniał pojazdy przed frontowymi drzwiami

rezydencji, zanim wjechały na dziedziniec. Odebrawszy brata sprzed ratusza, zawiozła go do banku, gdzie spędził dwie godziny zamknięty w swoim gabinecie. Gdy się stamtąd wyłonił, pojechali w milczeniu na Nob Hill. Ich szofer wyszedł z powozowni i wprowadził samochód do środka. Kiedy tylko przekroczyli próg holu, Margaret zdjęła kapelusz, odrzuciła go daleko nad podłogą i utkwiała w bracie wściekłe spojrzenie.

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolony. Doprowadziłeś do tego, że wszystko się wali.

Cromwell wszedł do salonu jak starzec i opadł ciężko na fotel.

- Popełniłem błąd, nie doceniając Bella. Dogonił mnie, zanim zdążyłem obrabować bank w San Diego.

Podłoga zakołysała się pod stopami Margaret, jej nastrój całkowicie się zmienił.

- Isaac żyje? Widziałeś go?

Przyjrzał się jej uważnie.

- Bardzo się nim interesujesz - stwierdził z rozbawieniem. - Cieszysz się, że nasze nemezis wciąż stąpa po ziemi?

- Mówiłeś, że zabiłeś go w Telluride.

- Tak myślałem, ale najwyraźniej przeżył. To jedyny błąd, jaki popełniłem w ciągu dwudziestu lat.

- Cromwell odpowiedział takim tonem, jakby opisywał ładunek węgla.

- Zatem to on przywiózł cię z powrotem z San Diego i wsadził do San Quentin.

Cromwell skinął głową.

- Nie miał prawa. Postawił się ponad nim. Teraz poruszy niebo i ziemię, żeby ogłosić mnie Rzeźnikiem i wysłać na szubienicę.

- Nie będzie łatwo uciec z miasta. Agenci Van Dorna śledzą każdy nasz ruch.

- Nie mam zamiaru czmychać jak złodziej w nocy. Czas, żeby ci, którzy korzystali z naszych przysług i pieniędzy, spłacili dług i ochronili nas przed Van Dornem, dopóki nie będziemy gotowi wyruszyć po cichu na zieleńsze pastwiska.

Spojrzała na niego z determinacją, zdecydowana działać.

- Wynajmiemy najlepszych prawników w Nowym Jorku. Nie zdołają cię skazać. Zrobimy z Isaaca Bella i Agencji Detektywi stycznej Van Dorn pośmiewisko przed całym krajem.
- Nie wątpię, że wygramy w sądzie - odrzekł cicho, patrząc na siostrę z poważną miną. - Ale w San Francisco będziemy skończeni. Bank poniesie finansową klęskę, kiedy nasi klienci w obawie przed skandalem uciekną do konkurencji. Cromwell National Bank zostanie zamknięty. - Urwał dla efektu. - Chyba że...
- Chyba że co? - zapytała, napotykaając jego bezlitosne spojrzenie.
- Potajemnie przeniesiemy nasze aktywa do innego miasta w innym kraju, gdzie będziemy mogli zbudować nowe finansowe imperium pod innym nazwiskiem.

Margaret wyraźnie się odprężyła, gdy zaczęła zdawać sobie sprawę, że nie wszystko stracone i może jednak nie będzie musiała zmienić stylu życia.

- Jakie miasto i jaki kraj masz na myśli? Meksyk? Może Bra zylię?

Cromwell uśmiechnął się chytrze.

- Moja droga siostró, mogę mieć jedynie nadzieję, że pan Bell rozumuje tak jak ty.

Poczuł się wielce zadowolony z siebie. Uznał, że rano będzie potrzebował nie więcej niż trzy godziny, by załatwić transport rezerw gotówkowych ze swojego banku. Prawa do papierów wartościowych przesłał już za granicę telegraficznie, kiedy był w swoim gabinecie. Teraz on i Margaret musieli tylko spakować trochę rzeczy, zamknąć dom i zostawić go agentowi do sprzedania. Wierzył, że gdy przekroczą granicę i opuszczą Stany Zjednoczone, wszystko pójdzie gładko.

Bell siedział w mieszkaniu Marion i wpatrywał się zamyślony w mały płomień w kominku, podczas gdy ona krzątała się w kuchni. Przyniósł butelkę Cabernet Sauvignon California Beringer rocznik 1900 i był w połowie kieliszka, kiedy Marion weszła do jadalni i zaczęła nakrywać do stołu. Podniósł wzrok i zapragnął podejść do niej i przycisnąć usta do jej warg.

Wyglądała olśniewająco. Miała modną figurę klepsydry, krągłe kształty i pełne piersi. Włożyła różową bluzkę z opadającą kaskadami atlasowej koronki, która sięgała do podbródka i wydłużała jej smukłą szyję. Długa i powłóczysta spódnica w tym samym kolorze przypominała odwróconą kwitnącą lilię. Nawet w fartuchu wyglądała elegancko.

Jej jasne jak słoma włosy lśniły w blasku świec. Upięła z tyłu jedwabisty kok i pozostawiła luźne loki za delikatnymi uszami. Bell stłumił pragnienie, by ją pocałować, i tylko upajał się jej widokiem.

- Nic wyszukanego - powiedziała i przysiadła na poręczu jego fotela. - Mam nadzieję, że lubisz pieczeń z warzywami.

- Uwielbiam pieczeń - odrzekł. Przestał się kontrolować, ściągnął ją sobie na kolana i pocałował długo i namiętnie. Stężała, potem zadrżała, jej oczy zrobiły się okrągłe i rozbłysło w nich morze zieleni. Kiedy odsunęli się od siebie, zaszła w niej zmiana. Spojrzenie stało się lubieżne, wyraz twarzy uwodzicielski. Oddychała szybko i rozkoszowała się głęboką zmysłowością, jakiej nigdy nie doświadczyła z innym mężczyzną. Wstała wolno z jego kolan, zachwiała się i odgarnęła kosmyk włosów, który opadł jej na skroń.

- Wystarczy, chyba że masz ochotę na spaloną pieczeń.

- Jak długo mam umierać z głodu?

Roześmiała się.

- Jeszcze dziesięć minut. Czekam, aż ziemniaki dojdą. Patrzył,

jak Marion wraca do kuchni krokiem płynnym jak ga-

zela.

Gdy postawiła półmiski na stole, napełnił kieliszki i usiedli. Jedli w milczeniu przez kilka chwil, potem Bell powiedział:

- Wszystko jest pyszne. Pewnego dnia jakiś szczęściarz zyska cudowną żonę.

Jego słowa owiały jej kark niczym ciepła bryza, krew przepłynęła przez piersi, sutki stwardniały. W głębi serca miała nadzieję, że Isaac mówił o sobie, ale bała się też, że jego uczucia mogą osłabnąć i pewnego wieczoru odejdzie, by nigdy nie wrócić.

Bell odgadł myśli Marion, stropił się i zmienił temat.

- Jak długo Cromwell był dziś w banku?

Jej doznania szybko przerodziły się w gniew. Była zła na siebie za to, że odpowiada na pytanie, zamiast spokojnie powiedzieć mu, co czuje.

- Większość czasu spędził w swoim gabinecie, wydawał się bardzo tajemniczy. Schodził też trzy razy do skarbcza.

- Domyślasz się, po co?

Pokręciła głową.

- To było bardzo zagadkowe. - Potem uniosła podbródek i lekki uśmiech rozchylił jej wargi. - Ale kiedy był w skarbcu, zakradłam się do jego gabinetu i zerknęłam na dokumenty, które rozłożył na biurku.

Bell czekał na dalszy ciąg, ale zamilkła na kilka chwil i wzięła go na przetrzymanie, jakby mszcząc się za to, że ignoruje jej uczucia.

- Wypełniał przekazy bankowe i polecenia przelewów.

- To ma sens. Przypuszczamy, że on i Margaret zamierzają uciec z kraju i przenieść fundusze banku tam, dokąd się wybierają.

Nie ma mowy, żeby Cromwell pozostał w mieście i walczył z nami w sądzie federalnym.

- Na to by wyglądało - przytaknęła cicho Marion, pragnąc, by ten czas razem upływał im w bardziej intymnej atmosferze.

- Potrafisz powiedzieć, dokąd wysyłał pieniądze?

Pokręciła głową.

- Wpisane były tylko kwoty, nie banki, do których miały wpłynąć.

- Jak myślisz, co robił w skarbcu?

- Podejrzewam, że pakował rezerwy gotówkowe do skrzyń, żeby je przewieźć.

Bell się uśmiechnął.

- Jesteś bardzo bystrą kobietą. A gdybyś była Jacobem i Margaret, dokąd byś pojechała?

- Nie byliby bezpieczni nigdzie w Europie - odparła bez wahania. - Banki na Starym Kontynencie współpracują z rządem Stanów Zjednoczonych w kwestii zamrażania nielegalnych funduszy. Jest zbyt wiele innych krajów, gdzie mogliby ukryć pieniądze i znów zacząć budować swoje imperium.

Intuicja Marion zrobiła na Bellu wrażenie.

- A co z Meksykiem? - zapytał.

Pokręciła głową.

- Margaret nie mogłaby tam żyć. Ten kraj jest zbyt prymitywny na jej gust. Buenos Aires jest możliwe. Miasto jest bardzo kosmopolityczne, ale żadne z nich nie mówi słowa po hiszpańsku.

- Singapur, Hongkong, Szanghaj - zasugerował Bell. - Któreś z tych miast mogłoby ich zainteresować?

- Być może Australia lub Nowa Zelandia - odrzekła w zamyśleniu. - Ale przez lata pracy przekonałam się, że Jacob nie rozumuje jak większość ludzi.

- Moje doświadczenia z tym człowiekiem doprowadziły mnie do takiego samego wniosku - zgodził się z nią Bell.

Marion zamilkła i nałożyła mu dokładkę pieczeni, ziemniaków i warzyw.

- Dlaczego nie dajesz swojemu umysłowi odpocząć i nie de lektujesz się owocami mojej pracy? - zapytała z uśmiechem.

17 - Pościg

257

- Wybacz mi - powiedział szczerze. - Jestem nudnym towarzyszem przy posiłku.

- Mam nadzieję, że zjesz na deser cytrynową tartę z bezą.

Zaśmiał się.

- Uwielbiam to.

- Lepiej, żeby tak było. Upiekłam dość dla malej armii.

Skończyli główne danie i Isaac wstał, żeby pomóc posprzątać

ze stołu. Posadziła go z powrotem na krześle.

- A ty dokąd? - zapytała ostro.

Wyglądał jak mały chłopiec skarcony przez matkę.

- Chciałem pomóc.

- Siedź i kończ swoje wino - rozkazała Marion. - W moim domu goście nie pracują, zwłaszcza mężczyźni.

Spojrzał na nią przebiegle.

- A gdybym nie był gościem?

Odwróciła się od niego w obawie, że jej uczucia wyjdą na jaw.

- Wtedy kazałabym ci naprawić cieknącą rurę, skrzypiące zawiasy drzwi i złamaną nogę od stołu.

- Mogę to zrobić - zadeklarował. - Tak się składa, że jestem złotą rączką.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Syn bankiera złotą rączką?

Udał urażonego.

- Nie zawsze pracowałem w banku ojca. Kiedy miałem czternaście lat, uciekłem z domu i zatrudniłem się w cyrku Barnuma i Baileya. Pomagałem rozstawiać i składać namioty, karmiłem słonie i naprawiałem cyrkowy tabor. - Urwał i smutek pojawił się na jego twarzy. - Po ośmiu miesiącach ojciec mnie odnalazł, zaciągnął do domu i posłał z powrotem do szkoły.

- Zatem j esteś wykształcony.

- Studiowałem ekonomię na Harvardzie. Byłem w Phi Beta Kappa.

Zrobiło to na niej wrażenie.

- I uzdolniony - dodała.

- A ty? - zapytał. - Gdzie się uczyłaś?

- Należałam do pierwszego rocznika, który uzyskał dyplomy Uniwersytetu Stanforda. Ukończyłam prawo, ale szybko się przekonałam, że kancelarie adwokackie nie mają zwyczaju zatrudniać prawniczek, więc przerzuciłam się na bankowość.

- Teraz ja jestem pod wrażeniem - powiedział szczerze Bell. - Wygląda na to, że znalazłem swoją drugą połowę.

Marion nagle zamilkła i zrobiła dziwną minę. Bell się zaniepokoił. Podeszedł do niej szybko i otoczył ją ramieniem.

- Źle się czujesz?

Podniosła na niego spojrzenie zielonych oczu. Zdawały się patrzeć w przestrzeń.

- Montreal! - wydyszała po chwili.

Nachylił się do niej.

- Słucham?

- Montreal... Jacob i Margaret chcą uciec do Montrealu, gdzie Cromwell będzie mógł otworzyć nowy bank.

- Skąd o tym wiesz? - spytał Bell, zdumiony dziwnym zachowaniem Marion.

- Właśnie sobie przypomniałam, że widziałam nazwę tego miasta nabazgraną na bloczku obok jego telefonu - wyjaśniła. - Nie sądziłam, że to coś ważnego i wyrzuciłam to z pamięci. Teraz wszystko ma sens. Kanada jest ostatnim miejscem, gdzie władze szukałyby Cromwellów. Mogliby z łatwością przyjąć nową tożsamość i przekupić właściwych ludzi, żeby stać się prawymi obywatelami, którzy otwierają wypłacalną instytucję finansową.

Wyraz dezorientacji zniknął z twarzy Bella.

- Ten fragment pasuje do łamigłówki - przyznał wolno. - Kanada byłaby prawdopodobnie ostatnim miejscem, o jakim byśmy pomyśleli. Droga ucieczki przestępców od lat prowadzi przez południową granicę do Meksyku. Wykorzystują ten kraj jako bazę do podróży dalej na południe.

Powoli przestawał myśleć o Cromwellu. Stał się cichy, łagodny i czuły, a potem wziął Marion na rękę.

- Wiedziałem, że zakochałem się w tobie nie bez przyczyny - wyznał niskim, chrapliwym głosem. -

Jesteś mądrzejsza ode mnie.

Drżąc na całym ciele, zarzuciła mu ramiona na szyję.

- O Boże, Isaac, ja też cię kocham.

Dotknął delikatnie ustami jej warg, gdy wynosił ją z salonu do sypialni. Odsunęła się i spojrzała na niego figlarnie.

- A co z tartą?

Spuścił wzrok na jej piękną twarz i się roześmiał.

- Zawsze możemy zjść ją na śniadanie.

Bell nie mógł przewidzieć ani tym bardziej wiedzieć, że za kilka godzin ciasto będzie tylko mglistym wspomnieniem.

1

Siedziba klubu demokratów, nieformalny sztab rządzący miastem (przyp. tłum.).

Nazywane klejnotem Zachodu, San Francisco w roku 1906 było labiryntem sprzeczności. Pewien pisarz ochrzcił je Babilonem wspaniałości, Paryżem romansu i Hongkongiem przygody. Inny posunął się nawet do tego, by je określić wrotami do raju.

Choć dynamiczne i ekscytujące, San Francisco było tak naprawdę rozległym, brudnym, usmolonym, cuchnącym, głośnym, zepsutym i wulgarnym miastem, posiadającym mniej wdzięku niż XVIII-wieczny Londyn. Łączyło w sobie niewiarygodne bogactwo i dojmującą nędzę. Dym węglowy z parowców, lokomotyw, odlewni, domowych pieców i kuchni spowijał ulice zasłane równą warstwą łajna tysięcy koni. Nie było oczyszczalni ścieków i poczerwiałe niebo cuchnęło mnogością smrodów.

Prawie wszystkie domy wzniesiono z drewna. Od malowniczych domków na Telegraph Hill, przez stylowe rezydencje Nob Hill, po szopy i budy w zewnętrznych dzielnicach. Wszystko razem można było opisać słowami komendanta miejskiej straży pożarnej jako morze podpałki czekającej na iskrę.

Rzeczywistość i mit miały się dramatycznie zmienić za dwie i pół minuty.

O piątej dwanaście rano, osiemnastego kwietnia, słońce zaczynało właśnie rozświetlać niebo na wschodzie. Gazowe latarnie uliczne wyłączono, a tramwaje linowe wytoczyły się ze swoich szop na całodzienną wędrowkę po wzgórzach miasta. Pierwsi robotnicy ruszyli do zakładów, a ci, którzy pracowali na nocną zmianę, zaczęli wracać do domów. Piekarze krzatali się już przy piecach. Policjanci z porannych zmian patrolowali swoje rewiry, spodziewając się kolejnego spokojnego dnia, a z zachodu powiał lekki wiatr, wolny od duszącego smogu.

Ale o piątej dwanaście spokojny świat San Francisco i otaczających je miasteczek został zburzony przez złowrogi, grzmiący ryk, dobiegający z głębin ziemi kilka kilometrów pod powierzchnią morza za mostem Golden Gate.

Do San Francisco przybyło piekło.

Okolicą szarpnął pierwszy wstrząs, odczuwany w całym Bay Area. Dwadzieścia pięć sekund później straszne, wibrujące fale potężnego trzęsienia ziemi przeszły przez miasto niczym potworna dłoń, zmiatająca ze stołu stosy książek.

Skały uskoku San Andreas, którego ściany ścierały się ze sobą od milionów lat, rozdzieliły się raptownie, gdy płyta północnoamerykańska pod lądem i pacyficzna pod morzem wypuściły się wzajemnie ze swoich uścisków i rozsunęły w przeciwnych kierunkach, jedna na północ, druga na południe.

Niewyobrażalna siła runęła na bezradne miasto z prędkością jedenastu tysięcy kilometrów na

godzinę, pozostawiając za sobą monumentalną falę śmierci i zniszczenia.

Wstrząs uderzył z okrutną szybkością. Asfalt ulic biegnących na wschód i zachód uniósł się i popękał, a potem zapadł; fala szła niepowstrzymanie naprzód, kołysząc rzędami wysokich budynków niczym huragan lasem. Drewno, zaprawa i cegły nie zdołały wytrzymać takiego naporu. Jeden po drugim domy zaczęły się walić, ściany osuwały się na ulice w chmurach kurzu i szczątków. Wszystkie witryny sklepów wzdłuż szerokich alej pękły i sypnęły na chodniki deszczem ostrych odłamków.

Olbrzymie pięcio- i dziesięciopiętrowe biurowce w biznesowym śródmieściu waliły się z potwornym hukiem, przypominającym ostrzał artylerii. Na ulicach otwierały się i zamykały rozpadliny, niektóre podchodziły wodą gruntową i zalewały rynsztoki. Szyny tramwajów poskręcały się i powyginały jak spaghetti. Najgwałtowniejsze wstrząsy trwały niewiele ponad minutę, choć kolejne, drobniejsze, zdarzały się jeszcze przez kilka następnych dni.

Kiedy nad chaosem wstało słońce, z wielkiego miasta wysokich gmachów, pełnych sklepów, biur, banków, teatrów, hoteli, restauracji, barów i burdeli, domów i mieszkań, zostało dwieście pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych kopców rozbitych cegieł, potrzaskanych belek i poskręcane żelaza. Choć budynki wyglądały solidnie, większość z nich nie była niczym wzmocniona i rozpadły się na kawałki po trzydziestu sekundach wstrząsów.

Ratusz miejski, najbardziej imponujący gmach na zachód od Chicago, stał rozbity i zniszczony, jego kolumny z żeliwa wały się po ulicy. Gmach Sprawiedliwości był szkieletem powykręcanych stalowych dźwigarów. Akademia Nauk zniknęła, jakby nigdy jej nie było. Budynek poczty wciąż stał, ale nadawał się tylko do wyburzenia. Teatr Majestic już nigdy nie miał wystawić żadnej sztuki. Ostał się tylko umocniony, pięciopiętrowy Wells Fargo Building mimo spustoszonego wnętrza.

Tysiące kominów runęło jako pierwsze. Żadnego nie budowano z myślą o trzęsieniu ziemi. Wystające wysoko nad dachy, sztywne i pozbawione wsparcia, dygotały, a potem pękały i waliły się przez domy na ulice, już pełne szczątków. Później ustalono, że ponad sto osób zostało zmiażdżonych we własnych łóżkach przez walące się kominy.

Drewniane jedno- i dwupiętrowe domy poprzeczyły się jak pijane na wszystkie strony, skręcone w fundamentach i groteskowo przekrzywione. Co dziwne, pozostawały nietknięte, ale zsuwały się po kilka metrów z fundamentów, często przez chodniki wprost na ulice. Choć ich zewnętrzne ściany pozostawały całe, wnętrza były spustoszone - podłogi się pozapadały, krokwie popękały, meble i mieszkańcy zmiażdżeni pospołu leżeli przysypani w piwnicach. Tańsze domy w biednych dzielnicach pozwalały się w sterty potrzaskanych belek i desek.

Ci, którzy przeżyli trzęsienie ziemi, zamarli w szoku, niezdolni się odezwać. Kiedy olbrzymie kłęby pyłu zaczęły osiadać, dały się słyszeć stłumione krzyki rannych i uwięzionych pod gruzami. Chociaż główna fala już przeszła, ziemia wciąż dygotała od wstrząsów wtórnych, które dalej przewracały

ceglane mury przy wtórze dygotu i dziwnych łoskotów.

Niewiele miast w historii ludzkości zostało tak zdewastowanych jak San Francisco. A jednak był to dopiero antrakt do jeszcze większego rozpadu, który miał nadejść.

Wstrząs rzucił łóżko z Isaakiem i Marion na drugą stronę pokoju. Kamienica wokół nich huczała i dygotała w konwulsjach. Łoskot był ogłuszający - naczynia spadały na podłogę, waliły się półki, rozrzucając książki, obrazy obrywały się ze ścian, a pianino przejechało po stromej podłodze niczym gwał po zboczu góry i wypadło na ulicę, bo cała frontowa ściana budynku odpadła i osunęła się w kaskadzie gruzu na chodnik.

Bell chwycił Marion za rękę i na wpół poniósł, na wpół zawlókł przez grad sypiącego się gipsu do drzwi, w których stali przez następnych trzydzieści sekund, w jeszcze bardziej ogłuszającym huku. Podłoga kołysała się pod ich stopami jak wzburzone morze. Ledwie zdążyli dobiec do prowizorycznego schronienia przy framudze, kiedy wielki komin na dachu przewrócił się, przebił przez dwa mieszkania nad nimi i wybił dziurę w podłodze niecałe trzy metry od nich.

Bell zrozumiał, że ten chaos to trzęsienie ziemi. Przeżył równie straszne jak to, które zniszczyło San Francisco, podróżując z rodzicami po Chinach jako małe dziecko. Spojrzał na pobladłą Marion, która patrzyła na niego oszołomiona i sparaliżowana szokiem. Uśmiechnął się ponuro, chcąc dodać jej odwagi; wstrząsy zerwały podłogę w salonie z legarów i posłały ją w dół, do mieszkania poniżej. Bell mógł się tylko zastanawiać, czy sąsiedzi z dołu zginęli, czy jakimś cudem udało im się przetrwać.

Przez blisko minutę stali uczeplieni framugi, a ich świat zmieniał się w koszarne piekło, którego nigdy nie byłiby w stanie sobie wyobrazić.

Potem wstrząsy powoli ucichły i w ruinach mieszkania zapadła upiorna cisza. Tuman pyłu z pokruszonego, gipsowego sufitu wypełnił im nozdrza i utrudniał oddychanie. Dopiero wtedy do Bella dotarło, że wciąż stoją, trzymając się futryny, Marion w zwiewnym peniuarze, a on w koszuli nocnej. Zobaczył, że jej lśniąca, długie włosy zrobiły się białe od gipsowego kurzu, wciąż unoszącego się w powietrzu jak mgła.

Rozejrzał się po sypialni. Wyglądała jak zawartość kosza na śmieci wysypana na podłogę. Objął Marion w pasie i pociągnął ją do szafy, gdzie na wieszakach wciąż wisiały ich ubrania, wolne od kurzu.

- Ubieraj się, i to prędko - powiedział stanowczo. - Budynek jest niestabilny i może się w każdej chwili zawalić.

- Co się stało? - spytała, całkowicie zdezorientowana. - To jakiś wybuch?

- Nie, moim zdaniem trzęsienie ziemi.

Marion popatrzyła na szczątki swojego salonu i zobaczyła zrujnowane budynki po drugiej stronie ulicy.

- Dobry Boże! - jęknęła. - Nie ma ściany.

Wtedy zauważyła, że zniknęło jej pianino.

- O nie, pianino babci. Gdzie ono się podziało?

- Jego resztki są pewnie na dole, na ulicy - odparł Bell ze współczuciem. - Koniec gadania. Pospiesz się i wrzuc coś na siebie. Musimy się stąd wydostać.

Marion pobiegła do szafy, już opanowana; Bell zrozumiał, że była twardsza niż cegły, które się wokół nich sypały. Włożył wczorajszy garnitur, a ona narzuciła bawełnianą bluzkę, gruby wełniany żakiet i spódnicę, dla ochrony przed zimnym wiatrem znad morza. Nie dość, że piękna, pomyślał Bell, była do tego praktyczna i rozsądna.

- A moja biżuteria, moje zdjęcia rodzinne, moje kosztowności? - spytała. - Mam je zabrać ze sobą?

- Wrócimy po nie później, jeżeli budynek będzie dalej stał.

Ubrali się w niecałe dwie minuty, potem Bell poprowadził Marion dookoła ziejącej w podłodze dziury po kominie, przez powywracane meble do frontowych drzwi. Marion miała wrażenie, że znalazła się w innym świecie; patrzyła w pustą przestrzeń tam, gdzie dotąd była ściana, i widziała sąsiadów, którzy oszołomieni zaczęli wychodzić na środek ulicy.

Drzwi były zakleszczone. Trzęsienie ziemi przesunęło budynek i zaklinowało je we framudze. Bell wiedział, że lepiej nie wyważać ich barkiem; to byłaby głupota. Stał na jednej nodze i kopnął drugą. Drzwi nawet nie drgnęły. Rozejrzał się po pokoju i zaskoczył Marion swoją siłą, kiedy dźwignął ciężką kanapę i uderzył nią w drzwi jak taranem. Po trzecim pchnięciu pękły i odskoczyły wściekle na jednym zawiasie.

Na szczęście schody ocalały. Bell i Marion dotarli do głównego wejścia i zobaczyli na ulicy przed kamienicą wysoką górę gruzu - pozostałości zawałonej frontowej ściany. Budynek wyglądał, jakby ktoś przerąbał go czystym ciosem olbrzymiego tasaka.

Marion przystanąła, w jej oczach wezbrały łzy na widok pianina babci roztrzaskanego na górze gruzu. Bell zobaczył dwóch mężczyzn, przebijających się przez ruiny ulicy wozem ciągniętym przez dwa konie. Zostawił Marion na kilka chwil, podszedł i rozmówił się z nimi, jakby zawierał jakąś

umowę. Pokiwali głowami, a on wrócił.

- O czym rozmawialiście? - spytała Marion.
- Zaproponowałem im pięćset dolarów za zawieszenie twojego pianina do magazynu Cromwella przy stacji załadunkowej. Kiedy wszystko się uspokoi, dopilnuję, żeby je odrestaurowano.
- Dziękuję, Isaac.

Marion wspięła się na palce i pocałowała Bella w policzek, zdumiona, że przejął się drobiazgiem w obliczu takiej katastrofy.

Armia ludzi tłocząca się na środku ulicy była dziwnie wyciszona. Nikt nie krzyczał ani nie zawodził, nikt nie wpadał w histerię. Wszyscy rozmawiali szeptem, szczęśliwi, że przeżyli, ale nikt nie wiedział, co robić, dokąd iść ani czy trzęsienie ziemi nie uderzy ponownie. Wielu wciąż miało na sobie nocne koszule. Matki tuliły małe dzieci i niemowlęta, a mężczyźni rozmawiali ze sobą, oceniając zniszczenia swoich domostw.

Nad zrównanym miastem zapadła cisza. Najgorsze, myśleli wszyscy, musiało się już skończyć. A mimo to największa tragedia miała dopiero nadejść.

Bell i Marion poszli do skrzyżowania Hyde i Lombard. Zobaczyli szyny tramwaju linowego, wijące się niczym kręty srebrny strumień w stronę ulic poniżej Russian Hill. Chmura kurzu wciąż złowrogo wisiała nad pobożowiskiem, rozwiewana powoli morskim wiatrem. Od wysuniętych w wodę nabrzeży wokół Ferry Building na zachodzie po Fillmore Street, od północnej zatoki do południowej, wielkie niegdyś miasto było jednym wielkim morzem zgliszcz i ruin.

Kiedy uderzył pierwszy wstrząs, dziesiątki hoteli i pensjonatów zawaliły się, zabijając setki śpiących w nich ludzi. Krzyki i jęki uwięzionych pod gruzami oraz ciężko rannych niosły się na szczyt wzgórze.

Setki słupów elektrycznych przewróciły się, napięte przewody pozrywały i miotły po ulicach jak węże, strzelając iskrami z oderwanych końców. Jednocześnie rury miejskiego gazociągu popękały, uwalniając swój zabójczy opar. Zbiorniki w piwnicach fabryk, pełne benzyny i oleju napędowego, dotknięte ognistymi łukami zerwanych przewodów, wybuchły eksplozją pomarańczowego ognia. W zniszczonych domach węgle z poprzewracanych kominów podpaliły meble i drewno konstrukcji.

Wkrótce wiatr połączył większe i mniejsze skupiska płomieni w jedno rozszalałe piekło. W kilka minut miasto zasnuł dym z pożarów, które pochłonęły setki ofiar, zanim w końcu, po trzech dniach, je opanowano. Wielu rannych i uwięzionych, których nie udało się uratować na czas, pozostało niezidentyfikowanych, spalonych na popiół przez potężny żar.

- Będzie gorzej, o wiele gorzej - powiedział wolno Bell. Odwrócił się do Marion. - Masz iść do Golden Gate Park; będziesz tam bezpieczna. Przyjdę do ciebie później.

- Dokąd idziesz? - spytała szeptem, drżąc na myśl, że zostanie sama.

- Do biura Van Dorna. Już niedługo miasto będzie potrzebowało każdego członka wymiaru sprawiedliwości, żeby zapanować nad chaosem.

- Dlaczego nie mogę zostać tutaj, blisko swojego mieszkania?

Bell jeszcze raz popatrzył na coraz wyższe płomienie.

- To kwestia paru godzin, zanim pożar dotrze na Russian Hill. Nie możesz tu zostać. Myślisz, że dasz radę dojść do parku na piechotę?

- Dam radę - odparła, dzielnie kiwając głową. Potem zarzuciła mu ramiona na szyję. - Kocham cię, Isaacu Bell. Kocham cię aż do bólu.

Bell objął jej smukłą talię i pocałował ją.

- Ja też cię kocham, Marion Morgan. - Zawahał się, potem ją odepchnął. - A teraz bądź grzeczna i uciekaj.

- Zaczekam na ciebie na mostku nad stawem.

Przytrzymał jeszcze jej dłoń, a później odwrócił się i ruszył

przez tłum tłoczący się na środku ulicy i odsuwający jak najdalej od budynków, dygoczących od serii lekkich wstrząsów.

Bell ruszył w dół długimi schodami na zboczu Russian Hill. W kilku miejscach się rozeszły, ale udało mu się zejść na Union Street. Potem poszedł do Stockton i dalej do Market Street. Widok zniszczeń przerastał wszystko, co mógł sobie wyobrazić.

Nie jeździły tramwaje, a wszystkie samochody - wśród nich liczne nowe modele zarekwirowane z salonów - oraz zaprzęgi zostały zmobilizowane jako ambulanse wożące rannych do prowizorycznych szpitali organizowanych na miejskich placach. Ciała zabitych, które dało się wydobyć, znoszono do magazynów zamienionych w tymczasowe kostnice.

Walące się ściany miażdżyły nie tylko pechowców na chodnikach, ale też konie ciągnące olbrzymią flotę miejskich wozów towarowych. Tony cegieł powalały je tuzinami. Bell zobaczył woźnicę i

konia zgniecionych na miazgę przez słup elektryczny, który runął na wóz z mlekiem.

Doszedłszy do Market Street, Bell uskoczył ku zniszczonym drzwiom, niedawno prowadzącym do gmachu Hearst Examiner Newspaper. Schował się tam przed stadem bydła, które najwyraźniej uciekło z zagrody w dokach. Oszałałe z przerażenia krowy przebiegły ulicą i niemal natychmiast zniknęły, połknięte przez jedną z ziejących rozpadlin w ulicy rozdartej trzęsieniem ziemi.

Bell nie mógł uwierzyć, jak główna ulica miasta, jej wspaniałe budynki, zmieniły się od zeszłego wieczoru. Zniknęły flotylle pojazdów, tłumy wesołych, zadowolonych z siebie ludzi pracujących i robiących zakupy w sercu handlowej dzielnicy. Bulwar był prawie nierozpoznawalny. Wysokie gmachy rozpadły się na kawałki, olbrzymie filary ze swoimi ozdobnymi gzymsami i ornamentami zostały wyrwane z fasad, a ich pokruszone resztki ciśnięte na ulicę. Wielkie witryny i okna biur się rozsypały. Szyldy reklamujące firmy za witrynami leżały pogięte wśród zgliszczy.

Idąc przez to zniszczenie, Bell widział, że kwartały na południu miasta zmieniały się w ocean płomieni. Wiedział, że wkrótce z wielkich hoteli, gmachów rządowych, wysokich biurowców, sklepów i teatrów zostaną osmalone szkielety. Strażaków było o wiele za mało, a trzęsienie ziemi przerwało prawie wszystkie podziemne rurociągi. Setki miejskich hydrantów przeciwpożarowych i kranów wyschło. Strażacy, bezradni w starciu z grzybami ognia, rozpoczęli heroiczną walkę o wodociągi.

Uciekając przed samochodami wożącymi rannych i gramoląc się przez osuwiska cegieł, Bell dotarł w pobliże Call Building. Jede-nastopiętrowy drapacz chmur z początku wydawał się w dobrym stanie, z bliska jednak Bell zobaczył, że podstawa jednego z jego boków przesunęła się ponad pół metra po chodniku w stronę jezdni. W środku okazało się, że żadna winda nie działa, bo szyby się pokrzywiły. Pokonał pięć kondygnacji do biura Van Dorna i przestąpił sterty gipsu zarwanego z sufitu. Ślady butów w białym pyłe powiedziały mu, że nie był pierwszy.

Meble, porozrzucane przez wstrząs po całym biurze, poustawiano z powrotem na miejscach.

Bell wszedł do sali konferencyjnej i zastał czterech agentów Van Dorna, w tym Bransona, który podbiegł i uścisnął mu dłoń.

- Jak ja się cieszę, że żyjesz. Bałem się, że leżysz gdzieś pod toną gruzu.

Bell zmusił się do uśmiechu.

- Dom Marion stracił frontową ścianę, a jej mieszkanie jest w kawałkach. - Przerwał i rozejrzał się po sali. Nie widząc Curtisa, zapytał: - Art się do ciebie odzywał?

Miny pozostałych mężczyzn powiedziały mu wszystko, co musiał wiedzieć.

- Art zaginął, przypuszczalnie zmiądzżyły go tony cegieł, kie dy szedł z hotelu Palace do naszego biura - odparł z powagą Branson. - Z tego, co udało się nam dowiedzieć, dwóch moich agentów jest rannych albo nie żyje. Jeszcze nie wiemy. Ci, których tu widzisz, to jedyni, którzy wyszli z tego cało.

Bell poczuł, jakby ktoś zacisnął mu na piersi gruby pas. Widział śmierć, znał śmierć, ale strata kogoś bliskiego bolała.

- Curtis nie żyje - mruknął. - To był dobry człowiek, dobry przyjaciel i jeden z najlepszych detektywów, z jakimi pracowałem.

- Ja też straciłem dobrych ludzi - powiedział wolno Branson. - Ale teraz musimy zrobić, co się da, żeby pomóc poszkodowanym.

Bell na niego popatrzył.

- Jaki masz plan?

- Spotkałem się z komendantem policji i zaoferowałem mu usługi Van Dorna. Mimo naszych różnych stanowisk w przeszłości ucieszył się z naszej pomocy. Zrobimy, co będziemy mogli, żeby zwalczyć szabrowanie, będziemy łapać szabrowników okradających trupy i domy i odstawiać ich do miejskiego aresztu. Na szczęście ciągle stoi, bo jest zbudowany jak forteca.

- Chciałbym się przyłączyć do ciebie i pozostałych, Horace, ale mam inne zadanie.

- Tak, rozumiem - powiedział cicho Branson. - Jacob Cromwell.

Bell kiwnął głową.

- Trzęsienie ziemi i chaos dały mu doskonałą sposobność do ucieczki z kraju, a ja zamierzam go powstrzymać.

Branson wyciągnął dłoń.

- Powodzenia, Isaac. - Szerokim gestem ręki objął salę. - Budynek nie jest bezpieczny. A jeśli sam się nie zawali, pewnie strawi go nadciągający pożar. Będziemy musieli zabrać nasze archiwa i go opuścić.

- Gdzie was znajdę?

- Zakładamy centrum dowodzenia w Gmachu Ceł; został tylko lekko uszkodzony. Jednostki wojska, które przyjeżdżają pilnować porządku i pomóc w walce z pożarami, też zakładają tam swoją kwaterę

główną.

- Jeden z nas będzie musiał zgłosić, co się stało, panu Van Dornowi.

Bronson pokręcił głową.

- To niemożliwe. Wszystkie linie telegrafu są zerwane.

Bell uściskał dłoń Bransona.

- Tobie też życzę powodzenia, Horace. Skontaktuję się z tobą, jak tylko się dowiem, gdzie jest Cromwell.

Bronson się uśmiechnął.

- Założę się, że takie rzeczy się nie zdarzają u ciebie w Chicago.

Bell się roześmiał.

- Nie zapomniałeś przypadkiem o wielkim pożarze Chicago w 1871? Na was nieszczęście spadło przynajmniej z boskiej ręki. Chicago spaliła krowa, która kopnęła latarnię.

Pożegnawszy się, Bell wrócił po własnych śladach krętymi schodami na spustoszoną Market Street. Szybko pokonał sterty gruzu i tłumy ludzi, gapiących się na pożary, trawiące właśnie Chinatown i nieubłagane słońce w stronę głównej dzielnicy handlowej miasta.

Dotarł do hotelu Palace, który ostał się w o wiele lepszym stanie niż Call Building. Przed wejściem stał mężczyzna, którego Bell natychmiast rozpoznał: Enrico Caruso, śpiewający rolę Don

Josego w *Carmen* poprzedniego wieczoru w Grand Operze, czekał na służącego, wynoszącego jego kufry na chodnik. Był ubrany w długi, gruby kozuch narzucony na pizamę i palił cygaro. Mijając go, Bell usłyszał, jak wielki tenor mamrocze:

- Co za miasto, co za miasto, nie wracam tu więcej.

Windy nie działały z braku prądu, ale schody były stosunkowo niezaśmiecone gruzem. Po wejściu do swojego pokoju Bell nie zawracał sobie głowy pakowaniem ubrań. Nie widział powodu, by obarczać się bagażem. Do małej walizki wrzucił tylko kilka rzeczy osobistych. Nie przewidując w San Francisco śmiertelnych niebezpieczeństw, zostawił w pokoju swojego colta 45 i derringera. Teraz colt trafił do walizki, a derringer z powrotem do małej kabury wewnątrz kapelusza.

Idąc Powell Street w kierunku posiadłości Cromwella na Nob Hill, Bell zobaczył małą grupkę mężczyzn gorączkowo usiłujących wyciągnąć olbrzymią belkę ze stosu gruzu, który kiedyś był hotelem. Jeden z nich pomachał do niego.

- Pomóż nam! - zawołał.

Mężczyźni próbowali uwolnić kobietę przygniecioną gruzem otoczoną szalejącymi płomieniami. Kobieta miała na sobie nocną koszulę; Bell zobaczył, że miała długie, ciemnorude włosy.

Chwycił ją za rękę.

- Bądź dzielna - powiedział cicho. - Uwolnimy cię.

- Mój mąż, moja córeczka... są bezpieczni?

Bell spojrział na poważne twarze ratowników. Jeden z nich powoli pokręcił głową.

- Niedługo ich zobaczysz - powiedział, czując zbliżający się żar płomieni.

Zaparł się razem z pozostałymi; na próżno usiłowali podnieść belkę przygniatającą nogi kobiety. Ich wysiłek był daremny. Belka ważyła kilka ton i sześciu mężczyzn nie miało szansy jej poruszyć. Kobieta była bardzo odważna i obserwowała ich wysiłki w milczeniu, dopóki płomienie nie zaczęły przypalać jej koszuli nocnej.

- Proszę! - zaczęła błagać. - Nie dajcie mi spłonąć!

Jeden z mężczyzn, strażak, spytał ją o nazwisko i zapisał je na kartce wyciągniętej z kieszeni. Pozostali uciekli przed żarem i ogniem, zdjęci grozą przegranej walki o życie kobiety.

Jej koszula zajęła się płomieniami i uwięziona zaczęła krzyczeć. Bell bez wahania podniósł derringera i strzelił jej w czoło, między oczy. Potem, nie oglądając się za siebie, razem ze strażakiem uciekł na ulicę.

- Musiał pan to zrobić - powiedział strażak, kładąc mu rękę na ramieniu. - Śmierć w ogniu jest najgorsza. Nie mógł pan pozwolić, żeby cierpiała.

- Nie, nie mogłem - odparł Bell ze łzami w oczach. - Ale to okropne wspomnienie zabiorę ze sobą do grobu.

Cromwell obudził się w swoim łóżku i zobaczył, że żyrandol na środku pokoju kołysze się jak wahadło, szaleńczo dźwięcząc kryształowymi paciorkami. Meble tańczyły dookoła jak opętane przez demony. Wielki obraz ze sceną polowania na lisa spadł ze ściany, z głośnym trzaskiem uderzając o polerowany tek podłogi. Cały dom trzeszczał z powodu trących o siebie kamiennych bloków.

Do pokoju wpadła Margaret, zataczająca się i z trudem trzymająca się na nogach. Miała na sobie tylko koszulę nocną, zszokowana nie włożyła podomki. Twarz miała białą jak mewa pierś, złotopiwne oczy wielkie z przerażenia, a usta drżące.

- Co się dzieje? - jęknęła.

Cromwell przyciągnął ją do siebie.

- Trzęsienie ziemi, droga siostró. Nie ma się czego bać. To mi nie. Najgorsze już za nami.

Mówił cicho i spokojnie, ale Margaret zobaczyła napięcie w jego oczach.

- Dom się na nas nie zawali? - spytała z obawą.

- Nie ten dom - odparł stanowczo. - Jest mocny jak Skała Gi braltaru.

Ledwie to powiedział, wielkie kominy nad nimi zaczęły się chylić i runęły. Na szczęście zbudowano je na zewnątrz ścian domu i zawaliły się, nie uszkadzając dachu. Najbardziej ucierpiał mur otaczający posiadłość, który pękał i z łoskotem walił się na ziemię. W końcu wstrząsy zaczęły cichnąć.

Dom wytrzymał najgorsze i zachował swój kształt; wyglądał tak samo jak przed trzęsieniem, nie licząc zawalonego muru i trzech kominów. Ponieważ wewnętrzne ściany były kamienne, obłożone drewnem i pomalowane lub oklejone tapetą, sufity zaś z mahoniu, nigdzie nie było tumanów kurzu z oberwanego gipsu.

- O Boże! - wykrzyknęła Margaret. - Co teraz zrobimy?

- Zajmij się domem. Zbierz służbę i sprawdź, czy nikt nie został ranny. Potem każ im się zabrać do sprzątanego bałaganu. Zachowuj się, jakby twoim priorytetem była naprawa domu. Ale zacznij pakować tylko te kosztowności i ubrania, które koniecznie musimy zabrać.

- Zapominasz o agentach Van Dorna - zauważyła, podnosząc wzrok.

- Trzęsienie ziemi to dla nas błogosławieństwo. Miasto jest w chaosie. Bell i reszta detektywów Van Dorna mają na głowie pilniejsze sprawy niż pilnowanie nas.
- A co z tobą? - spytała Margaret, otulając się ciasno koszulą nocną.
- Ja idę do banku, skończyć opróżnianie skarbca z gotówki. Większość zapakowałem do kufrów już wczoraj. Kiedy wszystko będzie spakowane, Abner i ja zawieziemy je rollsem do magazynu i załadujemy do mojego wagonu. A potem przejedziemy przez kanadyjską granicę.
- Mówisz, j akby to było takie proste - powiedziała sucho.
- Im prościej, tym lepiej. - Wyszedł z łóżka i ruszył do łazienki. - Jutro o tej porze zakończymy nasze występy w San Francisco, a za parę krótkich miesięcy zbudujemy w Montrealu nowe bankowe imperium.

273

18 - Pościg

- Ile będziemy mieli, j ak oceniasz?
- Już przelałem telegraficznie piętnaście milionów do czterech różnych kanadyjskich banków w czterech prowincjach - wyjaśnił. - Kolejne cztery miliony zabierzemy ze sobą w gotówce.

Teraz Margaret szeroko się uśmiechnęła, zapominając o strachu przed trzęsieniem ziemi.

- To więcej niż kiedy przyjeżdżaliśmy do San Francisco, dwanaście lat temu.
- O wiele więcej - przytaknął swobodnie Cromwell. - Dokładnie mówiąc, o dziewiętnaście milionów więcej.

Bell minął się z Cromwellem o dwadzieścia minut, kiedy dotarł do posiadłości przy Cushman Street. Przyjrzał się domowi, zaskoczony jego powierzchownymi uszkodzonymi w porównaniu do niewiarygodnych zniszczeń w głównej części miasta. Przeszedł przez stos cegieł, tworzący wcześniej dwuipółmetrowy mur, i po podjeździe podszedł do frontowych drzwi.

Pociągnął za gałkę dzwonka, odsunął się i zaczekał. Po długiej chwili drzwi się uchyliły i wyjrzała zza nich pokojówka.

- Czego pan chce? - spytała; przerażenie trzęsieniem ziemi wyparło wszelką oficjalną uprzejmość.
- Jestem z Agencji Detektywistycznej Van Dorna, przyszedłem do pana Cromwella.
- Pana Cromwella nie ma w domu. Wyjechał niedługo po tych okropnych wstrząsach.

Przez zasłony szyby w drzwiach Bell zobaczył zbliżającą się postać.

- Wie pani, czy pojechał do swojego banku?

Pokojówka się wycofała, a jej miejsce na progu zajęła Margaret. Popatrzyła na mężczyznę przed sobą, ubranego w garnitur pokryty kurzem, brudem i sadzą. Jego twarz była poczerniała od popiołów, zmęczone oczy widziały zbyt wiele nieszczęścia. Ledwie go poznała.

- Isaac, to ty?

- W trochę gorszej niż zwykle formie, obawiam się. Ale ow szem, to ja. - Zdjął kapelusz. - Dobrze cię widzieć, Margaret. Cieszę się, że przetrwałaś trzęsienie ziemi bez szwanku.

Jej ciemne oczy, szeroko otwarte, patrzyły łagodnie, jakby widziała go po raz pierwszy. Odsunęła się od drzwi.

- Proszę, wejdź.

Bell wszedł i zobaczył, że sprzątała bałagan zaścielający podłogi: potłuczoną porcelanę, figurki i klosze lamp Tiffany'ego. Była ubrana w wygodną, bawełnianą, czerwoną spódnicę i wełniany sweter pod długim fartuchem. Włosy spięła na czubku głowy w ciasny kok; pojedyncze kosmyki opadały jej wzdłuż policzków. Mimo pospolitego wyglądu napełniała powietrze wokół siebie słodkim aromatem. W kosztownej jedwabnej sukni czy w prostej roboczej sukience Margaret zawsze olśniewała.

Zaprowadziła go do salonu i wskazała fotel przy kominku, z którego popiół wysypał się na dywan, kiedy runął komin.

- Napijesz się herbaty?
- Sprzedałbym duszę za filiżankę kawy.

Margaret odwróciła się do pokojówki, która usłyszała ich rozmowę i po prostu skinęła głową, a potem czmychnęła do kuchni. Nie mogła spojrzeć w hipnotyzujące oczy Bella. Znów poczuła przy nim rosnące pożądanie, takie samo jak wcześniej.

- Czego chcesz od Jacoba? - spytała bez wstępów.
- Myślę, że znasz odpowiedź na to pytanie - odparł beznamiętnym tonem.
- Nie możesz znów go porwać. Nie w San Francisco. Powinieneś już to wiedzieć.
- Ty i on przekupiliście zbyt wielu skorumpowanych polityków w tym mieście, żeby kiedykolwiek odpowiedzieć za swoje zbrodnie - powiedział Bell z goryczą. Przerwał i rozejrzał się, patrząc na służbę sprzątającą dom i odstawiającą na miejsce meble i ozdoby. - Wygląda na to, że zamierzacie tu zostać.
- Czemu nie? - odparła Margaret z udawanym oburzeniem. - To nasze miasto. Mamy tu prosperującą firmę i bliskich przyjaciół.

Otwieramy serca dla tutejszych ubogich. Czemuż mielibyśmy wyjeżdżać?

Bella niemal kusiło, żeby jej uwierzyć. Była w tym dobra, pomyślał, przypominając sobie noc, kiedy tańczyli w hotelu Brown Palace. Bardzo dobra.

- Jacob jest w banku?
- Pojechał ocenić szkody.
- Widziałem, co zostało z Market Street. Większość budynków jest w gruzach, mało który jeszcze stoi, a Cromwell Bank znajduje się na drodze rosnącej fali ognia.

Margaret wyraźnie się nie przejęła.

- Jacob zbudował swój bank tak, żeby stał tysiąc lat, tak samo jak ten dom, który, jak sam widzisz, wytrzymał trzęsienie ziemi, podczas gdy bardziej pretensjonalne rezydencje na Nob Hill zostały poważnie uszkodzone, jeśli nie całkiem. Dom Cromwellów nie upadnie.
- Być może, Margaret - powiedział Bell ze śmiertelną powagą. - Ale ostrzegam ciebie i jego, nie próbujcie wyjeżdżać z miasta.

Jej gniew wybuchł, zerwała się na nogi.

- Nie waż się mi grozić i nie myśl sobie, że zdołasz zastraszyć mojego brata. Ciągłe blefujesz, Isaac. W tym mieście nie masz żadnej władzy, żadnych wpływów. Mój brat i ja zostaniemy tu długo po tym, jak ciebie już nie będzie.

Bell wstał.

- Przyznaję się do porażki w tej dziedzinie. Nie mam wpływów w tym mieście ani wśród władz. Ale kiedy tylko przekroczycie granice miasta, oboje należycie do mnie. Możesz być tego pewna.
- Wynoś się! - syknęła z wściekłością. - Wynoś się natychmiast!

Przez długą chwilę patrzyli na siebie gniewnie, rozwścieczeni nagłą wrogością. Potem Bell założył kapelusz i ruszył do wyjścia.

- Nigdy więcej nie dotkniesz mojego brata! - krzyknęła za nim Margaret. - Nigdy, choćby za sto lat! Po moim trupie!

Bell przystanął i obejrzał się na nią po raz ostatni.

- Szkoda, że to powiedziałaś - oświadczył i wyszedł.

Abner z wprawą sunął rolls-royce'em do Cromwell National Bank u zbiegu Sutter i Hyde Street. Wymijał stosy cegieł i tłumy ludzi na ulicach. Na jednym rogu policjant zatrzymał samochód i kazał Abnerowi jechać do Pawilonu Mechanika, olbrzymiego budynku i stadionu, mieszczącego wielkie archiwum i goszczącego wystawy, wydarzenia sportowe i koncerty. W desperackiej potrzebie miasto zmieniło pawilon w szpital i kostnicę. Policjant kazał Cromwellowi oddać rollsa na ambulans wożący rannych.

- Mam inne zastosowania dla swojego samochodu - odparł wyniośle Cromwell. - Jedź do banku, Abner - powiedział do tuby.

Policjant wyjął rewolwer i wycelował w Abnera.

- Osobiście rekwiruję ten samochód i rozkazuję wam jechać prosto do pawilonu albo odstrzelę głowę pańskiemu kierowcy i przekażę auto komuś, kto wie, co to przyzwoitość.

Na Cromwellu nie zrobiło to wrażenia.

- Piękna przemowa, panie władzo, ale samochód zostaje u mnie.

Policjant zaczerwienił się z gniewu. Machnął rewolwerem.

- Nie zamierzam powtarzać...

Zatoczył się w tył, szeroko otwierając oczy, kiedy kula z colta 38 Cromwella przeorała mu pierś.

Przez chwilę stał zdumiony, a potem jego serce przestało bić i osunął się na chodnik.

Nie było żadnego wahania, żadnych wyrzutów sumienia, żadnej skruchy. Abner szybko wysunął się zza kierownicy, chwycił ciało jak kukłę i posadził je na przednim fotelu. Potem wrócił na swoje miejsce, wrzucił bieg i odjechał.

Na ulicach zapanowało takie pandemonium - krzyki ludzi, huk walących się jeszcze budynków, jazgot sprzętu strażackiego - że nikt nie zauważył morderstwa policjanta. Nieliczni, którzy widzieli, jak pada, uznali, że był ranny, a kierowca zamierza odwieźć go samochodem do szpitala.

- Pozbędziesz się go? - spytał Cromwell, jakby sugerował służącemu, żeby wyrzucił do śmieci martwego karalucha.

- Zajmę się tym - odparł Abner przez tubę.

- Kiedy skończysz, jedź do wejścia towarowego z tyłu banku. Wejdziesz tylnymi drzwiami, masz klucz. Będziesz mi potrzebny, by przenieść kilka kufrów do samochodu.

- Tak jest, proszę pana.

Kiedy rolls dojechał na róg Sutter i Market Street, a Cromwell zobaczył zbliżający się ogień i rozmiary zniszczeń, zaczął się obawiać tego, co ujrzy na miejscu swojego banku. Rosnący strach szybko ustąpił miejsca uldze, kiedy gmach znalazł się w zasięgu jego wzroku.

Cromwell National Bank przetrwał trzęsienie ziemi niemal nie-drażnięty. Kamienna konstrukcja potwierdziła przechwałki Cromwella, że będzie stała tysiąc lat. Żadna ściana ani żadna z wielkich, żłobkowanych kolumn nie runęła. O katastrofie świadczył jedynie strzaskany witraż, którego odłamki zaścieniały chodnik wokół banku kalejdoskopem kolorów.

Abner zatrzymał auto i otworzył tylne drzwi. Kilku pracowników banku kręciło się pod wejściem; przyszedli do pracy z przyzwyczajenia, nie wiedząc, jak inaczej poradzić sobie z tym, że ich dotychczasowe życie zostało tragicznie zburzone. Cromwell wysiadł i zdołał dojść zaledwie do połowy schodów, kiedy go otoczyli, mówiąc wszyscy naraz, zasypując go pytaniami. Podniósł ręce, uciszając ich.

- Proszę was, idźcie do domów i zostańcie z rodzinami. Tu taj nic nie zdziałacie. Obiecuję, że wasze pensje będą wypłacane, dopóki ten koszmar się nie skończy i nie będzie można znów normalnie działać.

Była to pusta obietnica. Cromwell nie tylko nie zamierzał im płacić; widział też, że płomienie trawiące dzielnicę handlową są zaledwie o kilka godzin od budynku. Chociaż ściany gmachu były z

kamienia, drewniane belki sklepienia wystarczyły, by ogień wypalił go do pustej skorupy.

Kiedy tylko jego pracownicy zaczęli się oddalać, Cromwell wyjął z kieszeni płaszcz zestaw wielkich, mosiężnych kluczy i otworzył potężne, odlane z brązu frontowe drzwi. Nie zawracał sobie głowy zamykaniem ich, wiedział, że pożar niedługo i tak strawi wszystkie dokumenty. Ruszył prosto do sejfu. Zamek czasowy miał uruchomić kombinację o ósmej. Teraz była siódma czterdzieści pięć. Cromwell spokojnie podszedł do skórzanego fotela pracownika udzielającego kredytów, strzepnął z niego kurz, usiadł i wyjął cygaro z pudełka trzymanego w kieszeni na piersiach.

Czując pełną kontrolę nad sytuacją, rozparł się wygodnie, zapalił cygaro i wydmuchnął siwy dym w stronę zdobionego sufitu sali. Trzęsienie ziemi, pomyślał, nie mogło przyjść w odpowiedniejszej chwili. Może i straciłby kilka milionów, ale ubezpieczenie pokryłoby wszelkie szkody w budynku. Jego konkurencja trzymała swoje aktywa w kredytach, ale Cromwell zawsze wolał gotówkę zainwestowaną tylko na papierze. Kiedy wyszłoby na jaw, że uciekł z miasta, kontrola bankowa spadłaby na Cromwell National Bank jak sęp. Jego wierzyciele, o ile mieliby szczęście, odzyskaliby może dziesięć centów z każdego zainwestowanego dolara.

Dokładnie o ósmej mechanizm sejfu zadzwonił, a zamki jeden po drugim się otworzyły. Cromwell podszedł do wrót i obrócił wielkie koło ze szprychami, przypominające koło sterowe na statku, wysuwając skoble z otworów. Potem otworzył olbrzymie drzwi na gigantycznych, dobrze naoliwionych zawiasach, z taką łatwością, jakby otwierał kuchenną szafkę, i wszedł do środka.

Dokończenie ładowania czterech milionów dolarów w dużych nominałach do pięciu wielkich, skórzanych kufrów zajęło mu dwie godziny. Przyjechał Abner, który zdążył już ukryć zwłoki policjanta pod zawalonym dachem sklepu żelaznego, i zaniósł kufry do rollsa. Cromwellowi zawsze imponowała pierwotna siła Irlandczyka. Sam ledwie mógł unieść jeden koniec pełnego kufra z podłogi, ale Abner zarzucał je sobie na ramię, ledwie stęknąwszy.

Rolls stał zaparkowany w podziemnym wjeździe towarowym, używanym przez opancerzone furgonetki i wozy, dostarczające monety i banknoty z pobliskiej Mennicy San Francisco. Cromwell pomógł Abnerowi załadować kufry do przestronnego tylnego przedziału, a potem zakrył je kocami, które zabrał specjalnie w tym celu. Pod kocami umieścił poduszki z foteli w poczekalni banku, układając je tak, żeby wyglądały jak zwłoki.

Wrócił do środka i zostawił drzwi sejfu otwarte, żeby jego zawartość została zniszczona. Potem wyszedł na zewnątrz i wsiadł do kabiny kierowcy obok Abnera.

- Jedź do naszego magazynu przy stacji załadunkowej - polecił.

- Będziemy musieli zrobić objazd przez północne doki i ominąć pożary - powiedział Abner, wrzucając bieg. Omijając olbrzymi ogień trawiący Chinatown, ruszył w stronę Black Point na północy. Drewniane budynki zmieniały się już w kupy dymiącego popiołu, z których sterczały kikuty

kominów niczym poczerńiałe nagrobki.

Niektóre ulice były przejezdne, Abner unikał nieprzejezdnych, zasypanych walącymi się ścianami. Rollsa dwa razy zatrzymała policja, chcąc go przejąć na ambulans, ale Cromwell wskazywał tylko kształty pod kocami i mówił, że jadą właśnie do kostnicy. Policjanci posłusznie się odsuwali i kazali im jechać dalej.

Abner musiał omijać tłumy uciekinierów ze spalonych rejonów, taszczących ze sobą swój skromny dobytek. Nikt nie panikował; ludzie poruszali się powoli, jakby byli na niedzielnym spacerze. Mało kto rozmawiał, nieliczni tylko oglądali się tam, gdzie przed katastrofą stały ich domy.

Cromwella oszołomiła szybkość i intensywność pożaru trawiącego pobliski budynek. Słup płomieni sypał deszczem iskier

i płonących odpadków na dach, który w kilka minut zajął się jak pochodnia. Potem burza ognia spowiła cały dom i spopieliała go w czasie krótszym, niż potrzeba na zagotowanie wody.

Żołnierze regularnej armii z pobliskich baz wojskowych zaczęli przyjeżdżać do miasta, aby zaprowadzić porządek i pomóc miejskim strażakom walczyć z pożarami. Dziesięć kompanii artylerii, piechoty, kawalerii i Korpusu Szpitalnego - ogółem tysiąc siedmiuset ludzi - wmaszerowało do miasta z karabinami i pasami, z amunicją, gotowi strzec ruin, banków i sklepowych sejfów, poczty oraz mennicy przed szabrownikami. Mieli rozkaz strzelać do każdego przyłapanego na kradzieży.

Rolls minął kolumnę żołnierzy w czterech samochodach, których tylne fotele były zastawione skrzynkami dynamitu z Califor-nia Powder Works. Po kilku minutach eksplozje wstrząsnęły już

i tak zniszczonym miastem - to wysadzano domy i sklepy, żeby spowolnić rozprzestrzenianie się pożaru. Przegrywające tę bitwę wojsko szybko zaczęło wysadzać całe kwartały w ostatniej próbie powstrzymania fali ognia.

Przez gęstniejące kłęby dymu przebijało niezdrowe, bladożółte światło. Do ruin nie docierało słońce, chyba że na obrzeżach miasta. Matowa kula na niebie wydawała się czerwona i mniejsza niż zwykle. Żołnierze, strażacy i policjanci wycofali się przed płomieniami, prowadząc bezdomnych na zachód z dala od nadciągającej zagłady.

Abner obracał kierownicą rollsa, wymijając sterty gruzu i ludzi usiłujących dostać się do terminalu, w nadziei, że przeprawią się na drugi brzeg zatoki, do Oakland. W końcu dotarł do torów i pojechał wzdłuż nich w głąb głównej stacji ładunkowej Southern Pacific, do magazynu Cromwella. Wjechał na rampę i zaparkował obok wagonu stojącego w doku ładunkowym. Zapamiętał numer seryjny wymalowany na boku: 16455.

Cromwell nie zdawał sobie sprawy z tego, że Bell wie, czym tak naprawdę jest wagon. Ale agent, którego przydzielono do obserwacji, został odwołany przez Bransona do innych obowiązków po trzęsieniu ziemi. Zdawało się, że sytuacja jest bezpieczna. Cromwell przyjrzał się kłódce na wielkich, przesuwanych drzwiach wagonu, sprawdzając, czy nikt przy niej nie majstrował. Zadowolony otworzył ją kluczem i zdjął; była raczej na pokaz niż dla bezpieczeństwa. Potem kucnął pod wagonem i wszedł przez klapę w podłódze do wnętrza. W środku odsunął ciężkie skoble drzwi i otworzył je.

Bez polecenia Abner zaczął wnosić ciężkie kufry pełne gotówki z auta, stawiając je na brzegu podłogi, skąd Cromwell wciągał je do środka. Kiedy ostatni bagaż został wyjęty z limuzyny, Cromwell stanął nad Abnerem i powiedział:

- Wracaj do domu, zabierz moją siostrę i walizki, a potem przyjeżdżaj tutaj.
- Pan zostaje, panie Cromwell? - spytał Abner.

Cromwell kiwnął głową.

- Mam sprawę do załatwienia po drugiej stronie stacji, w dyspozytorni.

Abner wiedział, że podróż w tę i z powrotem z magazynu do posiadłości na Nob Hill to zadanie prawie niemożliwe, ale niedbale zsalutował Cromwellowi i powiedział:

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby przywieźć tu pana siostrę całą

i zdrową.

- Jeśli ktokolwiek może tego dokonać, to właśnie ty, Abner - odparł Cromwell. - Mam do ciebie całkowite zaufanie.

Potem zamknął drzwi wagonu i opuścił się przez klapę w podłódze. Kiedy Abner zjeżdżał rollsem z rampy, zobaczył, jak Cromwell idzie przez tory w stronę dyspozytorni.

Bell zszedł z Nob Hill i zatrzymał się, żeby pomóc grupie mężczyzn usuwających szczątki niewielkiego hotelu, z którego został ledwie kopiec drewnianych krokwi i potrzaskanych cegieł. Spod ruin dobiegał szloch małego chłopca. Bell i pozostali pracowali gorączkowo, odrzucając gruz na bok i ryjąc tunel w kierunku żałosnego płaczu.

Po blisko godzinie w końcu dotarli do małej szczeliny, w której dziecko uniknęło zmiżdżenia. Po następnych dwudziestu minutach uwolnili je i zanieśli do czekającego samochodu, który miał je zawieźć do szpitala. Nie licząc prawdopodobnych pęknięć kości, chłopiec był zaledwie posiniaczony.

Dla Bella wyglądał co najwyżej na pięć lat. Płakał i wołał matkę i ojca; mężczyzna, który go uratował, popatrzył na pozostałych z wielkim żalem, wiedząc, że rodzice dziecka, a może i jego rodzeństwo, leżeli zmiżdżeni głęboko pod ruinami hotelu. Bez słowa wszyscy się rozeszli, smutni, ale zadowoleni, że zdołali uratować przynajmniej jego.

Dwie przecznice dalej Bell minął żołnierza pilnującego grupy mężczyzn, zapędzonych do usuwania cegieł z jezdni i układania ich na chodniku. Wydawało mu się, że jeden z nich, o przystojnym profilu, wygląda znajomo. Z ciekawości podszedł i zapytał starszego mężczyznę, nadzorującego operację, czy może zidentyfikować „ochotnika” sprzątającego ulicę.

- To mój bratanek - odparł tamten ze śmiechem. - Nazywa się John Barrymore. Jest aktorem, gra w sztuce pod tytułem *Dyktator*. - Przerwał. - Czy raczej grał. Teatr jest zniszczony.

- Tak myślałem, że go poznaję - powiedział Bell. - Widziałem go w roli Makbeta w Chicago.

Nieznajomy pokręcił głową i wyszczerzył się w uśmiechu.

- Trzeba było ręki boskiej, żeby wykopać Jacka z łóżka, i Armii Stanów Zjednoczonych, żeby zapędzić go do roboty.

Potem próbował zmusić do pracy także Bella, ale ten pokazał mu swoją legitymację Van Dorna i poszedł dalej. Tłumy już się rozpierzchły, a ulice były prawie puste, nie licząc żołnierzy na koniach

i paru gapiów, którzy zostali pooglądać pożary.

Kiedy Bell pokonywał następnych osiem przecznic do banku Cromwella, serce miasta po obu stronach Market Street wściekle płonęło. Ściana ognia wznosiła się ledwie sześć kwartałów od banku, kiedy Bell dotarł do schodów prowadzących ku olbrzymim wrotom z brązu. Młody żołnierz, co najwyżej osiemnastoletni, zatrzymał go i zagroził mu bagnetem na lufie karabinu.

- Jeśli zamierzałeś okraść bank, już po tobie - powiedział bez żartów.

Bell przedstawił się jako agent Van Dorna.

- Przyszedłem obejrzeć bank - skłamał - sprawdzić, czy są tu jakieś dokumenty albo gotówka, którą można uratować.

Żołnierz opuścił broń.

- Dobrze, proszę pana, może pan wejść.

- Nie mógłbyś pójść ze mną? Przydałaby mi się pomoc przy wynoszeniu wartościowych rzeczy.

- Przykro mi, proszę pana - odparł żołnierz - mam rozkaz patrolować ulicę, żeby nie dopuścić do szabrowania. Sugeruję, żeby nie siedział pan za długo w środku. Ogień dotrze tu za około godzinę.

- Będę ostrożny - zapewnił go Bell. Potem wszedł po schodach i otworzył drzwi, które Cromwell na szczęście zostawił niezamknięte. Wnętrze wyglądało, jakby bank opustoszał przed niedzielą. Okienka, biurka i inne meble wyglądały, jakby tylko czekały na poniedziałkowy ranek. Tylko witraż został zniszczony.

Bell był zaskoczony, kiedy zobaczył otwarte drzwi sejfu. Wszedł do środka i szybko się zorientował, że większość gotówki zniknęła. Zostały tylko srebrne i złote monety, a także trochę banknotów,

o nominałach nie wyższych niż pięć dolarów, w szufladach kasjerów i przegródkach. Jacob Cromwell zniknął. Czas, który Bell poświęcił na ratowanie chłopca, był czasem, którego zabrakło mu, by złapać Cromwella wynoszącego płynne aktywa banku.

Nie miał wątpliwości, że Cromwell zamierzał wykorzystać katastrofę, żeby uciec z miasta i za granicę kraju. Bell przeklął swój niesprawny locomobile. Przedzieranie się przez zgliszcza na piechotę zabierało mu za dużo czasu i energii. Wyszedł z banku i ruszył do Gmachu Ceł, również stojącego na drodze płomieni.

Marion nie do końca posłuchała poleceń Bella. Wbrew jego radom wróciła po chwiejnych schodach do swojego mieszkania. Zapakowała w dużą walizkę rodzinne zdjęcia, osobiste dokumenty i biżuterię, na wierzch dokładając kosztowniejsze ubrania. Uśmiechnęła się, składając dwie suknie i jedwabną pelerynkę. Tylko kobieta ratowałaby najładniejsze ubrania, pomyślała. Mężczyzna nie przejmowałby się swoimi dobrymi garniturami.

Marion zaciągnęła walizkę na dół i dołączyła do pozbawionych domów ludzi na ulicy, niosących albo wlokących kufry ze skromnym dobytkiem, pościelą i domowymi skarbami. Wlekli się powoli po

wzgórzach miasta, nie oglądając się na swoje domy i mieszkania, nie chcąc rozpamiętywać szczątków i ruin domostw, w których aż do tego dnia żyli w spokoju i wygodzie.

Przez całą noc dziesiątki tysięcy ludzi uciekały przed nieustępliwym ogniem. Co dziwne, nie było paniki ani chaosu. Żadna z kobiet nie płakała, żaden z mężczyzn nie wściekał się na okrutny los. Za nimi wycofywali się żołnierze, popędzając hordę uchodźców, czasami popychając tych, którzy się zmęczeni i przystanęli, żeby odpocząć.

Wleczone w górę i w dół stromych wzgórz, przecznica po przecznicy, kilometr za kilometrem, ciężkie kufry w końcu stały się zbyt ciężkie. Ich właściciele, bez sił, porzucali ich tysiące razem z zawartością. Niektórzy znajdowali szpadle i zakopywali bagaże na pustych działkach, mając nadzieję je odzyskać, kiedy dogasną pożary.

Hart i odwaga Marion wzrosły w niej do poziomu, jakiego się nawet nie spodziewała. Na przemian niosła i ciągnęła swoją walizkę, jakby wpadła w stupor. Godzina po godzinie trudziła się samotnie - nikt nie zaproponował jej pomocy. Mężczyźni i ich rodziny byli zajęci heroiczną próbą ratowania własnego dobytku. W końcu, kiedy nie mogła już nieść bagażu ani kroku dalej, jakiś nastolatek spytał, czy może jej pomóc. Marion płakała, dziękując mu.

Dopiero o piątej rano ona i chłopak dotarli do parku Golden Gate i natknęli się na żołnierza, który skierował ich do namiotów wznoszonych dla uchodźców. Marion weszła do jednego z nich, podziękowała chłopcu, który nie chciał wziąć od niej pieniędzy, padła na polowe łóżko i zasnęła w niecałe dziesięć sekund.

Kiedy Bell dotarł do Gmachu Ceł, czuł się, jakby szedł przez ścianę ognia. Choć była późna noc, miasto rozświetlało upiorne, pulsujące pomarańczowe światło. Tłumy uciekały przed płomieniami, uprzednio jednak do ostatniej chwili ładując dobra z domów i sklepów na wozy. Ogień zbliżał się do Gmachu Ceł z trzech stron i zagrażał całemu kwartałowi. Żołnierze na dachach sąsiednich budynków toczyli nieustanną bitwę, by gasić płomień i ratować budynek, którego górny poziom mocno ucierpiał w trzęsieniu ziemi. Niższe piętra były jednak całe, urządzono w nich centrum operacyjne wojska oraz piechoty morskiej i personelu marynarki, który miał za zadanie dostarczać i obsługiwać węże z wodą.

Bell minął wartowników otaczających budynek i wszedł do środka. W pokoju przylegającym do głównego holu zastał Bransona naradzającego się z dwoma policjantami i oficerem wojska nad mapą o dużej skali rozłożoną na stole konferencyjnym.

Bronson zobaczył stojącego w drzwiach, pokrytego popiołem mężczyznę o twarzy czarnej od sadzy, i w pierwszej chwili go nie poznał. Potem jego oblicze wykrzywił uśmiech; podszedł i uściskał Bella.

- Isaac, jak się cieszę, że cię widzę.

- Mogę usiąść, Horace? - spytał wyczerpany Bell. - Przeszedłem straszny kawał.
- Oczywiście. - Bronson zaprowadził go do krzesła przed sekretarzykiem. - Przyniosę ci filiżankę kawy. Mimo szalejącego dookoła piekła nie mamy jak jej podgrzać, ale nikt się tym nie przejmuje.
- Z przyjemnością, dziękuję.

Bronson nalał kubek kawy z emaliowanego rondelka i postawił ją przed Bellem. Obok niego stanął wysoki mężczyzna o topazo-wopiwnych oczach i potarganych ciemnych włosach, w nieskazitelnie białej koszuli z krawatem.

- Wygląda na to, że widział pan lepsze dni - powiedział.
- Całe mnóstwo - odparł Bell. Bronson

odwrócił się do nieznanego.

- Isaac, to jest pisarz Jack London. Píše esej o trzęsieniu ziemi.

Bell kiwnął głową i uściśnął Londonowi dłoń, nie wstając.

- Jak dla mnie ma pan dość materiału na dziesięć książek.
- Może na jedną - odparł London z uśmiechem. - Może mi pan opowiedzieć, co pan widział?

Bell streścił pokrótce to, co widział w mieście, przemilczając grozę tamtej chwili, kiedy zastrzelił kobietę w płonących ruinach. Gdy skończył, London mu podziękował, usiadł przy stole i zaczął układać notatki.

- Jak ci poszło z Cromwellem? On i jego siostra przeżyli?
- Są cali i zdrowi i jadają do granicy.
- Jesteś pewien? - spytał Bronson.
- Dotarłem do banku Cromwella za późno. Sejf był wyczyszczony ze wszystkich banknotów powyżej pięciu dolarów. Musiał uciec z trzema, może czterema milionami.
- Nie uda mu się opuścić miasta. Nie przy takim chaosie. Nabrzeża są pełne tysięcy uchodźców próbujących dostać się do Oakland. Nie ma takiej możliwości, żeby zdołał przemycić tyle pieniędzy

w paru walizkach.

- Znajdzie sposób - powiedział Bell, rozkoszując się zimną kawą i znów czując się prawie jak człowiek.
- Co z Margaret? Pojechała z nim?

Bell pokręcił głową.

- Nie wiem. Byłem u nich w domu przed południem i Margaret zachowywała się, jakby ona i Jacob zamierzali zostać w mieście i zmierzyć się z nami w sądzie. Kiedy się dowiedziałem, że uciekł z gotówką, nie mogłem wrócić na Nob Hill z powodu nadciągającego pożaru. Ledwie dotarłem tutaj.
- A Marion? - spytał ostrożnie Branson.
- Wysłałem ją do Golden Gate Park. Powinna być tam bezpieczna.

Branson zaczął coś odpowiadać, kiedy do pokoju wbiegł chłopiec, najwyżej dwunastoletni. Miał na sobie wielką czapkę, gruby sweter i krótkie spodnie zawinięte pod kolanami. Widać było, że przebiegł daleką drogę, bo był tak zdyszany, że nie mógł mówić.

- Szu... szukam... pana Bransona - wysapał.

Branson podniósł wzrok, zainteresowany.

- Ja jestem Branson - powiedział. - Czego ode mnie chcesz?
- Pan Lasch... Branson

spojrzał na Bella.

- Lasch to jeden z moich agentów. Był na naszym spotkaniu tuż po trzęsieniu ziemi. Pilnuje rządowego magazynu na stacji przeładunkowej. Mów, synu.
- Pan Lasch powiedział, że zapłaci mi pan pięć dolarów, jeśli tu przyjdę i przekażę panu, co powiedział.
- Pięć dolarów? - Bronson popatrzył na chłopca z podejrzeniem.
- To dużo pieniędzy dla kogoś w twoim wieku.

Bell uśmiechnął się, wyjął dziesiątkę z portfela i dał ją chłopcu.

- Jak się nazywasz, synu?

- Stuart Leuthner.

- Przebyłeś daleką drogę ze stacji przez ogień i zniszczenie - powiedział Bell. - Weź te dziesięć dolarów i powiedz nam, co ci nakazał pan Lasch.

- Pan Lasch kazał powiedzieć panu Bronsonowi, że wagon stojący pod magazynem pana Cromwella zniknął.

Bell nachylił się do chłopca, nagle spochmurniały.

- Powtórz - polecił.

Chłopiec popatrzył na niego z obawą w oczach.

- Powiedział, że wagon pana Cromwella zniknął.

Bell obejrzał się na Bransona.

- Cholera! Jednak uciekł z miasta. - Potem dał chłopcu jeszcze dziesięć dolarów. - Gdzie są twoi rodzice?

- Pomagaj ą rozdawać j edzenie na Jefferson Square.

- Lepiej ich znajdź. Na pewno się o ciebie martwią. I pamiętaj, trzymaj się z dala od ognia.

Chłopiec zrobił wielkie oczy, widząc dwa dziesięciodolarowe banknoty.

- O rany, dwadzieścia dolarów. Kurczę, dziękuję, proszę pana.

Potem odwrócił się i wybiegł z budynku.

Bell opadł z powrotem na krzesło.

- Pociągiem? Skąd on wziął lokomotywę?
- Wiem tylko tyle, że każdy prom jest zapchany uciekinierami do Oakland. Tam Southern Pacific zbiera wszystkie pociągi pasażerskie w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów, żeby ich wywieźć dalej. Nie ma takiej możliwości, żeby wynajął lokomotywę, załogę i tender.
- Jego wagon sam się nie odtoczył.
- Zaufaj mi - powiedział Branson. - Żaden wagon towarowy nie przeprawi się do Oakland. Tylko ludzie. Jedyne pociągi na to rach to te, które jadą z pomocą ze wschodu.

Bell wstał, wbijając w Bransona zimne spojrzenie.

- Horace, potrzebny mi samochód. Nie mogę tracić godzin na piesze wędrówki po mieście, tam gdzie się jeszcze nie pali.
- Dokąd jedziesz?
- Najpierw muszę znaleźć Marion i sprawdzić, czy jest bezpieczna - odparł Bell. - Potem jadę na stację, do dyspozytora. Jeśli

Cromwell wynajął albo ukradł pociąg, który wywiezie go z miasta, musi być o tym jakaś informacja w dyspozytorni. Branson wyszczerzył się jak lis.

- Czy ford model K wystarczy?

Bell popatrzył na niego z zaskoczeniem.

- Nowy K ma sześciocylindrowy silnik i daje czterdzieści koni mocy. Masz taki?

- Pożyczyłem od bogatego sklepikarza. Jest twój, jeśli obiecasz oddać go jutro do południa.

- Mam u ciebie dług, Horace.

Branson położył mu ręce na ramionach.

- Możesz mi odpłacić, łapiąc Cromwella i jego siostrę z piekła rodem.

Marion spała sześć godzin. Kiedy się obudziła, zobaczyła, że w namiocie mieszka razem z nią pięć innych samotnych kobiet. Jedna siedziała na swojej polówce i płakała. Dwie wyglądały na zdezorientowane i zagubione, a pozostałe okazały się, zgłaszając się jako ochotniczki do pomocy w polowej kuchni w parku, karmiącej cierpiących. Marion wstała z łóżka, wygładziła ubranie

i pomaszerowała z nowymi koleżankami do kilku dużych namiotów, które wojsko postawiło jako prowizoryczne szpitale.

Lekarz natychmiast kazał jej opatrywać i bandażować rany, które nie wymagały usług doktorów, ci bowiem byli zajęci na chirurgii ratowaniem życia najciężej rannym. Marion straciła poczucie czasu. Zapomniała o śnie i zmęczeniu, pracując w schronisku dla dzieci. Wiele z nich było tak dzielnych, że pękało jej serce. Po opatrzeniu skaleczeń i siniaków małej trzylatki, która straciła całą rodzinę, odwróciła głowę ze łzami w oczach, gdy dziewczynka podziękowała jej cichutkim głosem.

19 - Pościg

Przeszła do następnego łóżka i przyklękła obok chłopca przywiezionego z chirurgii, gdzie nastawiano mu złamaną nogę. Poprawiała mu właśnie koc, kiedy poczuła za sobą czyjaś obecność, a potem usłyszała znajomy głos.

- Przepraszam, siostrze, ale odpadła mi ręka. Może mi ją siostra przyczepić?

Marion odwróciła się i rzuciła w rozłożone ramiona Isaaca Bella.

- Och, Isaac, dzięki Bogu, że nic ci się nie stało. Tak się o ciebie martwiłam.

Bell uśmiechnął się szeroko, brudny na twarzy.

- Trochę zmaltretowany, ale trzymam się na nogach.
- Jak mnie znalazłeś?
- Jestem detektywem, pamiętasz? Szpital był pierwszym miejscem, do którego zajrzałem. Wiedziałem, że pójdziesz w ślady Florence Nightingale, masz za wielkie serce, żeby nie pomóc ludziom w potrzebie, zwłaszcza dzieciom. - Przytulił ją i wyszeptał jej do ucha:

- Jestem z ciebie dumny, pani Bell.

Odsunęła się od niego i spojrzała mu w oczy, zdezorientowana.

- Pani Bell?

Bell wciąż się uśmiechał.

- Nie jest to zbyt romantyczna pora ani miejsce na oświadczenia, ale czy wyjdiesz za mnie?
- Isaacu Bell - zawołała Marion - jak śmiesz mi to robić!

Potem złagodniała, przyciągnęła do siebie jego twarz i pocałowała go.

- Oczywiście, że za ciebie wyjdę - powiedziała cicho, kiedy go puściła. - To najlepsza propozycja, jaką dostałam przez cały dzień.

Jego uśmiech zniknął, usta się zacisnęły, a głos nabrał ostrości.

- Nie mogę zostać ani chwili. Cromwell i Margaret uciekają z San Francisco. Póki żyję, nie pozwolę, żeby ten łajdak uszedł wolno.

Jego zaciekłość przeraziła Marion, ale uścisnęła go mocno.

- Nie codziennie dziewczyna przyjmuje oświadczenia od kochanka, który zaraz potem ucieka. - Pocałowała go jeszcze raz. - Masz do mnie wrócić, słyszysz?

- Jak tylko będę mógł.

- Będę tu czekała. Nie spodziewam się, żeby ktokolwiek prędko opuścił to obozowisko.

Bell podniósł do ust jej dłonie i pocałował obie. Potem odwrócił się na pięcie i zniknął ze

szpitalnego namiotu.

Bell nie zamierzał wracać do posiadłości Cromwella na Nob Hill, żeby sprawdzić, czy Margaret uciekła. Był pewien, że zniknęła razem z bratem.

Pałace bogatych i wpływowych zmieniły się w wielkie płonące stosy. Ze wszystkich stron miasta dobiegał ryk ognia, łoskot walących się ścian i eksplozje dynamitu.

Ford K był lekki i szybki. A także wytrzymały. Wspinał się na sterty gruzu jak kozica. Nie wiedząc o tym nawet, Bell wybrał prawie tę samą trasę, co Cromwell i Abner, wzdłuż północnego brzegu, z dala od ognia. Minęło ledwie pół godziny od rozstania z Marion, kiedy zatrzymał samochód na rampie magazynu Cromwella i upewnił się, że wagon faktycznie zniknął.

Lokomotywy robocze podczepiały wagony do pociągów pasażerskich, żeby ewakuować uchodźców na południe stanu, gdzie wciąż były przejezdne tory; wagony towarowe wysyłano po żywność i leki do Los Angeles. Bell wjechał fordem w głąb stacji i wzdłuż torów dotarł do drewnianego budynku oznaczonego jako dyspozytornia. Zatrzymał wóz, wyskoczył na ziemię i wszedł do środka.

Kilku urzędników ślęczało nad dokumentami wysyłanych pociągów i żaden nawet nie spojrzął na Bella.

- Gdzie mogę znaleźć głównego dyspozytora? - spytał.

Urzędnik wskazał głową drzwi.

- Tam.

Bell zastał dyspozytora zapisującego liczby na ogromnej tablicy, na której oznaczone były tory prowadzące ze stacji przeładunkowej. Według tabliczki na biurku mężczyzna nazywał się Morton Gould. Był niskim człowiekiem o cofniętym podbródku i zakrzywionym nosie. Na tablicy widać było co najmniej trzydzieści pociągów rozmieszczonych na torach rozchodzących się ze stacji ni-

czym pajęczyna. Bell odruchowo zaczął się zastanawiać, w którym składzie jest wagon Cromwella.

- Pan Gould?

Gould odwrócił się i zobaczył mężczyznę, który wyglądał, jakby właśnie przebył na piechotę piekło.

- Nie widzi pan, że jestem zajęty? Jeśli chce pan złapać pociąg z miasta, musi pan iść na dworzec Southern Pacific czy raczej do tego, co z niego zostało.

- Nazywam się Bell. Jestem z Agencji Detektywistycznej Van Dorna. Szukam wagonu o numerze seryjnym 16455.

Gould wskazał tablicę.

- Southern Pacific porusza niebo i ziemię, żeby wywieźć z miasta tysiące bezdomnych naszymi promami i holownikami do Oakland, gdzie czekają pociągi, które ewakuują ich z tego rejonu. Z całego kraju jedzie tu ponad tysiąc czterysta wagonów z pomocą. Wszystkich trzysta wagonów po tej stronie zatoki, pasażerskich i towarowych, jest wysyłanych na południe stanu. Jakim cudem mam wiedzieć, gdzie jest akurat jeden z nich?

Bell spojrzał Gouldowi w oczy.

- Ten konkretny wagon należał do Jacoba Cromwella.

Zobaczył to - ledwie zauważalny błysk rozpoznania.

- Nie znam żadnego Jacoba Cromwella. - Gould przerwał i z obawą popatrzył na Bella. - O co tu chodzi?

- Wysłał pan lokomotywę, żeby przetoczyła jego prywatny wagon towarowy.

- Pan oszalał. Nie wysłałbym prywatnego pociągu w takiej sytuacji.

- Ile panu zapłacił?

Dyspozytor podniósł rękę.

- Nie mógł mi zapłacić ktoś, kogo nie znam. To niedorzeczne.

Bell zignorował jego kłamstwo.

- Dokąd jedzie pociąg Cromwella?

- Dobrze, niech pan posłucha - powiedział Gould z coraz większym strachem w oczach. - Niech się pan stąd wynosi, glina od Van Dorna czy nie.

Bell zdjął kapelusz i wykonał taki ruch, jakby wyciągał coś zza opaski. W następnej chwili dyspozytor zaglądał w otwory luf der-ringera. Bell przycisnął je do krawędzi lewego oczodołu Goulda.

- Jeśli nie powiesz prawdy w ciągu najbliższych sześćdziesięciu sekund, strzelę, a kula okropnie zniekształci ci twarz i wyrwie oboje oczu. Chcesz spędzić resztę życia jako okaleczony ślepiec?

Na twarzy Goulda pojawił się grymas hipnotycznej grozy.

- Pan oszalał.
- Zostało ci pięćdziesiąt sekund widzenia.
- Pan nie może!
- Mogę i zrobię to, chyba że mi powiesz, co chcę wiedzieć.

Zimny wyraz twarzy i lodowaty ton wystarczyły, by przekonać

Goulda, że detektyw Van Dorna nie blefuje. Rozejrzał się szaleńczo, jakby szukając drogi ucieczki, ale Bell nieustępliwie ciągnął:

- Trzydzieści sekund. - Bell odciągnął kurek derringera.

Gould się zgarbił, z oczami pełnymi zgrozy.

- Nie, proszę - wybełkotał.
- Mów!
- Dobrze - powiedział cicho dyspozytor. - Cromwell tu był. Za płacił mi dziesięć tysięcy dolarów gotówką, żebym podczepił jego wagon do szybkiej lokomotywy i skierował pociąg na tory na południe.

Bell zmrużył oczy, nie rozumiejąc.

- Na południe?
- To jedyna droga z miasta - odparł Gould. - Wszystkie promy kolejowe są używane do przewozu ludzi do Oakland i pociągów z pomocą z powrotem. Nie miał innego wyjścia.
- Jaką pojechał trasą?
- W dół do San Jose, potem wokół zatoki na północ, aż do skrzyżowania na wschód, na główną magistralę

przez góry i przez Nevadę do Salt Lake City.

- Kiedy wyjechał ze stacji? - spytał Bell.
- Jakież cztery godziny temu.

Bell wciąż przyciskał pistolet.

-- Kiedy ma dotrzeć do Salt Lake City?

Gould pokręcił głową w serii szybkich spazmów.

- Nie umiem powiedzieć. Jego maszynista będzie musiał długo stać na bocznicach, żeby przepuścić pociąg z pomocą. Jeśli będzie miał szczęście, dotrze do Salt Lake City jutro późnym popołudniem.
- Jaką lokomotywę przydzieliłeś do prywatnego wagonu Cromwella?

Gould pochylił się nad biurkiem i zajrzał do notatek w wielkiej księdze.

- Dałem mu numer 3025, 4-6-2 Pacific, konstrukcji Baldwina.
- To szybka lokomotywa?

Gould kiwnął głową.

- Mamy kilka szybszych.
- Kiedy któraś będzie dostępna?
- Czemu pan pyta?

- Chcę dostać najszybszą lokomotywę, jaką macie - odparł Bell, grożąc Gouldowi derringerem. - To gardłowa sprawa. Muszę dogonić pociąg Cromwella.

Gould spojrział na wielką tablicę.

- Mam numer 3455, to Baldwin Atlantic 4-4-2. Jest szybsza niż Pacific. Ale stoi w lokomotywni w Oakland na czas napraw.
- Kiedy będzie gotowa?

- Warsztat może ją wypuścić za trzy godziny.

- Biorę - powiedział Bell bez wahania. - Kosztami obciążcie Van Dorna.

Gould wyglądał, jakby chciał protestować i kłócić się z Bellem, ale widok derringera ostudził jego zapał.

- Jeśli mnie pan zgłosi, mogę stracić pracę i iść do więzienia.

- Daj mi tę lokomotywę, puść mnie przez San Jose do Salt Lake City, a nic nikomu nie powiem.

Gould westchnął z wdzięcznością i zaczął przygotowywać dokumenty wynajmu oraz trasę lokomotywy dla Agencji Detektywistycznej Van Dorna. Kiedy skończył, Bell zabrał papiery i przejrzał je szybko. Usatysfakcjonowany wyszedł z dyspozytorni bez słowa, wsiadł do forda i pojechał na prom.

Zbliżając się do Ferry Building, siedziby przepraw promowych, Bell zarzucił na głowę koc, dla ochrony przed deszczem płonących szczątków. Widział, że Chinatown już nie ma, zostało z niego niewiele więcej niż setki zwęglonych, dymiących zgliszcz. Ferry Building przetrwał z lekko tylko uszkodzoną wieżą zegarową. Bell zauważył, że zegar stanął o piątej dwanaście, kiedy uderzyło trzęsienie ziemi.

Ulice i chodniki dookoła budynku były rzeką ludzkich głów. Tysiące uciekały, przekonane, że całe miasto ulegnie zniszczeniu. Skłębiony tłum posuwał się w chaosie, niektórzy owinęli się kocami i dźwigali wszystko, co tylko mogli ze sobą zabrać na prom. Inni pchali dziecięce albo zabawkowe wózki, a mimo to, w całym tym koszmarze, wszyscy byli uprzejmi i mili dla siebie nawzajem.

Bell stanął obok młodego mężczyzny, który wyglądał, jakby dla rozrywki oglądał pożary po przeciwnej stronie nabrzeża. Podniósł dwudziestodolarową złotą monetę.

- Jeśli umie pan prowadzić samochód, niech pan jedzie do Gmachu Ceł i odda go Horace'owi Bronsonowi z Agencji Detekty wistycznej Van Dorna, a ta moneta będzie pańska.

Chłopak szeroko otworzył oczy, nie tyle na widok pieniędzy, ile przejęty perspektywą jazdy automobilem.

- Tak, proszę pana - powiedział z ochotą. - Umiem jeździć maxwellem wujka.

Bell patrzył z rozbawieniem, jak chłopak wrzuca bieg i odjeżdża zatłoczoną ulicą. Potem odwrócił się i dołączył do ludzi uciekających przed pożarem.

Przez trzy dni ponad dwieście dwadzieścia pięć tysięcy ludzi opuściło półwysep, na którym leży San Francisco, wszyscy wywiezieni za darmo przez linię Southern Pacific tam, gdzie tylko chcieli pojechać. W ciągu dwudziestu czterech godzin od trzęsienia ziemi przeładowane promy odpływały z San Francisco do Oakland co godzinę.

Bell pokazał swoją legitymację Van Dorna i wsiadł na prom o nazwie „Buena Vista”. Znalazł sobie miejsce nad bocznym ko-

łem i odwrócił się, żeby popatrzeć na płomienie strzelające na dziesiątki metrów w niebo, zasłane trzystumetrową warstwą dymu. Z daleka miasto wyglądało, jakby było jednym wielkim ogniskiem.

Kiedy zszedł na ląd w Oakland, pracownik kolei skierował go do warsztatu, gdzie czekała jego lokomotywa. Mamuci stalowy potwór z bliska stanowił wspaniały widok. Od pługu po tył tendra pomalowano go na czarno. Bell zgadywał, że dach kabiny wznosi się co najmniej pięć metrów nad torami. Wielkie koła napędowe miały dwieście pięć centymetrów średnicy. W swoim czasie lokomotywa typu Atlantic była majstersztykiem napędu mechanicznego.

Według Bella wyglądała wrednie i brzydko. Numer 3455 był wymalowany małymi, białymi cyframi na boku kabiny; napis „Southern Pacific”, większą czcionką, biegł wzdłuż boku tendra, zasilającego kocioł węglem i wodą. Bell podszedł do mężczyzny w tradycyjnym pasiastym kombinezonie maszynisty i w prążkowanej czapce z daszkiem. Nieznajomy trzymał dużą puszkę oliwy z długim dzióbkiem i oliwił łożyska drążków łączących cylindry z kołami.

- Wspaniała lokomotywa - powiedział Bell z podziwem.

Maszynista podniósł wzrok. Był niższy od Bella, spod czapki

wystawały mu kosmyki włosów w kolorze soli z pieprzem. Twarz miał wysuszoną po latach wychylania się z kabiny gnającego pociągu. Brwi nad parą jasnoniebieskich oczu były wykrzywione i krzaczaste. Bell ocenił, że maszynista jest młodszy, niż wygląda.

- Nie ma lepszej niż Adeline - odparł mężczyzna.

- Adeline?

- Łatwiej zapamiętać niż czterocyfrowy numer. Większość lokomotyw dostaje damskie imiona.

- Adeline wygląda na bardzo mocną - powiedział Bell z podziwem.

- Jest przeznaczona do ciężkich składów pasażerskich. Wyjechała z zakładów Baldwina niecałe pięć miesięcy temu.

- Jak szybko pojedzie? - spytał Bell.
- Zależy, ile będzie ciągnąć wagonów.
- Powiedzmy, że żadnego.

Maszynista chwilę się zastanawiał.

- Na długim, prostym odcinku dobieje do stu pięćdziesięciu na godzinę.
- Nazywam się Bell. - Isaac wręczył maszyniście papiery. - Wynająłem pana lokomotywę do zadania specjalnego.

Maszynista przejrzał dokumenty.

- Biuro detektywów Van Dorna, tak? Co się stało?
- Słyszał pan kiedyś o Rzeźniku?
- A kto nie słyszał? Czytałem w gazecie, że to najgorszy typ z możliwych.

Bell nie marnował czasu na szczegółowe wyjaśnienia.

- Jedziemy za nim w pościg. Wynajął lokomotywę typu Pacific do ciągnięcia swojego wagonu. Pędzi do Salt Lake City, a potem na północ do kanadyjskiej granicy. Ma jakieś pięć godzin przewagi.
- Raczej sześć, zanim nabierzemy węgla i nabijemy pary.
- Powiedziano mi, że były jakieś naprawy. Są skończone?

Maszynista kiwnął głową.

- Warsztat wymienił wadliwe łożysko w jednym z kół.
- Im szybciej ruszymy, tym lepiej. - Bell wyciągnął dłoń. - Przy okazji, na imię mam Isaac.

Uścisk dłoni maszynisty był energiczny.

- Nils Lofgren. Mój palacz to Marvin Long. Bell

wyjął z kieszeni zegarek i sprawdził czas.

- Do zobaczenia za czterdzieści pięć minut.
- Będziemy przy rampie z węglem kawałek dalej przy torach.

Bell pospieszył do terminalu Oakland, aż natknął się na drewniany budynek, w którym mieściło się biuro Western Union. Telegrafista powiedział mu, że do Salt Lake City jest otwarta tylko jedna linia, a wiadomości wychodzą z wielogodzinnym opóźnieniem. Bell wyjaśnił, o co mu chodzi, i telegrafista okazał się skłonny do pomocy.

- Jak brzmi wiadomość? - spytał. - Dopilnuję, żeby wysłać ją natychmiast do naszego biura w Salt Lake.

Telegram Bella brzmiał następująco:

„Do dyrektora biura Van Dorna, Salt Lake City. Ważne! Zatrzymać lokomotywę z wagonem numer 16455. Wiezie Rzeźnika.

Najwyższa ostrożność. Bardzo niebezpieczny. Aresztować i trzymać do mojego przybycia.

Isaac Bell, agent specjalny”

Zaczekał, aż telegrafista nada wiadomość, a potem wyszedł z biura i poszedł tam, gdzie Lofgren i Long ładowali węgiel i wodę. Wspiął się do kabiny i został przedstawiony Longowi, zwalistemu, barczystemu mężczyźnie, którego mięśnie rozpychały rękawy dżinsowej koszuli. Long nie nosił czapki, a jego rude włosy dorównywały niemal odcieniem płomieniom w palenisku. Ściągnął skórzaną rękawicę i uściśnął dłoń Bella ręką twardą i zrogowaciałą od długich godzin machania szuflą z węglem.

- Jesteśmy gotowi - oznajmił Lofgren.
- Jedziemy - odparł Bell.

Long dorzucił do ognia, a Lofgren zajął swoje miejsce po prawej stronie kabiny, dźwignią otworzył zawór parowy, uniósł pokrywy cylindrów i pociągnął dwa razy linkę nad głową, aż gwizdek ostrzegł o ruszającej lokomotywie. Potem chwycił długą dźwignię przepustnicy i pociągnął ją do siebie. Adeline ruszyła, powoli nabierając prędkości.

Dziesięć minut później Lofgren dostał sygnał, by wjechać na główną magistralę na wschód. Znow pociągnął dźwignię przepustnicy i wielki atlantic ruszył przed siebie. Powoli sunął przez stację. Long

zaczął podsycać ogień, jasny i równomierny. Przez pięć lat palenia w lokomotywach wyrobił sobie technikę niedopuszczającą, by węgiel palił się za słabo czy za mocno. Lofgren pociągnął przepustnicę, koła napędowe zabuksowały przy wtórze buchającej pary, a z komina wydobył się czarny dym.

Bell zajął miejsce po lewej stronie kabiny, czując ogromną ulgę, że w końcu ruszył w ostatni, jak wierzył, etap pościgu za Cromwellem i że przekaże go policji w Chicago, żywego lub martwego.

Wibracje lokomotywy na torach uspokajały go niczym pływanie pontonem po górskim jeziorze; stukot pary napędzającej koła i ciepło bijące od paleniska odprężały. Zanim dotarli do Sacramento i skręcili na wschód przez góry Sierra Nevada, Bell osunął się na swoim siedzisku, ziewnął i zamknął oczy. Po chwili mocno już spał mimo hałasu pędzącej lokomotywy, a Adeline skierowała swój wielki pług w stronę Sierra Nevada i przełączy Donnera.

Abner Weed szufłował węgiel do paleniska, a jego beczkowatą pierś i bycze ramiona zlewał pot. Wiedział, że ogień należy podtrzymywać w umiejętny sposób, ale nie miał pojęcia, jak to robić. Ładował po prostu węgiel przez drzwiczki, ignorując narzekania maszynisty, że za dużo paliwa obniży temperaturę ognia.

Abner zabrał się do tego dopiero na prośbę palacza, Ralpa Wilbanksa, wielkiego, krzepkiego mężczyzny, który zmęczył się po kilku godzinach utrzymywania temperatury pary niezbędnej, by wielki pacific gnał po stromych zboczach gór Sierra Nevada. Na zmianę godzinę szufłowali, godzinę odpoczywali.

Abner cały czas pozostawał czujny, z rewolwerem Smith & Wesson za pasem. Miał oko na maszynistę, zajętego utrzymywaniem dużej, ale bezpiecznej szybkości na licznych górskich zakrętach i jednocześnie wypatrywaniem nieprzewidzianych przeszkód, na przykład pociągu jadącego poza rozkładem w przeciwnym kierunku. W końcu pokonali ostatni szczyt i od tej pory jechali w dół, aż do płaskiej równiny pustyni.

- Dojeżdżamy do Reno! - zawołał Wes Hall, maszynista, przekrzykując ryk ognia w palenisku. Zawzięty mężczyzna o rysach wychłostanego wiatrem i deszczem kowboja chciał zatrzymać pociąg w proteście, kiedy jego pasażerowie zażądali, by pobił rekord prędkości, przejeżdżając przez góry. Ustąpił jednak, kiedy Abner przystawił mu do głowy rewolwer i zagroził, że zabije jego i palacza, jeśli nie zrobią tego, co im każe. Tysiąc dolarów w gotówce od Cromwella przekonało go ostatecznie; Hall i Wilbanks gnali teraz lokomotywę przez góry najszybciej, jak się dało.

- Przed nami czerwone - powiedział Wilbanks. Hall

machnięciem ręki dał znać, że też to zobaczył.

- Musimy się zatrzymać i zaczekać na bocznicy. Abner

wycelował rewolwer w głowę maszynisty.

- Powieś się na gwizdku. Przejeżdżamy.

- Nie możemy - powiedział Hall, patrząc mu w oczy. - To musi być ekspres wiozący pomoc dla San Francisco, na tym samym to rze co my. Wolę, żebyś mnie zastrzelił, niż gdybym miał spowolnić kolizję z innym pociągiem, która zabiłaby nas wszystkich i zatrzymała ruch w obie strony na tydzień.

Abner powoli schował rewolwer z powrotem za pasek.

- Dobrze. Ale wracamy na główny tor, jak tylko ekspres przejedzie.

Hall zaczął zamykać przepustnicę.

- Możemy wykorzystać postój, żeby nabrać węgla i wody.

- Dobrze. Ale zachowujcie się albo obu wam wpakuję po kulce.

- Ralph i ja długo już nie wytrzymamy. Jesteśmy wykończeni.

- Zarobicie na swoją zapłatę i przeżyjecie, jadąc dalej - zagroził Abner.

Wychylił się z lewej strony kabiny i w oddali zobaczył stację w niewielkim mieście Reno w Nevadzie. Kiedy się zbliżyli, zauważył postać machającą małą, czerwoną chorągiewką przy zwrotnicy. Hall zagwizdał, oznajmiając ich przybycie i informując sygnalistę, że zrozumiał znak i jest gotów zjechać z głównego toru.

Hall zatrzymał tender pacifica tuż pod drewnianym zbiornikiem po jednej stronie torów i zasobnikiem z węglem po drugiej. Wilbanks wskoczył na tender, chwycił linę i pociągnął kran zamocowany na zawiasie do zbiornika, aż pod siłą grawitacji woda połała się do lokomotywy. Hall wysiadł z puszką oliwy i zaczął sprawdzać wszystkie przekładnie i łożyska, a ponieważ Cromwell nie chciał czekać na przyświecenie hamulcowego, musiał sprawdzić też łożyska kół tendra i wagonu.

Nie spuszczać oka z Halla i Wilbanksa, Abner przeszedł za tender do drzwi wagonu towarowego. Zastukał w nie dwa razy kolbą swojego rewolweru, zaczekał chwilę, zastukał ponownie.

Drzwi odblokowano od środka i odsunięto. Stanęli w nich Jacob i Margaret Cromwellowie.

- Skąd to opóźnienie? - spytał Cromwell.

Abner ruchem głowy wskazał lokomotywę.

- Zjechaliśmy na bocznice, żeby przepuścić ekspres z pomocą. Tymczasem obsługa nabiera wody i węgla.

- Gdzie jesteśmy? - spytała Margaret. Była ubrana w męskie spodnie, wpuszczone w wysokie buty, niebieski sweter, a włosy schowała pod chustą.

- W Reno - odparł Abner. - Wyjechaliśmy już z gór. Od tej pory teren będzie coraz bardziej płaski, aż przejdzie w pustynię.

- Jak wygląda dalsza trasa? - spytał Cromwell. - Jeszcze jakieś pociągi nas zatrzymają?

- Dowiem się u zwrotnicowego, czy coś jeszcze ma jechać na zachód. Ale jeśli tak, będziemy musieli przeczekać na bocznicę.

Cromwell zeskoczył na ziemię i rozpostarł na niej mapę. Nakreślone na niej linie ukazywały sieć kolei w Stanach Zjednoczonych na zachód od Missisipi. Wskazał punkt, gdzie leżało Reno.

- Dobrze, jesteśmy tutaj. Następne skrzyżowanie z torami na północ jest w Ogden w Utah.

- Nie w Salt Lake City? - spytała Margaret.

Cromwell pokręcił głową.

- Główna magistrala Southern Pacific łączy się z torami Union Pacific na północ od Salt Lake. Skręcimy na północ w Ogden i po jedziemy do Missoula w Montanie. Stamtąd pojedziemy torami Northern Pacific do Kanady.

Abner nie spuszczał oka z obsługi lokomotywy. Zobaczył, że palacz męczy się z węglem sypiącym się do tendra, a maszynista chodzi w kółko jak w transie.

- Obsługa jest już nieprzytomna. Będziemy mieli wielkie szczęście, jeśli zdołają prowadzić lokomotywę przez następne cztery godziny.

Cromwell przyjrzał się mapie.

- W Winnemucca w Nevadzie jest stacja przeładunkowa, dwie ście siedemdziesiąt kilometrów stąd. Tam zabierzemy inną załogę.

- A co z tymi dwoma? - spytał Abner. - Nie możemy pozwo lić, żeby pobiegli do najbliższego telegrafu i zawiadomili policję na naszej trasie.

Cromwell chwilę się zastanawiał.

- Zatrzymamy ich ze sobą, a potem wyrzucimy ich z pocią gu na jakimś pustynnym odludziu. Nie będziemy ryzykować, że agenci Van Dorna dowiedzą się, że wyjechaliśmy z San Francisco, i zawiadomią telegrafem policję na trasie, więc po drodze będzie my ciąć druty.

Margaret spojrzała przeciągle na góry i tory, którymi przyjechali.

- Myślisz, że Isaac nas ściga?
- Pytanie tylko, jak długo, droga siostró - odparł Cromwell ze swoją zwykłą pewnością siebie. - Ale zanim zrozumie, że uciekliśmy z San Francisco i znajdzie lokomotywę, którą będzie mógł ruszyć w pościg, będziemy w połowie drogi do Kanady i nie będzie miał szansy nas zatrzymać.

Adeline była dumą i skarbem Lofgrena; mówił do niej, jakby była piękną kobietą, a nie stalowym, ziejącym ogniem potworem pędzącym po krętych torach przez Sierra Nevada i Przełęcz Donne-ra. Bez dwustu ton wagonów obciążonych pasażerami i bagażem sunęła bez wysiłku.

Wiosenne powietrze było chłodne i rześkie, na ziemi wciąż leżał śnieg. Przełęcz Donnera była owianym złą sławą odcinkiem gór, gdzie wydarzył się najsmutniejszy epizod historii Zachodu. Kolumna wozów kilkunastu rodzin przeszła do legendy, kiedy wyprawa Donnera została uwięziona przez śnieżycę zimą 1846 roku i okrutnie ucierpiała, zanim została uratowana. Wielu przeżyło, jedząc zwłoki. Z osiemdziesięciorga siedmiorga mężczyzn, kobiet i dzieci do Kalifornii dotarło zaledwie czterdzieści pięć osób.

Bell nie spał już, odkąd przejechali przez Sacramento, i z fascynacją podziwiał krajobraz - wyniosłe, skaliste szczyty, modrzewiową puszcę, wciąż miejscami przygniecioną śniegiem; tunele wryte dynamitem w granicę przez chińskich robotników w 1867 roku. Adeline wpadła w czarną paszczę długiego tunelu; ryk lokomotywy odbił się echem od ścian jak setka bębnow. Niedługo w oddali pojawiło się małe kółko światła, które szybko zaczęło rosnać. Potem Adeline wypadła na jasne słońce, przy wtórze łoskotu gromu. Kilka kilometrów dalej zobaczyli przed sobą panoramę Jeziora Donnera, a pociąg zaczął długą, krętą drogę w dół, ku pustyni.

Bell patrzył z pewnym niepokojem w trzystumetrową otchłań, rozpościerającą się krok czy dwa od krawędzi ostrego zakrętu, który właśnie pokonywali. Nie musiał ponaglać Lofgrena do szybszej jazdy. Maszynista gnał lokomotywę z prędkością prawie sześćdziesięciu kilometrów na godzinę po górskich meandrach, dobre piętnaście kilometrów na godzinę, szybciej niż uważano za bezpieczne.

- Minęliśmy szczyt - oznajmił Lofgren - i przez następnych sto dwadzieścia kilometrów mamy z górki.

Bell wstał i ustąpił Longowi jego miejsce po lewej stronie kabiny. Palacz z wdzięcznością usiadł odpocząć, a Lofgren zamknął dopływ pary i pozwolił, by Adeline zjeżdżała z przełęczy rozpędem. Long ładował węgiel niemal bez przerwy, odkąd wjechali na główną magistralę w Sacramento i po stromym zboczu w góry Sierra Nevada.

- Pomóc panu? - spytał Bell.
- Proszę bardzo - odparł Long, zapalając fajkę. - Powiem panu, jak ładować węgiel do paleniska. Chociaż przez następną godzinę będziemy jechali rozpędem, ogień nie może zgasnąć.
- Nie wystarczy po prostu wrzucać go szpadlem?

Long wyszczerzył się w uśmiechu.

- To nie takie proste. I to nie szpadel, tylko szufla palacza rozmiar cztery.

Przez następne dwie godziny Bell mozolił się przed plątaniną rur i zaworów, ucząc się trudnej sztuki palenia w lokomotywie. Tender kołysał się na zakrętach, utrudniając ładowanie węgla do paleniska. Kiedy jednak Adeline jechała w dół, praca była prosta.

Bell szuflował akurat tyle węgla, by podtrzymać ciśnienie pary. Szybko nauczył się otwierać szeroko drzwiczki paleniska po tym, jak uderzył w nie szuflę i wysypał węgiel na podłogę. A zamiast usypywać go w płonąca stertę, zdobył umiejętność zasilania ognia tak, by palił się jasno i pomarańczowo.

Ostre zakręty zostawili za sobą, coraz szerszym łukiem opadając do podnóża gór. Godzinę po tym, jak Bell oddał szuflę Longowi, palacz krzyknął do Lofgrena:

- Wody i węgla mamy jeszcze na osiemdziesiąt kilometrów.

Lofgren kiwnął głową, nie odrywając wzroku od torów przed nimi.

- Wystarczy do Reno. Tam możemy dobrać węgla i wody i zabrać zmienników.

Bell uświadomił sobie, jakim wysiłkiem dla Longa i Lofgrena była trasa przez góry. Zauważył zmęczenie ciała i umysłu ogorzałego maszynisty, a fizyczny wysiłek niezbędny, by utrzymać ciśnienie pary na stromiznach, wyczerpał niestrudzonego palacza. Dla Bella było oczywiste, że załoga Cromwella musi być tak samo zmęczona. Spojrzał na zegarek, zastanawiając się, czy skrócili dystans.

- Ile czasu zajmie zebranie nowej załogi? - spytał.

- Tyle, ile ładowanie wody i węgla do tendra - odparł Lofgren. Potem uśmiechnął się ze znużeniem, pokazując krzywe zęby. - O ile będziemy mieli szczęście i jakaś będzie gotowa.

- Jestem wdzięczny wam obu - powiedział Bell z przekonaniem.

- Spisaliście się naprawdę bohatersko, przejeżdżając góry. To chyba nowy rekord.

Lofgren wyjął swój wielki kolejowy zegarek Waltham z lokomotywą wygrawerowaną na kopercie.

- Rzeczywiście. - Zaśmiał się. - Pobiliśmy o sześć minut stary rekord, ustanowiony przez Marvina, mnie i Adeline pół roku temu.

- Kochacie tę lokomotywę, prawda? - spytał Bell.

Lofgren znów się roześmiał.

- Wszystkie lokomotywy Atlantic wypuszczone na tory są najlep sze na świecie, wszystkie są zbudowane dokładnie tak samo, mają tę samą konstrukcję i wymiary. A mimo to każda jest inna - jak ludzie,

305

20 - Pościg wszystkie mają różne osobowości. Niektóre jeżdżą szybciej niż inne, przy tym samym ciśnieniu pary. Jedne są wybredne, inne pechowe, ciągle mają problemy z naprawami. Ale Adeline jest skarbem. Nie marudzi, nigdy nie kaprysi i nie wybrzydza. Wystarczy traktować ją jak damę, a ona jest jak pełnej krwi klacz, która wygrywa wyścigi.

- Mówi pan o niej prawie jak o człowieku.

- Adeline może sobie być stusiedmiotonową bryłą stali i żelaza, ale ma serce.

Zbliżali się do Reno. Lofgren pociągnął sznurek gwizdka, ogłaszając, że zamierza zjechać na bocznice po węgiel i wodę. Przymknął przepustnicę, żeby zwolnić. Zwrotnicowy przerzucił dźwignię, łącząc zewężające się szyny, tak samo jak wcześniej dla pociągu Cromwella. Potem machnął zieloną chorągiewką, dając Lofgrenowi znak, że droga wolna.

Zanim jeszcze Adeline całkiem się zatrzymała, Bell wyskoczył z kabiny

i pobiegł przez stację na dworzec, który wyglądał jak tysiąc innych dworców w małych miasteczkach w całym kraju. Miał ściany z desek, łukowate okna i spiczasty dach. Peron był pusty, wydawało się, że żaden pociąg pasażerski szybko się tu nie zatrzyma.

Bell wszedł do środka, minął kasę biletową i zatrzymał się przy małym pokoju telegrafisty. Dwaj mężczyźni w środku pogrążeni byli w rozmowie, kiedy się pojawił. Uderzyło go, że mieli poważne i ponure miny.

- Bardzo przepraszam - powiedział. - Szukam zawiadowcy stacji. Wyższy z dwóch mężczyzn przyjrzał się Bellowi, a potem kiwnął głową.

- Ja jestem zawiadowcą, Burke Pulver. Czym mogę służyć?

- Czy w ciągu ostatnich dziesięciu godzin był tu pociąg z tylko jednym wagonem towarowym, jadący na wschód?

Pulver kiwnął głową.

- Stali na bocznicy przez dwie godziny, przepuszczając dwa ekspresy z pomocą dla ofiar trzęsienia ziemi w San Francisco.

- Mieli dwie godziny opóźnienia? - spytał Bell, czując nagły przypływ optymizmu. - Kiedy odjechali?

Pulver zerknął na zegar Setha Thomasa na ścianie.

- Jakież cztery i pół godziny temu. Czemu pan pyta?

Bell przedstawił się i pokrótce wyjaśnił, dlaczego ściga Cromwella.

Pulver spojrzał mu w oczy.

- Chce pan powiedzieć, że w tym wagonie towarowym jechał niesławny Rzeźnik?
- Tak, jechał nim.
- Gdybym tylko wiedział, powiedziałbym szeryfowi.

Opóźnienie było mniejsze, niż Bell sądził.

- Ma pan gotową zmianę załogi? Moja jest wykończona po rekordowym przejeździe przez góry.
- Z kim pan jedzie?
- Z Lofgrenem i Longiem.

Pulver się roześmiał.

- Mogłem się domyślić, że ci dwaj będą próbowali pobić własny rekord. - Spojrzał na tablicę na ścianie. - Mam pod ręką załogę -przerwał. - Tak mi się wydawało, że w tym pociągu było coś dziwnego. Reno to przystanek prawie wszystkich pociągów jadących na wschód i zachód. Bardzo dziwne, że nie wzięli zmiany załogi. Wasz bandyta nie ucieknie daleko z wykończonym maszynistą i palaczem.

Bell spojrział na telegrafistę, łysego mężczyznę z zielonym daszkiem na czole i zarękawkami.

- Chciałbym uprzedzić stróżów prawa w miastach przed nami, żeby zatrzymali pociąg i aresztowali bandytę, który nazywa się Ja cob Cromwell.

Telegrafista pokręcił głową.

- Nic z tego. Linie nie działają. Nie mogę wysłać wiadomości na wschód.
- Idę o zakład - powiedział Bell - że Cromwell je przecina.

Pulver spojrział na dużą tablicę na innej ścianie, na której rozpisane były pociągi przejeżdżające według rozkładu przez Reno.

- Załatwię panu załogę za dwadzieścia minut. Powinien pan mieć wolną drogę do Elko. Potem mam nadzieję, że znajdzie pan działający telegraf, bo inaczej będzie pan ryzykował zderzenie z pociągiem jadącym na zachód.

- W takim razie - odparł cynicznie Bell - będę miał satysfakcję, że Cromwell zderzył się z nim pierwszy.

Adeline rozpędzała się na płaskim, prostym odcinku torów. Dobijała do stu czterdziestu kilometrów na godzinę, z rykiem pokonując mosty nad suchymi parowami, przelatując przez małe miasteczka i mijając w pędzie sygnalizatory, wskazujące, że droga przed nimi wolna. Słupy telegraficzne biegnące wzdłuż torów zlewały się w niewyraźną wstęgę. Z komina buchał szary dym z iskrami węgielków, kładł się poziomą chmurą na dachu kabiny, rozplaszczany pędem powietrza.

Na siedzisku maszynisty z ręką na przepustnicy siedział ponury, płowowłosy potomek wikingów, Russ Jongewaard, a węgiel do paleniska szuflował wysoki, wesoły Irlandczyk, Bill Shea. Usłyszawszy od Bella, co ten zamierza zrobić - za wszelką cenę schwytać słynnego Rzeźnika - obaj z chęcią przyłączyli się do pościgu.

Lofgren i Long też zostali na pokładzie.

- Zgłaszamy się na ochotnika - powiedział Lofgren. - Jak będziemy się zmieniać we czterech, nie będziemy musieli się zatrzymywać po następną załogę.

Bell dołączył do kolejki szuflowania. Rana uda po kuli Cromwella z Telluride jeszcze do końca się nie zagoiła, ale o ile za bardzo jej nie obciążał, zbytnio mu nie dolegała. Brał na szufłę połowę tego, co Long i Shea, ale nadrabiał, szuflując dwa razy szybciej.

Dwaj palacze na zmianę obserwowali miernik poziomu wody i ciśnienia pary, dbając, by ogień palił się równo, a ciśnienie utrzymywało się tuż poniżej stu kilogramów, o włos od czerwonego pola. Obserwowali też dym z komina. Kiedy robił się przezroczysty, dorzucali węgla. Gdy czerniał - oznaczało to, że ogień jest za duży i trzeba dać mu się wypalić.

Między Lofgrenem i Jongewaardem rozpoczęła się rywalizacja, niewypowiedziana i niesprowokowana, ale bynajmniej nie niezauważalna. Adeline być może pokazała potęgę swojej konstrukcji i błyskawiczną prędkość swoich kół napędowych, ale to siła i wytrzymałość mężczyzn, którzy pchnęli ją do granic jej możliwości, ustanawiała rekordy tamtego dnia w Nevadzie. Maszyniści zacisnęli zęby i harowali, żeby dogonić pociąg mordercy tylu niewinnych ludzi.

Widząc semafor sygnalizujący, że tory za Elko są puste, Lofgren pchnął przepustnicę do oporu, mijając dworzec z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Ludzie czekający na peronie na pociąg pasażerski cofnęli się z przerażeniem, gdy Adeline przemknęła obok nich jak olbrzymia armatnia kula.

Na szczęście rozgałęzienia były nieliczne i rzadkie - od głównej linii odchodziło niewiele lokalnych - więc mogli utrzymywać prędkość bez zwalniania. Potem zaczęły się doprowadzające do szafu opóźnienia, najpierw w Wells, potem w Promontory, przy przepuszczaniu jadących na zachód

pociągów z pomocą. Wykorzystali ten czas na uzupełnienie węgla i wody, ale stracili osiemdziesiąt minut.

Na każdym przystanku Bell wypytywał zawiadowców stacji o pociąg Cromwella. W Wells dowiedział się, że maszynista i palacz, którzy wyruszyli z Cromwellem z Oakland, zostali znalezieni przez pracownika sprawdzającego podkłady i szyny. Przywiózł ich do miasta, ledwie trzymających się na nogach ze zmęczenia i odwodnienia. Potwierdzili to, czego Bell się obawiał - Cromwell często kazał zatrzymywać pociąg, żeby jego opryszek mógł się wspinać na słupy i ciąć druty.

- Jak nam idzie? - spytał Lofgren, kiedy Bell wrócił do kabiny.
- Zawiadowca mówi, że przejechali tędy trzy godziny temu.
- W takim razie od Reno nadrobiliśmy półtorej godziny - powiedział Long z szerokim uśmiechem, wiedząc, że ich niestrudzone wysiłki się opłaciły.
- Stąd do Ogden będziecie musieli wyteżać wzrok. Cromwell tnie kable telegrafu. Będziemy jechać na ślepo, możemy wpaść na pociąg z zachodu.
- Niewielkie ryzyko - zauważył Jongewaard. - Firma nie będzie ryzykować i wysyłać pociągów główną magistralą, jeśli nie uda im się skontaktować z zawiadowcami i uzgodnić rozkładów. Mimo to będziemy musieli uważać, zwłaszcza na zakrętach, gdzie widzi się najwyżej kilometr naprzód.
- Ile do Ogden? - spytał Bell.
- Jakieś osiemdziesiąt kilometrów - odparł Jongewaard. - Powinniśmy tam być za około godzinę.

Z Lofgrenem przy przepustnicy Adeline wjechała na stację Ogden czterdzieści dwie minuty później. Skierowano ją na bocznice serwisową, gdzie maszynista ją zatrzymał. Zdążyli już nabrać wprawy w kolejnych czynnościach. Long i Shea ładowali węgiel i wodę, Lofgren i Jongeeward oglądali lokomotywę, oliwili drażki i łożyska. Bell pospieszył na dworzec i znalazł dyspozytornię.

Za biurkiem siedział pulchny mężczyzna, wyglądający przez okno na przyjeżdżający pociąg pasażerski. Interesowały go zwłaszcza młode,

ładne kobiety, pokazujące kostki przy schodzeniu po schodkach wagonów. Bell przeczytał jego nazwisko na małej tabliczce stojącej na biurku.

- Pan Johnston?

Johnston odwrócił się do niego i uśmiechnął przyjaźnie.

- Tak, to ja. Czym mogę służyć?

Bell streścił historię o pościgu Cromwella chyba szósty raz, odkąd opuścił San Francisco.

- Może mi pan powiedzieć, kiedy przejechał jego pociąg?

- W ogóle nie przejeżdżał - odparł Johnston.

- Nie przejeżdżał przez pana stację? - Gęste brwi Bella uniosły się ku grzywie jasnych włosów.

- Tak jest - odparł Johnston, wyciągając się na obrotowym krześle i opierając stopę w kowbojskim bucie na wyciągniętej szufladzie. - Zostali skierowani na linię biegnącą na północ.

- Jak to? - warknął Bell. - Byli poza rozkładem.

- Jakaś bogata kobieta pokazała dyspozytorowi na skrzyżowaniu papiery, z których wynikało, że wynajęła pociąg z prawem przejazdu do Missoula w Montanie.

- Siostra bandyty - wyjaśnił Bell. - Chcą dotrzeć do granicy i uciec do Kanady.

Johnston ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Dyspozytor pytał mnie o pociągi na południe. W rozkładzie nie było żadnego aż do jutra rano, więc powiedziałem mu, żeby się zgodził i pozwolił pociągowi tej damy pojechać na północ.

- Kiedy to było?

- Niecałe dwie godziny temu.

- Muszę dogonić ten pociąg - oświadczył stanowczo Bell. - Byłbym wdzięczny za wolną drogę do Missoula.

- Czemu nie zatelegrafuje pan do szeryfa w Butte, żeby zatrzymał pociąg i aresztował bandytę razem z jego siostrą?

- Próbowałem od wyjazdu z Reno, ale Cromwell przeciął wszystkie linie telegrafu po drodze. Pewnie nadal to robi.

Johnston wyglądał na oszołomionego.

- Mój Boże, mógł doprowadzić do czołowego zderzenia.

- Dopóki on i jego siostra nie dotrą do kanadyjskiej granicy, nie mają nic do stracenia, nawet jeśli to oznacza, że zabiją każdego, kto im stanie na drodze.

Wstrząśnięty zawiadowca zrozumiał powagę sytuacji.

- Niech pan dopadnie tego brudnego drania - powiedział zdesperowany. - Z przyjemnością dam panu wolną drogę do Missoula.

- Jestem wdzięczny za każdą pomoc, jaką mogę dostać - odparł szczerze Bell.

- Jaki numer ma pański pociąg?

- Nie mam pociągu, tylko tender i lokomotywę numer 3455.

- Jaka to lokomotywa?

- Baldwin Atlantic 4-4-2.

- Szybka. A zmiany załogi?

- Mam dwie załogi, które upierają się jechać ze mną, dopóki nie dopadniemy bandyty.
- W takim razie mogę panu tylko życzyć powodzenia.

Johnston wstał i uściskał Bellowi dłoń.

- Dziękuję.
- Dwie godziny to duża przewaga - zauważył zawiadowca.
- Nadrobiliśmy dwie i pół od wyjazdu z Oakland.

Johnston przez chwilę myślał.

- Czeka pana prawdziwy pościg. Nie będzie łatwo.
- Zatrzymam go - stwierdził rezolutnie Bell. - Muszę go za trzymać, zanim znów kogoś zabije.

W sercach mężczyzn, którzy pocili się i trudzili, prowadząc Adeline po torach, była nadzieja. Wszyscy przeszli samych siebie, żeby dokonać niemożliwego. Mężczyźni i kobiety pracujący na farmach i ranczach wzdłuż torów przerywali pracę i gapili się, zaskoczeni, na pędzącą lokomotywę, która wyła gwizdkiem w oddali i zniknęła z gromotem w niecałą minutę, zostawiając za sobą jedynie wstęgę dymu.

Lofgren na siedzeniu maszynisty gnał ją coraz szybciej, aż granicę między Utah i Idaho pokonali z prędkością blisko stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Pocatello, Blackfoot i Idaho Falls pojawiły się i zniknęły. Zawiadownicy mogli tylko stać zaszokowani i zdezorientowani, niezdolni zrozumieć, dlaczego lokomotywa z tendrem pojawia się znikąd bez uprzedzenia i mija ich stacje z niesłychaną prędkością.

Zanim wyjechali z Ogden, Bell zdobył stos koców, tak że załogi mogły na zmianę drzemać i dorzucać do paleniska. Z początku nie byli w stanie przesypiać tych krótkich przerw z powodu hałasu kotła, syku pary i stukotu stalowych kół na szynach. Ale kiedy naprawdę się zmęczyli, coraz łatwiej było im zapadać w sen, aż znów przychodziła ich kolej kierować i szuflować.

Nie licząc krótkich postojów na uzupełnienie węgla i wody, Adeline nie zwalniała. Na przystanku w Spencer w Idaho Bell dowiedział się, że są zaledwie pięćdziesiąt minut za pociągiem Cromwella. Świadomość, że szybko skracają dystans, dała im impuls do wzmożenia wysiłków i jeszcze cięższej pracy.

Tajemnicą dla Bella pozostawał meldunek otrzymany od zawiadowcy stacji w Spencer. Wyglądało na to, że główna magistrala Southern Pacific kończyła się w Missoula, a dalej prowadziła jedynie lokalna, studwudziestokilometrowa odnoga do małego portu Woods Bay w Montanie na jeziorze Flathead.

- Co pan o tym sądzi? - spytał Lofgren Bella, kiedy jego miejsce przy przepustnicy zajął Jongewaard.

- Cromwell musiał znaleźć nową załogę po tym, jak zajeździł maszynistę i palacza z Winnemuca prawie na śmierć - odparł Bell.

Lofgren kiwnął głową.

- Bez wiadomości telegraficznych, z których wynikałoby coś innego, muszę zakładać, że ich też wyrzucił na jakimś pustkowiu i zmu sił nową załogę, żeby przewiozła go ostatnim skokiem do granicy.

- W takim razie będzie musiał jechać samochodem, drogą.

Lofgren popatrzył na niego.

- Dlaczego pan tak uważa?

Bell wzruszył ramionami.

- Zawiadowca w Spencer powiedział mi, że tory Southern Pacific kończą się w Woods Bay, na wschodnim brzegu jeziora Flathead. Zakładam, że Cromwell może jechać dalej na północ, do Kanady, tylko drogą.

- Nie zgadzam się. Moim zdaniem zamierza załadować swój pociąg na prom kolejowy, kursujący po jeziorze.

Bell popatrzył pytająco na Lofgrena.

- Prom kolejowy?

Maszynista pokiwał głową.

- Drewno z wycinek w Kanadzie jest przewożone przez granicę na platformach do Rollins, małego portu na zachodnim brzegu jeziora. Tam wtaczają je na prom, przewożący je przez jezioro. Kiedy docierają do Woods Bay, wagony są podczepiane do lokomotyw, które wiozą je do tartaków na całym południowym zachodzie.

- Dlaczego Southern Pacific nie pociągnie po prostu torów do Kanady?

- Wielka Kolej Północna dostała od rządu wyłączność na północne Stany Zjednoczone. Położyli tory, które prowadzą od portu na zachodnim brzegu Flathead na północ do granicy. Tam ich lokomotywy są podczepiane do platform wiozących drewno, które przyciągnęły lokomotywy Canadian Pacific Railroad. Dyrektorzy Wielkiej Północnej i Southern Pacific nie dogadali się i nie położyli torów okrążających jezioro.

- Skąd pan to wszystko wie?

- Mój wuj mieszka w Kalispell nad jeziorem. Teraz jest na emeryturze, ale był maszynistą w Wielkiej Północnej. Jeździł lokomotywą między Spokane i Helena.

Zainteresowanie w głosie Bella ustąpiło miejsca obawie.

- Czyli mówi mi pan, że Cromwell może przewieźć swój pociąg przez jezioro na tory Northern Pacific i pojechać do Kanady, nie wysiadając ze swojego wagonu?

- Tak to mniej więcej wygląda.

- Jeśli dobieje do drugiego brzegu, zanim go zatrzymamy... -Bell nie dokończył.

Lofgren zobaczył strach w jego oczach.

- Niech się pan nie martwi, Issacu - powiedział pewnym to nem. - Cromwell nie może być dalej niż piętnaście kilometrów przed nami. Dogonimy go.

Przez długą chwilę Bell milczał. Potem powoli sięgnął do kieszeni na piersiach i wyjął kartkę. Rozwinął ją i podał Lofgrenowi. Maszynista obejrzał ją.

- Wygląda jak lista nazwisk - powiedział, nie podnosząc wzroku.

- Bo tak jest.

- Czyich nazwisk?

Bell ściszył głos, aż był ledwie słyszalny przez łoskot pędzącej lokomotywy.

- Mężczyzn, kobiet i dzieci, których Cromwell zamordował. Noszę ją przy sobie, odkąd powierzono mi tę sprawę.

Lofgren oderwał wzrok od listy i popatrzył przez przednią szybę na tory.

- Powinni ją zobaczyć pozostali.

Bell przytaknął.

- Chyba teraz jest właściwa pora.

Trzy godziny później, z Lofgrenem znów przy przepustnicy, Adeline zaczęła zwalniać, wjeżdżając do Missoula. Maszynista zatrzymał lokomotywę dwadzieścia metrów przed zwrotnicą. Shea wyskoczył z kabiny, pobiegł wzdłuż torów i przestawił szyny na odnogę biegnącą nad jezioro Flathead. Zignorował zwrotnicowego, który wybiegł ze swojej szopy.

- Zaraz, co pan wyrabia? - zawołał zwrotnicowy, opatulony ciepło dla ochrony przed zimnym

wiatrem.

- Nie mam czasu wyjaśniać - odparł Shea i pomachał Lofgrenowi, dając mu znać, że może bezpiecznie zjechać z głównej magistrali. Kiedy Adeline powoli ich mijająca, obejrzał się na zwrotnicowego. - Czy przez ostatnią godzinę na odnogę wjechał jakiś pociąg?

Zwrotnicowy kiwnął głową.

- Oni też przełożyli zwrotnicę bez pozwolenia.

- Kiedy?

- Jakies dwadzieścia minut temu.

Shea nie odpowiedział, pobiegł tylko za Adeline i wciągnął się do kabiny.

- Według zwrotnicowego - zameldował - pociąg Cromwella wjechał na odnogę dwadzieścia minut temu.

- Sto trzydzieści kilometrów, żeby nadrobić dwadzieścia minut - powiedział w zamyśleniu Jongewaard. - Będzie krucho.

Otworzył przepustnicę do ostatka i pięć minut za skrzyżowaniem Adeline mknęła po torach z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

W oddali zobaczyli wschodni brzeg jeziora Flathead. Ten największy słodkowodny zbiornik w zachodnich Stanach Zjednoczonych miał czterdzieści pięć kilometrów długości, dwadzieścia pięć szerokości i powierzchnię czterystu dziewięćdziesięciu kilometrów kwadratowych, a średnia głębokość wynosiła pięćdziesiąt metrów.

Byli na ostatnim odcinku długiego i nużącego pościgu. Lofgren siedział na krześle palacza i pomagał Jongewaardowi w obserwacji torów. Bell, Shea i Long stworzyli zespół szuflowych do zasilania kotła. Nie mając skórzanych rękawic jak palacze, Bell owinał sobie dłonie szmatami, którymi maszyniści wycierali olej. Trochę mu to pomogło, ale na rękach zaczęły mu wyrastać bąble od długich godzin pracy.

Wkrótce osiągnęli prędkość wyższą niż ta, do której przystosowane były szyny. Nie zwalniali na mostach i wiaduktach. Zakręty brali na zewnętrznych kołach. Jeden, wyjątkowo ostry, pokonali gwałtownym łukiem, od którego zatrzęsły się wszystkie nity w tendrze. Na szczęście tory potem się wyprostowały. Jongewaard utrzymał prędkość stu trzydziestu kilometrów na godzinę przez następnych sześćdziesiąt kilometrów.

- Eureka! - krzyknął nagle Lofgren, pokazując coś przed nimi.

Wszyscy wychyliłi się z kabiny; lodowaty wiatr wyciskał im z oczu łzy. Ale zobaczyli - siedem, może osiem kilometrów przed sobą, na wprost, malutki obłoczek dymu.

Margaret siedziała rozparta na sofie, w haftowanym, jedwabnym szlafrocisku, i patrzyła, jak w jej szerokim, płaskim kieliszku unoszą się bąbelki szampana.

- Zastanawiam się, czy to prawda - powiedziała cicho.

Cromwell popatrzył na nią.

- Co takiego?

- Że formą dla tego kieliszka była pierś Marii Antoniny.

Cromwell się zaśmiał.

- Tak, w legendach jest ziarno prawdy.

Potem Margaret zapatrzyła się w okno, które Cromwell odsłonił na tyle wagonu - było cofnięte w ścianę i po zamknięciu niewidoczne. Tory migające pod kołami wydawały się ciągnąć w nieskończoność. Margaret zobaczyła, że jada doliną otoczoną zalesionymi zboczami gór.

- Gdzie jesteśmy?

- W dolinie Flathead, w sercu Gór Skalistych.

- Ile jeszcze do granicy?

- Około trzydziestu minut do promu na jezioro Flathead - powiedział Cromwell, otwierając drugą tego dnia butelkę szampana.

- Pół godziny przeprawy na tory Wielkiej Północnej i o zmierzchu będziemy w Kanadzie.

Margaret uniosła kieliszek.

- Za twoje zdrowie, bracie, i za genialną ucieczkę z San Francisco. Żeby nasze nowe przedsięwzięcie okazało się tak samo udane, jak ostatnie.

Cromwell uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Za to wypiję.

Przed nimi, w kabinie lokomotywy, Abner popędzał załogę, porwaną pod bronią z małej kawiarenki przy stacji w Brigham City w Utah: Leigha Hunta, kędzierzawego, rudowłosego maszynistę, i jego palacza, Boba Carra, ponurego osobnika, który wcześniej był hamulcowym i miał nadzieję w ten sposób dochrapać się pozycji maszynisty. Właśnie skończyli kurs i pili kawę przed powrotem do domu, kiedy Abner przystawił im rewolwer do głów i zapędził do kabiny lokomotywy ciągnącej elegancki wagon Cromwella.

Podobnie jak wcześniejsza załoga, Wilbanks i Hall zostali wyrzuceni na pustkowiu, kiedy Abner przecinał druty telegrafu.

Abner siedział na dachu tendra nad kabiną, skąd mógł poganiać Hunta i Carra, prowadzących lokomotywę po torach nad jezioro Flathead. Zauważył czarne, skłębione chmury nad Górami Skalistymi na wschodzie.

- Chyba idzie burza - krzyknął do Carra.
- Wygląda mi to na *chinooka* - odkrzyknął Carr przez ramię, szuflując węgiel do paleniska.
- Co to *chinook*?
- To wichura, która schodzi ze Skalistych. Temperatura potrafi spaść o dwadzieścia stopni w ciągu godziny, a wiatr wieje ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, czasami zrzuca wagony z szyn.
- Ile mamy czasu, zanim uderzy?
- Może godzinę - odparł Carr. - Akurat jak dojedziemy do doku w Woods Bay. Na miejscu będziemy musieli przeczekać burzę. Prom nie wypłynie podczas *chinooka*.
- Czemu nie? - spytał Abner.
- Przy takim wietrze jezioro wpada w szal. Fale dochodzą do sześciu metrów. Prom kolejowy nie wytrzymałby sztormu. Załoga nie wypłynie na wodę podczas *chinooka*.
- Wysłaliśmy telegram, żeby prom na nas czekał - powiedział Abner. - Przeprowimy się, bez względu na wichurę.

W ruchomym pałacu Cromwella Margaret zdrzemnęła się, uśpiona szampanem, a jej brat siedział i relaksował się, czytając gazetę, którą kupił, kiedy Abner porywał załogę w Brigham City. Większość wiadomości dotyczyła trzęsienia ziemi w San Francisco. Przeczytał, że pożary w końcu ugaszono i zastanawiał się, czy ocalała jego posiadłość na Nob Hill i gmach banku.

Podniósł wzrok, słysząc dziwny dźwięk, inny niż stukot stalowych kół na szynach. Odgłos był cichy i dobiegał z oddali. Cromwell zeszywniał, rozpoznając w nim gwizdek lokomotywy; wstrząśnięty, zrozumiał, że jest ścigany.

- Bell! - eksplodował wściekłością.

Margaret poderwała się, przestraszona jego głosem.

- Czemu tak krzyczysz?

- Bell! - warknął Cromwell. - Ścigał nas z San Francisco.

- Co ty mówisz?

- Posłuchaj - rozkazał. - Posłuchaj.

Wtedy usłyszała - charakterystyczny odgłos gwizdka, ledwie słyszalny, ale niezaprzeczalnie obecny.

Podbiegła do tylnego okna i spojrzała wzdłuż torów. Poczula się, jakby ktoś uderzył ją w żołądek. Zobaczyła smugę czarnego dymu unoszącą się za zakrętem, nad koronami niewysokich drzew.

- Musisz powiedzieć Abnerowi! - wrzasnęła.

Cromwell wpadł na to pierwszy i po drabince wspiał się do kłapy na dachu wagonu. Otworzył ją, wyszedł na dach i strzelił z rewolweru w powietrze, żeby zwrócić uwagę Abnera mimo łoskotu lokomotywy. Abner usłyszał strzał i podbiegł po dachu tendra, aż znalazł się kilka metrów od Cromwella.

- Za nami jedzie pociąg! - krzyknął Cromwell.

Abner rozstawił szeroko stopy, żeby utrzymać równowagę na kołyszącym się i szarpiącym tendrze, a potem spojrzał nad dachem wagonu. Ścigający ich pociąg wyjechał zza zakrętu i był widoczny w oddali. Wyglądał jak lokomotywa z tendrem, bez wagonów. Zbliżała się, i to szybko, o czym świadczył dym buchający z komina i kładziony pędem powietrza.

Oba pociągi były w zasięgu wzroku i słuchu, a przystań promu w Woods Bay na jeziorze Flathead znajdowała się zaledwie trzydzieści kilometrów przed nimi.

Adeline wypadła zza zakrętu na prostą niczym pełnej krwi koń wyścigowy, przeciskający się między innymi na prowadzenie. Jej drążki napędowe rozmyły się w pędzie, gnając olbrzymie koła po szynach. Żadna lokomotywa nigdy nie pracowała ciężiej. Dystans między stacją w Oakland a dziczą Montany pokonała w krótszym czasie niż jakakolwiek inna lokomotywa w historii. Nikt nie mierzył jej prędkości, ale też nikt w jej kabinie ani nikt z tych, którzy widzieli jej przejazd, nie wątpił, że na prostych i równych odcinkach przekraczała sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Jongewaard otworzył przepustnicę do oporu, gnając Adeline po szynach nieprzystosowanych do takich prędkości. Obaj maszyniści siedzieli na krzesłach w kabinie, ze wzrokiem utkwionym w torach przed sobą. Bell i Long szuflowali, zaś Shea systematycznie rozgarniał ogień, żeby ten palił się równo i dawał jak największy żar.

Pohukiwanie pary zmieniło się w jeden ciągły syk, a dym z komina buchał coraz gęstszą chmurą. Bell co jakiś czas przestawał szuflować i patrzył na pociąg przed nimi, z każdą chwilą większy.

Nie próbowali już się do Cromwella podkradać; pociągnął linkę i zawył gwizdkiem, przecinając jego dźwiękiem wiatr, który zaczynał wiać nad jeziorem. Wargi Bella rozciągały się w zduszonym uśmiechu. Miał nadzieję, że Cromwell przeczuwa, kto go dopada.

Odwrócił się, spojrzał w niebo i zobaczył, że zmieniło kolor z morskiego błękitu w szary całun od *chinooka*, wyjącego z Gór Skalistych na wschód. Woda Flathead z płaskiej i nieruchomej zmieniła się we wzburzoną kipieli w niecałe dwadzieścia minut.

Wtedy, nagle, Jongewaard i Lofgren krzyknęli chórem:

- Wóz na torach!

Wszyscy odwrócili się i spojrzeli w przód.

Na drodze krzyżującej się z torami stał farmerski wóz z sianem, ciągnięty przez zaprzęg koni. Farmer musiał usłyszeć gwizd lokomotywy, pomyślał Bell, ale źle ocenił jej prędkość, sądząc, że zdąży przejechać przez tory z zapasem. Jongewaard szarpnął dźwignię przepustnicy, spowalniając koła napędowe, aż się zatrzymały i zakręciły w tył, hamując rozpędzoną lokomotywę.

Kiedy farmer uświadomił sobie, że żelazny potwór jest ledwie sto metrów od niego, popędził konie, gorączkowo usiłując zjechać z drogi nadciągającej śmierci. Ale wtedy było już za późno.

Adeline uderzyła w wóz w eksplozji siana, desek, drzazg i potrzaskanych kół. Mężczyźni w kabinie odruchowo kucnęli za osłoną kotła, kiedy szczątki załomotały o boki lokomotywy i przeleciały nad

dachem tendra.

Jakimś cudem konie skoczyły w przód i uszły bez szwanku. Bell i pozostali nie widzieli, jaki los spotkał farmera. Kiedy tylko Jongewaard zatrzymał Adeline sto metrów dalej, Bell i załoga wyskoczyli i pobiegli z powrotem na skrzyżowanie.

Poczuł ogromną ulgę, widząc farmera leżącego parę kroków od szyn, z rękami i nogami na miejscu. Mężczyzna podparł się, usiadł i zdezorientowany patrzył na wrak swojego wozu.

- Nic panu nie jest? - spytał Bell z niepokojem.

Farmer obejrzał swoje ręce i nogi i pomacał rosnący na głowie guz.

- Parę guzów i zadrapań - mruknął. - Ale, cud nad cuda, je stem dalej w jednym kawałku, chwalić Pana.

- Pańskie konie też uszły cało.

Shea i Long pomogli farmerowi wstać i zaprowadzili go do koni, które najwyraźniej zapomniały o bliskim spotkaniu ze śmiercią i pasły się na trawie przy drodze. Mężczyzna ucieszył się, widząc, że nic im nie jest, ale rozgniewał się na widok wozu, rozrzuconego po okolicy w stu kawałkach.

Bell odczytał jego myśli i dał mu wizytówkę Van Dorna.

- Proszę się skontaktować z moją agencją detektywistyczną - polecił. - Zwróć panu równowartość wozu.

- A nie kolej ? - spytał farmer zdziwiony.

- To nie była wina kolei. To długa historia, o której przeczyta pan w gazetach.

Bell odwrócił się i z frustracją popatrzył wzdłuż torów na niknący w oddali dym lokomotywy Cromwella. Nie mógł uwierzyć, że poniósł porażkę tak blisko celu. Ale nie wszystko było stracone. Jongewaard już cofnął Adeline po Bella i resztę załogi.

Widząc, że farmer jest w stanie o siebie zadbać, Jongewaard krzyknął do Bella:

- Wskakujcie! Musimy nadrobić stratę!

Bell, Lofgren i palacz ledwie zdążyli wspiąć się do kabiny, kiedy maszynista pchnął Adeline po szynach, wznawiając pościg za pociągiem bandyty. *Chinook* już ich dopadł. Wichura wzbijała kurz i

liście na kształt piany przyboju uderzającego o plażę. Widoczność spadła do najwyżej dwustu metrów.

Jongewaard nie mógł już wyglądać z boku kabiny, bo w zmrużone oczy sypał mu się kurz. Zamiast tego wpatrywał się w przednią szybę. Nie miał innego wyjścia i musiał zmniejszyć prędkość Adeline ze stu dwudziestu do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Zobaczył semafor przy torach, z flagą w pozycji poziomej, sygnalizujący, żeby lokomotywa się zatrzymała, ale zignorował go. Następny był znak graniczny miasta Woods Bay. Nie wiedząc, jak daleko jest do przystani promu, zwolnił jeszcze bardziej, aż Adeline toczyła się do przodu marne czterdzieści na godzinę.

Jongewaard odwrócił się do Bella.

321

21 - Pościg

- Przepraszam, że zwalniam, ale nie widzę, czy przystań jest pięćset metrów, czy pięć kilometrów przed nami. Muszę zmniejszyć prędkość na wypadek, gdybyśmy natknęli się na wagon bandyty albo platformy z drewnem.

- Jak pan myśli, ile straciliśmy? - spytał Bell.

- Według mojego zegarka dwanaście minut.

- Złapiemy ich - powiedział Bell z wymuszonym przekonaniem. - Prom raczej nie będzie ryzykował przeprawy w taką pogodę.

Miał rację, że prom zazwyczaj nie wypływa podczas wichury, ale popełnił błąd, nie doceniając Cromwella. Rzeźnik i jego siostra nie po to dotarli tak daleko, by teraz potulnie się poddać.

Nie było mu dane powstrzymać Cromwella i Margaret. Ich pociąg wjeżdżał właśnie z przystani na prom.

Prom kolejowy czekał na przystani, kiedy pociąg Cromwella przyjechał. Lokomotywa została skierowana na tor prowadzący po drewnianym nabrzeżu na pokład. Ale tam stanęła. Trzyosobowa załoga uznała, że nie jest bezpiecznie próbować przeprawy, dopóki *chinook* nie ucichnie, a woda się nie uspokoi. Siedzieli w małym kambuzie, pili kawę, czytali gazety i nawet nie wstali, kiedy pociąg Cromwella wtoczył się na statek.

Cromwell wysiadł ze swojego wagonu i poszedł do lokomotywy, zgięty wzdłuż na wietrze. Przystanął i popatrzył na fale, coraz większe i coraz silniej się załamujące. Jezioro wyglądało jak wzburzone morze. Potem przyjrzał się łodzi, napędzanej silnikiem parowym i bocznymi, łopatkowymi kołami.

Na wyblakłym drewnianym szyldzie na sterówce widniała nazwa „Kalispell”. Statek był stary. Farba się łuszczyła, drewniany pokład był wytarty i spróchniały. Służył od wielu lat - zbyt wielu. Ale według Cromwella wyglądał dostatecznie krzepko, by pokonać wichurę i doliny między rosnącymi falami. Miał pewność, że dopłynie do zachodniego brzegu jeziora. Zirytował się, nie widząc nigdzie załogi.

Spojrzał wzdłuż torów i z zadowoleniem stwierdził, że ścigającego ich pociągu nigdzie nie widać. Mógł się tylko zastanawiać, co go zatrzymało. Cokolwiek to jednak mogło być, nie miał czasu do stracenia. Pomachał do Abnera w kabinie lokomotywy.

- Pilnuj, żeby palacz dorzuczał do paleniska, żebyśmy mieli parę, kiedy dopłyniemy do torów Wielkiej Północnej.
- Załatwione - odparł Abner, celując z rewolweru do Carra, który słyszał tę rozmowę. - Słyszałeś. Szufluj dalej.
- Widziałeś załogę statku?

Abner wzruszył ramionami.

- Nikogo.
- Lepiej ich pogonić. Musimy ruszać. Tamta lokomotywa za nami może nadjechać w każdej chwili.
- Co z załogą pociągu? - spytał Abner. - Jeśli zostawimy ich samych, mogą uciec.
- Zrzuć cumy - polecił Cromwell. - Nigdzie nie pójda, jeśli od-dryfujemy od przystani. Załogę promu zajmę się sam.

Abner zeskoczył na pokład i pobiegł na nabrzeże. Znalazł cumy dziobowe i rufowe. Fale bijące od jeziora uderzały statkiem o odbojniki zawieszane na osłonie koła na sterburcie. Abner zaczął czekać, aż prom odsunął się od brzegu, a liny napięły. Gdy znów się rozluźniły, ściągnął je z pachołków i przerzucił przez reling „Kalis-pella”. Zwinnie jak kot wskoczył z powrotem na pokład i wrócił do kabiny lokomotywy.

Cromwell wszedł po drabince do sterówki, wdzięczny, że może się w niej schronić przed wyjąłym wichrem. Sterówka była pusta - zszedł po schodach do kambuza, gdzie znalazł załogę, siedzącą wokół stołu i obojętnie czytającą. Podnieśli wzrok, kiedy zszedł, ale nie wykazali zainteresowania.

- Pan jest Cromwell? - spytał potężny, rumiany, brodaty mężczyzna w czerwonej, kraciastej kurtce drwala.

- Tak, jestem Cromwell.

- Słyszeliśmy, jak pana pociąg wjeżdża na pokład. Jestem ka pitan Jack Boss, do usług.

Swobodna poza Bossa, który nie wstał, i jego dwuosobowej załogi, niewykazującej śladu zainteresowania, rozgniewała Cromwella.

- Najważniejsze, żebyśmy natychmiast ruszali w drogę.

Boss pokręcił głową.

- Nic z tego. Jezioro się burzy. Najlepiej będzie poczekać, aż burza ucichnie.

Spokojnie, jakby przypalał cygaro, Cromwell wyjął swojego colta kaliber 38 z kieszeni płaszcza i strzelił jednemu z marynarzy w czoło. Zaskoczenie było tak całkowite, że zabity oklapł na krześle, wytrzeszczając niewidzące oczy, jakby wciąż czytał gazetę.

- Dobry Boże! - wykrztusił tylko Boss, z twarzą zastygłą w szoku.

Cromwell wycelował rewolwer w twarz drugiego marynarza, który

zaczął niekontrolowanie dygotać.

- Statek odbije natychmiast albo j ego też załatwię.
- Oszalałeś - sapnął Boss.
- Mój człowiek już zdjął cumy. Proponuję, żebyś nie tracił czasu na protesty.

Boss spojrział na martwego marynarza i powoli, chwiejnie wstał. Popatrzył na Cromwella z obrzydzeniem i wściekłością.

- Możesz równie dobrze zastrzelić nas wszystkich - powie dział wolno. - Wszyscy umrzemy, zanim dobijemy do drugiego brzegu.
- Musimy zaryzykować - odparł Cromwell, głosem twardym i jadowitym.

Boss odwrócił się do swojego podwładnego, Marka Ragana.

- Będziesz musiał sam obsługiwać silnik.

Ragan, młody chłopak jeszcze przed siedemnastymi urodzinami, pokiwał głową, pobladły.

- Dam radę.
- W takim razie rozpalaj pod kotłem i nabij pary, żebyśmy mieli dobrą prędkość.

Marynarz szybko opuścił kambuz i zszedł po drabinie do maszynowni. Boss, z depczącym mu po piętach Cromwellem, wspięli się do sterówki.

Cromwell wbił spojrzenie w kapitana.

- Nawet nie myśl o tym, żeby sprzeciwiać się moim poleceniom, kapitanie, bo twój człowiek w maszynowni zginie. Nie będę miał też żadnych oporów przed zabiciem ciebie, jeśli nie przewieziesz mnie na drugi brzeg.

- Ty diabelski pomocie - prychnął Boss, wykrzywiony z wściekłości.

Cromwell zaśmiał się i rzucił mu spojrzenie zimne jak śmierć. Potem się odwrócił i wyszedł ze sterówki.

Idąc do swojego luksusowego wagonu, usłyszał przenikliwe wycie gwizdka. Brzmiało, jakby dobiegało z odległości co najwyżej kilkuset metrów. Potem jego uszy wychwyciły syk pary i stukot kół lokomotywy. Przez kurz miotany porywami *chinooka*, zobaczył, jak w półmroku materializuje się wielka lokomotywa.

Za późno, pomyślał z zadowoleniem. „Kalispell” odpłynął już półtora metra od nabrzeża. Nikt i nic nie mogło go już powstrzymać. Uśmiechając się do siebie, podszedł do wagonu i wszedł do środka.

Jongewaard z piskiem zatrzymał Adeline dziesięć metrów od końca torów. Bell wyskoczył z kabiny i pobiegł na nabrzeże. Prom wypływał na jezioro, a jego łopatkowe koła zaczynały się obracać. Odstęp zwiększył się do ponad dwóch metrów, kiedy Bell dobiegł do krawędzi.

Nie wahał się, nie zastanawiał ani nie analizował swoich działań; nie cofnął się dla lepszego rozbiegu. Odległość wydawała się za duża, ale bez namysłu skoczył z przystani. Wiedząc, że nie zdoła wylądować na nogach, wyciągnął ręce i złapał się relingu. Jego ciało jak wahadło uderzyło o kadłub promu. Niewiele brakowało, a rozluźniłby uchwyt i wpadł do wody, kiedy siła uderzenia wypchnęła mu powietrze z płuc. Trzymał reling w śmiertelnym uścisku, aż odzyskał oddech, ale narastający ból w piersi nie zelżał. Powoli, boleśnie wciągnął się przez reling na pokład promu, obok wagonu Cromwella.

Lekko przesunął palcami po piersi i zdał sobie sprawę, że ma pęknięte jedno, może dwa żebra. Zaciskając z bólu zęby, podniósł się na nogi i chwycił szczebel drabinki prowadzącej na dach wagonu, żeby złapać równowagę na rozkołysanym, chybotliwym pokładzie statku, który brnął w paszczę *chinooka*. Kiedy „Kalispell” wypłynął dalej na środek jeziora, gnane wiatrem fale zaczęły się przelewać przez dziób na pokład kolejowy, omywając koła lokomotywy. Okropna wichura przyniosła ze sobą dziesięciostopniowe obniżenie temperatury.

Bell odrzucił wszelkie myśli o ostrożności. Otworzył szarpnięciem drzwi wagonu i wtoczył się do środka, oniemiały z bólu, z coltem kaliber 45 trzymany mocno w dłoni. Zaskoczenie działało na jego korzyść. Cromwell się nie przejął, przekonany, że do wagonu wchodzi Abner. Zbyt późno zorientował się, że to jego najgorszy wróg.

- Witaj, Jacob - powiedział Bell z serdecznym uśmiechem. - Stęskniłeś się za mną?

Zapadła długa chwila ciszy i osłupienia.

Bell podniósł się na kolana, potem na nogi, cały czas mierząc z colta w serce Cromwella. Zamknął drzwi wagonu, odcinając wewnątrz od porywistego wiatru, chłoszczącego stary prom. Szybko rozejrzał się po wnętrzu.

- Proszę, proszę - powiedział z zainteresowaniem. - Moje gratulacje. - Wolną ręką zatoczył po luksusowym wnętrzu. - A więc tak uciekałeś z klasą z miejsca zbrodni.

- Cieszę się, że ci się podoba - odparł Cromwell tonem swobodnej konserwacji.

Bell uśmiechnął się, czujnie mrużąc oczy i nie opuszczając pistoletu. Spojrzał na skórzane kufry ustawione pod ścianą.

- Pieniądze z twojego banku. Na pewno imponująca kwota.

- Wystarczy, żeby rozpocząć nowe przedsięwzięcie - zauważył Cromwell.

- Śledziłeś nas? - spytała Margaret, pełna niedowierzania. To było raczej pytanie niż stwierdzenie.

- Niezupełnie śledziłem - odparł krótko Bell. - Raczej ścigałem.

Jak można było przewidzieć. Cromwell odzyskał samokontrolę.

- Jak udało ci się zdążyć?

- Na szczęście miałem szybszą lokomotywę i oddaną załogę.

- Wiedziałeś, że Margaret i ja opuściliśmy San Francisco?

- Wyśledziłem ten wagon i domyśliłem się, że namalowałeś nowy numer seryjny. Moi agenci go obserwowali, czekali, aż znowu go użyjesz. Niestety, nastąpiło trzęsienie ziemi i moi ludzie mieli pilniejsze obowiązki.

- I odkryłeś, że opuścił stację przeładunkową - stwierdził Cromwell.

Bell przytaknął.

- Dopiero kiedy poszedłem do twojego banku i zobaczyłem, że opróżniłeś sejf ze wszystkich grubszych banknotów.

- Ale skąd mogłeś wiedzieć, że jedziemy do Kanady?

- Dyspozytor w biurze Southern Pacific - skłamał Bell, żeby nie mieszać w to Marion. - Przystawiłem mu pistolet do głowy i przekonałem, żeby wyznał, jaką trasą jedzie twój pociąg. Potem to była tylko kwestia dopasowania szczegółów.

- Bardzo pomysłowo, panie Bell. - Cromwell, z kieliszkiem szampana w ręku, popatrzył na Isaaca z aprobatą. - Wygląda na to, że cały czas cię niedoceniałem.

- Ja ciebie też, raz czy dwa.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała Margaret tonem ledwie głośniejszym od szeptu.

Jej szok zmienił się w desperację.

- Oddać twojego brata w ręce szeryfa, jak tylko dobijemy do brzegu. Potem zbiorę konieczne papiery, żeby przewieźć was oboje do Chicago, gdzie urządzimy mu szybki proces bez waszych starych kumpli z ławy przysięgłych i powiesimy go za jego zbrodnie. - Uśmiech Bella stał się lodowaty, a jego głos złowieszczy. - A ty, droga Margaret, prawdopodobnie spędzisz najlepsze lata życia w federalnym więzieniu.

Bell zauważył porozumiewawczą wymianę spojrzeń między Cromwellem a Margaret. Mógł się tylko zastanawiać, o czym myślą, ale był pewien, że nic dobrego to nie wróży. Obserwował Cromwella, który opadł na zdobioną kanapę.

- Nasza podróż w taką pogodę może trochę potrwać. - Jakby na potwierdzenie słów mordercy, butelka szampana zsunęła się ze stolika na podłogę. - Szkoda. Zamierzałem cię poczęstować.

Bell mógł tylko zgadywać, gdzie Cromwell trzyma swoją trzy-dziesiątkósemkę.

- Nigdy nie piję na służbie - powiedział wyniośle.

Wagonem znów szarpnęło, kiedy prom przechylił się na bok; cały

kadłub zawibrował, kiedy jedno z kół wyskoczyło nad powierzchnię jeziora. Margaret jęknęła ze strachu i wbiła wzrok w wodę, która przesączała się, tworząc rosnącą kałużę pod przesuwными drzwiami.

Na zewnątrz wył wicher, a „Kalispell” skrzypiał i jęczał pod nawalą fal pędzących po jeziorze Flathead. Umęczony, stary statek rył dziobem gnane wicherą grzywacze i opadał mdląco w otchłanie między nimi. Olbrzymia fala wybiła przednie okna sterówki, zalewając ją wodą.

Kapitan Boss postawił kołnierz kurtki i rozpaczliwie ścisnął koło sterowe, a wiatr pryskał w niego deszczem kłujących kropel.

W tubie komunikacyjnej z maszynowni zagwizdało. Boss ją podniósł.

- Sterówka.

W tubie rozległ się głuchy głos Ragana.

- Nabieram tu wody, panie kapitanie.

- Pompy dadzą radę?

- Na razie dają. Ale kadłub okropnie trzeszczy. Boję się, że wręgi mogą nie wytrzymać.

- Bądź gotów uciekać, jakby było źle. Wydostań się na dach przez kambuz i odwiąż szalupę.

- Tak jest - odparł Ragan. - A co z panem, kapitanie?

- Daj mi znać, jak będziesz uciekał z maszynowni. Pójdę za tobą, jeżeli będę mógł.

- A ludzie w pociągu? Nie możemy ich zostawić.

Boss był mężczyzną o twardych zasadach, bogobojnym człowiekiem o wielkiej wewnętrznej sile, ze starej szkoły, kiedy dane słowo było święte. Wszyscy mieszkający wokół jeziora znali go i szanowali. Spojrzał przez wybite okno sterówki na drugi brzeg, na rozszalałą wodę przelewającą się przez dziób i nabrał pewności, że „Kalispell” nie dopłynie do portu.

- Ja za nich odpowiadam - powiedział wolno. - Ty się ratuj.

- Bóg z panem, panie kapitanie.

Potem w tubie zapadła cisza.

Tak niszczycielskiego *chinooka* nie pamiętali nawet najstarsi. Tornado kładło stodoły, zrywało dachy, wyrzywało drzewa z korzeniami i obalało linie telegraficzne i telefoniczne. Wichura szalała z pełną siłą nad wodami Flathead i chłostała je, wzniecając wirujące fale, które bezlitośnie tłukły w znużonego, starego „KalisPELLa”, osuwającego się w doliny między grzywaczami. Szalupa, w której nadzieję na ratunek pokładał kapitan Boss, została już zerwana z mocowań i roztrzaskana, a jej szczątki zmyte w nieubłaganą toń.

Boss zmagął się z kołem sterowym, rozpaczliwie usiłując utrzymać „KalisPELLa” na prostym kursie ku zachodniemu brzegowi, odległemu już o zaledwie trzy kilometry. Żywił wątłą nadzieję, że uda im się schronić w małym porcie Rollins, ale w głębi duszy wiedział, że szanse są niewielkie. Cały czas groziło im niebezpieczeństwo, że prom się wywróci. Lokomotywa, tender i wagon były kroplą, która przelałaby czarę.

Bez takiego obciążenia „KalisPELL” mógłby unosić się wyżej na wodzie i nie ucierpiałby tak bardzo od olbrzymich fal, przewalających się przez jego pokład. Boss spojrział na dziób i zobaczył, że jest mocno uszkodzony. Deski na jego odsłoniętej części były łamane i zrywane z belek.

Z ubraniem i kurtką przemokniętą na wylot, Boss zdjął ponuro jedną rękę z koła, przyłożył tubę do ust i zagwizdał. Zanim Ragan odpowiedział, minęło prawie pół minuty.

- Tak, panie kapitanie?
- Jak tam wygląda na dole?
- Mam dobrą parę, ale woda ciągle wzbiera. - W głosie Ragana słychać było strach. - Jest już za kostki.
- Jak dojdzie do kolan, wynoś się stamtąd - rozkazał Boss.
- Mam odpinać łódź? - spytał z niepokojem Ragan.
- Nie musisz - odparł gorzko kapitan. - Zmyło ją.

Strach w głosie Ragana był coraz wyraźniej szy.

- Co zrobimy, kiedy będziemy musieli opuścić statek?
- Będziemy się modlić, żeby mieć czego się złapać i utrzymać na wodzie, dopóki burza nie ucichnie - powiedział beznamiętnie Boss.

Odwiesił tubę i mocno zakręcił kołem, żeby statek płynął dziobem do fal; jedna z nich uderzyła akurat w lewą stronę dziobu „Kalispella” i ustawiła go burtą do wiatru. Tego właśnie Boss się obawiał. Uderzony w bok kadłuba prom mógł się przewrócić, a potem zatonać jak kamień pod ciężarem pociągu.

Walcząc, by odwrócić go czołem do wichury, kapitan zerknął na pociąg i z przerażeniem zauważył, że ten szarpie się w przód i w tył za każdym razem, gdy statek opada w dolinę między falami i uderza dziobem w ścianę wody. Poczł niewielką satysfakcję, wiedząc, że jeśli „Kalispell” pójdzie na dno, zbrodniarze w pociągu zginą razem z nim.

W lokomotywie Hunt i Carr czepiali się wszystkich zaworów, pokręteł i dźwigni w zasięgu ręki, żeby nie uderzać o kocioł i ściany kabiny. Abner siedział na krześle palacza, zapierając się stopami o przedni panel pod oknem. Nie czuł potrzeby, żeby celować z rewolweru do pozostałych dwóch - wszyscy walczyli, żeby nie upaść i się nie zranić. Nie on był już dla nich najgroźniejszy - zagrożeniem była burza.

Ostatnie, co przyszłoby Abnerowi do głowy, to że Hunt i Carr knują przeciwko niemu. Nie słyszał ich stłumionych słów ani dyskretnych znaków dawanych rękami. Mógł tylko patrzeć z przerażeniem na olbrzymie fale łomoczące o prom. Maszynista spadł ze swojego siedziska i zatoczył się na Abnera. Uderzenie na moment oszołomiło Irlandczyka, ale brutalnie odepchnął Hunta z powrotem na jego połowę kabiny.

Nie zwracał uwagi na Carra, który usiłował ładować węgiel do paleniska, jednocześnie utrzymując równowagę mimo wstrząsów i kołysania „Kalispella”. Hunt znów się na niego zatoczył. Zirytowany Abner próbował odepchnąć maszynistę z powrotem. Tym razem jednak Hunt rzucił się na niego, przyszpilając mu ręce do boków, a potem runął w tył, ciągnąc zaskoczzonego i rozwścieczonego Abnera za sobą.

Carr tylko na to czekał - zamachnął się szuflą nad głową i spuścił ją Abnerowi między łopatki. W tej samej chwili prom runął w otchłań między falami i szufla chybiła głowy Abnera - gdyby trafiła, z pewnością roztrzaskałaby mu czaszkę. Carr miał wrażenie, że uderzył w powaloną kłodę.

To był potężny cios, łamiący kości, cios, który sparaliżowałby i pozbawił przytomności większość ludzi. Ale nie Abnera. Ten tylko stęknął, z twarzą wykrzywioną z bólu stoczył się z Hunta i podniósł na kolana. Sięgnął po swojego Smith & Wessona i wymierzył go w Carra. Twarz miał pozbawioną wyrazu i nawet nie mrugnął, naciskając spust. Szufla Carra była uniesiona do kolejnego ciosu, ale palacz znieruchomiał, kiedy kula wwierciła mu się w środek piersi. Runął w tył w płataninę zaworów, a potem powoli opadł na kolana i przewrócił się na podłogę kabiny.

Bez najmniejszego zawahania Abner skierował lufę rewolweru na Hunta i strzelił maszyniście w brzuch. Hunt zgiął się wpół, nie odrywając wzroku od Abnera; w jego spojrzeniu zimna nienawiść mieszała się z bólem i szokiem. Zatoczył się w tył, jedną ręką ściskając brzuch, a drugą wyciągając. Zbyt późno Abner zrozumiał, co Hunt chce zrobić. Zanim zdążył zareagować, maszynista uderzył w mosiężną, poziomą dźwignię hamulca, przesuwaną z prawa na lewo. Ostatkiem sił umierający zarzucił rękę na przepustnicę i pociągnął ją, padając bez życia.

Koła napędowe zakręciły się w miejscu i lokomotywa skoczyła do przodu. Abner, osłabiony ciosem w plecy, nie zdążył zareagować.

Widział jak przez mgłę i długie trzy sekundy minęły, nim zrozumiał, że pociąg sunie po pokładzie promu. Jakakolwiek próba powstrzymania nieuniknionego była spóźniona. Zanim zdołał pchnąć dźwignię przepustnicy, stutrydziestoczerotonowa lokomotywa zaczęła się zsuwać z dzioba „Kalispella” w zimną otchłań jeziora Flathead.

Z początku nikt w wagonie Cromwella nie zdawał sobie sprawy, że pociąg zsuwa się z promu, bo fale i wiatr za bardzo nim rzucały. Bell szybko rozpoznał inny ruch i wyczuł, że koła wagonu zaczynają się obracać. Szarpnięciem otworzył drzwi i zachwiał się uderzony wichrem. Potem jednak pochylił głowę i wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył jednocześnie dwie makabryczne rzeczy. Po pierwsze, pokład wydawał się odsuwać w tył, bo pociąg jechał naprzód. Po drugie, przedni, czterokołowy wózek lokomotywy staczał się z dziobu i opadał w kłębowisko fal. Bell się odwrócił.

- Pociąg zjeżdża z promu! - krzyknął przez ryk wichru. - Szybko, wyskakujcie, póki możecie!

Cromwell pomyślał, że nadarza mu się okazja i nie od razu zrozumiał powagę sytuacji. Bez słowa zerwał się z kanapy i w skoku wyciągnął rewolwer. Głupi błąd. Zamiast od razu pociągnąć za spust i zabić Bella, zawahał się i powiedział:

- Żegnaj, Isaacu.

Nagle ręka trzymająca broń została odtrącona na bok i kula wbiła się we framugę obok głowy Bella.

Margaret stanęła przed Cromwellem z ogniem w ciemnych oczach i zaciśniętymi ustami. Nie było w niej lęku, nie było przerażenia; stała na szeroko rozstawionych nogach.

- Wystarczy, Jacob - powiedziała.

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej. Bell chwycił ją za ramię. -Skacz! - krzyknął. - Szybko!

Tylko on pojmował nieuniknione. Jeszcze raz wyrzwał za drzwi i zobaczył, że lokomotywa zniknęła już prawie pod falami, a tender i wagon przyspieszają, ciągnięte przez jej olbrzymi ciężar. Pokład był nachylony pod ostrym kątem, a „KalisPELLowi” groziło, że pójdzie na dno razem z pociągiem. Mieli zaledwie kilka sekund, zanim wagon zostałby ściągnięty w głębinę.

Z twarzą wykrzywioną nienawiścią Cromwell znów wycelował w Bella, ale Margaret stanęła między nimi. W końcu dotarło do niego, że są w niebezpieczeństwie; w oczach pojawiła się mdląca świadomość klęski i śmierci. Próbował odepchnąć Margaret, żeby wyskoczyć, ale ona oplotła brata w pasie, wciągając go w głąb wagonu. Cromwell zamachnął się rewolwerem i uderzył ją lufą w policzek. Pocięła krew, ale Margaret trzymała go w śmiertelnym uścisku, którego nie mógł rozerwać.

Przednie koła wagonu niepowstrzymanie zjeżdżały za tendrem z pokładu. Bell próbował wyciągnąć Margaret przez drzwi, ale ona zbyt mocno ścisnęła brata. Rękaw jej niebieskiego swetra się rozerwał i Bell stracił uchwyt.

Margaret spojrzała na niego, a jej oczy złagodniały. -Przepraszam, Isaacu.

Sięgnął do niej, ale było już za późno. Wypadł za drzwi. Runął na drewniany pokład, uderzając barkiem. Wstrząs wystarczył, żeby stęknął z bólu. Leżał i patrzył, zdjęty grozą, jak wagon Cromwella znika pod powierzchnią. W głowie rozbłysła mu nadzieja, że Margaret wyskoczy jeszcze przez drzwi do jeziora i będzie mógł ją uratować. Ale tak się nie stało. Spieniona, biała ściana wody spadła na wagon i zalała wnętrze przez otwarte drzwi z taką siłą, że nikt nie miał szansy się wydostać. Wciąż żywiąc nadzieję wbrew rozsądkowi, Bell położył się na pokładzie, zalewany wodą i wpatrzony w bąble powietrza unoszące się z głębin, po której płynął parowiec. Patrzył w miejsce, w którym zatonął wagon jeszcze długo po tym, jak zostało daleko za rufą, ale ani Margaret, ani jej brat nie wypłynęli na powierzchnię.

Dziób promu uniósł się w górę i kadłub wynurzył się kilkadziesiąt centymetrów nad wodę, nieobciążony setkami ton balastu. Niemal natychmiast, ku nieopisanej uldze kapitana Bossa, stabilność „KalisPELLa” niebywale wzrosła i statek zaczął orać fale, pchany kołami łopatkowymi w stronę zachodniego brzegu jeziora.

Bellowi dotarcie do drzwi prowadzących na schody do sterówki zajęło prawie dziesięć minut. Kiedy dotarł na górę, wyglądał jak tonący szczur, a Boss ze zdumieniem wytrzeszczył na niego oczy.

- A pan skąd się tu wziął?

- Wskoczyłem na pokład, kiedy odbijaliście w Woods Bay. Nazywam się Bell, jestem agentem Van Dorna.

- Miał pan szczęście, że nie poszedł pan na dno z tamtymi.

- Tak - przyznał cicho Bell. - Miałem szczęście.
- Kim byli ci ludzie?
- Dwaj byli niewinnymi kolejarzami, wziętymi na zakładników. Pozostała trójka była poszukiwana za morderstwa i napady. Miałem ich aresztować po dopłynięciu do portu.
- Biedni dranie. Utonięcie to kiepska śmierć.

Bell czuł dojmujący żal i poczucie winy. Z niewzruszoną twarzą spojrział na wody jeziora. Fale nie wyglądały już tak niebezpiecznie i były coraz mniejsze. *Chinook* przechodził na wschód, a okropna wichura osłabła do zwykłego, mocnego wiatru.

- Tak - mruknął. - To bardzo kiepska śmierć.

Z głębin na powierzchnię

16 kwietnia 1950 Jezioro Flathead, Montana

Kiedy węglowy tender wyciągnięto i postawiono na barce za wielką lokomotywą, nurkowie przełożyli stalowe liny pod dnem wagonu i umocowali je do wyciągarki tak, by jego też dało się podnieść. Mimo szlamu i mułu, na bokach tendra wciąż dało się odczytać napis „Southern Pacific”.

Było późne popołudnie. Kierownik operacji, Bob Kaufman, chodził nerwowo po pokładzie, kiedy nurków wyciągnięto z dna na platformie, którą postawiono na barce. Spojrział na chmury, ciemne, ale niegroźne, i zapalił cygaro, czekając, aż szefowi ekipy zdejmą z głowy mosiężny hełm.

- Jak to wygląda? - spytał, kiedy tylko hełm się uniósł.

Nurek, łysiejący mężczyzna tuż po czterdziestce, pokiwał głową.

- Liny są zabezpieczone. Może pan powiedzieć operatorowi dźwigu, żeby zaczynał.

Kaufman machnął do mężczyzny, który kierował dużym dźwigiem wznoszącym się ku niebu z pokładu barki.

- Liny zabezpieczone! - krzyknął. - Podnosimy!

Potem odwrócił się do wysokiego, starszego, siwowłosego mężczyzny stojącego obok.

- Jesteśmy gotowi podnieść wagon, panie Bell.

Isaac Bell kiwnął głową. Był spokojny, ale na twarzy miał wyraz niecierpliwości.

337

22 - Pościg

- Dobrze, panie Kaufman. Zobaczmy, jak wygląda po tyłu la tach na dnie jeziora.

Operator dźwigu pchnął dźwignie; liny się napięły, kiedy die-słowski silnik przeszedł na wysokie, a potem najwyższe obroty, wyciągając wagon. Operacja nie była nawet w przybliżeniu równie skomplikowana, jak wyciąganie stutrzydziestoczerotonowej lokomotywy. Kiedy tylko oderwał się od dna, dalej poszło już gładko.

Bell patrzył z chorobliwą niemal fascynacją, jak wagon wychynał nad powierzchnię wody i uniósł się wysoko nad nią, zanim dźwig ostrożnie przesunął go nad barkę. Zwinnie manewrując dźwigniami, operator powoli go opuścił, aż koła wagonu dotknęły pokładu za lokomotywą i tendrem.

Patrząc na pociąg, Bell odkrył, że nie potrafi sobie wyobrazić, jak wyglądał tak wiele lat temu.

Podszedł do wagonu i starł denny szlam z numeru seryjnego, ledwie widocznego spod ociekającego mułu. Numer 16455 stał się wyraźny.

Bell spojrzął na drzwi. Wciąż były otwarte, tak jak wtedy, dawno temu, kiedy z nich wypadł. Wnętrze było ciemne, bo słońce schowało się za chmurami. Napłynęła fala wspomnień - przypomniał sobie tamten brzemienisty dzień, kiedy pociąg stoczył się z promu i runął w głąbiny jeziora. Drżał na myśl o tym, co znajdzie w środku.

Kaufman podszedł z drabinką, po której wchodzili do wnętrza lokomotywy, i oparł ją o krawędź otwartych drzwi.

- Pan pierwszy, panie Bell.

Bell w milczeniu kiwnął głową i powoli wszedł na drabinkę, aż stanął na progu wagonu. Patrzył w ciemność, słuchając kapania wody. Stłumił dygot. Wilgoć i zapach mułu wydawały się cuchnąć śmiercią, złą, okrutną i nieskończenie upiorną.

Bogato kiedyś urządzone wnętrze wyglądało teraz koszmarnie. Pluszowa wykładzina podłogi pokryta była mułem i przyozdobiona długimi, cienkimi wodorostami. Misternie zdobiony barek, skórzane fotele i kanapa, lampa Tiffany'ego pod sufitem, nawet obrazy na ścianach sprawiały groteskowe wrażenie, porośnięte i zabłocone szlamem. Małe ryby, które nie zdążyły uciec z wagonu, trzepotały się na podłodze.

Jakby odwlekając nieuniknione, Bell przeszedł przez błoto i znalazł pięć skórzanych kufrów pod ścianą tam, gdzie je widział w 1906 roku. Wyjął z kieszeni składany nóż i rozwarł nim zardzewiałe i sklezione prawie na amen zamki. Kiedy odchylił wieko, zobaczył, że wewnątrz jest niewiele mułu. Ostrożnie podniósł jeden z plików Banknoty były mokre, ale zachowywały kształt. Druk był wciąż wyraźny i ostry.

Kaufman dołączył do Bella i z fascynacją patrzył na pliki banknotów w kufrze.

- Jak pan myśli, ile tu jest?

Bell zamknął wieko i wskazał pozostałe cztery.

- Na oko? Może cztery, pięć milionów.
- Co się z tym stanie? - spytał Kaufman z błyskiem w oku.
- Wróci do banku, którego depozytariusze zostali okradzeni z oszczędności.
- Lepiej, żeby moja załoga o tym nie wiedziała - powiedział Kaufman poważnie. - Mogą sobie wbić do głowy, że to ich znalezisko.

Bell się uśmiechnął.

- Jestem pewien, że komisja bankowa w San Francisco hojnie wynagrodzi pana i pańską załogę.

Kaufmana to zadowoliło; rozejrzał się po wagonie.

- Przed zatonięciem to musiał być luksusowy pałac na kołach. Nigdy nie widziałem wagonu towarowego urządzonego jak prywatna salonka Pullmana.

- Nie oszczędzano na wydatkach - oznajmił Bell, patrząc na kilka butelek szampana i gatunkowej brandy walających się w mule na podłodze.

Kaufman spochmurniał, ruchem głowy wskazując dwa bezkształtne kopce.

- To ci dwoje, których pan szuka?

Bell z powagą przytaknął.

- Jacob Cromwell, niesławny Rzeźnik, i jego siostra, Margaret.

- Rzeźnik - powtórzył Kaufman cicho, z podziwem. - Zawsze myślałem, że zniknął.

- Taka krążyła przez lata legenda, bo nigdy nie znaleziono pie niędzy.

Tkanka tłuszczowa Cromwella rozpadła się i jego ciało, podobnie jak zwłoki w kabinie lokomotywy, uległo saponifikacji. Szczątki ledwo przypominały kiedyś żywą istotę ludzką. Wyglądał, jakby roztopił się w bezkształtną bryłę brązowej galarety. Leżał poskręcany, jakby umarł, wijąc się w grozie, przygnieciony tonami wody, które wpadły do wagonu, kiedy ten runął do jeziora za lokomotywą. Bell wiedział, że to nieprawda. Cromwell mógł walczyć o życie, ale nigdy nie poddałby się grozie. Nie stanowił już zagrożenia. Jego terror mordu i kradzieży skończył się czterdzieści cztery lata temu, pod zimnymi wodami jeziora Flathead.

Bell przeszedł przez szlam do ciała Margaret. Jej lśniące włosy leżały rozrzucone w mule, przeplecione pędami wodorostów. Śliczna kiedyś twarz wyglądała jak niedokończona rzeźba. Bell mimo woli przypominał sobie jej piękno i witalność tamtej nocy, gdy spotkali się w windzie hotelu Brown Palace.

Kaufman przerwał jego rozmyślenia.

- Jego siostra?

Bell kiwnął głową. Czuł przytłaczający smutek i żal. Znow wróciły do niego jej ostatnie słowa, zanim wypadł z wagonu. Nigdy nie zrozumiał swoich uczuć do niej. Nie była to czułość, raczej sympatia przykryta warstewką nienawiści. Nie mógł jej wybaczyć zbrodni, do których przyłożyła rękę. Zasługiwała na śmierć tak samo jak on.

- Teraz trudno powiedzieć - stwierdził Kaufman - ale mogła być piękną kobietą.

- Tak, była piękna - zgodził się cicho Bell. - Była piękną kobietą, pełną życia, jednak okryta welonem zła.

Odwrócił się smutny, ale jego oczy pozostały suche.

Krótko przed północą barka dobiła do starej przystani kolejowej w Rollins. Bell umówił się z Kaufmanem, że zwłoki trafią do najbliższej kostnicy, a rodziny Hunta i Carra zostaną powiadomione. Rozpoznał Josepha Van Dorna stojącego na nabrzeżu w otoczeniu czterech agentów i ten widok go nie zaskoczył.

Van Dorn był po osiemdziesiątce, ale trzymał się prosto, miał gęstą grzywę siwych włosów i oczy,

które nigdy nie straciły swojego blasku. Chociaż jego dwaj synowie prowadzili teraz agencję detektywistyczną z biur w Waszyngtonie, on wciąż pracował w swojej starej siedzibie w Chicago i doradzał przy sprawach, które nigdy nie zostały rozwiązane.

Bell podszedł i uściskał mu dłoń.

- Dobrze cię widzieć, Joseph. Kopeć lat.

Van Dorn szeroko się uśmiechnął.

- Moja praca nie jest już taka interesująca, odkąd przeszedłeś na emeryturę.

- Nic nie mogło mnie powstrzymać przed powrotem do tej sprawy.

Van Dorn popatrzył na wagon. W słabym świetle lamp przystani wyglądał jak ohydny potwór z głębin.

- Były tam? - spytał. - Pieniądze?

Bell tylko kiwnął głową.

- A Cromwell?

- Oboje, on i jego siostra, Margaret. Van

Dorn ciężko westchnął.

- A więc wreszcie to koniec. Możemy dopisać zakończenie do legendy Rzeźnika.

- Niewielu klientów banku Cromwella jeszcze żyje; nie odbiorą pieniędzy - powiedział wolno Bell.

- Nie, ale ich spadkobiercy zostaną powiadomieni o niespodziewanej gotówce.

- Obiecałem Kaufmanowi i jego żalodze sowitą nagrodę.

- Dopilnuję, żeby ją dostali - obiecał Van Dorn. Położył dłoń na ramieniu Bella. - Dobra robota, Isaac. Szkoda, że nie mogliśmy znaleźć tego pociągu pięćdziesiąt lat temu.

- Jezioro ma osiemdziesiąt metrów głębokości tam, gdzie zatonął - wyjaśnił Bell. - Firma

wydobywcza, którą zatrudniła komisja bankowa z San Francisco w 1907, przeczesala jezioro, ale nie mogła go znaleźć.

- Jakim cudem go przeoczyli?
- Wpadł w zagłębienie i liny przewlokły się nad nim.

Van Dorn odwrócił się i wskazał ruchem głowy samochód zaparkowany przy przystani.

- Pewnie jedziesz do domu.

Bell przytaknął.

- Moja żona czeka. Jedziemy z powrotem do Kalifornii.
- San Francisco?
- Zakochałem się w tym mieście podczas dochodzenia i postanowiłem zostać tam po trzęsieniu ziemi, osiedlić się. Mieszkamy w dawnej posiadłości Cromwella na Nob Hill.

Bell zostawił Van Dorna i poszedł przez przystań do zaparkowanego samochodu. Niebieski metalik packard custom super 8 ca-brio, rocznik 1950 lśnił w świetle latarni. Chociaż noc była chłodna, dach był złożony.

Kobieta siedząca za kierownicą miała modny kapelusz i włosy ufarbowane na blond. Patrzyła, jak Bell podchodzi, oczami koloru morskiej zieleni, takimi samymi jak wtedy, kiedy ją poznał. Kurze łapki wokół oczu świadczyły, że jest osobą, która często się śmieje, a twarz zachowywała jeszcze ślady dawnej urody.

Bell otworzył drzwi i usiadł obok niej. Nachyliła się i pocałowała go

mocno w usta, potem się odsunęła i przebiegle uśmiechnęła.

- Wreszcie jesteście.
- To był trudny dzień - powiedział z przeciągłym westchnieniem.

Marion przekręciła kluczyk i uruchomiła silnik.

- Znalazłeś to, czego szukałeś?
- Jacoba, Margaret i pieniądze, wszystko na miej scu.

Marion popatrzyła na czarne wody jeziora.

- Chciałabym powiedzieć, że mi przykro, ale nie mogę zmusić się do żalu, wiedząc o ich ohydnych zbrodniach.

Bell nie chciał zgłębiać tematu Cromwella.

- Rozmawiałaś z dziećmi?

Marion nacisnęła pedał gazu i ruszyła w kierunku głównej drogi.

- Z całą czwórką, dzisiaj po południu. Jak tylko wrócimy, urządzają nam rocznicowe przyjęcie.

Poklepał ją po kolanie.

- Jesteś w nastroju prowadzić całą noc?

Uśmiechnęła się i pocałowała go w rękę.

- Im szybciej wrócimy do domu, tym lepiej.

Potem długo milczeli, pogrążeni w rozmyślaniach o wydarzeniach sprzed wielu lat. Nad przeszłością zapadła kurtyna. Żadne z nich nie obejrzało się na pociąg.